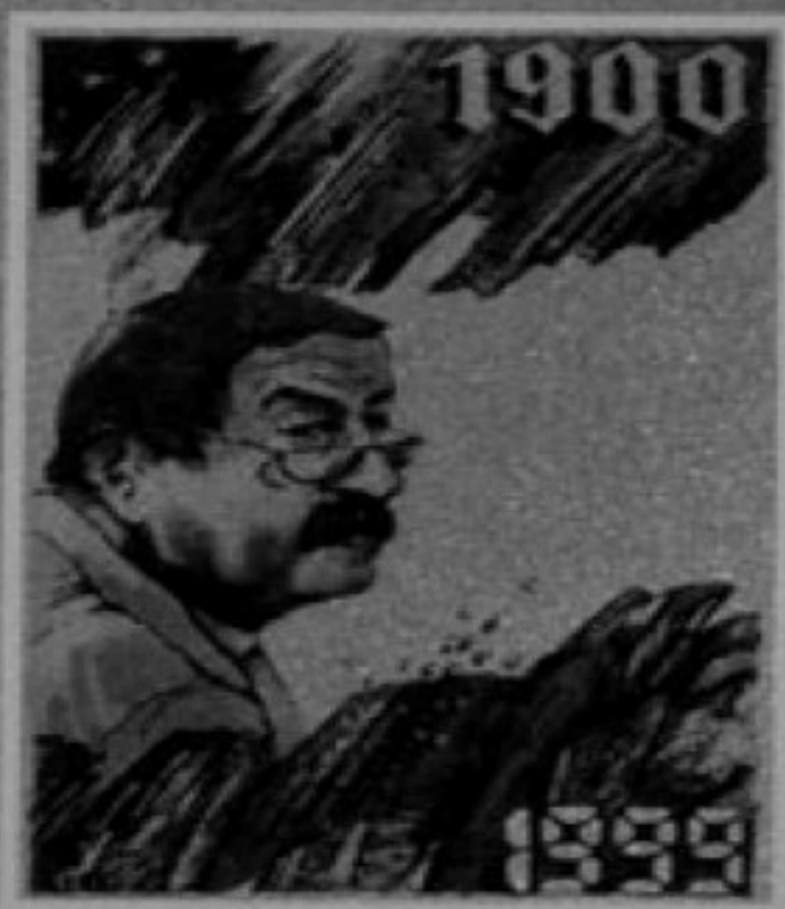


GÜNTER GRASS

Moje stulecie



POLNORD



Günter Grass

Moje stulecie

Przełożył

Sławomir Błaut

Dzieła Güntera Grassa pod redakcją

SŁAWOMIRA BLAUTA i JOANNY KONOPACKIEJ

POLNORD

WYDAWNICTWO •OSKAR•

Tytuł oryginału

Mein Jahrhundert

Opracowanie graficzne *Piotr PIÓRKO*

Przekład tej książki powstał dzięki pomocy finansowej INTER NAT1ONES Bonn

ISBN 83-86181-48-6

Copyright (c) 1998 by Steidl Verlag. Göttingen

© Copyright for the Polish edition by POLNORD – Wydawnictwo OSKAR. Gdańsk 1999

Skład: Studio *MABCBÜBS*, Gdańsk, ul. Kartuska 51/2 tel 0-501 768-766 Druk i oprawa: Zakłady Graficzne ATEXT S.A. w Gdańsku, ul. Trzy Lipy 3

Pamięci Jakoba Suhla

1900

Ja, wymieniany na mnie, byłem obecny rok w rok. Nie zawsze w pierwszej linii, bo jako że ciągle była jakaś wojna, tacy jak my chętnie wycofywali się na tyły. Z początku jednak, kiedy trzeba było uderzyć na Chińczyków i nasz batalion zebrał się w Bremerhaven, stałem w pierwszym szeregu środkowej kompanii. Prawie wszyscy zgłosili się na ochotnika, ale ze Straubingu tylko ja jeden, chociaż od niedawna byłem zaręczony z Resi, moją Teresą.

Czekając na zaokrętowanie mieliśmy transatlantycki budynek Północnoniemieckiego Lloyda za plecami i słońce w twarz. Przed nami stał cesarz na

wysokim podium i mówił bardzo dziarsko ponad naszymi głowami. Od słońca chroniły nas kapelusze z szerokim rondem zwane zydwestkami. Wyglądało się szykownie. Cesarz natomiast miał na głowie specjalny hełm: orzeł błyszczący na niebieskim tle. Mówił o wielkich zadaniach, o okrutnym wrogu. Jego słowa porywały. Powiedział: – Jak już będziecie na miejscu, to wiedźcie: nie ma pardonu, nie bierze się jeńców... – Potem opowiadał o królu Attyli i jego hordach Hunów. Wychwalał ich, chociaż grasując poczynali sobie bardzo okrutnie. W związku z tym socjałowie drukowali później zuchwałę Hunowe listy i okropnie bluźnili przeciwko mowie cesarza o Hunach. Na koniec dał nam rozkaz na Chiny: – Raz na zawsze otwórzcie drogę kulturze! – My trzykrotnie krzyknęliśmy hurra.

Dla mnie, człowieka pochodzącego z Dolnej Bawarii, długa podróż morską miała opłakany przebieg. Kiedy w końcu dotarliśmy do Tiencinu, wszyscy już tam byli: Brytyjczycy, Amerykanie, Ruscy, nawet prawdziwi Japończycy i oddziały z małych krajów. Brytyjczycy to właściwie byli Hindusi. My początkowo stanowiliśmy liczebnie niewielką siłę, na szczęście jednak rozporządzaliśmy nowymi szybkostrzelnymi działami Kruppa kalibru 5 cm. Amerykanie zaś wypróbowywali swoje karabiny maszynowe Maxima, prawdziwe diabelstwo. Toteż Pekin szybko został wzięty szturmem. Bo gdy wkroczyła nasza kompania, wszystko zdawało się skończone, co było godne pożałowania. Jednakże garstka bokserów nie dawała spokoju. Tak ich nazywano, bo tworzyli tajne stowarzyszenie o nazwie „Tatauhuei”, czyli po naszymu „Walczący na pięści”. Tedy najpierw gadał Anglik, a potem każdy jeden z bokserkiego powstania. Bokserzy nienawidzili cudzoziemców, bo ci sprzedawali Chińczykom rozmaite rzeczy, Brytyjczycy szczególnie chętnie opium. No i było tak, jak rozkazał cesarz: nie brało się jeńców.

Dla porządku spędziło się bokserów na placu przed bramą Chienmen, tuż przy murze, który oddziela Miasto Wewnętrzne od zwykłej części Pekinu. Byli związani warkoczami, co wyglądało śmiesznie. Potem rozstrzelowało się ich grupami albo ścinało pojedynczo. Ale o okropnościach nie pisałem narzeczonej ani słówka, tylko o stuletnich jajkach i knedlach na parze po chińsku. Brytyjczycy i my, Niemcy, najchętniej załatwialiśmy sprawę ogniem karabinów, podczas gdy Japończycy ścinając głowy trzymali się swojej starodawnej tradycji. Ale bokserzy woleli być rozstrzeliwani, bo się bali, że zaraz będą musieli tłuc się po piekle z głową pod pachą. Poza tym nie bali się niczego. Widziałem takiego, co nim został rozstrzelany, zjadał łapczywie ciasto ryżowe maczane w syropie.

Na placu Chienmen wiał wiatr nadciągający z pustyni i stale wzbijał żółte kłęby pyłu. Wszystko było żółte, my też. Napisałem o tym narzeczonej i wsypałem do koperty troszkę pustynnego piasku. Ponieważ jednak japońscy kaci obcinali bokserom, bardzo młodym chłopakom jak my, warkocze, żeby zadać czysty cios, na placu często leżały w pyłe kupki poobcinanych chińskich warkoczy. Wziąłem sobie

jeden taki i na pamiątkę wysłałem do domu. Po powrocie do kraju nosiłem go w karnawale ku powszechnej uciechu, póki moja narzeczona nie spaliła gościńca z Chin. – Takie coś duchy do domu sprowadza -powiedziała Resi na dwa dni przed naszym ślubem.

Ale to już inna historia.

1901

Kto szuka, ten znajdzie. Ja tam zawsze grzebałem w rupieciach. Przy Chamissoplatz, i to u handlarza, który czarno-białym szyldem sklepowym obiecywał starocie – pośród jego tandety cenne okazy były ukryte bardzo głęboko, moje zaciekawienie jednak budziły też różne osobliwości – pod koniec lat pięćdziesiątych odkryłem trzy związane sznurkiem widokówki, z lśniącymi matowo motywami meczetu, kościoła Świętego Grobu i Ściany Płaczu. Ostemplowane w styczniu czterdziestego piątego w Jerozolimie były wysłane do niejakiego doktora Benna z adresem w Berlinie, ale pocztę w ostatnich miesiącach wojny nie udało się – co poświadcza pieczętka – odnaleźć adresata w ruinach miasta. Szczęście, że skarbnica Kurcika Mühlenhaupta w dzielnicy Kreuzberg udzieliła im schronienia.

Tekst przetykany postaciami ludzików i ogonami komety, a ciągnący się przez wszystkie trzy pocztówki, dawał się odszyfrować jedynie z wielkim trudem i brzmiał tak: Jakże to czas staje na głowie! Dzisiaj, pierwszego z marcowych dni, kiedy to rozkwitłe dopiero co stulecie na sztywnych nogach paraduje z jedyką, a Ty, mój barbarzyńca i tygrys, łakniesz mięsa w dalekich dżunglach, mój ojciec Schüler wziął mnie swą sowizdrzalską ręką, aby ze mną i moim szklanym sercem udać się na dziewiczą przejażdżkę koleją wiszącą z Barmen do Elberfeld. Ponad czarną Wupper! Stalowy tysiąconogi smok wije się i wygina mając pod sobą rzekę, którą wierni Biblii farbiarze za niewielką opłatą zaczerniają popłuczynami po swoich atramentach. I wciąż statek-pociąg z potężnym łoskotem mknie w przestworzach, a tymczasem smok kroczy na ciężkich pierścieniowatych nogach. Ach, gdybyś Ty, mój Giselherze, z którego słodkich ust tyle błogości przejmowało mnie dreszczem, mógł ze mną, Twoją Sulamitką – a może powinnam być księżciem Jussufem?

–tak się unosić nad rzeką zmarłych Styksem, który jest inną Wupper – aż byśmy spadając zgaśli odmłodzeni zespoleni. Ale nie, ja przecież jestem ocalona na świętej ziemi i żyję cała przyrzeczona Mesjaszowi, podczas gdy Ty pozostajesz stracony, sprzeniewierzony mi, zdrajca o nieczulej twarzy, barbarzyńca, którym jesteś. Jakież ból! Widzisz czarnego łabędzia na czarnej Wupper? Słyszysz moją pieśń, żałośnie nastrojoną na błękitnym fortepianie? – Ale musimy już wysiąść, mówi Schüler do swojej Elzy. Ja na ziemi byłam przeważnie posłusznym dzieckiem...”

Wiadomo wprawdzie, że w dniu uroczystego oddania do użytku pierwszego, czteroipółkilometrowego odcinka wuppertalskiej kolei wiszącej Elsa Schüler nie była dzieckiem, miała natomiast dobrą trzydziestkę, była zamężna za Bertholdem Laskerem i od dwóch lat matką syna, ale wiek zawsze poddawał się jej pragnieniom, wobec czego trzy znaki życia z Jerozolimy, adresowane do doktora Benna, ofrankowane i wysłane na krótko przed jej śmiercią, i tak wiedziały wszystko lepiej.

Nie targowałem się długo, zapłaciłem za ponownie związane sznurkiem widokówki amatorską cenę, a Kurcik Mühlenhaupt, którego rupiecie zawsze były czymś szczególnym, mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Ona – Else Lasker-Schüler (1869-1945), poetka, nowelistka i powieściopisarka, barwna postać berlińskiego świata literackiego. Urodzona w zamożnej rodzinie żydowskiej w Elberfeld, zmarła na emigracji w Jerozolimie. W Polsce jej wiersze ukazały się w zbiorach: „Gwiazdy Tartaru”, „Ballady hebrajskie i inne wiersze” oraz „Poezje”.

On – Gottfried Benn (1886-1956), poeta, eseista i lekarz. Przez krótki czas zafascynowany ideami narodowego socjalizmu, później dystansował się od polityki reżimu hitlerowskiego, po wojnie obłożony zakazem druku. Uważany za jedną z najważniejszych postaci dwudziestowiecznej poezji. Utwory Benna ukazały się w polskim przekładzie w tomie „Poezje wybrane”.

Kolej wisząca między Elberfeld a Barmen (z połączenia tych dwóch miast powstał dzisiejszy Wuppertal) uchodziła w roku 1901 za jeden z cudów techniki. (Przyp. tłum.)

1902

To było w Lubece małe wydarzenie, kiedy gimnazjalista we mnie specjalnie po to, żeby promenować do Bramy Młyńskiej albo wzdłuż brzegów Trave, kupił sobie pierwszy słomkowy kapelusz. Nie miękki filc, nie melonik, tylko płaski, chełpiący się żółcią kaczeńców słomkowy kapelusz, od niedawna w modzie, zwany albo wytwornie „kanotierem”, albo potocznie „krajzegą”. Również panie nosiły przystrojone wstążkami słomkowe kapelusze, wszelako długo jeszcze ścisnęły się usztywnionym fiszbinami gorsetem; tylko nieliczne, pobudzając nas, uczniów najstarszych klas, do kpin, miały odwagę pokazywać się choćby przed Katharineum w przepuszczających powietrze zdrowotnych sukniach.

Wówczas dużo było nowości. Na przykład poczta wprowadziła do obiegu jednolite dla całej Rzeszy znaczki pocztowe przedstawiające z profilu Germanię z metalowym biustem. A ponieważ wszędzie zapowiadano postępek, wielu z tych, co nosili słomkowe

kapelusze, okazywało zainteresowanie nadchodzącymi czasami. Mój przeżył niejedno. Zsunąłem go na kark podziwiając pierwszego zeppelina. W Cafe Niederegger położyłem go przy świeżo wydrukowanych i gwałtownie drażniących mieszczkański zmysł „Buddenbrookach”. Potem jako student paradowałem w nim po Zwierzyńcu Hagenbecka, niedawno otwartym, i z tak jednostajnie nakrytą głową oglądałem mały i wielbłądy na wybiegu, jak wielbłądy i mały wyniośle i pożądliwie oglądały mnie w słomkowym kapeluszu.

Zamieniony na sali szermierczej, zapomniany w Pawilonie nad Alster. Kilka kapeluszy niejednokrotnie cierpiało od egzaminacyjnego potu. Raz po raz przychodziła kolej na nowy słomkowy kapelusz, którym z werwą albo jakby od niechcienia kłaniałem się paniom. Wkrótce przekrzywałem go na bok, jak to robił Buster

Keaton w niemym filmie, tylko że nic nie napawało mnie śmiertelnym smutkiem, przeciwnie, lada okazja skłaniała do śmiechu, toteż w Getyndze, gdzie po egzaminie dyplomowym opuściłem uniwersytet jako okularnik, byłem raczej podobny do Harolda Lloyda, który w latach późniejszych u szczytu wieży miotając się w słomkowym kapeluszu wisiał filmowo śmieszny na wskazówce zegara.

Powróciwszy do Hamburga byłem jednym z wielu mężczyzn w słomkowych kapeluszach, którzy tłoczyli się na uroczystym otwarciu tunelu pod Łabą. Z Kantoru Handlowego do Dzielnicy Spichrzów, z sądu do kancelarii adwokackiej podążaliśmy w naszych krajzegach i wymachiwaliśmy nimi, gdy największy statek świata, północnoatlantycki szybki parowiec „Imperator”, wypływał z portu w dziewiczy rejs.

Dosyć często nadarzała się okazja do wymachiwania kapeluszem. A potem, gdy pod rękę z pastorską córką, która wyszła później za weterynarza, przechadzałem się – już nie pamiętam, na wiosnę czy jesienią – brzegiem Łaby pod Blankenese, powiew wiatru porwał leciutką ozdobę mojej głowy. Kapelusz toczył się, szybował. Na próżno biegłem za nim. Widziałem, jak dryfuje w dół rzeki, byłem niepokieszony, mimo że Elisabeth, którą przez krótki czas kochałem, bardzo się mną zajmowała.

Dopiero po awansie na referendarza, a potem na asesora mogłem sobie pozwolić na słomkowe kapelusze lepszej jakości, takie z nazwą firmy kapeluszniczej wytłoczoną na taśmie chroniącej od potu. Utrzymywały się w modzie, aż wiele tysięcy mężczyzn w słomkowych kapeluszach w małych i dużych miastach – ja w Schwerinie pracując w sądzie okręgowym – gromadziło się wokół żandarma, który na ulicy, czytając z kartki, w imieniu Jego Cesarskiej Mości ogłaszał nam w dzień późnego lata wybuch wojny. Na to wielu rzucało swoje krajzegi w powietrze, czuło się wyzwolonymi od nudnego cywilnego życia i dobrowolnie – niejeden ostatecznie – zamieniło błyszczące żółtością kaczeńców słomkowe kapelusze na szarozielone

helmy zwane pikielhaubami.

1903

W Zielone Świątki tuż po wpół do piątej zaczął się finał. My, reprezentanci Lipska, pojechaliśmy nocnym pociągiem: nasza jedenastka, trzech rezerwowych graczy, trener drużyny, dwaj panowie z zarządu. Jaki tam sypialny! Jasne, że wszyscy, także ja, wzięliśmy trzecią klasę, z wielkim trudem przecież uzbieraliśmy forszę na podróż. Nasi chłopcy bez szemrania wyciągnęli się jak dłudzy na twardych ławkach i prawie do Uelzen dali mi prawdziwy koncert chrapań.

Tak to dotarliśmy do Altony czując drogę w kościach, ale mimo to rześcy. Jak to bywało gdzie indziej, tutaj też czekał na nas zwyczajny plac ćwiczeń, przecięty nawet wysypaną żwirem dróżką. Nie pomogły protesty. Pan Behn, arbiter z Altonaer FC 93, ogroził już liną piaszczyste, ale poza tym nienagannie równe boisko i własnoręcznie wyznaczył trocinami pole karne i linię środkową.

To, że nasi przeciwnicy, chłopaki z Pragi, mogli w ogóle wystąpić, mieli do zawdzięczenia tylko niedbalstwu panów z zarządu Karlsruher FV, którzy dali się nabrać na szpetny figiel, uwierzyli oszukańczemu telegramowi i z tego powodu nie pojechali ze swoją drużyną na mecz eliminacyjny do Saksonii. Niemiecki Związek Piłki Nożnej nie namyślając się długo desygnował do gry w finale drużynę DFC Praga. Był to zresztą pierwszy finał, jaki rozegrano, a odbył się przy przepięknej pogodzie, tak że pan Behn mógł zebrać do blaszanej miski ładną sumkę za wstęp od blisko dwóch tysięcy widzów. Wszelako pięćset marek nie wystarczyło na pokrycie wszystkich kosztów.

Zaraz na początku wpadka: przed pierwszym gwizdkiem nie było piłki. Prażanie z miejsca zaprotestowali. Ale widzowie bardziej śmiali się niż urągali. Odpowiednio wielka była radosna wrzawa, gdy w końcu futbolówka znalazła się na linii środkowej i nasi przeciwnicy z wiatrem i słońcem w plecy rozpoczęli grę. Rychło też byli pod naszą bramką, zacentrowali z lewej flanki i Raydt, nasz długi jak tyka bramkarz, z najwyższym trudem zdołał uchronić Lipsk od wczesnej utraty gola. Teraz my przeszliśmy do kontrataku, ale podania z prawej flanki były za mocne. Aż prażanom w tłoku przed naszym polem karnym udało się zdobyć bramkę, a my dopiero po serii gwałtownych ataków na połowę rywali, którzy w osobie Picka mieli niezawodnego bramkarza, wyrównaliśmy jeszcze przed przerwą.

Po zmianie stron byliśmy nie do zatrzymania. W niespełna pięć minut Stany i Riso trzykrotnie trafili do siatki, a jeszcze przed tym gradem bramek objęliśmy prowadzenie po strzale Friedricha, Stany zaś zdobył swojego pierwszego gola. Co prawda prażanie po naszym niecelnym podaniu zdołali jeszcze raz celnie strzelić,

potem wszakże – jak się rzekło – myśmy docisnęli i radość była wielka. Nawet grający w pomocy pracowity Robitsek, który jednak brutalnie sfaulował naszego Stany'ego, nie potrafił powstrzymać naszych. Pan Behr udzielił Robiemu upomnienia za niesportowe zagranie, a na krótko przed końcowym gwizdkiem Riso zdobył siódmą bramkę.

Prażanie – przedtem tak wychwalani – bardzo rozczarowali, zwłaszcza w ataku. Za dużo podań do tyłu, za dużo kunktatorstwa na polu karnym. Później mówiło się, że Stany i Riso byli bohaterami dnia. Ale to nieprawda. Cała jedenastka walczyła jak jeden mąż, choć Bruno Stanischewski, u nas nazywany po prostu Stany, już wtedy dał próbkę tego, co piłkarze polskiego pochodzenia zrobili z biegiem lat dla niemieckiego futbolu. Ponieważ ja długo jeszcze pracowałem w naszym zarządzie, ostatnie lata jako skarbnik, i często bywałem na meczach wyjazdowych, widziałem też jeszcze Fritza Szepana i jego szwagra, Ernsta Kuzorrę, a więc „wirówkę” Schalke, i oglądałem wielkie triumfy tej drużyny, mogę śmiało powiedzieć: od meczu o mistrzostwo w Altonie z niemieckim futbolem było coraz lepiej, między innymi dzięki zapałowi do gry i bramkostrzelności zniemczonych Polaków.

Wracając do Altony: był to dobry, choć nie wielki mecz. Ale już wtedy, kiedy VfB Lipsk jednoznacznie i bezspornie uchodził za mistrza Niemiec, niejednego dziennikarza kusilo, żeby podgrzać swoją zupkę w kuchni legend. W każdym razie pogłoska, jakoby prażanie przehulali poprzednią noc z babami w Sankt Pauli na Reeperbahn i dlatego, zwłaszcza w drugiej połowie, tak słabo poczynali sobie w ataku, okazała się wymówką. Arbiter, pan Behn, napisał mi własnoręcznie: „Zwyciężyli lepsi!”

1904

–U nas w Herne to się już na krótko przed Bożym Narodzeniem zaczęło...

–To kopalnie są Hugo Stinnesa...

–Ale kasowanie wózków zdarza się też gdzie indziej, w kopalniach harpeńskich, jak wózki nie są naładowane do pełna albo zawierają trochę nieczystego węgla...

–Za to wymierza się kary pieniężne...

–Pewnie, panie radco. Ale jednym z powodów strajku spokojnych zazwyczaj górników może być rozpowszechniona w całym Zagłębiu i bagatelizowana przez zarządy kopalń robaczyca, na którą zapadła jedna piąta wszystkich gwarków...

–Jak by mnie się ktoś pytał, to te robaki nawet do kopalnianych koni dopadły...

-E tam, to Polaki tę zarazę przywlokły...

-Ale strajkować to strajkują wszyscy, także polscy górnicy, których przecież, jak pan wie, panie radco, zwykle łatwo jest uspokoić...

-Gorzałką!

-Gadanie! Pić to tutaj wszyscy piją...

-W każdym razie komitet strajkowy powołuje się na berliński protokół ugody z osiemdziesiątego dziewiątego, a zatem na ośmiogodzinną, normalną szychbę...

-Nigdzie tego nie ma! Wszędzie przedłuża się zjazdy na dół...

-U nas w Herne tośmy są pod ziemią dziesięć godzin...

-Ale jak by mnie się ktoś pytał, to tego kasowania wózków w ostatnim czasie coraz więcej jest...

-Strajk objął już przeszło sześćdziesiąt szybów...

-Poza tym znów są czarne listy...

-A w Wesel pięćdziesiąty siódmy pułk piechoty stoi w pogotowiu z bronią u nogi...

-To nonsens, ludzie! Do tej pory w całym Zagłębiu do akcji weszli tylko żandarmi...

-Ale u nas w Herne to urzędnikom kopalń, takim jak pan, dali opaski i pałki i policję kopalnianą z nich zrobili...

-Nazywają ich Pinkertonami, bo to Amerykanin Pinkerton pierwszy wpadł na ten wredny podstęp...

-A że teraz wszędzie jest strajk generalny, to Hugo Stinnes na unieruchomieniu swoich kopalń...

-Za to w Rosji rewolucja narasta...

-A w Berlinie towarzysz Liebknecht...

-Ale tam wojsko z miejsca wkroczyło i zaczęło strzelać...

-Jak w Południowo-Zachodniej, tam nasi też nie patyczkują się z Hotentotami...

-W każdym razie w całym Zagłębiu strajk objął teraz przeszło dwieście kopalń...

–Obliczono, że to osiemdziesiąt pięć procent...

–Przebiega jednak jak do tej pory dość spokojnie, w sposób uporządkowany, panie radco, ponieważ nawet kierownictwo związku...

–Nie tak jak w Rosji, gdzie rewolucja coraz bardziej na sile przybiera...

–I dlatego, towarzysze, w Herne po raz pierwszy wystąpiło się przeciwko łamistrajkom...

–Ponieważ jednak Stinnes nadal odrzuca wszelkie porozumienie, należy się obawiać...

–W Rosji panuje teraz stan wojenny...

–Ale nasze chłopaki tych Hererów i podobnych Hotentotów zagnali po prostu na pustynię...

–W każdym razie Liebknecht nazwał robotników w Petersburgu i nas w Zagłębiu bohaterami proletariatu...

–Ale z Japończykami Ruscy tak łatwo sobie nie poradzą...

–A u nas w Herne to teraz strzelali...

–Ale tylko w powietrze...

–W każdym razie wszyscy żeśmy rzucili się do ucieczki...

–Sprzed bramy kopalni na przełaj przez plac...

–Nie, panie radco, to nie wojsko, policja tylko...

–Ale mimo to żeśmy uciekali...

–Nic tu po nas, żeś powiedział do Antona...

1905

Już mój ojciec z poruczenia towarzystwa żeglugowego z Bremy pracował w Tangerze, Casablance i Marrakeszu, i to na długo przed pierwszym kryzysem marokańskim. Człowiek wiecznie zatroskany, któremu polityka, w szczególności rządzący daleko kanclerz Bülow, mąciła bilanse. Dla mnie jako jego syna, który wprawdzie utrzymywał nasz dom handlowy mniej więcej na powierzchni, mimo silnej

francuskiej i hiszpańskiej konkurencji, ale prowadząc codzienne interesy zajmował się szafranem, figami, daktylami i orzechami kokosowymi bez prawdziwej pasji, toteż chętnie zamieniał kantor na herbaciarnię, a i poza tym dla wszelkiej rozrywki odwiedzał souki, ciągle gadanie o kryzysie przy stole i w klubie było raczej śmieszne. Zatem również spontaniczną wizytę cesarza u sułtana obserwowałem z dystansu i przez ironiczny monokl, zwłaszcza że Abd Al Aziz nawet na niezapowiedziane odwiedziny władcy innego państwa potrafił zareagować godnym podziwu spektaklem, osłaniając dostojnego gościa z pomocą malowniczej gwardii przybocznej i angielskich agentów, a po kryjomu zapewniając sobie jednak łaskawość i opiekę Francji.

Mimo wielokrotnie wyśmiewanych wpadek przy lądowaniu – barkas z monarchą omal się nie wyrócił – występ cesarza był imponujący. Wjechał do Tangerangu na wypożyczonym, najwidoczniej nerwowym siwku, mocno trzymając się w siodle. Były nawet radosne okrzyki. Wszelako spontanicznie podziwiano w szczególności jego hełm, który wysyłał harmonizujące ze słońcem sygnały świetlne.

Później po herbaciarniach, ale i w klubie kursowały karykatury, na których ozdobiony orłem hełm, wyzbyty jakiegokolwiek fizjonomii, za to z cesarskim wąsem, prowadził ożywione rozmowy. W dodatku rysownik – nie, to nie ja byłem tym złoczyńcą, tylko artysta, którego znałem z Bremy i który utrzymywał kontakty z bracią artystyczną z Worpswede – potrafił tak zręcznie ukazać hełm i podkreślony wąs na marokańskim tle, że kopuły meczetów i ich minarety jak najżywiej współgrały z krągłością bogato zdobionej pikielhauby i spiczastym grotem.

Prócz zaniepokojonych depesz demonstracyjny występ nie przyniósł nic. Podczas gdy Jego Cesarska Mość wygłaszał dziarskie przemówienia, Francja i Anglia uzgodniły stanowisko wobec Egiptu i Maroka. Dla mnie cała sprawa tak czy owak była śmieszna. I podobnie śmieszne wydało mi się pojawienie w sześć lat później naszej kanonierki „Panther” pod Agadirem. Pewnie, coś takiego wywołało pomrukujący teatralny grzmot. Ale trwałe wrażenie pozostawił jedynie lśniący w blasku słońca hełm cesarza. Tutejsi kotlarze podrobili go starannie i rzucili na wszystkie targowiska. Długo jeszcze – w każdym razie dłużej niż utrzymywał się nasz Eksport-Import – w soukach Tangerangu i Marrakeszu można było kupić pruskie pikielhauby w miniaturze i ponadnaturalnej wielkości jako souvenir, ale i użyteczną sopluczkę; ja do dzisiejszego dnia używam takiego hełmu, który tkwi grotem w skrzynce z piaskiem.

Mojemu ojcu wszakże, którego nie tylko w sprawach handlowych cechowała podszyta z reguły obawą przed najgorszym dalekowzroczność i który swego syna nie bez podstaw nazywał czasem lekkoduchem, moje najzabawniejsze pomysły nie rozśmieszały, lecz coraz bardziej skłaniały do wypowiedzania nie tylko przy stole

zatroskanej konstatacji: – Jesteśmy okrażani, z pomocą Rosjan Brytyjczycy i Francuzi nas okrażają. – A niekiedy budził nasz niepokój dorzucanym zdaniem: – Wprawdzie cesarz umie potrząsać szabelką, ale prawdziwą politykę robią inni.

1906

Nazywajcie mnie kapitanem Syriuszem. Moim twórcą jest sir Arthur Conan Doyle, sławny autor popularnych na całym świecie opowieści o Sherlocku Holmesie, w których kryminalistykę uprawia się z naukową ścisłością. I jakby mimochodem próbował on ostrzec wyspiarską Anglię przed grożącym niebezpieczeństwem ogłaszając – w osiem lat po spuszczeniu na wodę naszej pierwszej zdatnej do morskich działań łodzi podwodnej – opowiadanie pod tytułem „Zagrożenie”, które w wojennym roku piętnastym ukazało się w niemieckim przekładzie jako „Wojna łodzi podwodnych, czyli jak kapitan Syriusz pokonał Anglię”, i do końca wojny doczekało się osiemnastu wydań, z czasem jednak, jak się wydaje, zostało zapomniane.

Według tej proroczej książeczki udało mi się jako kapitanowi Syriuszowi, królowi Norlandii, pod którą to nazwą występowała nasza Rzesza, przekonać o śmiałej, ale mimo to dającej się udowodnić możliwości odcięcia Anglii w zaledwie osiem łodzi podwodnych – więcej nie mieliśmy – od wszelkiego dowozu żywności i bezapelacyjnego zmuszenia głodem do poddania. Nasze łodzie nazywały się: „Alpha”, „Beta”, „Gamma”, „Theta”, „Delta”, „Epsilon”, „Jota” i „Kappa”. Ostatnia z wymienionych łodzi w trakcie zwycięskiej w sumie operacji niestety zaginęła w Kanale Angielskim. Ja byłem kapitanem „Joty” i dowodziłem całą flotyllą. Pierwsze sukcesy mogliśmy odnotować u ujścia Tamizy, nie opodal wyspy Sheerness: w krótkich odstępach zatopiłem trafieniami torped w śródkręcie „Adelę”, wyładowaną baraniną z Nowej Zelandii, zaraz po niej „Moldavie” towarzystwa Oriental, a następnie „Cosco”, oba statki z ładunkiem zboża. Po dalszych sukcesach u wybrzeży Kanału i pilnym zatapianiu statków aż po Morze Irlandzkie, w czym uczestniczyła cała nasza flotylla, atakując grupowo lub w pojedynkę, najpierw w Londynie, potem na całej wyspie ceny zaczęły rosnać: pięciopensowy bochenek chleba kosztował niebawem półtora szylinga. Systematycznie blokując wszystkie ważne porty przywozowe windowaliśmy dalej paskarskie ceny i wywołaliśmy jak kraj długi i szeroki klęskę głodu. Głodująca ludność protestowała gwałtownie przeciwko rządowi. Gięda, świętość Imperium, została wzięta szturmem. Kto należał do warstwy wyższej lub mógł sobie na to pozwolić z innych względów, ten uciekał do Irlandii, gdzie bądź co bądź było pod dostatkiem ziemniaków. Na koniec dumna Anglia musiała upokorzona zawrzeć pokój z Norlandią.

W drugiej części książki wypowiadali się specjaliści od marynarki i inni rzeczoznawcy, potwierdzając bez wyjątku ogłoszone przez autora Conan Doyle’a

ostrzeżenie przed groźbą łodzi podwodnych. Ktoś – wiceadmirał w stanie spoczynku – radził, żeby jak kiedyś Józef w Egipcie tak obecnie w Anglii budować spichrze na zboże i chronić cłami produkty rodzimego rolnictwa. Nagląco domagano się odejścia od dogmatycznego wyspiarskiego myślenia i wykopania wreszcie tunelu do Francji. Inny wiceadmirał proponował, żeby statki handlowe mogły pływać już tylko w konwojach i żeby przebroić szybkie i zwrotne okręty wojenne na walkę z łodziami podwodnymi. Same mądre wskazówki, których użyteczność niestety znalazła potwierdzenie w rzeczywistym przebiegu wojny. Jeśli chodzi o działanie bomb głębinowych, to ja dużo miałbym do powiedzenia.

Szkoda, że mój twórca, sir Arthur, zapomniał napisać, że jako młody podporucznik byłem przy tym w Kilonii, gdy 4 sierpnia 1906 w stoczni Germania dźwig stoczniowy posadził na wodzie naszą pierwszą zdatną do morskich działań łódź, bez udziału osób postronnych, bo ściśle tajnie. Do tego momentu byłem drugim oficerem na torpedowcu, a teraz zgłosiłem się na ochotnika do wypróbowania naszej słabo jeszcze rozwiniętej podwodnej broni. Będąc członkiem załogi, doświadczyłem po raz pierwszy, jak to jest, gdy „U 1” została spuszczone na głębokość trzydziestu metrów, a wkrótce później o własnych siłach dotarła na pełne morze. Muszę wszelako przyznać, że firma Krupp już przedtem zleciła budowę według planów hiszpańskiego inżyniera trzynastometrowej łodzi, która pod wodą osiągała pięć i pół węzła. „Forelle” wzbudziła nawet zainteresowanie cesarza. Książę Heinrich osobiście wziął udział w podwodnym rejsie. Niestety Urząd Marynarki odwlekał dalsze prace nad ulepszeniem „Forelle”. A ponadto były kłopoty z silnikiem naftowym. Kiedy jednak z rocznym opóźnieniem „U 1” została w Eckernförde oddana do służby, nie było już przestojów, mimo że „Forelle” i trzydziestodzieciometrową łódź, „Kambala”, uzbrojoną już w trzy torpedy, sprzedano później Rosji. Z przykrością przyjąłem fakt, że odkomenderowano mnie do uroczystego przekazania. Przybyli specjalnie z Petersburga popi pobłogosławili łodzie wodą święconą od dziobu po rufę. Po długotrwałym transportowaniu drogą lądową spuszczone je we Władywostoku na wodę, za późno, żeby można było je użyć przeciwko Japończykom.

Ale moje marzenie wszelako się spełniło. Mimo wykazanej w niezliczonych opowieściach detektywistycznej intuicji Conan Doyle nie mógł przewidzieć, jak wielu młodych Niemców wymarzyło sobie – podobnie jak ja – szybkie zanurzenie, przesuwające się po horyzoncie spojrzenie przez peryskop, kołyszące się ku swemu przeznaczeniu tankowce, komendę: „Torpeda w celu!”, wiele przyjmowanych z entuzjazmem trafień, serdecznie koleżeńską zażyłość i ozdobioną proporczykami drogę powrotną. A ja, który od początku byłem przy tym i z biegiem czasu wszedłem do literatury, nie mogłem przewidzieć, że dziesiątki tysięcy naszych chłopaków nie wynurzą się ze swego podwodnego marzenia.

Niestety, dzięki ostrzeżeniom sir Arthura, nie powiodła się nasza kolejna próba rzucenia Anglii na kolana. Tylu martwych. Ale kapitan Syriusz był skazany na przeżycie każdego zanurzenia.

1907

Pod koniec listopada spaliła się do cna nasza wytwórnia przy Celler Chaussee. A szło nam pierwszorzędnie. Żebym tak zdrów był: wypluwaliśmy trzydzieści sześć tysięcy płyt dziennie. Wyrywali nam te krążki z rąk. A nasze obroty na rynku płytowym sięgnęły dwunastu milionów marek rocznie. Interes szedł nadzwyczaj dobrze, ponieważ w Hanowerze od dwóch lat tłoczyliśmy płyty zapisywane obustronnie. Takie były poza tym tylko w Ameryce. Dużo wojskowych fanfar. Mało muzyki zaspokajającej wyższe wymagania. Ale potem Rappaportowi, czyli mojej skromnej osobie, udało się namówić na nagranie Nellie Melbę, „wielką Melbę”. Z początku certowała się jak później Szalapin, który potwornie się bał, że przez to diabelstwo, jak nazywał naszą najnowszą technikę, zatraci swój miękki bas. Joseph Berliner, który ze swym bratem Emilem jeszcze przed końcem minionego wieku założył w Hanowerze „Die Deutsche Grammophon”, potem siedzibę firmy przeniósł do Berlina i przy kapitale zakładowym wynoszącym tylko dwadzieścia tysięcy marek podjął spore ryzyko, powiedział mi któregoś pięknego ranka: – Pakuj walizki, Rappaport, musisz jak najszybciej jechać do Moskwy i, nie pytaj mnie jak, przekabacić Szalapina.

Żebym tak zdrów był! Wsiadłem w najbliższy pociąg, nie pakując się długo, wziąłem jednak ze sobą nasze pierwsze płyty szelakowe, tez nagraniem Melby niejako w charakterze gościa. Co to była za podróż! Znacie państwo restaurację Jar? Wyśmienita! Zrobiła się z tego długa noc w chambre separee. Z początku piliśmy tylko wódkę ze szklanek, aż w końcu Fiodor przeżegnał się i zaczął śpiewać. Nie, nie ten swój popisowy numer z „Borysa Codunowa”, tylko same pobożne kawałki, którymi grzmią przepastnie głębokie basy mnichów. Potem przeszliśmy na szampana. Ale dopiero nad ranem Szalapin płacząc i żegnając się ciągle znakiem krzyża

podpisał. Ponieważ ja od dziecka kuleję, on, kiedy nalegałem na złożenie podpisu, widział chyba we mnie diabła. A do podpisania doszło tylko dlatego, że pozyskaliśmy już wcześniej wielkiego tenora Sobinowa i mogłem przedłożyć jego umowę niejako na wzór. W każdym razie Szalapin stał się naszą pierwszą prawdziwą gwiazdą płytową.

Odtąd przychodzili wszyscy: Leo Slezak, Alessandro Moreschi, którego nagraliśmy na płytę jako ostatniego kastrata. A potem w hotelu di Milano – nie do wiary, wiem, bo piętro wyżej od pokoju, w którym umarł Verdi – udało mi się doprowadzić do pierwszych nagrań – dziesięć arii! – Enrica Caruso. Niebawem śpiewała dla nas także

Adelina Patti i Bóg wie kto jeszcze. Dostarczaliśmy płyty do wszystkich krajów. Do naszych stałych klientów należały domy królewskie Anglii i Hiszpanii. Co się tyczy banku Rothschilda w Paryżu, to Rappaport zdołał nawet paroma fortelami odstawić jego amerykańskiego dostawcę. Mimo to dla mnie jako sprzedawcy płyt jasne było, że nie wolno nam stawiać na ekskluzywność, bo liczy się tylko masa, i że musimy się zdecentralizować, aby z dalszymi wytwórniami w Barcelonie, Wiedniu i – żebym tak zdrów był! – Kalkucie utrzymać się na światowym rynku. Dlatego pożar w Hanowerze nie był zupełną katastrofą. Ale zmartwił nas, bo przy Celler Chaussee bardzo skromnie zaczynaliśmy z braćmi Ber-linerami. Wprawdzie oni obaj byli geniuszami, a ja tylko sprzedawcą płyt, ale Rappaport zawsze wiedział: dzięki płycie i gramofonowi świat wymyśla się na nowo. Mimo to Szalapin długo jeszcze żegnał się iks razy przed każdym nagraniem.

1908

W naszej rodzinie taki jest zwyczaj: ojciec bierze syna ze sobą. Już mój dziadek, który pracował na kolei i należał do związku, brał ze sobą swojego pierworodnego, kiedy na Hasenheide znów przemawiał Wilhelm Liebknecht. A mój ojciec, też kolejarz i towarzysz, z tych wielkich wieców, które póki rządził Bismarck, były zakazane, wprost wbijał mi do głowy poniekąd prorocze zdanie: „Aneksja Alzacji i Lotaryngii nie przyniesie nam pokoju, tylko wojnę!”

Teraz to on brał mnie ze sobą, dziewięcio- czy dziesięcioletniego szczeniaka, kiedy syn Wilhelma, towarzysz Karl Liebknecht, przemawiał albo pod gołym niebem, albo, jeśli było to zakazane, w zadymionych gospodach. Jeździł też ze mną do Spandau, bo Liebknecht tam kandydował w wyborach. A w roku dziewięćset piątym, ponieważ ojcu jako maszyniście przysługiwały darmowe bilety, dane mi nawet było pojechać koleją do Lipska, bo w Skalnej Piwnicy w Plagwitz Karl Liebknecht mówił o wielkim strajku w Zagłębiu Ruhry, o którym głośno było wtedy we wszystkich gazetach. Ale on gadał nie tylko o górnikach i agitował nie tylko przeciwko pruskim posiadaczom ziemskim i magnatom przemysłowym, lecz głównie i wręcz proroczo rozwodził się nad strajkiem generalnym jako przyszłym sposobem walki proletariackich mas. Mówił swobodnie, sypiąc słowami jak z rękawa. I już był przy rewolucji w Rosji i przy splamionym krwią caracie.

W trakcie przemówienia raz po raz zrywały się oklaski. A na koniec jednogłośnie przyjęto rezolucję, w której zebrani – ojciec mówił, że na pewno było ich ponad dwa tysiące – solidaryzowali się z bohaterskimi bojownikami w Zagłębiu Ruhry i w Rosji.

Chyba nawet trzy tysiące tłoczyły się w Skalnej Piwnicy. Ja przecież widziałem więcej niż ojciec, jako że posadził mnie sobie na

ramionach, jak to czynił już jego ojciec, kiedy Wilhelm Liebknecht albo towarzysz Bebel mówili o sytuacji klasy robotniczej. Taki był u nas zwyczaj. W każdym razie będąc szczeniakiem zawsze nie tylko widziałem, ale i słyszałem towarzysza Liebknechta z wysoka, poniekąd z górującej nad otoczeniem czatowni. Był wiecowym mówcą. Nigdy nie brakło mu słów. Szczególnie lubił agitować młodzież. Na świeżym powietrzu słyszałem, jak wołał ponad głowami wielu tysięcy: „Kto ma młodzież, ten ma armię!” Co przecież było też prorocze. W każdym razie siedząc na ramionach ojca wręcz się przestraszyłem, kiedy wrzasnęła na nas: „Militaryzm to brutalny oprawca i zbroczony krwią szaniec obrony kapitalizmu!”

Bo pamiętam jak dziś, że napędził mi wręcz okropnego stracha mówiąc o wrogu wewnętrznym, którego trzeba zwalczać. Prawdopodobnie z tego powodu tak gwałtownie zachciało mi się siusiu, że wierciłem się na ojcowskich ramionach i wierciłem. Ale ojciec nie zauważył, co się ze mną działo, ponieważ był rozentuzjasmowany. A ja w swojej czatowni nie mogłem dłużej się wstrzymać. I stało się to w roku dziewięćset siódmym, że przez spodnie z klapą obsiusiałem ojcowski kark. Wkrótce potem towarzysz Liebknecht został aresztowany i musiał, skazany przez Sąd Najwyższy Rzeszy za broszurę wzywającą do walki z militaryzmem, odsiedzieć cały rok, 1908, i dłużej, w kłodzkiej twierdzy.

Natomiast mój ojciec po tym, jak w najwyższej potrzebie zlałem mu się na plecy, zdjął mnie ze swoich ramion i podczas wiecu, podczas gdy towarzysz Liebknecht jeszcze agitował młodzież, spuścił mi tęgie lanie, tak że długo jeszcze czułem jego rękę. I dlatego, tylko dlatego, później, kiedy wreszcie się zaczęło, poleciałem do komendy rejonowej, zgłosiłem się na ochotnika, zostałem nawet odznaczony za odwagę i dwukrotnie ranny pod Arras i pod Verdun awansowałem na podoficera, chociaż zawsze, nawet jako dowódca oddziału szturmowego we Flandrii, byłem pewien, że towarzysz Liebknecht, którego później, dużo później zastrzeliło kilku kamratów z Freikorpusu, podobnie jak towarzyszkę Różę, i jedno z ciał wrzuciło nawet do Kanału Landwehry, agitując młodzież miał po stokroć rację.

1909

Ponieważ drogę do szpitala Urbana przemierzałem codziennie na rowerze i w ogóle uchodziłem za entuzjastę kolarstwa, zostałem asystentem doktora Willnera na sześciodniówce, która odbywała się na zimowym welodromie koło Ogrodu Zoologicznego, zresztą po raz pierwszy nie tylko w Berlinie i Rzeszy, lecz zgoła w Europie. Tylko w Ameryce znano tę męczarnię już od kilku lat, bo tam wszystko, co niebywałe, tak czy owak przyciąga publiczność. Dlatego też nowojorskich zwycięzców z ostatniego sezonu, Floyda Mac Farlanda i Jimmyego Morana, uważano za faworytów. Szkoda, że niemieckiemu kolarzowi Rüttowi, który dwa lata

temu z holenderskim partnerem Stołem wygrał amerykański wyścig, nie dane było wystąpić w Berlinie. Uznany w Rzeszy za dezertera i zagrożony odpowiednią karą, nie mógł ryzykować przyjazdu do ojczyzny. Ale Stoi, ten przystojny nicpoń, wyjechał na tor i wkrótce stał się ulubieńcem publiczności. Ja naturalnie miałem nadzieję, że Robi, Stellbrink i nasz kolarski as, Willy Arend, będą reprezentować niemieckie barwy ze wszystkich sił.

Bez przerwy, to znaczy dwadzieścia cztery godziny na dobę, doktor Willner kierował punktem lekarskim na sześciodniówce. Również my, jak kolarze, zajęliśmy prycze do spania wielkości kurnika, sklecone pod podłużną ścianą hali, tuż obok małego warsztatu mechaników i w jakiejś mierze izolowanego ośrodka opieki medycznej. A mieliśmy co robić. Już pierwszego dnia wyścigu upadł Poulain i przewracając się pociągnął za sobą naszego Willy'ego Arenda. Za obu, którzy musieli opuścić kilka okrążeń, pojechali Georget i Rosenlöcher, ten ostatni był później zmuszony wycofać się z powodu wyczerpania.

Zgodnie z naszym planem medycznym, doktor Willner zarządził sprawdzenie wagi wszystkich uczestników już przed rozpoczęciem

wyścigu, co zostało przeprowadzone ponownie po upływie sześciodniowego okresu. Ponadto wszystkim zawodnikom, nie tylko narodowości niemieckiej, zaoferował inhalacje tlenowe. Propozycje przyjęli prawie wszyscy rywale. Każdego dnia w naszym ośrodku wychodziło sześć do siedmiu butli tlenu, co potwierdza ogromne trudy wyścigu.

Po zakończonej niemal w ostatniej chwili przebudowie stu pięćdziesięciometrowy tor welodromu prezentował się zupełnie inaczej. Świeżo ubita nawierzchnia była pomalowana na zielono. Na galerii, na miejscach stojących, tłoczyła się młodzież. W łóżach i w krzesłach parteru widziało się panów z zachodnich rubieży Berlina we frakach i z białymi szarfami w pasie. Panie zasłaniały widok ogromnymi kapelusami. Co prawda już drugiego dnia, kiedy nasz Willy Arend miała dwa okrążenia straty, w łoży dworskiej zasiadł książę Oskar ze świtą, ale gdy czwartego dnia przez dwadzieścia pięć okrążeń faworyci Mac Farland i Moran zaciekle walczyli ze Stołem i Berthetem o prowadzenie, a Francuz Jacquelin spoliczkował naszego kolarza Stellbrinka, po czym na galerii powstał tumult i publiczność o mało co nie zlinczowała Jacquelina, wyścig na krótki czas przerwano, a Francuza zdyskwalifikowano, pojawił się ze wspaniale wystrojonym orszakiem Jego Cesarska Wysokość następca tronu i pozostał w dobrym humorze do późna w noc. Wielka owacja na jego wejście. Do tego skoczne marsze wojskowe, ale też popularne melodie dla rozwrzeszczanej publiczności. Nawet w trakcie spokojnych godzin, kiedy kolarze bardzo wolno pokonywali kolejne okrążenia, rozbrzmiewała dziarska muzyka, żeby nikomu nie dać zasnąć. Stellbrink, twardy chłop, który pedałowal teraz z mandoliną w rękę,

oczywiście nie przebił się przez marszowe hałasy.

Również wczesnym rankiem, kiedy nie działo się absolutnie nic ekscytującego, myśmy nie próżnowali. Dzięki Towarzystwu Elektrycznemu „Sanitas” nasz ośrodek był wyposażony w najnowszą aparaturę rentgenowską, tak że gdy przyszedł do nas na inspekcję naczelny lekarz wojskowy, profesor doktor Schjerning, doktor Willner zdążył już uczestniczącym nadal w wyścigu bądź z czasem wyeliminowanym kolarzom zrobić sześćdziesiąt zdjęć rentgenowskich i mógł je teraz pokazywać profesorowi. Schjerning poradził mu, żeby to i owo z zebranych materiałów opublikować, co też nastąpiło na łamach miarodajnego czasopisma fachowego, jednakże na temat mojego udziału nie padło ani słowo.

Lecz i sam wyścig zasłużył na pewne zaciekawienie ze strony naszego dostojnego gościa. Profesor widział, jak piątego dnia prowadzący do tej pory zespół Stoi – Berthet dał się wyprzedzić amerykańskiemu faworytowi. Później, po tym, jak Brocco na finiszu zajechał drogę Berthetowi, ten ostatni utrzymywał, że jego partner Stoi został przekupiony przez team Mac Farland – Moran, ale przed komisją kontrolną wyścigu nie potrafił tego oskarżenia udowodnić. Toteż Stoi, mimo że podejrzenia nie zostały rozwiane, był nadal ulubieńcem publiczności.

Doktor Willner zalecał naszym zawodnikom na wzmocnienie biocytynę i odżywkę słodową, surowe jajka i rostbef, ryż, makaron i budyń. Robi, mrukliwy odludek, za radą swego prywatnego lekarza wcinał olbrzymie porcje kawioru. Prawie wszyscy kolarze palili, pili szampana, Jacquelin do momentu wykluczenia nawet portwajn. Uważaliśmy, że mamy podstawy do przypuszczeń, iż niektórzy zagraniczni kolarze korzystali ze środków pobudzających, mniej lub bardziej niebezpiecznych toksyn. Doktor Willner podejrzewał, że były to preparaty strychninowe i kofeinowe. Sam zaobserwowałem, jak Berthet, syn milionera z czarną czupryną, leżąc w koi łąpczywie żuł korzeń imbiru.

Mimo to duet Stoi – Berthet, wyprzedzony, pozostał w tyle, a Floyd Mac Farland i Jimmy Moran siódmego dnia, o godzinie dziesiątej wieczorem, odnieśli zwycięstwo. Mogli zagarnąć pięć tysięcy marek nagrody. Naturalnie nasz Willy Arend tracąc siedemnaście okrążeń zawiódł nawet swych najwierniejszych zwolenników. Natomiast welodrom, mimo że pod koniec ceny biletów podwójnie wzrosły, został wyprzedany do 21 marca. Z piętnastu par na starcie do mety dojechało tylko dziewięć. Ogluszający aplauz po końcowym dzwonku. Aczkolwiek Stoi, ten przystojny nicpoń, zebrał specjalne brawa, to Amerykanów, gdy odbywali rundę honorową, oklaskiwano sprawiedliwie. Oczywiście lożę dworską zajmowali następca tronu i księżęta Thurn und Taxis oraz inne szlachetnie urodzone osobistości. Zbikowany na punkcie kolarstwa mecenas ufundował nawet dla naszych zawodników, Arenda i Robla, za nadrobione okrążenia pokaźne nagrody pocieszenia.

Mnie Stoi podarował na pamiątkę jedną ze swoich wyrabianych w Holandii pompek. A doktor Willner uznał za godne uwagi, że w trakcie sześciodniówki mogliśmy u wszystkich zawodników stwierdzić znaczne wydalanie białka.

1910

To ja teraz powiem, czemu chłopcy tutejsze takie jedno przyzwisko mnie dały, z tej tylko racji, że na imię mam Berta i jestem przy kości. Mieszkać tośmy wtedy mieszkali na Kolonii. Zakłady ją postawiły, dwa kroki od roboty. Przez to cały dym na nas walił. Ale jak tylko zaczynałam urągać, bo bielizna, ledwo wyschła, już była szara jak ziemia, a dzieciaki kaszlały na okrągło, ojciec mówił: Nie ma co się żołądkować, Berta. Kto u Kruppa na akord robi, migiem w robocie być musi.

Tośmy i mieszkali przez te wszystkie lata do ostatnich czasów, choć było ciasno, bo izbę od podwórka, tę z oknem na klatki z królami, musieliśmy odstąpić dwóm samotnym, co to u nas stołowniki się nazywają, i ja nie miałam się gdzie podziać ze swoją dziewiarską maszyną, co ją sobie za moje własne oszczędności sprawiłam. Ale mój ślubny zawsze mnie mówił: Nie ma co się żołądkować, Berta. Grunt, że nam się na łeb nie leje.

On robił w odlewni. Tam odlewali lufy do armat. Ze wszystkimi dodatkami. Do wojny było tylko parę lat. Roboty nie brakowało. Aż raz odlali kolubrynę, co to z niej wszyscy bardzo byli dumni, bo czegoś tak ogromniastego jak świat światem jeszcze nikt nie widział. A że od nas z Kolonii dużo luda robiło w odlewni, nawet oba nasze stołowniki, to ciągle gadało się o tej kolubrynie, choć sprawa podobno była strasznie tajna. Ale ani rusz nie dawało się jej skończyć. Z wyglądu kolubryna była podobno jak moździerz. Z taką przyciętą lufą. Mówili, że to kaliber czterdzieści dwa centymetry. Ale parę razy odlew lufy nie wyszedł jak trzeba. A i poza tym sprawa się przeciągała. Ale ojciec zawsze mówił: Jakby ktoś mnie się pytał, nie zdążymy, zanim się zacznie na całego. A może Krupp, jak to Krupp, sprzeda kolubrynę carowi do Rosji.

A kiedy po paru latach zaczęło się na dobre, to nie sprzedali kolubryny, tylko z daleka bombardowali z niej nawet Paryż. Wszędzie mówili na nią Gruba Berta. Również tam, gdzie nikt mnie nie znał. A to odlewniki z naszej Kolonii pierwsze tak ją po mnie nazwały, bo akurat ja byłam z nas najgrubsza. Wcale mnie się nie podobało, że wszędzie gęby sobie mną wycierają, choć mój ślubny mnie mówił: Przecież nikt ci nie chce dokuczyć. Tymczasem ja nigdy nie przepadałam za armatami, choć żeśmy żyli z tego, co się robiło u Kruppa. Jakby się ktoś mnie pytał, tośmy żyli całkiem nieźle. Nawet gęsi i kury biegały po naszej Kolonii. Prawie każdy trzymał wieprzka w chlewiku. A jak przyszła wiosna, to tyle było króli...

Podobno na wojnie z tej ich Grubej Berty nie było dużego pożytku. Francuzi pokładały się ze śmiechu, jak kolubryna ani rusz nie mogła trafić do celu. A mój ślubny, co to go Ludendorff na sam koniec wziął do landszturmu, no i został się za kalekę, a my musieliśmy wynieść się z Kolonii i żyjemy w wynajmowanej altanie za moje marne oszczędności, zawsze mnie mówi: Nie ma co się żołądkować, Berta. Co do mnie – to spokojnie możesz jeszcze przybrać na wadze, grunt, żebyś nam zdrowa była...

1911

Mój Drogi Eulenburgu,

Jeśli wolno mi jeszcze zwracać się w ten sposób do Pana, skoro ta kanalia Harden tak podle nas oszkalował w swoich gazetowych wycieczkach, a ja w imię racji stanu, aczkolwiek zżymając się, musiałem porzucić oddanego mi wiernie towarzysza podróży i doradzającego przyjaciela. Jednakże proszę Pana, Drogi Książę, by zechciał Pan triumfować wraz ze mną: dopiąłem swego! Dzisiaj mianowałem wielkim admirałem mojego ministra marynarki Tirpitz, który w Reichstagu tak świetnie potrafił zadawać bobu lewicowym liberałom. Te wszystkie moje szkice przedstawiające stan floty, których szczegółowość pan często łagodnie ganił, ponieważ ja podczas najnudniejszych posiedzeń nie traciłem czasu idąc za głosem mojego niedużego talentu i na okładkach akt, ba, nawet na samych nadzwyczaj suchych aktach utrwalalem ze wszystkimi wieżami działowymi jako kwintesencję morskiej potęgi – nam ku przestrodze – „Charlesa Martela” z Francji i jej krążowniki pancerne I klasy, z Joanną d’Arc” na czele, potem nowe okręty Rosji, przede wszystkim pancerniki „Pietropawłowski”, „Połtawa” i „Sewastopol”. Bo co my mogliśmy przeciwstawić angielskim „Dreadnoughtom”, zanim ustawy o rozbudowie floty stopniowo dały nam wolną rękę? W najlepszym razie cztery krążowniki pancerne klasy „Brandenburg”, nie więcej. Lecz owe szkice obejmujące domniemanego wroga doczekały się obecnie – jak Pan, Drogi Przyjacielu, będzie mógł się przekonać na podstawie załączonego materiału – odpowiedzi z naszej strony; to nie są jedynie projekty, to już pruje wody Morza Północnego i Bałtyku albo powstaje w stocznicach Kilonii, Wilhelmshaven i Gdańska.

Wiem, straciliśmy całe lata. Nasi ludzie byli in rebus navalibus niestety całkowicie niedoświadczeni. Należało wywołać w narodzie powszechny ruch, mało tego, entuzjazm dla marynarki. Trzeba było powołać Towarzystwo Wspierania Floty, uchwalić ustawę o flocie, przy czym Anglicy – a może powiem raczej: moi mili angielscy kuzyni? – mimo woli mi dopomogli, kiedy to podczas wojny burskiej – Pamiętaj Pan, Drogi Przyjacielu – najzupełniej bezprawnie zagarnęli dwa nasze parowce u wschodnioafrykańskiego wybrzeża. Oburzenie w Rzeszy było wtedy

wielkie. Przydało się to w Reichstagu. Chociaż wypowiedziane przeze mnie zdanie – „My, Niemcy, musimy przeciwstawić angielskim ‘Dreadnoughtom’ naszych pancernych ‘Nieustraszonych’- wywołało różnorodną wrzawę. (Tak-tak, Drogi Eulenburgu, wiem: moim największym pokuszeniem jest i pozostanie Biuro Telegraficzne Wolffa).

Ale oto pływają już pierwsze urzeczywistnione marzenia. A dalsze? Tirpitz się nimi zajmie. Dla mnie w każdym razie pozostaje w dalszym ciągu ogromną przyjemnością szkicowanie okrętów liniowych i krążowników pancernych. Obecnie na serio przy mojej sekretarce, przy której, jak Panu wiadomo, siedzę na siodle, w każdej chwili gotów do ataku. Po zwyczajowej konnej przejażdżce moim porannym obowiązkiem jest śmiało wybieganie naprzód i rzucanie na papier naszej tak jeszcze młodej floty w zestawieniu z wrogą przewagą, wiem przecie, że Tirpitz, jak ja, stawia na wielkie okręty. Musimy górować szybkością, zwrotnością, siłą ogniową. Przychodzą mi na myśl odpowiednie pomysły. Często jest tak, jak gdyby w tym akcie tworzenia wielkie okręty wyskakiwały mi z głowy. Wczoraj zobaczyłem oczami wyobraźni i nakreśliłem kilka ciężkich krążowników, „Seydlitza”, „Blüchera”. Widzę, jak całe eskadry płyną w szyku torowym. Ciągłe brakuje wielkich okrętów wojennych. Tirpitz uważa, że tylko dlatego łodzie podwodne muszą poczekać.

Ach, gdybym jak dawniej miał w pobliżu Pana, mego najlepszego przyjaciela, pięknoducha i miłośnika sztuk! Jak śmiało i proroczo by się nam rozmawiało. Z jakim zapałem uspokajałbym Pańskie obawy. Owszem, najdroższy Eulenburgu, chcę być księciem pokoju, ale zbrojnym...

Philipp Eulenburg (1847-1921), zaufany przyjaciel i wpływowy doradca Wilhelma II, odsunięty przez cesarza pod presją kampanii prasowej zainicjowanej przez Maximiliana Hardena. (Przyp. tłum.)

1912

Aczkolwiek na chleb zarabiałem w poczdamskim Urzędzie Budownictwa Wodnego jako nadzorca brzegowy, pisywałem też wiersze, w których nadciągał koniec świata i śmierć zbierała swoje żniwo, byłem więc przygotowany na wszelką okropność. To się stało w połowie stycznia. Dwa lata wcześniej byłem po raz pierwszy świadkiem jego występu w kasynie Nollendorfa, gdzie w środowe wieczory spotykał się Nowy Klub z Kleiststrasse. Potem bywałem częściej, ilekroć mogłem sobie pozwolić na długi dojazd. Ja swoimi sonetami bodaj nie zwróciłem uwagi, jego natomiast nie sposób było nie dosłyszeć. Później zetknąłem się z jego siłą słowa w „Neopatetycznym Kabarecie”. Obecni byli Blass i Wolfenstein. Wiersze przeciągały hałaśliwymi kolumnami. Marsz jednostajnych monologów, który wiódł prosto na rzeź. A potem eksplodował dziecięcy olbrzym. Było tak jak przy zeszłorocznym wybuchu Krakatau.

Już wtedy współpracował z „Aktion” Pfemferta, na przykład zaraz po ostatnim kryzysie marokańskim, kiedy ważyły się losy wszystkiego i mogliśmy już mieć nadzieję, że rozgorzeje walka, zamieścił wiersz „Wojna”. Mam jeszcze w uszach: „Ciała już niezliczone w trzcinie rozciągnięte, Białym całunem ptaków śmierci osłonięte...” w ogóle miał słabość do czerni i bieli, szczególnie do bieli. Nic dziwnego, że na zamarzniętej od tygodni Haweli w bezkresnej białości dostępnej łyżwiarzom powierzchni znalazła się owa czarna, jakby czekająca na niego dziura.

Jakaż to strata! Ale czemu, zadawaliśmy sobie pytanie, „Vossica” nie zamieściła pośmiertnego wspomnienia? Tylko krótka wiadomość: „We wtorek po południu w czasie jazdy na łyżwach referendarz doktor Georg Heym i student prawa Ernst Balcke na wysokości Kladow wpadli do przerębli wyrąbanej w pokrywie lodowej dla ptaków wodnych”.

Nic więcej. Ale w zasadzie było to zgodne z prawdą: myśmy ze Schwanenwerder spostrzegli wypadek. Ja z Urzędu Budownictwa Wodnego i mój asystent udaliśmy się z kilkoma łyżwiarzami w niebezpieczne miejsce, znaleźliśmy jednak tylko, jak się później okazało, laskę Heyma z elegancko ozdobioną gałką i jego rękawiczki. Chyba chciał pomóc tonącemu przyjacielowi i przy tym również dostał się pod lód. A może Balcke pociągnął go za sobą. Może obaj rozmyślnie szukali śmierci.

Ponadto w „Vossicy”, jak gdyby to było ważne, napisali, że był synem prokuratora wojskowego w stanie spoczynku Heyma, zamieszkałego w Charlottenburgu, Königsweg 31. Ojciec studenta, który się utopił, był bankierem. Ale nic, ani słowa o tym, co mogło skusić obu młodych ludzi do umyślnego zboczenia z oznakowanej wiązkami słomy i żerdziami trasy łyżwiarskiej, którą wolno było uważać za bezpieczną. Nic o wewnętrznych perturbacjach naszego już wówczas straconego pokolenia. Nic o wierszach Heyma. Bądź co bądź opublikował go młody wydawca nazwiskiem Rowohlt. Wkrótce miały się ukazać jego opowiadania. Tylko w „Berliner Tagblatt”, w uzupełnieniu wiadomości o nieszczęśliwym wypadku, znalazła się wzmianka, że zmarły tragicznie referendarz występował też na forum literackim i jakiś czas temu ogłosił tom wierszy, „Wieczny dzień”. Pojawiły się w nich ślady pięknego talentu. Ślady! To po prostu śmieszne.

My z Urzędu Budownictwa Wodnego uczestniczyliśmy w wydobywaniu ciała. Wprawdzie moi koledzy pokpiwali, kiedy powiedziałem, że jego wiersze są „strasznie wielkie”, i zacytowałem coś z najnowszych utworów młodego Heyma – „Ludzie na ulicach stają obok siebie, Patrzą na wielkie znaki na niebie” – lecz mimo to niezmordowanie rozbijali lód na Haweli i przeszukiwali dno tak zwanymi kotwicami śmierci. W ten sposób go znaleziono. A ja, zaraz po powrocie do Poczdamu, napisałem dedykowany Heymowi wiersz pod tytułem „Kotwica śmierci”, który Pfemfert chciał właśnie wydrukować, potem jednak odesłał mi z wyrazami

ubolewania.

Młodszeo o rok Balckego, o czym nie omieszkała donieść „Kreuzzeitung”, dryfującego w Haweli wypatrzył przez lód jeden z rybaków. Wykuł przerębel i wyciągnął zwłoki bosakiem. Balcke wyglądał spokojnie. Heym natomiast podkurczył nogi, całkiem jak embrion. Skulony, twarz wykrzywiona, pokaleczone dłonie. Z obydwoma łyżwami przymocowanymi do stóp leżał na stwardniałym

lodzie. Tylko z pozoru krzepkie chłopisko. Człowiek rozdierany przez różnorodne pragnienia. On, który żywił odrazę do wszystkiego, co wojskowe, jeszcze przed paru tygodniami ubiegał się jako ochotnik o przyjęcie do alzackiego pułku piechoty w Metz. *Zarazem* pełen był planów *zwróconych* w innym kierunku. Chciał, jak wiem, pisać dramaty...

Georg Heym (1887-1912), poeta i nowelista, wielka nadzieja literatury niemieckiej. Utwory poetyckie Heyma ukazały się w Polsce w tomie „Wieczny dzień i inne wiersze”, proza zaś w zbiorze „Lekcja”. (Przyp. tłum.)

1913

Czyżbym to ja zbudował, nie, nie zaplanował i zaprojektował, ale w ciągu dobrych czternastu lat jako odpowiedzialny kierownik budowy położył fundamenty, układał warstwa po warstwie, wznosił, piętrzył pod niebo tę masę sterczącą groźnie na płaskim terenie, skamieniałego kolosa, ekspresyjne urojenie fajdającego granitem architekta?

Dzisiaj, kiedy to mija z górą rok, odkąd uroczyście położyło się końcowy zwornik i jeden z moich podmajstrzych własnoręcznie zalepił ostatnie spoiny, powiedziałem do radcy dworu Thiemego, który stoi na czele Związku Patriotów i – jak Rzesza długa i szeroka – wykołatał sześć milionów: – Całość cokolwiek przyduża!

–Tak powinno być, Krause, tak powinno być. Mając dziewięćdziesiąt jeden metrów przewyższamy pomnik w górach Kyffhäuser o ni mniej, ni więcej tylko dwadzieścia sześć...

Ja na to: – A Świątynię Cesarską przy Porta Westfalica o prawie trzydzieści...

–I dokładnie o trzydzieści berlińską Kolumnę Zwycięstwa... – A co dopiero pomnik Hermanna! Nie mówiąc o monachijskiej

Bawarii z jej zaledwie dwudziestu siedmiu metrzymi...

Radca dworu Thieme wyczuł chyba moją kpinę: – W każdym razie równo w sto lat

od bitwy narodów symbol naszej patriotycznej pamięci zostanie jak najuroczyściej poświęcony.

Ja do jego ojczyźnianej zupy dorzuciłem parę wątpliwości: – Jak by wszystko było parę numerów mniejsze, to też by wystarczyło – a potem zacząłem rozprawać o sprawach fachowych, raz jeszcze kopiąc fundamenty: – Same śmiecie z Lipska i okolic. Rok po roku, warstwa po warstwie śmiecie. Ale wszystkie moje ostrzeżenia – na tym nie ma jak budować, niedługo pojawią się pęknięcia, takie niedbalstwo pociągnie za sobą ciągle wydatki na reperacje – nie zdały się wtedy na nic.

Thieme patrzył zgnębiony, jak gdyby już teraz żądano od niego ogromnych sum na konserwację. – Tak – ciągnąłem – gdybyśmy kopali fundamenty nie na śmietniku, tylko na twardym gruncie pola bitwy, wydobylibyśmy mnóstwo czaszek i kości, szabel i lanc, strzepy mundurów, całe i rozplątane hełmy, oficerskie galony i pospolite guziki, wśród nich pruskie, szwedzkie, habsburskie, ale też przynależne do polskiej legii i naturalnie guziki francuskie, zwłaszcza francuskiej gwardii. Poległych przecież nie brakowało. Blisko sto tysięcy złożyły w ofierze zgromadzone narody.

Potem wróciłem do rzeczowego tonu, mówiłem dla równowagi o stu dwudziestu tysiącach metrów sześciennych betonu i piętnastu tysiącach metrów sześciennych granitu. Radca dworu Thieme, u którego boku pojawił się tymczasem architekt masywnej budowli, profesor Schmitz, nie ukrywał dumy i nazwał pomnik „godnym poległych”. Następnie pogratulował Schmitzowi, który ze swej strony dziękował Thiememu za wykołatane pieniądze na budowę i okazane zaufanie.

Zapytałem obu panów, czy tacy są pewni granitowej inskrypcji, na górnym cokole, umieszczonej dokładnie na osi środkowej: „Bóg z nami”. Popatrzyli na mnie pytająco, potem pokręcili głowami i ruszyli ku kamiennemu kolosowi przytłaczającemu swoją masą dawne śmietnisko. Takich poczciwców należałoby wykuć w granicie i ustawić pomiędzy owymi osiłkami, którzy ramię przy ramieniu stanowią hen wysoko uosobienie pomnika, pomyślałem sobie.

Nazajutrz miało się odbyć poświęcenie. Miał przybyć nie tylko Wilhelm, ale także król Saksonii, aczkolwiek *wówczas Sasi* przeciwko Prusakom... Czyste październikowe niebo zapowiadało cesarską pogodę. Jeden z moich podmajstrzych, na pewno socjał, wyrzucił z siebie: – No, w czymś takim to my, Niemcy, jesteśmy wielcy. Budować pomniki! Nie oglądając się na koszty!

1914

W połowie lat sześćdziesiątych, po kilkakrotnie podejmowanych a bezowocnych staraniach dwóch kolegów z instytutu, udało mi się wreszcie namówić obu starszych

panów na spotkanie. Być może do mnie, młodej kobiety, uśmiechnęło się szczęście, a ponadto będąc Szwajcarką dysponowałam atutem neutralności. W moich listach, jakkolwiek rzeczowo naszkicowałam w nich nasze zadanie badawcze, dosłuchano się chyba delikatnego, jeśli nie nieśmiałego zapytania; w ciągu kilku dni niemal jednocześnie nadeszły pozytywne odpowiedzi.

Opowiadałam moim kolegom o tej pamiętnej, trochę jakby przedpotopowej parze. Zarezerwowałam spokojne pokoje w hotelu „Pod Bocianem”. Tam przesiadywaliśmy, najczęściej na pięterku rôtisserii, z widokiem na Limmat, ratusz naprzeciwko i kamienicę „Pod Ogarem”. Pan Remarque – wówczas w sześćdziesiątym siódmym roku życia – przyjechał z Locarno. On, widać, że światowiec, wydał mi się wątlejszego zdrowia aniżeli czerstwy pan Jünger, który skończywszy niedawno siedemdziesiątkę miał uderzająco sportowe ruchy. Zamieszkały na ziemi wirtemberskiej, przybył przez Bazyleę, mając za sobą pieszą wędrówkę przez Wogezy do Hartmannsweilerkopf, o który kiedyś toczono krwawe walki.

Nasza pierwsza rozmowa zaczęła się dość opornie. Moi panowie „świadkowie epoki” z dużą znajomością rzeczy rozprawiali o szwajcarskich winach: Remarque chwalił gatunki tessińskie, Jünger na pierwszym miejscu stawiał dole z francuskojęzycznych regionów. Obaj wyraźnie starali się czarować swoim dobrze zakonserwowanym wdziękiem. Zabawnie, ale i drażniąco wypadały ich próby zagadywania mnie w szwajcarskim dialekcie. Ale potem gdy zacytowałam początek często w czasie pierwszej wojny światowej śpiewanej pieśni – „Flandryjski taniec śmierci” – której autor pozostał anonimowy: „Śmierć jedzie na karym rumaku, śmierć goni każdego wojaka”, najpierw Remarque, a niebawem także Jünger zanucili przejmująco smutną melodię; obaj znali słowa kończące każdą zwrotkę: „Wojacy we Flandrii, biada wam, ach, biada, kostucha karego rumaka dosiada”. Potem popatrzyli w stronę katedry, której wieże górowały nad kamienicami przy Schiffslände.

Po tym zamyśleniu przerywanym kilkoma chrząknięciami Remarque oznajmił, że jesienią czternastego – chodził jeszcze do szkoły w Osnabrück, gdy pułki ochotników wykrwawiały się pod Bixschoote i Ypres – również na nim wielkie wrażenie zrobiła legenda Langemarcku, według której na ogień angielskich karabinów maszynowych odpowiadała pieśnią „Niemcy, Niemcy ponad wszystko...”. Chyba to pod jej wpływem – i za sprawą zachęt ze strony nauczycieli – niejedna klasa gimnazjalna ochotniczo zgłosiła się na front. Co drugi przypłacił to śmiercią. A ci, co przeżyli, jak on, któremu wszelako nie dane było chodzić do gimnazjum, są po dziś dzień okaleczeni. On w każdym razie nadal czuje się „żywym trupem”.

Pan Jünger, który szkolne przeżycia kolegi-pisarza – najwidoczniej tylko szkoła realna – skwitował lekkim uśmiechem, nazwał wprawdzie kult Langemarcku

„patriotyczną bzdurą”, przyznał jednak, że już na długo przed wybuchem wojny owładnęła nim wielka tęsknota za niebezpieczeństwem, pragnienie niezwykłości – „choćby drogą do tego miała być służba we francuskiej Legii Cudzoziemskiej”: – Jak się potem zaczęło, czuliśmy się stopieni w jedno wielkie ciało. Ale nawet kiedy wojna pokazała nam swoje pazury, walka jako przeżycie wewnętrzne nie przestawała mnie fascynować do moich ostatnich dni w charakterze dowódcy oddziału szturmowego. Niech pan spokojnie przyzna, zacny Remarque, że nawet w „Na Zachodzie bez zmian”, swoim znakomitym debiucie, opowiadał pan, nie bez wewnętrznego poruszenia, o sile żołnierskiego koleżeństwa, które sięgnęło aż po śmierć. Ta książka, odparł Remarque, nie gromadzi przeżyć osobistych, lecz skupia w sobie doświadczenie frontowe wypalonego pokolenia. – Moja służba w lazarecie była dla mnie wystarczającym źródłem.

Starsi panowie co prawda nie zaczęli się teraz spierać, ale przywiązywali dużą wagę do tego, że w sprawach wojny mają różne zdania, reprezentują przeciwstawne style i w ogóle wywodzą się z odmiennych obozów. Jeśli jeden w dalszym ciągu uważał się za „niepoprawnego pacyfistę”, to drugi chciał, żeby mieć go za „anarcha”.

–Ach, co tam! – zawołał Remarque. – Przecież pan w swoich „Stalowych burzach” jak łobuziak aż po ostatnią ofensywę Ludendorffa szukał przygód. Lekkomysłnie potrafił pan skrzyknąć oddział szturmowy, żeby dla krwawej przyjemności naprędce wziąć jednego, dwóch jeńców, a przy okazji być może zdobyć buteleczkę koniaku... – Potem jednak przyznał, że kolega Jünger w swoim dzienniku po części trafnie opisywał trwanie w okopach, wojnę pozycyjną, w ogóle charakter bitwy wyniszczającej.

Pod koniec naszej pierwszej rozmowy – panowie opróżnili dwie butelki czerwonego wina – Jünger powrócił jeszcze do Flandrii: – Kiedy w dwa i pół roku później okopywaliśmy się na odcinku frontu pod Langemarck, natknęliśmy się na karabiny, pasy i łuski nabojów z roku czternastego. Trafiały się nawet pikielhauby, w których ochotnicy w sile pułku wyruszali wówczas na wojnę...

1915

Nasze następne spotkanie odbyło się w „Odeonie”, owej szacownej kawiarni, w której już Lenin, przed wyruszeniem w podróż do Rosji pod zapewnioną mu przez Rzeszę Niemiecką eskortą, czytywał „Neue Zürcher Zeitung” i inne dzienniki, po kryjomu planując rewolucję. My natomiast nie wybiegaliśmy w przyszłość, lecz byliśmy nastawieni na czas miniony. Najpierw jednak moi panowie nalegali, żeby posiedzenie rozpocząć od śniadania z szampanem. Mnie pozwolili na sok pomarańczowy.

Między rogalikami a półmiskiem serów niczym dowody rzeczowe leżały na marmurowym stoliku obie gorąco niegdyś dyskutowane książki: wszelako „Na zachodzie bez zmian” rozeszło się w dużo większym nakładzie niż „W stalowych burzach”. – To prawda – powiedział Remarque – moja książka rzeczywiście chwyciła. Ale po trzydziestym trzecim, kiedy została publicznie spalona, na dobre dwanaście lat zniknęła z niemieckich księgarń, urwało mi się też z przekładami, podczas gdy pański hymn na cześć wojny oczywiście przez cały czas bez trudu docierał do czytelników.

Jünger nie na to nie odrzekł. Dopiero gdy spróbowałam naprowadzić rozmowę na walkę w okopach we Flandrii i na kredowych terenach Szampanii, położyłam także na uprzątniętym już śniadaniowym stoliku wycinki map objętych walkami rejonów, to on, nim przeszedł do ofensywy i kontrofensywy nad Sommą, podsunął temat do dyskusji, od której nie dało się już odejść: – Tę nędzną pikielhaubę, której pan, mój szanowny Remarque, nie musiał już nosić, na naszym odcinku frontu od czerwca piętnastego zastępowano stalowym hełmem. Były to hełmy próbne, skonstruowane – po kilku chybionych projektach – przez kapitana artylerii nazwiskiem Schwerd we współzawodnictwie z Francuzami, którzy również zaczęli wprowadzać hełmy ze stali. Jako że Krupp nie mógł wyprodukować odpowiedniego stopu stali chromowej, zamówienie przypadło innym firmom, wśród nich hucie w Thale. Od lutego szesnastego stalowy hełm był w użyciu na wszystkich odcinkach frontu. Wojska pod Verdun i nad Sommą zostały zaopatrzone w pierwszej kolejności, najdłużej musiał czekać front wschodni. Nie ma pan pojęcia, zacny Remarque, jaką daninę krwi, szczególnie w wojnie pozycyjnej, musieliśmy złożyć przez tę nic nie wartą skórzaną czapę, którą zastępczo, ponieważ brakowało skóry, wytłaczano z filcu. Każdy strzał z karabinu to o jednego żołnierza mniej, każdy odłameczek przebijał na wylot.

Potem zwrócił się wprost do mnie: – Również hełm szwajcarski używany po dziś dzień przez wasze wojsko jest, mimo zmienionego kształtu, wzorowany na naszym stalowym hełmie łącznie z umieszczonymi dla celów wentylacyjnych nitami rozpierającymi.

Nie zareagował na moją ripostę: – Na szczęście naszego hełmu nie trzeba było wypróbować w tak elokwentnie wysławianych przez pana bitwach wyniszczających – i zasypał milczącego ostentacyjnie Remarque’a dalszymi szczegółami: od zabezpieczenia przeciwko korozji metodą szarozielonego matowienia po wystający ochraniacz karku i wyściółkę z końskiego włosa lub pikowanego filcu. Potem narzekał na dające się we znaki żołnierzom w okopach ograniczenie widoczności, ponieważ wysunięty przód miał osłaniać twarz aż po czubek nosa. – No, sam pan rozumie, że w akcjach szturmowych to ciężkie nakrycie głowy niezwykle mi zawadzało. Woląłem, prawda, że lekkomyślnie, swoją wysłużoną czapkę podporucznika, miała zresztą jedwabną podszewkę. – Następnie

przypomniało mu się jeszcze coś, jak powiedział, zabawnego: – Nawiasem mówiąc na moim biurku w charakterze pamiątki leży zupełnie inny w kształcie, całkiem płaski hełm angielski, naturalnie przestrzelony.

Po dłuższej pauzie – panowie pili teraz do czarnej kawy po kieliszku pflümli – odezwał się Remarque: – Stalowe hełmy M 16, później M 17 były o wiele za duże dla odwodów, które składały się ze słabo wyszkolonych rekrutów. Ciągłe się zsuwały. Z twarzy tych dzieciaków było widać tylko lęklive usta, drżący podbródek. Było to śmieszne i zarazem żalosne. A o tym, że zwykle pociski strzeleckie i nawet mniejsze szrapnele mimo wszystko przebijały stal, nie muszę chyba panu mówić...

Zażądał kolejnego pflümli. Jünger dotrzymywał mu kroku. Dla mnie, „dziewczęcia”, zamówili drugą szklankę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego.

1916

Po dłuższym spacerze bulwarem wzdłuż Limmatu, koło domu Pod Kopułą i potem promenadą nad brzegiem Jeziora Zuryskiego – i po zarządzanej przeze mnie przerwie na odpoczynek, wykorzystanej przez obu panów, jak się zdaje, zgodnie z przeznaczeniem – na zaproszenie pana Remarque’a, który dzięki temu, że jego powieści zostały sfilmowane, zaliczał się widać do autorów zamożnych, poszliśmy na kolację do Kronenhalle, solidnej restauracji z artystyczną atmosferą: na ścianach wiszą tam, będący własnością lokalu, prawdziwi impresjoniści, ale też Matisse, Braque, nawet Picasso. Zjedliśmy filet z siei, po nim rösti z cielęcym ragout, a na zakończenie panowie wzięli espresso i armagnac, ja zaś porwałam się na o wiele za potężną porcję mousse au chocolat, z którą długo się jeszcze biedziłam...

Skoro stół został prawie ze wszystkiego uprzątnięty, moje pytania koncentrowały się na wojnie pozycyjnej na froncie zachodnim. Obaj panowie nie musieli odwoływać się do swoich książek, by opowiadać o wielodniowym obustronnym huraganowym ogniu, który czasem dawał się we znaki również własnym pozycjom. Udzielali informacji o rozgałęzionych systemach okopów z szańcami bocznymi, przedpiersiem i zapleczem, o podkopach, krytych ziemią schronach, wystopniowanych głęboko w ziemi sztolniach, podziemnych chodnikach, doprowadzonych tuż do nieprzyjacielskich linii stanowiskach podsłuchowych i minerskich, plątaninie zasieków z drutu kolczastego, ale także o zasypanych, zatopionych transzejach i schronach. Ich doświadczenia tchnęły autentyzmem, aczkolwiek Remarque zastrzegał się, że brał udział tylko w kopaniu szańców: – Nie walczyłem w okopach, ale widziałem, co po tych halkach zostało.

Ale bez względu na to, czy chodziło o szanowanie, fasowanie jedzenia czy nocne przeciąganie przewodów, można było wyciągnąć od nich każdy szczegół. Wspominali

precyzyjnie i bardzo rzadko gubili się obaj w anegdotach, na przykład w rozmówkach, jakie Jünger z wysuniętego naprzód podkopu ucinął sobie z oddalonym ledwie o trzydzieści metrów „Tommy” albo „Francem”, polegając na wyniesionej ze szkoły znajomości obcych języków. W trakcie dwóch opisywanych ataków i kontrataków ogarnęło mnie uczucie, że byłam ich naocznym świadkiem. Następnie mówiło się o angielskich minach kulistych i ich działaniu, o tak zwanych „grzechotkach”, minach butelkowych, szrapnelach, o niewypałach i ciężkich granatach z zapalnikami uderzeniowymi, natychmiastowymi i opóźnionymi, oraz o dźwiękach zbliżających się pocisków różnego kalibru.

Obaj panowie umieli naśladować poszczególne głosy tego rodzaju zatrważających koncertów zwanych „zaporą ogniową”. Musiało to być piekło. – A przecież – stwierdził pan Jünger – w nas wszystkich było coś, co podkreślało i uduchawiało brutalność wojny, była rzeczowa radość z niebezpieczeństwa, rycerski pęd do zwycięstwa w walce. Ba, mogę powiedzieć, że z biegiem lat ogień tej permanentnej bitwy wytapiał coraz czystsze, coraz odważniejsze żołnierstwo...

Pan Remarque zaśmiał się swemu vis-à-vis prosto w oczy: – E tam, Jünger! Co to za podniosłe gadanie. Ci frontowcy w za dużych buciorach i ze zmartwiałym sercem byli do szpiku kości zezwierzęceni. Być może już nie bardzo wiedzieli, co to jest lęk. Ale śmiertelny strach był wciąż obecny. Co oni umieli? Rżnąć w karty, przeklinać, wyobrażać sobie rozkraczone kobiety i prowadzić wojnę, a więc mordować na rozkaz. Mieli też specjalistyczną wiedzę: potrafili rozmawiać o wyższości saperki nad bagnetem, bo saperką można było nie tylko pchnąć pod brodę, ale i uderzyć z całej siły, choćby skosem między szyję a bark. Takie uderzenie łatwo dochodzi do klatki piersiowej, podczas gdy bagnet często grzązł między żebrami i trzeba było kopnąć w brzuch, żeby go wyciągnąć...

Jako że żaden z nader w Kronenhalle powściągliwych kelnerów nie kwapił się podejść do naszego tętniącego gwarem stolika, Jünger, który na naszą, jak się wyraził, „roboczą rozmowę” wybrał lekkie czerwone, dolał wina i ostentacyjnie powoli pociągnął łyk:

–Wszystko to prawda, mój drogi Remarque. Mimo to pozostaję przy swoim: widząc moich ludzi w okopie zastygłych bez ruchu, z karabinami w dłoniach, z osadzonymi bagnetami, widząc, jak w blasku rakiety oświetlającej lśni stalowy hełm przy hełmie, ostrze obok ostrza, miałem głębokie poczucie, że jesteśmy nie do tknięcia. Tak. Mogliśmy zostać zmiażdżeni, ale nie zwyciężeni.

Po dłuższym milczeniu, którego nie dało się przełamać – pan Remarque chciał chyba coś powiedzieć, potem jednak zrezygnował – obaj unieśli kieliszki i nie patrząc na siebie nawzajem w tym samym momencie włąli w siebie resztę zawartości.

Remarque raz po raz skubał chusteczkę w kieszonce marynarki. Jünger chwilami patrzył na mnie jak na rzadki okaz chrząszcza, którego widać brakowało w jego kolekcji. Ja nadal dzielnie walczyłam z nazbyt potężną porcją mousse au chocolat.

Później moi panowie raczej spokojnie i z rozbawieniem rozprawiali o żargonie „frontowców”. Była mowa o „nowinach z latRyn”. Mnie, „panieneczkę”, jak zażartował Remarque, przepaszano z galanterią za zbyt dosadne wyrażenia. Na koniec obaj chwalili się nawzajem za plastyczność frontowych opisów. – Któż jeszcze jest prócz nas? – pytał Jünger. – U Francuzów w najlepszym razie ten zwariowany Celinę...

1917

Zaraz po śniadaniu – tym razem nie takim wystawnym z szampanem, bo panowie przystali na polecane przez mnie bircherowskie müsli – kontynuowaliśmy naszą rozmowę; w jej toku obaj oględnie, jakbym była dziewczynką w wieku szkolnym, której nie należy szokować, informowali mnie o wojnie gazowej, a więc o puszczaniu chloru, o rozmyślnym stosowaniu amunicji z niebieskim, zielonym, wreszcie żółtym krzyżem, czerpiąc przy tym wiadomości częściowo z własnego doświadczenia, częściowo z doświadczeń innych.

Do bojowych środków chemicznych doszliśmy dość prostą drogą, skoro tylko Remarque wspomniał toczącą się jeszcze w czasie naszej rozmowy wojnę w Wietnamie i nazwał zbrodniczym użycie tam napalmu, podobnie jak agent orange. Powiedział: – Kto rzucił bombę atomową, ten już nie zna żadnych hamulców. – Jünger systematyczne ogałacanie dżungli z liści w wyniku stosowania na rozległych połaciach środków trujących uważał za konsekwentną kontynuację użycia w swoim czasie gazów bojowych, był wszelako zdania, zgadzając się tutaj z Remarque’iem, że „Amerykańcy”, mimo przewagi materiałowej, przegrają tę „brudną wojnę”, która nie pozwala już na żadne żołnierskie działanie.

–Ale przyznajmy: to my pierwsi w kwietniu piętnastego puściliśmy chlor na Francuzów pod Ypres – oznajmił Jünger. A Remarque tak głośno, że kelnerka w pobliżu naszego stolika przystanęła przerażona, a potem oddaliła się czym prędzej, zawołał: – Alarm gazowy! Gaz! Gaaaz! – wobec czego Jünger łyżeczką naśladował sygnał dzwonu alarmowego, nagle jednak, jakby na rozkaz wewnętrzny, przybrał rzeczowy ton: – Wedle przepisu zaczęliśmy natychmiast natłuszczać lufy naszych karabinów, wszelki metal. Potem zakładaliśmy maski ochronne. Później w Monchy – było to na krótko przed rozpoczęciem bitwy nad Sommą – widzieliśmy mnóstwo zagazowanych, którzy jęczeli i dusili się, z oczu ciekły im łzy. Ale chlor działa głównie na płuca, wyżera je i wypala. Widziałem jego skutki również w nieprzyjacielskich okopach. A my zostaliśmy niebawem poczęstowani przez Anglików fosgenem, który

ma słodkawy zapach.

Z kolei do głosu doszedł ponownie Remarque: – Zagazowani dusząc się całymi dniami wypluwali po kawałku spalone płuca. Najgorzej było, kiedy przy równoczesnym ogniu zaporowym nie ruszali się z lejów, bo chmura gazu kładła się na każdym zagłębieniu terenu jak wielka meduza. Biada temu, kto za wcześnie zerwał maskę z twarzy... Najbardziej dawało się to zawsze we znaki niedoświadczonym odwodom... Ci młodzi, bezradnie błakający się chłopacy... Te blade, brukwiane twarze... W zbyt obszernych mundurach... Jeszcze za życia byli okropnie pozbawieni wyrazu, jak martwe dzieci... Cdy raz dotarliśmy na naszą pierwszą linię, żeby kopać szańce, widziałem schron pełen tych biedaków. Mieli zsiniałe twarze i czarne usta... a w jednym z lejów za wcześnie pozdejnowali maski... mieli krwotok za krwotokiem i zadławili się na śmierć...

Obaj panowie przepaszali mnie: chyba tego za wiele jak na wczesny ranek. W ogóle dziwna rzecz, że młoda kobieta interesuje się tego rodzaju bestialstwami, jakie niesie ze sobą wojna. Uspokoiliam Remarque'a, który – prześcigając w tym Jüngera – uważał się za dżentelmena starej szkoły. – Proszę nie przejmować się moją osobą. Zadanie badawcze, jakie powierzyła nam firma Bührle, wymaga wierności szczegółom – powiedziałam.

–Wiecie przecież, panowie, jakiego kalibru broń Oerlikon produkuje na eksport, nie?
– Potem poprosiłam o dalsze szczegóły.

Jako że pan Remarque milczał i odwróciwszy wzrok wpatrywał się w most ratuszowy wiodący do bulwaru nad Limmatem, to pan Jünger, który wydawał się bardziej opanowany, opowiedział mi o ewolucji maski przeciwgazowej, a następnie o gazie musztardowym, który w czerwcu siedemnastego został po raz pierwszy użyty - i to przez stronę niemiecką-w trzeciej bitwie o Ypres. Były to niemal pozbawione zapachu, ledwo widoczne opary gazu, którego działanie niszczące komórki zaczynało się dopiero po trzech, czterech godzinach. Siarczek dwuchlorodwuetylowy, oleisty, rozpylony na drobne kropelki związek, przed którym nie chroniła żadna maska przeciwgazowa.

Potem pan Jünger tłumaczył mi jeszcze, jak to wskutek ostrzału żółtym krzyżem nieprzyjacielskie systemy okopów ulegały skażeniu i w rezultacie nieprzyjaciel musiał opuszczać je bez walki. – Ale późną jesienią siedemnastego Anglicy zdobyli pod Cambrai większy skład granatów z gazem musztardowym i zaraz użyli ich przeciwko naszym okopom. Wiele oślepień... Niech pan powie, Remarque, czy to nie w ten sposób dostało się największemu gefrajtrowi wszechczasów? Trafił potem do lazaretu w Pasewalku... Tam doczekał końca wojny... Tam postanowił zostać politykiem...

Po krótkim wypadzie na zakupy – Jünger zaopatrywał się w cygara, również te z Brissago; Remarque, za moją poradą, kupił u Griedera jedwabną apaszkę dla swej żony Paulette – taksówką odwoziłam obu panów na Dworzec Główny. Jako że zostało nam jeszcze trochę czasu, zaszliśmy do dworcowego bufetu. Zaproponowałam na strzemiennego lekkie białe wino. Choć w gruncie rzeczy wszystko zostało powiedziane, ta dobra godzina zaowocowała jednak jeszcze garścią notatek. Na moje pytanie, czy w ostatnim roku wojny mieli do czynienia z częstokroć wprowadzanymi wówczas do walki angielskimi czołgami, obaj panowie zaprzeczyli, by przyszło im przeżyć czołgowe natarcie, ale Jünger stwierdził, że jego oddział podczas kontrataków natknął się na kilka „wypalonych olbrzymów”. Próbowano się bronić miotaczami płomieni i wiązkami granatów. – Ten rodzaj broni – powiedział – znajdował się niejako w powijkach. Czas szybkich, rozległych uderzeń pancernych miał dopiero nadejść.

A potem okazało się, że obaj panowie byli obserwatorami walk powietrznych. Remarque wspominał zakłady zawierane z perspektywy okopów i tyłów: – Stawką była porcja wątrobianki albo pięć papierosów, bez względu na to, kto ciągnąc za sobą smugę dymu zwał się na ziemię, nasz fokker czy angielski jednomiejscowy spad. Ale oni tak czy owak mieli nad nami liczebną przewagę. Pod koniec na jeden nasz samolot przypadało pięć angielskich czy amerykańskich.

Jünger to potwierdził: – Ogólnie rzecz biorąc przewaga materiałowa była przygniatająca, szczególnie w powietrzu. Mimo to na naszych chłopaków siedzących w tych swoich trójpłatach patrzyłem z pewną zazdrością. Bądź co bądź w powietrzu walczyło się po rycersku. Jakaż to była brawura, kiedy pojedyncza maszyna, nadlatując ze słońca, wyszarpywała sobie przeciwnika spośród nieprzyjacielskich formacji. Jakże to brzmiało hasło eskadry Richthofena? Już wiem: „Twardo, ale z fantazją”. W każdym razie oni przynosili chlubę tej dewizie. Z zimną krwią, ale fair. „Czerwony lotnik” to zresztą godna polecenia lektura, choć także pan baron pod koniec swych nader żywych wspomnień musi przyznać, że najpóźniej od szesnastego skończył się czas rześkiej i radosnej wojny. W dole już tylko błoto, krajobraz pełen lejów. Wszystko zrobiło się poważne, zaciekle. A przecież: do ostatka, kiedy to i jego ściągnięto z nieba, pozostał mężny. I dowody tej postawy dawało się w takiej samej mierze również na dole. Ustępowaliśmy jedynie pod względem materiału. Niepokonani w polu! mówiło się. Ale na tyłach mieliśmy rewoltę. Kiedy wszakże zliczam swoje rany: co najmniej dwanaście trafień, pięć od pocisków karabinowych, dwa od odłamków granatów artyleryjskich i jedno od wybuchu szrapnela, cztery idą na konto granatów ręcznych, a dwa zostały spowodowane przez inne odłamki – czyni to z wlotami i wylotami co najmniej dwadzieścia blizn – to

dochodzę do stwierdzenia: Opłacało się!

Zakończył ten bilans dźwięcznym, ściśle mówiąc: równie starczym co młodzieńczym śmiechem. Remarque siedział zatopiony w sobie: – Nie mam co konkurować z panem. Ja oberwałem tylko ra2. To mi wystarczyło. Nie mogę w ogóle pochwalić się bohaterskimi wyczynami. Później pracowałem już tylko w lazarecie. Dosyć się tam napatrzyłem i nasłuchałem. A tym bardziej nie mam co mierzyć się z pańskimi ozdóbkami: „Pour le Merite”. Ale my zostaliśmy jednak zwyciężeni. Pod każdym względem. Tylko panu i podobnym do pana brakowało odwagi, żeby przyznać się do przegranej. I tej odwagi widać niedostaje dziś jeszcze.

Czy w ten sposób zostało powiedziane wszystko? Nie. Jünger zbilansował ofiary owej epidemii grypy, która w ostatnich latach wojny grasowała w obydwu wrogich obozach: – Przeszło dwadzieścia milionów zmarłych na gripę, mniej więcej tyle samo, ilu poległych po wszystkich stronach, ale ci chociaż wiedzieli, za co giną! – Remarque dość cicho zapytał: – Na miłość boską, za cóż to?

Z lekkim zakłopotaniem położyłam na stoliku jakże sławne książki obu autorów i poprosiłam o dedykację. Jünger bez zwłoki podpisał mi swój tom dodając słowa: – „Naszej mężnej panienczce”; Remarque złożył autograf pod całkiem jednoznacznym wyznaniem: „Jak żołnierze stają się mordercami”.

Na razie wszystko zostało powiedziane. Panowie wypili do dna. Prawie jednocześnie wstali – Remarque pierwszy – skłonili się lekko, unikając jednak uścisku dłoni, i prosili mnie, markując pocałunek w rękę, żebym ani jednego, ani drugiego nie odprowadzała na peron; obaj podróżowali tylko z ręcznym bagażem.

W pięć lat później umarł Remarque. Pan Jünger zamierza chyba przeżyć to stulecie.

1919

Przecie to kombinatorzy, co się na wojnie utuczylili. Jeden w drugiego. Weź pan tego tam, co miliony zbił na „Bratolinie”, takiej niby masie na kotlety. A po prawdzie była to mielona papka z kukurydzy, grochu i brukwi. I kielbasę czymś podobnym faszerowali. A teraz ci kielbasiani kanciarze wrzask podnoszą, że to myśmy nawalili, tak zwany front wewnętrzny, no, ci wszyscy, co niby za mało granatów narobili, a niemiecka pani domu niby to podstępem zachodziła naszych żołnierzy od tyłu... I wbijała im nóż w plecy... Tymczasem mój, co to go na koniec jeszcze do landszturmu capnęli, wrócił kaleką, a dziewczuszki obie, takie mizeroty, grypa zabrała. No i jeszcze Erich, znaczy się brat mój jedyny, co to w marynarce wszystko szczęśliwie przetrzymał, Dogger Bank, Skagerrak, powiadam: każdą pukaninę, a teraz w Berlinie, dokąd z Kilonii ze swoim batalionem pomaszerował, żeby republiki bronić, padł na

barykadzie. Pokój? To już ja mogę tylko gorzko się śmiać. Jaki tam pokój! Ciągłe strzelają to tu, to tam. I ciągle brukiew. Brukiew w chlebie, w siekanych kotletach. Nawet ciasto niedawno z brukwi piekłam, z dodatkiem buczyny, bo niedziela była i goście przychodzili. A tutaj ci oszukańcy się wrywają, co za drogie pieniądze szlamowaną kredę zmieszaną z tak zwanymi zapachami za sos do pieczenia nam sprzedawali, i gadają w gazecie o nożu w plecach i zdradzieckim zachodzeniu od tyłu. Nieeee! Skrócić o głowę ich trzeba, powiesić na latarni, żeby erzace się skończyły. Co to tutaj znaczy zdrada? My po prostu cesarza i brukwi już więcej nie chcemy. Ale też ani rewolucji bez ustanku, ani noża wbijanego z przodu czy z tyłu. Chcemy za to prawdziwego chleba znów pod dostatkiem. I nie „Fruxu”, tylko porządnej marmolady. Nie „Eirolu”, w którym tylko krochmal był, ale prawdziwych jajek od kury. I nigdy więcej masy na pieczeń, tylko kawałka prawdziwej świni. Tego, tylko tego chcemy. Bo wreszcie pokój nastał. I dlatego u nas w Prenzlau za republiką rad się opowiadałam, mianowicie w radzie kobiet do spraw wyżywienia, gdzieśmy odezwę uchwałyły, co wydrukowana została i na wszystkich słupach z ogłoszeniami wisi. „Niemiecka pani domu!” wołałam z ratuszowych schodów, „trzeba skończyć z oszukaństwem i kombinatorami, co się na wojnie utuczyli. Co to tutaj znaczy nóż w plecy? Czy myśmy przez te wszystkie lata też na froncie nie walczyły? Już w listopadzie piętnastego zaczęło być krucho z margaryną, a brukwi było w bród. A potem robiło się coraz gorzej. Mleka nie było, były za to tabletki mleczne doktora Caro. A potem w dodatku grypa nas dopadła i jak pisało w gazecie, obfite zebrała żniwo. A potem, po ostrej zimie, nie było kartofli, tylko brukiew, wciąż tylko brukiew. ‘Smakuje jak zasieki z drutu kolczastego’, powiedział mój, jak na urlop przyjechał. A teraz, jak Wiluś ze swoimi wszystkimi skarbami dał drapaka i na swym zamku w Holandii się zamelinował, to niby myśmy na froncie wewnętrznym nóż wbijały, i to po tchórzowsku od tyłu...”

1920

Za pomyślność, moi panowie! Po pełnych mozołu tygodniach przychodzi nam radośnie świętować. Ale nim uniosę kielich, wypada powiedzieć na wstępie: Czym byłaby Rzesza bez kolei! Nareszcie ją mamy. Przecież w skądinąd wątpliwej konstytucji zapisany został wyraźny wymóg: Zadaniem Rzeszy jest... A obstawali przy tym akurat panowie towarzysze, którzy zazwyczaj gwizdzą na ojczyznę. Co kiedyś ani rusz nie udawało się kanclerzowi Bismarckowi, co nie powiodło się Jego Cesarskiej Mości, za co w czasie wojny drogo musieliśmy płacić, bo nieujednoliconą, rozproszoną na dwieście dziesięć typów kolej często nie miała części zamiennych, tak że transporty wojsk, pilne dostawy, skrzynie amunicji tak bardzo potrzebnej pod Verdun utykały na trasie, to zło, moi panowie, które być może kosztowało nas zwycięstwo, usunęły oto socjały. Powtarzam, akurat te socjały, które były gotowe pójść na listopadową zdradę, nie zamieniły co prawda tego chwalebnego projektu w

dawno spóźniony czyn, ale bądź co bądź umożliwiły jego urzeczywistnienie. Bo – zapytuję panów – jaki pożytek przynosiła nam najgęstsza sieć kolejowa, dopóki Bawaria i Saksonia wzbraniały się, bądźmy szczerzy: z oczywistej nienawiści do Prus wzbraniały się przed zespoleniem w końcu na skalę Rzeszy tego, co nie tylko z woli Boga, lecz także ze względów racjonalnych stanowi całość? Dlatego stale mówiłem: Dopiero po szynach Reichsbahnu pojedzie pociąg ku rzeczywistej jedności. Albo jak mądrze przewidując powiedział już stary Goethe: „Czemu upór władców przeszkadza, to kolej żelazna naprawi...” Ale widać najpierw narzucony pokój, a następnie wydanie w sięgające bezwstydnie ręce wroga ośmiu tysięcy lokomotyw oraz iks tysięcy osobowych i towarowych wagonów musiały dopełnić naszego nieszczęścia, żebyśmy byli skłonni na rozkaz tej wątpliwej republiki z Prusami i Saksonią, nawet z Bawarią i Hesją, z Meklemburgią-Schwerinem i Oldenburgiem zawrzeć układ państwowy, na mocy którego Rzesza przejęła wszystkie koleje poszczególnych landów, bardzo zresztą zadłużone, przy czym ceną przejęcia łatwo mogłaby być równowartość długów, gdyby wskutek inflacji wszelkie wyliczenia nie stały się kpiną. Ale spoglądając wstecz na rok dwudziesty i stojąc przez panami z już uniesionym kielichem mogę śmiało powiedzieć: Tak jest, moi panowie, odkąd ustawa o kolejach Rzeszy wyposażyła nas w pokaźny kapitał rentowomarkowy, zlikwidowaliśmy zadłużenie, a nawet potrafimy wygospodarować wymagane od nas bezczelnie świadczenia reparacyjne, ponadto modernizujemy się na bieżąco, mianowicie z bardzo cenną pomocą panów. Nawet jeśli z początku po kryjomu, potem już całkiem jawnie nazywano mnie „ojcem ujednoczonej niemieckiej lokomotywy”, to ja zawsze wiedziałem, że znormalizowanie budowy lokomotyw może się udać tylko zespolonym wysiłkiem. Czy to Hanomag, jeśli chodziło o maźnice, czy Krauss Co. z mechanizmami rozrządowymi, czy Maffei wyrabiał pokrywy cylindrów, czy Borsig podejmował się montażu, wszystkie te zakłady przemysłowe, których zarządy zebrały się tu dzisiaj na uroczystym spotkaniu, rozumiały, że ujednoczona lokomotywa prócz jedności technicznej ucieleśnia jedność Rzeszy! Jednakże ledwie zaczęliśmy z zyskiem eksportować – ostatnio nawet do Rosji bolszewickiej, gdzie znany profesor Łomonosow wystawił znakomite świadectwo naszym lokomotywom pociągów towarowych na parę przegrzaną – a już odzywają się pierwsze głosy za prywatyzacją kolei. Chce się ciągnąć szybkie zyski. Zmniejszyć personel. Zlikwidować odcinki rzekomo nierentowne. W odpowiedzi mogę tylko zawołać ostrzegawczo: musicie to tłumić w zarodku! Kto oddaje koleje Rzeszy w prywatne, to znaczy obce, bo koniec końców cudzoziemskie ręce, ten szkodzi naszej biednej, upokorzonej ojczyźnie. Bo jak już do swego Eckermanna powiedział Goethe, za którego mądre przewidywania wychylmy teraz wszyscy kielich do dna...

1921

Drogi Peter Panter,

normalnie to ja nigdy do gazet listów nie piszę, ale jak mój narzeczony, a on to na dobrą sprawę czyta wszystko, co mu w ręce wpadnie, niedawno parę faktycznie zabawnych Pańskich kawałków mi podsunął, i to przy śniadaniu, pod kieliszek z jajkiem, serdecznie się uśmiełam, chociaż w tych politycznych zawijasach nie za bardzo mogłam się połapać. Z Pana to ostry gość, że proszę siadać, ale przy tym zawsze dowcipny. Ja lubię takie połączenie. Tylko na tańcu to Pan faktycznie nic a nic się nie rozumie. Bo napisać, że tancerz w shimmy trzyma „ręce w kieszeniach spodni”, to trafić jak kulą w płot. W one-stepie albo w fokstrocie coś takiego może jeszcze by uszło. W każdym razie Horst-Eberhard, który, jak słusznie Pan w swoim artykuliku zauważa, robi na poczcie – ale nie za radcę, tylko przy okienku – i którego ja poznałam w zeszłym roku na parkiecie „U Walterka”, tańczy ze mną shimmy z obiema rękami na wierzchu, ciasno przytulony. A w ostatni piątek, kiedy to moja tygodniówka starczyła akurat na jedną parę pończoch, ale my koniecznie chcieliśmy zadać szyku – może ja faktycznie jestem Pańską „panną Piesewang”, z której Pan się zdrowo nabija – on w Pałacu Admiralskim, gdzie odbywał się konkurs tańca, odstawił ze mną najświeższą nowość z Ameryki, charlestona, numer całkiem ekstra.

Mimo to nie był to „taniec wokół złotego cielca”! W tym względzie mija się Pan z prawdą, Mój Drogi Panie Panter. My tańczymy dla czystej przyjemności. Nawet w kuchni przy gramofonie. Bo my to mamy w sobie. Wszędzie. W brzuchu, aż po ramiona. Nawet w obu uszach, które, jak Pan w swoich artykulikach słusznie spostrzega, u mojego Horsta-Eberharda są nielicho odstające. Bo czy to shimmy, czy charleston, sprawa jest nie tylko w nogach, ale bierze się ze środka i przenika na wskroś. Normalnie wznosi się falami od dołu do góry. I to pod samą czaszkę. Nawet dygotanie należy do kompletu i daje troszeczkę szczęścia. Ale jeśli Pan nie wie, co to jest szczęście, mam na myśli szczęście chwili, to niech się Pan zgodzi, że ja „U Walterka” w każdy wtorek i każdą sobotę dam Mu darmową lekcję.

Ma Pan moje słowo! Byle tylko nie kucać. Zaczniemy spokojniutko. Na rozgrzewkę odstawimy one-stepsa przez cały parkiet tam i z powrotem. Ja poprowadzę, a Pan w drodze wyjątku pozwoli się prowadzić. Zwyczajnie kwestia zaufania. Poza tym to idzie łatwiej, niż się wydaje. A potem spróbujemy „Akurat banany”. Można podśpiewywać. Tak jest przyjemniej. I jeśli potem nie dostanie Pan zadyszki, a mój Horst-Eberhard nie będzie miał nic przeciw, to puścimy się oboje w normalnego charlestona. Z początku czuje się go nielicho w łydkach, ale jak on rozgrzewa. A jeśli potem będziemy w dobrym nastroju, to ja ekstra dla Pana otworzę swoją puszczkę. Byle tylko nie kucać! Ledwie szczypta. Nie ma mowy, żeby się przyzwyczaić. Tylko dla rozweselenia, pod słowem.

Mój Horst-Eberhard mówi zresztą, że Pan po większej części pisze pod jakimś pseudonimem. Raz jako Panter, innym razem jako Tiger, to znów jako pan Wróbel. I że jest z Pana mały, gruby polski Żyd, gdzieś o tym czytał. Ale nic nie szkodzi. Moje

nazwisko też kończy się na ski. A grubasy to po większej części dobrzy tancerze. I jak w przyszłą sobotę będzie Pan przy forsie, i w ogóle w dobrym humorze, to raz-dwa otworzymy butelkę szampana albo i dwie. I ja opowiem Panu, co to się dzieje w sklepie z butami. Bo ja jestem u Leisera, w dziale męskim. Tylko o polityce nie będziemy gadać. Obiecuje Pan?

Z serca Panu oddana Ilse Lepinski

Peter Panter to jeden z dziennikarskich pseudonimów Kurta Tucholskiego (1890-1935), prozaika i publicysty. Tucholsky zmarł na emigracji w Szwecji. Z jego utworów przełożono na polski powieść garnek Cripsholm” oraz wybór publicystyki „Księga pięciu szyderców”. (Przyp tłum.)

1922

Co jeszcze chcecie ode mnie usłyszeć! Wy, dziennikarze, tak czy siak wszystko wiecie lepiej. Co było do powiedzenia, to powiedziałem. Ale mnie przecież żaden nie wierzy. „Nie ma stałego zajęcia i cieszy się złą opinią”, podano przed sądem do protokołu. „Ten Theodor Brüdigam to szpicel”, mówiono, „opłacany przez socjałów i ponadto przez reakcję”. Owszem, ale płacili tylko ludzie z brygady Ehrhardta, którzy – jak pucz Kappa spalił na panewce i brygadę pod przymusem trzeba było rozwiązać – dalej robili swoje. A co mieli robić innego? I co tutaj znaczy „nielegalnie”, skoro z grubsza wszystko, co się dzieje, tak czy siak urąga prawu, a wroga ma się po lewej, nie zaś, jak twierdzi kanclerz Wirth, po prawej. Nie, to nie komandor Ehrhardt, tylko kapitan Hoffmann miał w swojej gestii honoraria. I ten to na pewno należy do O. C. Co do innych to nigdy tego tak dokładnie nie wiadomo, bo oni sami nie wiedzą, kto jest w organizacji, kto nie. Nieduże sumy pochodziły też od Tillessena. To brat owego Tillessena, co strzelał do Erzbergera i jest takim samym katolikiem jak ta szychy w Centrum, której już nie ma. Tillessen ukrywa się teraz na Węgrzech albo gdzieś indziej. Ale właściwie to angażował mnie Hoffmann. Miałem dla Organizacji Consul inwigilować kilka lewicowych ugrupowań, nie tylko komunistycznych. Jakby od niechcienia wyliczył mi, z kim po listopadowym zdrajcy Erzbergerze trzeba się jeszcze załatwić. Naturalnie z socjałem Scheidemannem i ugodowcem Rathenauem. Były też plany co do kanclerza Wirtha. Zgadza się, to ja w Kassel ostrzegłem Scheidemanna. Dlaczego? No, ponieważ jestem zdania, że nie drogą morderstw, tylko jako tako legalnie, i to najpierw w Bawarii, powinno się rozsadzić, obalić cały system i potem, jak ten Mussolini we Włoszech, ustanowić narodowe państwo porządku,

w razie potrzeby z tym gefrajtrem Hitlerem, który jest co prawda blagierem, ale też urodzonym mówcą wiecowym i szczególnie w Monachium ma dużo zwolenników. Ale Scheidemann nie chciał mnie słuchać. Mnie tak czy siak żaden nie wierzy. Na

szczęście nic z tego nie wyszło, bo zamach w Habichtwaldzie – chluśnięcie kwasem pruskim w twarz – nie wypalił. Tak, wąsiska uratowały Scheidemanna. Brzmi to śmiesznie, ale tak było. Toteż już się tej metody nie stosuje. Zgadza się: uważałem, że to obrzydliwe. Z tego powodu chciałem już tylko pracować dla Scheidemanna i jego ludzi. Ale socjały nie dawały mi wiary, kiedy mówiłem: Za Organizacją Consul kryje się Reichswehra, oddział kontrwywiadu. I naturalnie Helfferich, z którego banku płyną pieniądze. I tak czy siak od Stinnesa. Dla plutokratów ta forsa to jakby napiwek. W każdym razie Rathenau, który przecież sam jest kapitalistą i którego ja też ostrzegałem, powinien był właściwie domyślić się, co się święci. Bo jak przedtem Helfferich swoją kampanią „Precz z Erzbergerem!” przygotował grunt pod zamach: „Tylko zdrajca ojczyzny mógł być gotów do wytargowania z Francuzem Fochem haniebnego zawieszenia broni”, tak teraz, tuż przed strzałami, napiętnował Rathenaua jako „ugodowca”. Ale pan minister mimo wszystko nie okazał zaufania. Bo to, że w ostatniej chwili, gdy sprawa nabrała już rozpędu, chciał rozmowy w cztery oczy między kapitalistami, mianowicie z Hugonem Stinnesem, tak czy siak nie mogło go uratować, ponieważ był Żydem. Kiedy dałem mu do zrozumienia, że „szczególnie jest pan zagrożony w czasie porannego dojazdu do ministerstwa”, odpowiedział arogancko, jak arogancka potrafi być ta żydowska arystokracja finansowa: „Ale jakże mam Panu dać wiarę, szanowny panie Brüdigam, skoro wedle posiadanych przeze mnie informacji ma pan bardzo złą opinię...” Nic dziwnego, że później na procesie prokurator nie dopuścił do zaprzysiężenia mnie jako świadka, bo – jak twierdził – „byłem podejrzany o udział w czynie będącym przedmiotem rozprawy”. To jasne, sąd nie chciał ruszać O. C. No, ci, co pociągali za sznurki, mieli pozostać w ukryciu. Co najwyżej przebąkiwano o ewentualnych nielegalnych organizacjach. Tylko ten von Salomon, głupie chłopisko, który pozował na pisarza, na przesłuchaniu przez zwykłą chełpliwość wypaplał nazwiska. Wlepili mu za to pięć lat, chociaż on tylko ściągnął kierowcę z Hamburga. W każdym razie moje ostrzeżenia nie zdały się psu na budę.

Wszystko potoczyło się jak w sprawie Erzbergera. Już wtedy chłopacy z brygady byli zaprawieni w ślepym posłuszeństwie, tak że O. C. mogła po prostu wylosować sprawców, Schulza i Tillessena. Od tego momentu sprawa była jasna. Jak panom chyba z własnych gazet wiadomo, dopadli go w Schwarzwaldzie, gdzie przebywał na wypoczynku z żoną i córką. Czatowali na niego podczas spaceru z innym politykiem Centrum. Z dwunastu oddanych strzałów śmiertelny był postrzał w głowę. Ten inny polityk, doktor Diez, został ranny. Potem sprawcy najspokojniej w świecie powędrowali do pobliskiej miejscowości Oppenau, gdzie w pensjonacie wypili kawę. Czego jednak, moi panowie, nie wiecie, to tego, że w sprawie Rathenaua też odbyło się losowanie, jak jeszcze przed zamachem jeden ze sprawców wyznał księdzu na spowiedzi, po czym ten powiadomił kanclerza Wirtha, zachowując wszelako tajemnicę spowiedzi i nie podając żadnych nazwisk. Ale Rathenau nie chciał wierzyć ani księdzu, ani mnie. I nawet frankfurckiemu zarządowi Żydów niemieckich, których

z kolei ja poinformowałem, nie dał się namówić do wskazanej ostrożności, odrzucił wszelką ochronę policyjną. Dnia 24 czerwca chciał w każdym razie, żeby jak zwykle z willi w Grunewaldzie przy Königsallee zawieźć go odkrytym samochodem na Wilhelmstrasse. Nie słuchał też swego szofera. Dlatego wszystko odbyło się jak w podręczniku. Jeszcze na Königsallee, jak ogólnie wiadomo, szofer musiał zahamować na skrzyżowaniu z Erdener i Lynarstrasse, ponieważ aleję zatarasował wóz konny, którego woźnica zresztą nie został przesłuchany. Z podążającego za samochodem Rathenaua rajdowego mercedesa-benza oddano dziewięć strzałów, z których pięć doszło celu. W trakcie wyprzedzania udało się umieścić jajowy granat ręczny. Sprawców przepełniał nie tylko żołnierski duch, ale też nienawiść do wszystkiego, co nie jest niemieckie. Techow prowadził mercedesa, Kern umiał obchodzić się z pistoletem maszynowym, Fischer, który podczas ucieczki odebrał sobie życie, rzucił granat. Ale wszystko to wyszło tylko dlatego, że mnie, osobie o złej reputacji, szpiclowi Brüdigamowi, nikt nie chciał wierzyć. Wkrótce Organizacja Consul zaprzestała wypłat, a w rok później marsz gefrajtra Hitlera do monachijskiej Galerii Wodzów zakończył się krwawym niepowodzeniem. Moja próba ostrzeżenia Ludendorffa nie wypaliła. A tym razem pracowałem bez zapłaty, bo na pieniądzach nigdy mi nie zależało. Tak czy siak z każdym dniem traciły na wartości. Jedyne z troski o Niemcy... Jako patriota podjąłem... Ale nikt nie chce mnie słuchać. Panowie też nie.

Walter Rathenau (1867-1922), polityk i przemysłowiec, w Republice Weimarskiej minister odbudowy, a następnie spraw zagranicznych. Philipp Scheidemann (1865-1939), jeden z przywódców niemieckiej socjaldemokracji, w roku 1919 stanął na czele pierwszego rządu Republiki Weimarskiej, od 1933 na emigracji. (Przyp. tłum.)

1923

Dzisiaj to banknoty ładnie wyglądają. I moje prawnuki lubią się nimi bawić w sprzedawanie i kupowanie domów, zwłaszcza że z czasów sprzed upadku muru zachowałam jeszcze kilka papierków z kłosem i cyrklem, które co prawda nie będąc ozdobione tyłoma zerami mają dla dzieci mniejszą wartość i służą im tylko za drobne.

Pieniądze inflacyjne znalazłam po śmierci matki w jej książce gospodarczej, którą często teraz przeglądam w zamyśleniu, ponieważ zapisywane tam ceny i przepisy kulinarne budzą we mnie zarówno smutne, jak i urocze wspomnienia. No cóż, mamie na pewno nie było lekko. My, cztery dziewczynki, sprawiałyśmy jej choćby mimo woli dużo kłopotów. Ja byłam najstarsza. I na pewno ów fartuch domowy, który pod koniec dwudziestego drugiego kosztował – jak czytam – trzy i pół tysiąca marek, był przeznaczony dla mnie, bo co wieczór pomagałam mamie obsługiwać tak pomysłowo stołowanych przez nią sublokatorów. Chłopkę za osiem tysięcy nosiła aż do zderzenia

moja siostra Hilda, nawet jeśli nie chce wspominać zielono-czerwonego wzoru. Ale Hilda, która już w latach pięćdziesiątych wyjechała na Zachód i od dziecka była bardzo zawzięta, tak czy owak odżegnała się od wszystkiego, co było kiedyś.

No cóż, te ceny wołające o pomstę do nieba. Myśmy z nimi wyrastały. I w Chemnitz, ale gdzie indziej na pewno też, śpiewaliśmy wyliczankę, którą moje prawnuki jeszcze dziś uważają za całkiem ładną:

Milion, trzy i pięć wnet ci zasolę. Matka gotuje dzisiaj fasolę. Dychę nam za funta dasz. Bez omasty tyś nie nasz.

A fasola albo soczewica była trzy razy w tygodniu. Bo owoce strączkowe, łatwe przecież do przechowywania, jeśli kupiło się je w odpowiednim czasie, tak jak mama, stale zyskiwały na wartości. To samo odnosiło się do corned beefu, którego kilka zachomikowanych tuzinów puszek piętrzyło się w kuchennym kredensie. Więc dla naszych trzech sublokatorów, którzy ze względu na nieustannie rosnące ceny musieli płacić codziennie, mama gotowała gołąbki i krostki nadziewane corned beefem. Na szczęście jeden z sublokatorów, nazywany przez nas, dzieci, wujkiem Eddim, a przed wojną zatrudniony jako steward na dumnych parowcach pasażerskich, miał w zapasie woreczek srebrnych dolarów. A że wujek Eddi po wczesnej śmierci ojca był z mamą blisko, znajduję w książce gospodarskiej także wzmianki o tym, że amerykańskiego dolara można było początkowo kupić za siedem i pół tysiąca, a później za dwadzieścia i więcej milionów. A pod koniec, kiedy w woreczku wujka Eddiego pobrzękiwało już tylko parę srebrników, równowartość -nie do uwierzenia – szła w biliony. W każdym razie wujek Eddi troszczył się o świeże mleko, tran, krople nasercowe dla mamy. A czasem, jak byliśmy grzeczne, nagradzał nas czekoladowymi cukierkami.

Ale szarym biuralistom i urzędnikom państwowym, nie mówiąc już o tych wszystkich, co byli zdani na opiekę społeczną, wiodło się marnie. Z samej tylko wdowiej renty przysługującej jej po ojcu-urzędniku mama nie dałaby rady nas utrzymać. I wszędzie żebracy i żebrzący inwalidzi. Jednakże pan Heinze, który mieszkał na parterze i zaraz po wojnie odziedziczył znaczny spadek, posłuchał widać dobrej rady, lokując swój majątek w przeszło czterdziestu hektarach ziemi ornej i pastwisk, po czym chłopom, którzy uprawiali jego grunta, każąc wypłacać sobie czynsz w naturze. Podobno wisiały u niego całe polcie słoniny. Potem – kiedy pieniądz składał się już z samych zer i wszędzie wydawano bony pieniężne, u nas, w Saksonii, nawet bony węglowe – zamienił je na bele materiałów – kamgarnu, gabardyny – tak że jak w końcu przyszła marka rentowa, szybko złapał wiatr w żagle. No cóż, jemu się powiodło!

Ale kombinatorem, co się na wojnie utuczył, jak ubliżali mu ludzie, to pan Heinze

chyba nie był. Ci nazywali się inaczej. I wujek Eddi, który już wtedy był komunistą, a później w państwie robotników i chłopów, tu w Karl-Marx-Stadt, jak się potem

Chemnitz nazywało, czegoś się dochrapał, potrafił tych wszystkich „rekinów w cylindrach”, jak mawiał zwykle o kapitalistach, wymienić z nazwiska. Dla niego i dla mamy na pewno było lepiej, że nie doczekali już zachodnich pieniędzy. Dzięki temu oszczędzone zostało im zmartwienie, co będzie, jak przyjdzie euro.

1924

Ustalono Kolumbową datę. Mieliśmy wznieść się w górę z dokładnością co do dnia. Jak genueńczyk w roku 1492 z okrzykiem „Cumy rzuć!” obrał kurs na Indie, choć w rzeczywistości to na Amerykę, tak my, mając wszakże do dyspozycji dokładniejszy instrument, chcieliśmy podjąć ryzyko. I właściwie nasz sterowiec był w odkrytym hangarze gotów do startu wczesnym rankiem 11 października. Paliwo dla pięciu silników maybacha i balast wodny w ściśle wyliczonych ilościach znalazły się na pokładzie. Liny były już w dłoniach drużyny trzymaczy. Ale LZ 126 nie chciał popłynąć, zrobił się ociężały i pozostał ociężały, bo nagle nadciągnęła mgła z cieplejszymi masami powietrza i zasnuła cały rejon Jeziora Bodeńskiego. Nie mając możliwości zredukowania zasobów wody czy paliwa musieliśmy przełożyć start na następny ranek. Ciężko było znosić kpiny czekającego tłumu. Ale 12 października szczęśliwie wzbiliśmy się w przestworza.

Dwudziestu dwóch ludzi załogi. To, czy ja jako mechanik pokładowy wejść w jej skład, przez długi czas było niepewne, uchodziłem przecież za jednego z tych, co w imię narodowego protestu zniszczyli trzymane we Friedrichshafen nasze ostatnie cztery sterowce wojenne, nie dopuszczając do wydania ich w ręce wroga; tak jak ponad siedemdziesiąt okrętów naszej floty wojennej, wśród nich tuzin pancerników i krążowników liniowych, które miały być przekazane Anglikom, zostało w czerwcu dziewiętnastego zatopionych przez naszych marynarzy na wodach Scapa Flow.

Alianci z miejsca zażądali odszkodowania. Amerykanie chcieli zainkasować od nas przeszło trzy miliony marek w złocie. Wtedy zakłady Zeppelina wystąpiły z propozycją, żeby wszystkie długi pokryć dostawą sterowca, zbudowanego wedle najnowszych wymogów techniki. A że armia amerykańska okazała nader żywe

zainteresowanie naszym najświeższym modelem, który zapewniał napelnienie powłoki 70 000 metrów sześciennych helu, udało się dobić targu: LZ126 miał dolecieć do Lakehurst i zaraz po lądowaniu zostać przekazany Amerykanom.

Właśnie to wielu z nas poczytywało za hańbę. Ja także. Czy nie zostaliśmy dostatecznie upokorzeni? Czy pokojowy dyktat nie nałożył na ojczyznę ciężarów

ponad miarę? My – to znaczy niektórzy z nas – nosiliśmy się z myślą udaremnienia tego nieczystego interesu. Długo musiałem walczyć ze sobą, nim nabrałem przekonania, że przedsięwzięcie ma jakiś tam pozytywny sens. Ale dopiero po tym, jak doktorowi Eckenerowi, którego uwielbialiśmy wszyscy jako kapitana i człowieka, uroczyście przyrzekłem, że zrezygnuję z sabotażu, wolno mi było wziąć udział w podróży.

LZ 126 był tak nieskazitelnie piękny, że po dziś dzień mam go przed oczyma. Jednakże od początku, jeszcze nad kontynentem europejskim, kiedy na wysokości zaledwie pięćdziesięciu metrów przesuwaliliśmy się nad siodłami Cote d'Or, moje myśli zaprzętała idea zniszczenia. Choć wyposażeni luksusowo na przyjęcie dwóch tuzinów osób, nie mieliśmy na pokładzie żadnych pasażerów, tylko kilku amerykańskich wojskowych, którzy co prawda przez całą dobę mieli nas na oku. Ale gdy nad wybrzeżem hiszpańskim koło Przylądka Ortegal przyszło nam walczyć z porywistymi wichrami i sterowiec gwałtownie kołysał się na boki, każda para rąk była zajęta utrzymaniem kursu, a wojskowi musieli zwrócić swą uwagę ku nawigacji, zamach byłby możliwy. Wystarczyłoby zrzucić zbiorniki paliwa i wymusić w ten sposób lądowanie. Ponownie poczułem tę pokusę, kiedy pod nami ukazały się Azory. Dzień i noc targały mną wątpliwości, gryzłem się, szukałem okazji. Jeszcze gdy wzbiliśmy się na wysokość dwóch tysięcy metrów ponad mgły zasnuwające płyciznę u brzegów Nowej Fundlandii i trochę później, gdy podczas burzy złamał się jeden z elementów metalowego szkieletu, miałem chęć nie dopuścić do coraz bliższej hańby oddania LZ 126 w obce ręce, ale na chęci się skończyło.

Co sprawiało, że się wahałem? Na pewno nie strach. Ostatecznie w czasie wojny, skoro tylko nad Londynem reflektory poszukujące chwytały nasz sterowiec, byłem stale wystawiony na niebezpieczeństwo zestrzelenia. Nie, lęk był mi obcy. Paraliżowała mnie, ale nie przekonywała jedynie woła doktora Eckenera. Doktor nalegał, żeby na przekór wszelkiej samowoli zwycięskich mocarstw dostarczyć dowodu niemieckiej prężności, choćby w postaci naszego lśniącego srebrzyście podniebnego cygara. Ugiąłem się w końcu pod tą wolą, rezygnując z wszelkich zamiarów, bo jakaś drobna, niejako symboliczna awaria nie zrobiłaby wrażenia, zwłaszcza że Amerykanie wysłali naprzeciw nam dwa krążowniki, z którymi utrzymywaliśmy stały kontakt radiowy. W razie czego oni przysliby nam z pomocą, nie tylko przy ciągłym przeciwnym wietrze, lecz także przy najdrobniejszym akcie sabotażu.

Dopiero dzisiaj wiem, że moja rezygnacja z wyzwającego czynu była słuszna. Ale już wtedy, kiedy LZ 126 zbliżał się do Nowego Jorku, gdy 15 października spośród porannych oparów pozdrowiła nas Statua Wolności, gdy przelatywaliśmy nad Zatoką, gdy pod nami rozpostarła się wreszcie metropolia z wierzchołkami drapaczy chmur i wszystkie statki stojące w porcie powitały nas wyciem syren, gdy

dwukrotnie na średniej wysokości przelecieliśmy całą długość Broadwayu tam i z powrotem, a potem wzbiliśmy się na trzy tysiące metrów, żeby wszystkim mieszkańcom Nowego Jorku wryło się w pamięć błyszczące w porannym słońcu świadectwo niemieckiej prężności, gdy w końcu wzięliśmy kurs na Lakehurst i znaleźliśmy jeszcze akurat tyle czasu, żeby korzystając z pozostałego nam zapasu wody umyć się i ogolić, gdy wyszykowaliśmy się tip-top na lądowanie i powitanie, byłem już tylko dumny, niezmiernie dumny.

Później, kiedy smutne przekazanie sterowca w obce ręce mieliśmy już za sobą, a cała nasza дума nosiła odtąd nazwę „Los Angeles”, doktor Eckener podziękował mi, zapewniając przy tym, że współprzeżywał toczoną przeze mnie walkę. – Ano tak – powiedział – podporządkowanie się usilnemu nakazowi zachowania godności przychodzi z trudem. – Co też on poczuł, kiedy w trzynaste lat później „Hindenburg”, najpiękniejszy symbol znowu silnej Rzeszy, napełniony niestety nie helem, tylko łatwopalnym wodorem, spłonął przy lądowaniu w Lakehurst? Czy podobnie jak ja miał pewność: To był sabotaż? To sprawka czerwonych! Oni się nie wahali. Ich godność podlegała innemu nakazowi.

1925

Niektórzy widzieli we mnie tylko marudne dziecko. Żadnym z wypróbowanych sposobów nie można było mnie uciszyć. Nawet teatr lalek, którego kolorową dekorację i pół tuzina marionetek mój tata zmajstrował naprawdę z dużym staraniem, nie zdołał mnie zabawić. Wciąż narzekałem. Nie było jak wyłączyć tego ustawicznie wznoszącego się i opadającego dźwięku. Ani bajki, które próbowała opowiadać babcia, ani inicjowane przez dziadka zabawy z piłką nie powstrzymywały mnie od marudzenia, a w końcu uderzania w ryk i szarpania nerwów rodziny i jej gości objawami niezmiennie złego humoru, niweczenia ich rozmów nastawionych zdecydowanie na błyskotliwość. Wprawdzie na pięć minut można było przekupić mnie czekoladowymi kocimi języczkami, ale nic, tak jak dawniej matczyzna pierś, nie uspokajało mnie na dłuższą metę. Nawet rodzicielskim klótniom nie pozwalałem rozwijać się bez przeszkód.

Potem wreszcie, zanim jeszcze staliśmy się opłacającymi składki członkami Towarzystwa Radiowego Rzeszy, mojej rodzinie przy pomocy detektorowego odbiornika ze słuchawkami udało się zrobić ze mnie dziecko milczące, zamknięte w sobie. Stało się to w rejonie Wrocławia, gdzie Rozgłośnia Śląska przed południem i po południu oferowała urozmaicony program. Rychło nauczyłem się posługiwać nielicznymi gałkami i uzyskiwać odbiór wolny od zaburzeń atmosferycznych i różnych innych szumów.

Słuchałem wszystkiego. Ballady Carla Loewego „Zegar”, promiennego tenora Jana

Kiepur, boskiej Erny Sack. Czy to Waldemar Bonsels czytał fragment „Pszczołki Mai”, czy też napięcie stwarzała transmitowana bezpośrednio relacja z regat wioślarskich, cały zamieniałem się w słuch. Pogadanki o higienie jamy ustnej czy o tym, „Co należy wiedzieć o gwiazdach”, kształciły mnie wielostronnie. Dwa razy dziennie słuchałem sprawozdań z giełdy i dowiadywałem się w ten sposób o sprzyjającej koniunkturze w przemyśle; mój tata zajmował się eksportem maszyn rolniczych. Wcześniej aniżeli moja rodzina, która obecnie, mając mnie z głowy, mogła poświęcić się pryncypialnym a nieustannym kłótniom, usłyszałem o śmierci Eberta i nieco później, że dopiero w drugiej turze jego następcą na stanowisku prezydenta Rzeszy został wybrany feldmarszałek Hindenburg. Ale również audycje dla dzieci, w których legendarny bohater Liczyrzepa hasał po swojskich Karkonoszach i napędzał stracha biednym węglarzom, miały we mnie wdzięcznego słuchacza. Mniej lubiłem krasnali z dobranocki, owych skrzętnych przewodników późniejszych telewizyjnych przebojów, noszących i na Wschodzie, i na Zachodzie miano „Piaskowego dziadka”. Ale moimi prawdziwymi faworytami były wypróbowane w najwcześniejszym okresie radia słuchowiska, w których świszczał wiatr, deszcz realistycznie bębnił po dachu, huczał grzmot, rżał wierzchowiec jeźdźca na białym koniu, skrzypiały drzwi albo marudziło dziecko, jak dawniej ja marudziłem.

Jako że w wiosenne i letnie wieczory często zostawiano mnie w ogrodzie naszej willowej posiadłości, gdzie dzięki detektorowemu radiu również znajdowałem zadowolenie, kształciłem się na łonie natury. Ale liczne głosy ptaków nie dochodziły do mnie spod nieba czy z gałęzi naszych owocowych drzew, za pośrednictwem doktora Hubertusa, genialnego naśladowcy zwierzęcych głosów, poznawałem przez słuchawki czyżyka i sikorkę, kosa i ziębę, wilgę i trznadła, skowronka. Nic dziwnego, że niesnaski między moimi rodzicami przerodzone w kryzys małżeński pozostawały dla mnie czymś odległym. Toteż ich rozwód nie był wydarzeniem nadmiernie bolesnym, bo mamie i mnie przypadła wrocławska podmiejska willa z ogrodem, całe urządzenie, a więc także odbiornik radiowy i słuchawki.

Nasz detektorowy aparat był wyposażony we wzmacniacz niskich częstotliwości. Do słuchawek mama dokupiła muszle ochronne, które zmniejszyły dokuczliwy ucisk. Później aparaty z głośnikami – myśmy mieli pięciolampowy przenośny odbiornik firmy Blaupunkt – wyparły mój ukochany detektor. Wprawdzie mogliśmy teraz słuchać radiostacji Königs Wusterhausen, a nawet hamburskich koncertów portowych i wiedeńskiego chóru chłopięcego, ale przepadła ekskluzywność słuchawek.

Nawiasem mówiąc to Rozgłośnia Śląska pierwsza wprowadziła miły dla ucha trójdźwięk jako sygnał stacji, co potem przyjęło się w całych Niemczech. Kogo by to zdziwiło, że pozostałem wierny radiu – i to zawodowo. W czasie wojny na przykład byłem odpowiedzialny za stronę techniczną popularnych audycji od Oceanu

Lodowatego po Morze Czarne, od Wału Atlantyckiego po Pustynię Libijską, choćby na Boże Narodzenie: nastrojowe scenki ze wszystkich frontów. A gdy wybiła nam godzina zero, wyspecjalizowałem się w realizowaniu w Rozgłośni Północnozachodniemieckiej słuchowisk, gatunku z biegiem lat wymierającego, podczas gdy słuchawki z mojego dzieciństwa znów cieszą się u młodzieży rosnącą popularnością: młodzi mają zatkane uszy, są milcząco zamknięci w sobie, wyłączeni, a jednak całkowicie obecni.

1926

Kreskowane spisy to moja robota. Gdy Jego Cesarska Mość poczuł się zmuszony pójść na wygnanie, od początku do mnie należało utrzymywanie porządku: cztery kreski poziomo, jedna na ukos. Już w pierwszej siedzibie na ziemi holenderskiej J.C.M. lubił własnoręcznie ścinać drzewa, potem powtarzało się to codziennie w leżącym wśród lasów zamku Doorn. Kreskowane spisy sporządzałem nadprogramowo, bo w zasadzie byłem odpowiedzialny za konserwację powozów z wozowni. I tam J.C.M. także przy złej pogodzie ze mną, a czasem ze swym adiutantem, panem von Ilsemannem, przepiłowywał pnie na sążniowe polana, przeznaczone dla kominków w głównej budowli i w oranżerii służącej za dom gościnny. Ale drwa rąbał tylko w pojedynkę, oczywiście zdrową ręką. Już wczesnym rankiem, zaraz po nabożeństwie, na którym J.C.M. bywał wraz z czeladzią, szło się do lasu, także w deszcz. I to dzień w dzień. Lecz ścinanie drzew podobno służyło cesarskiemu odprężeniu już w Wielkiej Kwaterze Głównej w Spa, wówczas pod koniec października, kiedy to Ludendorff został, że tak powiem, splawiony i zastąpiony przez generała Groenera. Słyszę jeszcze, jak J.C.M. później przy piłowaniu w wozowni wyrzekął: „To ten Ludendorff ponosi winę!” I kto tam jeszcze był winien zawieszeniu broni i wszystkiemu, co po nim nastąpiło. Naturalnie czerwoni. Ale też książe Maks Badeński, wszyscy ministrowie, dyplomacja, nawet następca tronu. Wielkiemu admirałowi Tirpitzowi chciał odebrać Wielki Order Czarnego Orła, lecz sztab doradców, z tajnym radcą na czele, nakłonił go, żeby poprzestać na upomnieniu. Ordery J.C.M. jednak rozdawał, i to, jak pozwałam sobie zauważyć, często zbyt szczerze, na przykład, gdy goście przychodzili zaraz po piłowaniu i rąbaniu drzew, pomiędzy nimi wielu służalców, którzy później go opuścili. Tak w każdym razie bywało przez tygodnie i miesiące.

Jako że do mnie należało sporządzanie kreskowanych spisów, mogę zapewnić, iż już po roku spędzonym pod holenderską opieką w Amerongen Jego Cesarska Mość miał na swoim koncie tysiące ściętych drzew. Gdy potem w Doorn padło dwunastotysięczne, zostało przepiłowane na płaty, a te, sygnowane każdorazowo dużym W, zyskały sobie popularność jako upominki dla gości. Nie, ja nie dostąpiłem łaski takiego zaszczytnego daru.

Ależ z pewnością! Dwanaście i więcej tysięcy drzew. Zachowałem kreskowane spisy. No, na później, kiedy powróci cesarstwo i Niemcy nareszcie się zbudzą. A że obecnie w Rzeszy coś niecoś się rusza, wolno bądź co bądź mieć nadzieję. Bo dlatego, tylko dlatego J.C.M. nie ustawał w wysiłkach. Gdy niedawno naród w głosowaniu odrzucił projekt wywłaszczenia ksiąząt i nam, zajęтым układaniem drewna w sagi, doręczono depeszę ze zwięzłym, ale przecież radosnym rezultatem, były nawet powody do większej nadziei. W każdym razie Jego Cesarska Mość oświadczył spontanicznie: „Jeśli naród niemiecki mnie wezwie, to z miejsca jestem gotów!”

Już w marcu, kiedy przyjechał w gościnę Sven Hedin, sławny podróżnik i badacz, obecny na porannym ścinaniu drzew, jak najgoręcej zachęcał cesarza: „Kto jedynie prawą ręką powala jedno drzewo za drugim, ten potrafi także w Niemczech przywrócić porządek”. Potem opowiadał o swych podróżach po wschodnim Turkiestanie, do Tybetu i przez pustynię Gobi. Nazajutrz rano J.C.M. między kolejno ścinanymi drzewami kilkakrotnie zapewniał Szweda, że bardzo nienawidził wojny i na pewno jej nie chciał. Mogę to zaświadczyć. Zwłaszcza przy porannym wyrębie raz po raz zaklinał się uroczyście: „Byłem jeszcze w letniej podróży do Norwegii, kiedy już Francuzi i Rosjanie z bronią u nogi... Byłem z gruntu przeciwny wojnie... Zawsze chciałem uchodzić za księcia pokoju... Ale skoro musiało tak być... Także nasza flota była rozproszona... Natomiast angielska pod Spithead... Tak jest, skoncentrowana w pełnej gotowości... Musiałem działać...”

Potem z kolei J.C.M. najczęściej przechodził do bitwy nad Marną Przeklinał generałów, szczególnie gwałtownie Falkenhayna. W ogóle przy rąbaniu drzew lubił sobie ulżyć. Każde uderzenie – zawsze zadawane prawą, zdrową ręką – było celne. Zwłaszcza jeśli chodziło o listopad osiemnastego. Najsamprzód dostawali za swoje Austriacy ze swym wiarołomnym cesarzem Karolem, potem obrywało się dekokownikom na tyłach, początkom niesubordynacji i czerwonym flagom w pociągach wiozących urlopowiczów z frontu. Między poszczególnymi uderzeniami oskarżał także rząd, a najbardziej księcia Maksa: „Ten kanclerz rewolucji!”, następnie J.C.M. – sterta drzew tymczasem rosła – poruszał sprawę wymuszonej abdykacji. – Nie! – wołał. – To moi mnie zmusili, a dopiero potem czerwoni... Ten Scheidemann... Nie ja opuściłem armię, to armia opuściła mnie... Nie było już powrotu do Berlina... Wszystkie mosty na Renie pod kontrolą... Powinienem być zaryzykować wojnę domową... Albo wpadłbym w ręce wroga... Spotkałby mnie haniebny koniec... Albo sam bym sobie wpakował kulę... Pozostawało tylko przekroczyć granicę...

Tak upływa nam każdy dzień, mój panie. Jego Cesarska Mość wydaje się niezmordowany. Lecz ostatnio rąbie drwa w milczeniu. A ja nie mam już obowiązku sporządzania kreskowanych spisów. Ale na porębach wokół Doorn rok po roku rosną szkółki leśne, młody drzewostan, który J.C.M. w odpowiednim czasie będzie

chciał wyciąć.

1927

Spodziewając się mnie moja mama była w błogosławionym stanie do połowy złotego października, ale ściśle biorąc złoty był tylko rok moich narodzin, podczas gdy pozostałe lata dwudzieste przed nimi i po nich co najwyżej iskrzyły się albo usiłowały kolorowo zakrzyczeć dzień powszedni. A co nadało blask mojemu rokowi? Może marka rentowa, bo się ustabilizowała? Albo „Bycie i czas”, książka, która wniosła na rynek pompatyczną podniosłość słów, po czym każdy gazetowy autorzyna zaczynał w swoim kąciku heideggerować?

Nie da się ukryć: po wojnie, głodzie i inflacji, o których przypominali kalecy na każdym rogu i powszechnie zbiedniały stan średni, można było fetować życie jako „rzucenie” albo przy szampanie lub wciąż jeszcze szklaneczce martini roztrząsać jako „bycie ku śmierci”. Ale te pompatyczne słowa, rozdmuchane na miarę egzystencjalnego finału, z pewnością nie były złote. To raczej głos tenora Richarda Taubera był ze złota. I moja mama, która uwielbiała go na odległość, skoro tylko w bawialni rozbrzmiewał gramofon, po moich narodzinach i potem przez całe życie – a nie dożyła starości – podśpiewywała melodie z oklaskiwanego wówczas na wszystkich operetkowych scenach „Carewicza”: „Stoi żołnierz nad Wołgi brzegiem...” albo „Czyś tam daleko o mnie zapomniał...”, albo „Sam ja, znowu sam...”, aż po gorzko-słodki koniec: „W złotej siedzę klatce...”

Wszystko to jednak było tylko pozłotą. Prawdziwie złote były girlsy, jedynie girlsy. Nawet u nas w Gdańsku występowały gościnnie w swoich błyskotkach, nie od razu w Teatrze Miejskim, ale w sopockim kasynie. Lecz Maks Kauer, który ze swym medium Susi odnosił w Varietes spore sukcesy jako jasnowidz i iluzjonista, tak że za sprawą nalepek hotelowych na swych walizkach mógł dokonać przeglądu europejskich stolic, i którego później, ponieważ był przyjacielem ze szkolnej ławy brata taty Friedela, nazywałem wujem Maksem, tylko machał lekceważąco ręką, gdy była mowa o „bawiących przejazdem girlsach”: – Kiepskie naśladownictwo!

Kiedy mama była jeszcze w ciąży, zawołał podobno: – Musicie któregoś razu koniecznie wpaść do Berlina. Tam zawsze coś się dzieje! – i długimi palcami magika odtwarzał kształty girls z zespołu Tiller, to znaczy ich nie kończące się nogi, a przy tym udawał Chaplina. Umiał opowiadać o „kończynach” girlasek. Twierdził, że są „wyćwiczone na sto dwa”. Potem mówił o „rytmicznej akuratności” i „wielkich chwilach w Pałacu Admiralskim”. Padały też, w związku z towarzyszącym programem, obramowane złotem nazwiska: – Jakże ta porywająca Truda Hesterberg ze swoją gromadką potraktowała Schillerowskich „Zbójców” na jazzowo i wytańczyła ich ukryty komizm. – Słuchało się jego rozmarzonych opowieści o „Chocolate

Kiddies”, które oglądał w „Skali” albo w „Ogrodzie Zimowym”. – A niedługo na gościnne występy ma przyjechać do Berlina Józefina Baker, ta niesamowita kobieta-zwierzę. Wytańczone rzucenie, jak mówi filozof...

Mama, chętnie dająca upust swoim tęsknotom, przekazała mi entuzjazm wuja Maksa: – W ogóle w Berlinie dużo się tańczy, nic, tylko się tańczy. Musicie któregoś razu przyjechać, koniecznie, i zobaczyć oryginalną rewię Hallera z La Jana tańczącą na tle wyszywanej złotem kurtyny. – Po chwili długonogimi palcami magika znów odtwarzał kształty Tillerek. A mama, będąc przy nadziei, pewnie się uśmiechała: – Może kiedyś później, jak interes się rozkręci. – Ale do Berlina nigdy się nie wybrała.

Tylko raz, pod koniec lat trzydziestych, kiedy nie lśniła już ani odrobina złota z poprzedniej dekady, zostawiła sklep kolonialny mojemu ojcu i z wycieczką „Kraft durch Freude” pojechała w góry aż do Salzkammergut. Tam nosiło się krótkie skórzane spodnie. Tańczyło się klepanego.

1928

Możesz pan spokojnie wszystko sobie przeczytać. Ja to dla moich prawnuków spisałam na później. Dzisiaj przecie nikt człowiekowi nie wierzy, co to się wtedy wyrabiało tutaj w Barmbek i w ogóle wszędzie. Czyta się jak powieść, ale wszystkiego człowiek na własnej skórze doświadczył. Ano, zostałam się sama z trzema chłopakami i malutką rentą, jak ojca pod szopą 25 na wybrzeżu Versmanna, gdzie był za sztauera, płyta ze skrzynkami pomarańcz przygniotła. „Z jego własnej winy”, usłyszałam od armatora. Więc z odszkodowania czy należytej odprawy wyszły nici. Wtedy mój najstarszy był już w policji, 46 komisariat, tutaj pan możesz przeczytać: „Herbert to się do partii nie zapisał, ale zawsze na lewicę głosował...” Bo myśmy właściwie byli starą rodziną socjałów, już mój ojciec był socjał i ojciec mojego męża też. Ano, za to Jochen, średni, jak się tutaj burdy zaczęły i nożowe rozprawy, ni z tego, ni z owego zrobił się twardym komunistą, był nawet za bojownika Czerwonego Frontu. Właściwie to ciepłe kluski, przedtem interesowały go tylko jego chrapaszczce i motyle. Przeprowadzał skutny z portu do Kehr wiederfleet i w inne miejsca Dzielnicy Spichrzów. I raptem wyszedł na fanatyka. Tak samo jak Heinz, nasz najmłodszy, który wtedy, jak tutaj i wszędzie indziej wybory do Reichstagu się odbywały, zrobił się prawdziwym małym nazistą, a wcześniej ani słówka mi nie pisnął. Ano ni z tego, ni z owego przyszedł w mundurze SA i mowy głosił. Właściwie wesole chłopaczysko, przez wszystkich lubiane. Też robił w Dzielnicy Spichrzów, przy wysyłce surowej kawy. Czasem po kryjomu coś mi przeszmurował do prażenia. Pachniało wtedy w całym mieszkaniu i na schodach. Aż tu raptem... Mimo to z początku było tu jeszcze spokojnie. Nawet w niedziele, kiedy wszyscy trzej siedzieli przy kuchennym stole, a ja stałam przy palenisku. Ci dwaj tylko sobie dogryzali. A jak

się robiło za głośno, z waleniem pięścią w stół, to mój Herbert przywracał spokój. Jego to ci dwaj słuchali, nawet jak był po służbie, bez munduru. Ano, ale potem były tutaj już tylko awantury. Możesz pan przeczytać, co spisałam z siedemnastego maja, kiedy to zginęło dwóch naszych towarzyszy, obaj z Reichsbannera, no, z samoobrony socjaldemokratów, tacy, co na zebraniach i przed lokalami wyborczymi pilnowali porządku. Jednego zamordowali u nas w Barmbek, drugiego w Eimsbüttel. Towarzysza Tiedemanna zastrzelili komuniści z propagandowego auta. Towarzysza Heidoma wykończyli SA-mani, jak ich przyłapał na zaklejaniu plakatów na rogu Bundesstrasse i Hohe Weide. No, ale podniósł się wrzask u nas przy kuchennym stole. – Neeee! – krzyczał Jochen. – To socjalfaszyści pierwsi do nas wygarnęli i przy tym zakatrupili swojego, tego Tiedemanna... – A mój Heinz ryknął: – To było w obronie własnej, z naszej strony to było tylko w obronie własnej! Zaczęli ci Reichsmazgaje... – Wtedy mój najstarszy, który z policyjnego raportu znał prawdę, cisnął na stół numer „Volksblattu”, a tam pisało – tutaj, możesz pan sobie przeczytać, ja to wkleiłam – „że zabity Tiedemann, z zawodu stolarz, otrzymał postrzał w górno-boczną przednią partię głowy, a z wlotu pocisku i położonego niżej wylotu wynika niezbiecie, iż strzelano z wyżej położonego miejsca...” Ano, było jasne, że komuna z góry w dół i że w Eimsbüttel SA-mani pierwsi. Pomóc jednak to ani trochę nie pomogło. Kłótnia przy kuchennym stole toczyła się dalej, bo tera mój Heinz ujął się za SA i wyzwał mojego najstarszego od „policyjnych świń”, po czym z pomocą przyszedł mu akurat mój średni i mojemu Herbertowi najpaskudniej w świecie rzucił w twarz naprawdę ciężką obelgę:

–Socjalfaszysta. Mój najstarszy, taką już miał naturę, zachował całkowity spokój. Powiedział tylko, co ja tutaj spisałam: – Odkąd ci z Moskwy uchwałą Kominternu pokiełbasili wam w głowach, nie potraficie nawet odróżnić czerwonego od brunatnego... – I jeszcze parę rzeczy powiedział: że jak się robotnicy nawzajem wykańczają, to kapitalista śmieje się w kułak. – Tak to jest – zawołałam od paleniska. Ano, i dziś jeszcze mówię, że na to w końcu wyszło. W każdym razie po krwawej nocy w Barmbek i Eimsbüttel w całym Hamburgu nie było już spokoju. U nas przy kuchennym stole tak czy owak też nie. Dopiero jak mój Jochen, zanim jeszcze nastał Hitler, zerwał z komunistami i raptem został się za bezrobotnego, poszedł do SA w Pinnebergu, gdzie też niezadługo znalazł robotę w silosie zbożowym, zrobiło się tutaj spokojniej. A mój najmłodszy na oko co prawda pozostał nazistą, ale bardzo przycichł i stracił wesołość, aż potem, jak przyszło co do czego, zaciągnął się do marynarki w Eckernförde, służył w U-bootach i zginął na wojnie. Ano, tak jak mój średni. Popchał się aż do Afryki, ale już stamtąd nie wrócił. Mam tylko listy od niego, tutaj wszystkie wklejone. Za to mój najstarszy został w policji i przeżył. Ponieważ z batalionem policyjnym wysłali go do Rosji, aż na Ukrainę, pewnie przyłożył rękę do paru brzydkich rzeczy. Nigdy o tym nie mówił. Nawet po wojnie. A ja nie pytałam. I tak wiedziałam, co się z moim Herbertem działo do samego końca, jak porzucił, było to na jesieni w pięćdziesiątym trzecim, służbę w policji, bo miał raka i już tylko parę

miesiący przed sobą. Swoją Monikę, znaczy się moją synową, zostawił z trójką dzieci, ano, z samymi dziewczynkami. Dawno powychodziły za mąż i same już mają potomstwo. Dla nich to wszystko spisałam na później, mimo że to boli, znaczy się spisywanie. Wszystkiego, co było kiedyś. Ale przeczytaj pan sobie.

1929

I ni stąd, ni zowąd wszyscyśmy się za Amerykanów zostali. Kurde mol, oni nas po prostu kupili. Bo starego Adama Opla już nie było, a młodzi panowie Oplowie nas więcej nie chcieli. Ale nasi ludzie z taśmą produkcyjną dawno już byli otrzaskani. Wszyscy na akord grupowy robili. A mnie samemu przedtem płacili jeszcze od każdej sztuki zrobionej do Zielonej Żabki... Tak się to dwumiejscowe auto nazywało, bo jak całe polakierowane na zielono pokazało się w sprzedaży, to chłopaki na ulicy wołały: „Zielona Żabka!” Kurde flak, gdzieś tam w dwudziestym czwartym seryjna produkcja ruszyła. Ja tak zwane ekscentry hamulcowe wytłaczałem. Na przednią oś trzeba je było zakładać. Ale jak w dwudziestym dziewiątym wszyscyśmy się za Amerykanów zostali, to już tylko akord grupowy był, przy Zielonej Żabce też, bo rach ciach z taśmą teraz schodziła. Ale nie, już nie z całą ferajną, bo ludzi pozwalniali, krótko przed Bożym Narodzeniem, kiepska sprawa. W „Opel-Prolet”, niby naszej zakładowej gazetce, pisało, że Amerykanie tak jak u siebie wprowadzają u nas tak zwany system fordowski: co roku ludzi na bruk wyrzucać i potem takich bez kwalifikacji za psi grosz brać. Coś takiego przy taśmie produkcyjnej się odbywa i przy grupowym akordzie. Ale Zielona Żabka to już była klasa. Szła jak woda. Kurde frans, różni z branży wygadywali: to ściągnięty od żabojadów citroen, tylko tamten żółty był, mówili. Żabojady do sądu się skarżyły, odszkodowania chciały za straty, ale nic nie dostały. A Zielona Żabka w całych Niemczech wielkie wzięcie miała. No, bo była tania, nawet dla zwykłych śmiertelników, nie tylko dla tak zwanych wyższych sfer czy gości z szoferem. Nie, ja to nie. Z czwórką dzieci i domkiem, co nie był spleacony? Ale mój brat, co to był za komiwojażera od nici i innej pasmanterii i jeździć musiał w każdą pogodę, z motoru przesiadł się do naszego dwumiejscowego auta. Miało dwanaście koni! To pana dziwi, no nie? Tylko pięć litrów spalało i wyciągało sześćdziesiątkę. Na początku kosztowało jeszcze cztery sześćset, ale brat dostał je za dwa siedemset, bo ceny wszędzie spadały i bezrobocie coraz gorsze było. Nie, brat ze swoją walizką próbek jeszcze długo jeździł Zieloną Żabką. Ciągle w drodze, kurde balans, aż po Konstancję. I z Elsbeth, co wtedy za jego narzeczoną była, krótkie wypady do Heilbronn albo Karlsruhe. Dobrze mu się w ciężkich czasach działo. Bo w rok po tym, jak u nas cała ferajna za Amerykanów się została, musiałem iść na bezrobocie, jak w Rüsselsheim i gdzie indziej musiało bardzo wielu. No nie, to były czasy! Ale brat parę razy na komiwojażerski objazd mnie wziął, że tak powiem: dla kompanii. Raz Zieloną Żabką zajechaliśmy do Bielefeld, gdzie jego firma była. Wtedy zobaczyłem Porta Westfalica i jakie Niemcy są piękne. I gdzie w Lesie Teutoburskim Cheruskowie

kiedyś tam Rzymianom skórę złoili. Zjedliśmy tam podwieczorek. Fajnie było. Ale poza tym mało miałem do roboty. Czasem coś dla zieleni miejskiej, czasem za pomagiera w cementowni. Dopiero po przewrocie, jak Adolf przyszedł, znów coś wolnego znalazło się u Opla, mianowicie na początek byłem za kontrolera od reklamacji, a potem w zakładzie doświadczalnym, bo już tak długo, jeszcze u Adama Opla, stałem przy tokarce. A mój brat to jeszcze całe lata Zieloną Żabką za komiwojażera jeździł, później nawet po autostradzie, aż w kamasze go wzięli i Zielona Żabka w szopie u nas stała na po wojnie. Ale stoi tam do dzisiejszego dnia, bo brat w Rosji przepadł, a ja nie potrafię się z nią rozstać. Nie, mnie jako zobowiązanego do służby wojskowej tylko do Rygi wysłali, gdzie były nasze zakłady naprawcze. Kurde mol, a potem z naszą ferajną zaraz po wojnie na nowo zacząłem u Opla. Dobrze było, że się za Amerykanów zostaliśmy. Tylko parę bomb przedtem i żadnego demontażu potem. Miało się szczęście, no nie?

1930

W pobliżu Savignyplatz, przy Grolmanstrasse, na krótko przed tunelem pod torami kolejki, znajdował się ten szczególny lokal. Jako przygodny gość przy kontuarze piwiarni Franza Dienera słyszałem, co pod dobrą datą mówiło się o wielkich i małych zdarzeniach przy stole dla stałych bywalców, który co wieczór miał znakomitą obsadę. Należałoby sądzić, że u Franza, który pod koniec lat dwudziestych, nim po piętnastu rundach zdetronizował go Maks Schmeling, był mistrzem Niemiec w wadze ciężkiej, stałą klientelę stanowiło paru dawnych i jeszcze startujących bokserów. Tak jednak nie było. W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych spotykali się u niego aktorzy, ludzie z kabaretu i z radia, nawet pisarze i dość niewyraźne postaci podające się za intelektualistów. A więc tematem były nie sukcesy Bubi Scholza i jego porażka w walce z Johnsonem, lecz teatralne plotki, choćby gorące spekulacje co do przyczyny śmierci Gustafa Gründgensa na dalekich Filipinach czy jakaś intryga Rozgłośni Wolny Berlin. Wszystko to na cały regulator chlustało po kontuar. Dość żywo, pamiętam, spierano się też o „Namiestnika” Hochhutha, ale na ogół nie tykano polityki, chociaż czasy Adenauera dostrzegalnie chyliły się ku końcowi.

Franz Diener, jakkolwiek bardzo się starał wyglądać na jowialnego knajpiarza, miał zasnutą godnością i melancholią twarz boksera. Człowiek chętnie szukał jego bliskości. Franz w sposób solidny tchnął tajemniczym tragizmem. Ale tak było od dawien dawna: artystów i intelektualistów pociągał sport bokserski. Nie tylko Brecht miał słabość do mocno bijących mężczyzn; wokół Maksa Schmelinga, zanim jeszcze pojechał do Ameryki i trafił tam na pierwsze strony gazet, zbierali się ludzie wybitni, wśród nich aktor Fritz Kortner i reżyser filmowy Josef von Sternberg, ale pokazywał się z nim także Heinrich Mann. Dlatego w knajpie Franza Dienera na wszystkich

ścianach frontowej sali, lecz i za kontuarem można było podziwiać nie tylko zdjęcia bokserów w znanej pozie, ale w przeważającej liczbie oprawione w ramki fotografie znanych kiedyś i znanych nadal znakomitości życia kulturalnego.

Franz należał do nielicznych profesjonalistów, którzy umieli zarobione na walkach pieniądze jako tako bezpiecznie zainwestować. W każdym razie jego knajpa była zawsze przepelniona. Stół dla stałych bywalców bywał często zajęty do ostatniego miejsca długo po północy. Franz obsługiwał osobiście. Jeśli wyjątkowo mówiło się o boksie, to prawie nigdy nie chodziło o walki Dienera z Neuslem czy Heuserem – Franz był o wiele za skromny, żeby naprowadzić rozmowę na swoje zwycięstwa – lecz zawsze tylko o pierwszą i drugą walkę Schmelinga z Sharkeyem w roku trzydziestym i trzydziestym drugim, kiedy to Maks został mistrzem świata w wadze ciężkiej, ale niebawem musiał ten tytuł oddać. Poza tym przywoływano zwycięstwo w Cleveland nad Youngiem Striblingiem, który w piętnastej rundzie został znokautowany. Jednakże te wspominki przeważnie starszych panów odbywały się jakby w próżni, co się tyczy polityki tamtych lat: ani słowa o rządzie Brüninga i szoku, kiedy to naziści po wyborach do Reichstagu wysunęli się nagle na drugie miejsce wśród najsilniejszych partii.

Już nie pamiętam, czy to aktor O. E. Hasse, który zyskał sławę w „Generale diabła”, czy znany już wówczas szwajcarski autor Dürrenmatt, którego próby teatralne sprowadzały czasem do Berlina, rzucił hasło; może to ja rzuciłem je od kontuaru. Całkiem możliwe, bo w sporze, do jakiego zaraz przyszło, w gruncie rzeczy chodziło o ową transmisję radiową z dwunastego czerwca trzydziestego, której trzynastego od trzeciej nad ranem można było u nas słuchać przez amerykańskie stacje krótkofalowe; a ja jako technik radiowy odpowiadałem za rozgłoszenie Radia Rzeszy w Zehlendorfie. Mając do dyspozycji skonstruowany niedawno odbiornik krótkofalowy, dbałem o optymalny odbiór, jak już przedtem – choć nie bez zakłóceń – puszczałem w eter walkę Schmelinga z Paolino, a jeszcze wcześniej byłem asystentem przy transmisji pierwszego lądowania zeppelinu w Lakehurst. Setki tysięcy słuchały, jak sterowiec LZ 126 przelatując tam i z powrotem wysoko nad Manhattanem dawał pokaz swoich możliwości. Ale tym razem przyjemność skończyła się już po półgodzinie: Sharkey bijąc celnie lewym sierpem przez trzy rundy przeważał, w czwartej jednak po ciężkim haku na żołądek, który był wszakże poniżej pasa i z miejsca rzucił Schmelinga na deski, został zdyskwalifikowany. Maks wił się jeszcze z bólu, gdy sędzia ringowy ogłosił go nowym mistrzem świata, co zresztą zostało przyjęte entuzjastycznie, bo Schmeling nawet na nowojorskim stadionie Yankee był ulubieńcem publiczności.

Kilka osób przy stole dla stałych bywalców u Franza Dienera miało jeszcze w uszach radiową transmisję. – Ale Sharkey był wyraźnie lepszy! – mówiono. – E tam, Maks zawsze powoli się rozkręcał. Dopiero od piątej rundy bił się na pełny gaz... –

Zgadza się. Bo jak w dwa lata później po piętnastu mocnych rundach z Sharkeyem jednak przegrał, protestowali wszyscy, nawet burmistrz Nowego Jorku, ponieważ na punkty Schmeling był zdecydowanie lepszy.

Późniejsze walki z „ciemnoskórym bombardierem” – w pierwszej Maks zwyciężył po dwunastu rundach przez nokaut, a w drugiej Joe Louis także przez nokaut już w pierwszej rundzie – wspominało tylko na marginesie, podobnie jak coraz wyższy poziom techniczny naszych radiowych transmisji. Zastanawiano się teraz za to nad „legendą Schmelinga”. Właściwie nie był to nadzwyczaj wielki bokser, mówiono, raczej człowiek budzący sympatię. Tkwiąca w nim prawdziwa wielkość objawiała się przez jego osobowość, nie przez siłę pięści. Pomocna była mu, aczkolwiek niechciana, przeklęta polityka tamtych lat: to pokazowy Niemiec. Nic dziwnego, że po wojnie, kiedy to w Hamburgu i w Berlinie przegrał z Neuslem i Vogtem, nie udał mu się powrót na ring.

Wtedy Franz Diener, który pozostał za kontuarem i który bardzo rzadko zabierał głos na temat boksu, powiedział: – A ja to w dalszym ciągu jestem dumny, że straciłem tytuł mistrza bijąc się z Maksem, mimo że on dzisiaj tylko kurzą fermę prowadzi.

A potem znów toczył piwo, kładł na talerze gotowane jajka albo klopsiki z odrobiną musztardy, nalewał żytniówkę kolejka za kolejką. A przy stole dla stałych bywalców na powrót królowały teatralne plotki, aż Friedrich Dürrenmatt począł skazanemu teraz na milczenie towarzystwu ceremonialnie objaśniać w dialekcie berneńskim wszechświat z galaktykami, mgławicami i latami świetlnymi. – Nasza Ziemia, mam na myśli to, co po niej pełza i ma się za coś ważnego, jest tylko okruszkiem – zawołał i zwracając się w stronę kontuaru zamówił następną rundkę piwa.

1931

–Hasło brzmiało: na Hamburg, na Brunszwik...

–Przybywali ze wszystkich okręgów. Przeważnie koleją, ale my, kamraci z Vogtlandu, przyjechaliśmy kolumną samochodów...

–Nareszcie skończy się zniewolenie! Poświęci się nowe sztandary! Przyjechali nawet znad morza, z pomorskiego wybrzeża, z Frankonii, Monachium, ziem nadreńskich, ciężarówkami, autobusami, na motocyklach...

–I wszyscy w brązowym galowym stroju...

–My z drugiego hufca motorowego jechaliśmy z Plauen, w dwadzieścia wozów,

śpiewając: „Zmurszałe drżą kości”...

–Już o świcie nasza kompania opuściła Crimmitschau. I przez Altenburg przy przepięknej jesiennej pogodzie jechało się w kierunku Lipska...

–Tak jest, kamraci! Po raz pierwszy zetknąłem się z całym ogromem pomnika, widziałem wsparte na mieczach postacie bohaterów, zrozumiałem, że dzisiaj, grubo ponad sto lat od Bitwy Narodów, znowu wybija nam godzina wyzwolenia...

–Koniec ze zniewoleniem!

–Tak to wyszło, kamrat! Nie w Reichstagu, tym przybytku pustego gadulstwa, który z dymem puścić trzeba, nie, na drogach Niemiec naród wreszcie się odnajduje...

–Ale kiedy mieliśmy już za sobą uroczą Turyngię, na czele kolumny nasz gauleiter Sauckel, kiedy potem zostały za nimi Halle i Eisleben, miasto Lutra, dojechaliśmy do pruskiego Aschersleben, gdzie musieliśmy zdjąć nasze brunatne koszule, żeby teraz w białych koszulach, że tak powiem neutralnie...

–Bo tam w dalszym ciągu socjały ze swoim zakazami...

–I tym draniem ministrem policji. Zapamiętajcie sobie nazwisko: Severing!

–Ale w Bad Harzburg, już na ziemi brunszwickiej, byliśmy znów nieskrępowani: tysiące, wiele tysięcy w brunatnych galowych strojach...

–Jak tydzień później w samym Brunszwiku, gdzie policja nadal podlegała naszym ludziom i gdzie zgromadziło się w ordynku przeszło sto tysięcy brunatnych koszul...

–Wtedy popatrzyłem führerowi w oczy.

–W trakcie przemarszu, ja też!

–A ja przez sekundę, nie, przez wieczność...

–Ach, co tam, kamraci! Wtedy już nie było żadnego „ja”, było tylko wielkie „my”, które przeciągało godzina za godziną z ręką uniesioną do „heil Hitler”. Wszyscy, my wszyscy chłonęliśmy jego wzrok...

–Czułem się tak, jakby jego oczy mnie błogosławiły...

–Przeciągały brunatne rzesze. I na każdym z nas spoczywał jego wzrok...

–Przedtem jednak osobiście dokonał przeglądu przeszło czterystu furgonów, autobusów, motocykli, które stały wszystkie w jednej linii, bo tylko hufcami

motorowymi zdobędzie się przyszłość...

–A potem na Franzschen Feld poświęcił nowe sztandary, w liczbie dwudziestu czterech, słowami jakby odlanymi ze spiżu...

–Jego głos rozlegał się przez głośniki. Zdawało się, że dotyka nas przeznaczenie. Zdawało się, że ze stalowych burz wielkiej wojny wyłaniają się pośród błysków owe Niemcy karności i dyscypliny. Zdawało się, że jego ustami przemawia Opatrzność. To było nowe przetopione ze spiżu...

–A przecież są tacy, co mówią, że w tym wszystkim dały nam przykład faszystowskie formacje Mussoliniego. No, swoimi czarnymi koszulami, bojówkarstwem, oddziałami szturmowymi...

–Pic na wodę! Każdy widzi, że w nas nie ma nic makaroniarskiego. Modlimy się po niemiecku, kochamy po niemiecku, nienawidzimy po niemiecku. A kto stanie nam na drodze...

–Ale póki co potrzeba nam jeszcze paru sojuszników, jak przed tygodniem, kiedy wykuwało się Front Harzburski i ten Hugenberg ze swoimi przygłupimi narodowcami...

–Wszystkich tych filistrów i plutokratów w kapeluszach i cylindrach...

–To przecież są przeżytki i któregoś dnia zmieciemy ich, tak samo jak tych ze Stahlhelmu...

–Pewnie, że tak, przez nas, tylko przez nas przemawia przyszłość...

–A kiedy zmotoryzowana SA startując z Leonhardsplatz w nie kończących się kolumnach powiozła brunatne rzesze z miasta Henryka Lwa z powrotem do naszych bliskich i odległych okręgów, wszyscy unosiliśmy ów ogień, jaki rozpałił w nas wzrok führera, ażeby płonął i płonął...

1932

Coś musiało się stać. Tak w każdym razie dalej być nie mogło, z zarządzeniami wyjątkowymi i ciągłymi wyborami. Ale w zasadzie do dziś dnia niewiele się zmieniło. No cóż, nie mieć pracy wówczas i być bezrobotnym teraz to wygląda cokolwiek inaczej. Wówczas nie mówiło się: „jestem bez roboty”, tylko: „chodzę po stempel”. Brzmiało jakby aktywniej. Nikt nie chciał przyznać, że nie ma pracy. Uchodziło to za hańbę. Ja w każdym razie, jak pytał mnie ktoś w szkole albo na lekcji katechizmu ksiądz Watzek, mówiłem: – Ojciec chodzi po stempel – a tymczasem mój wnuk

znowu, i to całkiem wygodnie, jak mawia, „żyje z zasiłku”. Zgadza się, kiedy Brüning jeszcze się trzymał, było około sześciu milionów, ale my, jak dobrze policzyć, dociągnęliśmy znów do pięciu. Wskutek tego dzisiaj jak wówczas z forszą jest kruczo i kupuje się tylko to, co najpotrzebniejsze. Pod tym względem w zasadzie nic się nie zmieniło. Tylko że w trzydziestym drugim, jak ojciec już trzecią zimę chodził po stempel, dawno stracił prawo do zasiłku, a opieka społeczna stale obcinała mu zapomogę. Dostawał raptem trzy marki pięćdziesiąt na tydzień. A że obaj moi bracia też chodzili po stempel i tylko moja siostra Erika jako ekspedientka u Tietza przynosiła do domu prawdziwą wypłatę, matka miała na życie niespełna sto marek tygodniowo. To nie starczało na nic, jednakże w naszych stronach tak było wszędzie. Na samą kasę chorych trzeba było bulić pięćdziesiąt fenigów. Żelowanie butów powodowało wyrwę w budżecie. Cetnar brykietów kosztował prawie dwie marki. Ale w Zagłębiu rosły hałdy. Były naturalnie pilnowane, i to nawet ściśle, z psami, ogrodzone drutem kolczastym. I bardzo kiepsko wyglądała sprawa ziemniaków na zimę. Więc musiało się coś zdarzyć, bo cały system toczyło robactwo. Dzisiaj w zasadzie nie wygląda to inaczej. Tak samo jak czekanie w Urzędzie Pracy. Raz ojciec wziął mnie ze sobą: – Żebyś zobaczył, jak coś takiego się odbywa. – Przed urzędem dwaj policjanci pilnowali, żeby nikt nie naruszył porządku stemplowania, bo na dworze ludzie stali w kolejce, a w środku też stali, gdyż za mało było miejsc do siedzenia. Na dworze i w środku było jednak całkiem spokojnie, bo każdego zaprzętały tylko własne myśli. Stemplowano przy pięciu albo sześciu okienkach, jeszcze dziś mam to w uszach. I wyraźnie widzę twarze, kiedy kogoś odprawiano z kwitkiem. „Minął termin!” albo „braki w dokumentach”. Ojciec miał wszystko przy sobie: meldunek, zaświadczenie z pośredniaka, świadectwo ubóstwa i kontrolkę. Bo odkąd dostawał już tylko zapomogę, sprawdzano ubóstwo myszując po mieszkaniu. Biada, jeśli stały w nim zbyt nowe meble albo radio. Ach, i pachniało przemoczonymi rzeczami. Bo na dworze kolejka stała w deszczu. Nie, nie było przepychania i awantur, nawet politycznych. No bo każdy miał tego po dziurki w nosie i wszyscy wiedzieli: Tak dalej być nie może. Coś się musi zdarzyć. Ale potem ojciec wziął mnie ze sobą do Samopomocy Bezrobotnych w domu związkowym. Wisiały tam plakaty i wezwania do solidarności. I dawali też coś do zjedzenia, drugie danie, przeważnie jednogarnkowy miszmasz. Matka nie miała prawa się dowiedzieć, żeśmy tam poszli. – Ja wykarmię was wszystkich – mówiła, a kiedy odrobiną smalcu maznęła mi kanapkę do szkoły, śmiała się, kiedy zaś był tylko suchy chleb, oznajmiała: – Dzisiaj nie będzie żadnych szaleństw. – No, dzisiaj tak źle nie jest, ale jeszcze może być. W każdym razie już wówczas na bezrobotnych pobierających zapomogę ciążył obowiązek uczestnictwa w robotach publicznych. U nas w Remscheid musieli zasuwać przy budowie drogi koło zapory. Ojciec też, bo żyliśmy z opieki społecznej. Ponieważ konie były za drogie, zaprzęgano dwudziestu chłopów do ważącego ileś tam cetnarów walca i na komendę „wio” ruszało się z miejsca. Mnie tam nie wolno było chodzić i przyglądać się, bo ojciec, który przecież był kiedyś

mechanikiem, wstydził się swojego syna. Ale w domu słyszałem, jak płakał leżąc u boku matki w ciemności. Ona nigdy nie płakała, ale pod koniec, na krótko przed przejściem władzy, mówiła: – Gorzej to już nie może być. – Coś takiego dzisiaj nie może się nam zdarzyć, uspokajałem wnuka, kiedy ten znowu czepiał się wszystkiego, co jest. – Masz rację – odparł – choć widoki na pracę są marne, akcje idą i idą w górę.

1933

Wiadomość o nominacji zaskoczyła nas w południe, kiedy to z Berndem, moim młodym współpracownikiem, posilałem się w galerii, jednym uchem słuchając radia. To znaczy ja nie byłem zaskoczony: po ustąpieniu Schleichera wszystko wskazywało na Niego, już tylko On wchodził w rachubę, przed Jego wolą władania musiał się ugiąć nawet sędziwy prezydent Rzeszy. Próbowałem obrócić sprawę w żart: – No to teraz malarz pokojowy będzie nas uszczęśliwiał jako pacykarz – ale Bernd, którego polityka zwykle, jak mówił, „nic a nic” nie interesowała, poczuł się osobiście zagrożony: – Pryskamy! Musimy pryskać! – zawołał.

Wprawdzie podśmiewałem się z jego przesadnej reakcji, jednakże czułem, że moja przezorność była słuszna: już kilka miesięcy temu wyeksponowałem do Amsterdamu część tych obrazów, które w obliczu przewidywanego zagrożenia musiały uchodzić za szczególnie trefne, kilka Kirchnerów, Pechsteinów, Nolde’ów itp. W galerii znajdowało się już tylko parę rzeczy namalowanych przez Mistrza, późne, utrzymane w żywych kolorach impresje ogrodowe. Z pewnością nie należały one do kategorii „zwyrodniałe”. Coś tam groziło mu, podobnie jak jego żonie, jedynie z powodu żydostwa, aczkolwiek usiłowałem wmówić sobie i Berndowi: – On ma dobrze po osiemdziesiątce. Nie ośmielę się go tknąć. W najgorszym razie będzie musiał zrzec się prezesury Akademii. E tam, za trzy, cztery miesiące koszmar i tak przeminie.

Mimo to mój niepokój utrzymywał się bądź też narastał. Zamknęliśmy galerię. I po tym, jak udało mi się po trosze rozwiać obawy mojego drogiego Bernda, który naturalnie zalewał się łzami, późnym popołudniem ruszyłem w drogę. Już wkrótce nie dawało się przejść. Trzeba mi było pojechać kolejką. Nadciągające zewsząd kolumny. Już na Hardenbergstrasse. SA szóstkami podążała przez Siegesallee, kompania za kompanią, pewna swego. Zdawało się, że to jakaś siła przyciągania nadaje kierunek, ku Crosser Stern, gdzie wszystkie kolumny miały widać punkt zborny. Ilekroć oddziały musiały na chwilę przystanąć, SA-mani maszerowali w miejscu, nagłaco, niecierpliwie: byle tylko nie dopuścić do bezruchu. Ach, ta straszna powaga na młodych twarzach, okolonych paskiem pod brodą. I coraz więcej gapiów, których natłok zaczynał blokować chodniki. Ponad wszystkim ten jednostajny śpiew...

Dałem, że tak powiem, nura w krzaki, poszedłem przez ciemny już Tiergarten, nie ja

jeden próbowałem bocznymi drogami posuwać się naprzód. Na koniec, blisko celu, okazało się, że Brama Brandenburska była zamknięta dla normalnego ruchu. Tylko z pomocą policjanta, któremu naopowiadałem sam już nie wiem co, zdołałem dostać się na leżący tuż za Bramą Pariser Platz. Ach, jakże często podjeżdżaliśmy tutaj pełni oczekiwania! Jakiż to ekskluzywny, a przecież znajomy adres! Ileż wizyt w pracowni Mistrza! I zawsze błyskotliwa, często dowcipna rozmowa. Jego humor wyrażany lapidarnie w gwarze berlińskiej.

Pod solidną mieszczańską budowlą – będącą od dziesiątków lat własnością rodziny – stał, jakby czekając na mnie, stróż. – Państwo są na dachu – powiedział i poprowadził mnie schodami na górę. Tymczasem musiał się już zacząć ów ćwiczony jakby od lat, w każdym razie zorganizowany z dokładnością co do minuty pochód z pochodniami, bo gdy wszedłem na płaski dach, radosny wrzask zapowiadał zbliżające się kolumny. Pewnie, obrzydliwa ta tłuszcza! A jednak narastający ryk działał podniecająco. Dzisiaj muszę przyznać się przed sobą, że byłem zafascynowany – choćby tylko przez krótką chwilę dreszczyku.

Ale dlaczego on narażał się tłumowi? Mistrz i jego żona Marta stali na samym skraju dachu. Później, siedząc w pracowni, usłyszeliśmy: Z tamtego miejsca już w roku siedemdziesiątym pierwszym widział zwycięski przemarsz przez Bramę pułków powracających z Francji, potem w czternastym wyruszających na front piechurów, jeszcze w pikielhaubach na głowach, następnie w osiemnastym przybycie buntujących się batalionów marynarzy, a teraz chciał zaryzykować ostatni rzut oka z góry. Na ten temat da się powiedzieć mnóstwo nedorzeczości.

Ale przedtem, na płaskim dachu, stał w milczeniu, ze zgasłą hawaną w ustach. Oboje w kapeluszach, w zimowych paltach, jakby gotowi do wyjazdu. Ciemni na tle nieba. Brama Brandenburska także była jeszcze szarym, tylko od czasu do czasu obmacywanym przez policyjne reflektory kolosem. A potem zbliżył się, rozlał się na całą szerokość pochód z pochodniami niczym potok lawy, na krótko rozdzielony przez filary, aby na powrót się zespolic, nieprzerwany, niepowstrzymany, uroczysty, nieuchronny, i rozjaśnił noc, rozświetlił Bramę aż po kwadrygę z rumakami, aż po brzeg hełmu i znak zwycięstwa bogini; nawet my na dachu domu Liebermannów zostaliśmy ogarnięci owym fatalnym blaskiem, a zarazem dotarł do nas dym i swąd przeszło stu tysięcy pochodni. Jaki to wstyd! Bardzo niechętnie przyznaję, że ten widok, nie, to żywiołowe malowidło wprawdzie mnie przerażyło, ale jednocześnie poruszyło. Tchnęło wolą, której – wydawało się – należy się poddać. Temu podniośle kroczącemu przeznaczeniu nic nie stało na drodze. Fala, która porywała. I wznosząca się od dołu ze wszystkich stron radosna wrzawa być może także ze mnie – choćby na próbę – wydobyłaby aprobowane „Sieg Heil!”, gdyby Maks Liebermann nie rzucił owego zdania, które krążyło później po całym mieście jako wypowiedane szeptem hasło. Odwracając się od dziejotwórczego widoku jak od błyszczącego

pokostem historycznego bohomazu powiedział z berlińska: – Nie dam rady zeżreć tyle, ile miałbym ochotę wyrzygać.

Kiedy Mistrz opuścił płaski dach swego domu, Marta wzięła go za rękę. A ja zacząłem szukać słów, które zdołałyby namówić zgrzybiałą parę do ucieczki. Ale żadne słowo się nie nadawało. Ich nie można było przenieść, nawet do Amsterdamu, dokąd wkrótce ja uciekłem z Berlina. Jednakże dla naszych ulubionych obrazów – wśród nich kilka namalowanych przez Liebermanna – już w parę lat później miejscem stosunkowo bezpieczniejszym, choć mniej lubianym była Szwajcaria. Bernd mnie opuścił. Ach... Ale to już jest inna historia.

Max Liebermann (1847-1935), malarz i grafik, czołowy przedstawiciel niemieckiego impresjonizmu, w latach 1920-1933 prezes Pruskiej Akademii Sztuk. (Przyp. tłum.)

1934

Między nami mówiąc: tę sprawę należało załatwić z większym staraniem. Ja zbyt powodowałem się motywami osobistymi. Niefart zaczął się od pospiesznej, spowodowanej przez pucz Röhma przeprowadzki: odkomenderowani z Dachau, objęliśmy 5 lipca Obóz Koncentracyjny Oranienburg, wkrótce po tym, jak istną zgraję SA-manów zastąpił oddział naszej Straży Przybocznej, nawiasem powieściawszy kamraci, którzy parę dni wcześniej w Wiessee i gdzie indziej rozprawili się z kliką Röhma. Nadal wyraźnie wyczerpani opowiadali o „nocy długich noży” i przekazali nam cały kram wraz z kilkoma niższej rangi SA-manami, którzy mieli być pomocni przy przejmowaniu obozu na odcinku biurokratycznym, okazali się jednak całkowicie nieprzydatni.

Jeden z tych zabijaków – co znamienne: nazwiskiem Stahlkopf – zwołał do apelu powierzonych nam więźniów prewencyjnych i Żydom pośród nich rozkazał ustawić się osobno.

Zaledwie tuzin typków, pomiędzy którymi jeden zwłaszcza rzucił się w oczy. W każdym razie ja od razu rozpoznałem Mühsama. Ponad wszelką wątpliwość to jego gęba. Chociaż dawnemu wywrotowcowi, któremu marzyła się republika rad, w więzieniu w Brandenburgu ciachnęli brodę i w ogóle jak należy wzięli w obroty, dosyć z niego zostało. Między nami mówiąc: anarchista z gatunku subtelnych, a ponadto typowy kawiarniany literat, który za moich wczesnych monachijskich lat był dość śmieszną postacią, mianowicie jako poeta i agitator głoszący hasła absolutnej wolności, to jasne, zwłaszcza wolnej miłości. Oto stało przede mną półtora nieszczęścia, prawie nie słyszało, co się do niego mówi, bo ogłuchło. Tłumaczyło się wskazując na częściowo ropiejące, częściowo pokryte strupami uszy i szczyrzyło się przepraszająco.

jako adiutant brigadeführera Eickego złożyłem mu raport, nazywając Ericha Mühsama z jednej strony człowiekiem nieszkodliwym, z drugiej zaś wysoce niebezpiecznym, ponieważ nawet komuniści baliby się jego agitacyjnej elokwencji: – W Moskwie dawno by go zlikwidowali.

Brigadeführer Eicke powiedział, że mam zająć się sprawą, i radził mi specjalne potraktowanie, co było dostatecznie zrozumiałe. Ale zaraz po apelu popełniłem pierwszy błąd uznając, że brudną robotę mogę pozostawić bęcwałowi z SA Stahlkopfowi.

Między nami mówiąc: żywiłem pewną niechęć do bliższego, niż to konieczne, zadawania się z tym Żydem. Na dodatek on w czasie przesłuchania trzymał się zaskakująco dobrze. Na każde pytanie odpowiadał cytatami z wierszy, najwidoczniej własnych, ale także Schillera: „... i życia na szwank nie wystawiajcie...” Mimo że brakowało mu kilku przednich zębów, cytował jak wytrawny aktor. Było to z jednej strony zabawne, ale z drugiej... Poza tym irytowały mnie binokle na jego żydowskim nosie... A jeszcze bardziej pęknięcia na obu szklach... I niezmiennie uśmiechał się po każdym cytacie...

W każdym razie zostawiłem Mühsamowi czterdzieści osiem godzin, radząc usilnie, żeby w tym czasie sam ze sobą skończył. Byłoby to najhigieniczniejsze rozwiązanie.

No cóż, on nie wyświadczył nam tej przysługi. Zatem do akcji wkroczył Stahlkopf. Prawdopodobnie utopił go w misce klozetowej. Nie chciałem znać szczegółów. Okazało się, że to, ściśle biorąc, zwyczajna fuszerka. Naturalnie po wszystkim trudno było sfingować samobójstwo przez powieszenie. Dłonie nietypowo zaciśnięte. Także węzeł był zawiązany za bardzo fachowo. Mühsamowi nigdy by taki nie wyszedł. A potem ten idiota Stahlkopf zrobił kolejne głupstwo, kiedy to na porannym apelu wydając rozkaz: „Żydzi do odcięcia wystąp!” zasypał całą sprawę. Naturalnie ci panowie, wśród nich dwaj lekarze, od razu się zorientowali, że mają do czynienia z partactwem.

Z miejsca dostałem ochrzan od brigadeführera Eickego: – Ehardt, człowieku, powinien pan być, Bóg mi świadkiem, przeprowadzić to bardziej higienicznie. – Z tym można było tylko się zgodzić, bo mówiąc w zaufaniu ta wpadka długo jeszcze będzie się za nami ciągnęła, ponieważ nie potrafiliśmy wykończyć jakiegoś tam głuchego Żyda. Wszędzie mówiło się... Za granicą wysławiano

Mühsama jako męczennika... nawet komuniści... A Obóz Koncentracyjny Oranienburg musieliśmy zamknąć, więźniów przewencyjnych porozsyłać do innych obozów. Ja teraz jestem znowu w Dachau, przypuszczam, że przechodzę kwarantannę.

Erich Mühsam (1878-1934), poeta i dramatopisarz o radykalnych, anarchistycznych poglądach. Aktywny uczestnik rewolucyjnych wydarzeń w Monachium w roku 1919, skazany na 15 lat więzienia, z którego wyszedł w roku 1926. Po dojściu Hitlera do władzy ponownie uwięziony i zamordowany w obozie w Oranienburgu. (Przyp. tłum.)

1935

Przez moja korporację, „Teutonię”, do której jako „starszy pan” należał również mój ojciec, po ukończeniu studiów medycznych uzyskałem możliwość odbywania praktyki u boku doktora Brösinga – także starego Teutona – to znaczy asystowałem mu przy sprawowaniu opieki lekarskiej nad owymi robotniczymi obozowiskami, które urządzono w szczerym polu w związku z budową pierwszego w Rzeszy odcinka autostrady z Frankfurtu nad Menem do Darmstadt. Stosownie do ówczesnych warunków panował tam wielki prymityw, zwłaszcza że wśród robotników na budowie, szczególnie w kolumnach łopaciarzy, było nadzwyczaj wielu osobników, których społeczne zachowanie stale doprowadzało do konfliktów. „Wywoływanie draki” i „rachowanie kości” były na porządku dziennym. Wskutek tego do naszych pacjentów zaliczali się nie tylko poszkodowani w wypadkach przy pracy, lecz także awanturnicy spod ciemnej gwiazdy poturbowani w bójkach. Doktor Brösing opatrywał rany klute nie pytając, jak do nich doszło. Co najwyżej słyszałem z jego ust nieodmienne zdanie: – Ależ moi panowie, czasy wiecowych bójek miały się właściwie skończyć.

Większość robotników zachowywała się jednak przyzwoicie i z reguły była wdzięczna, ponieważ wspaniała inicjatywa führera, który już 1 maja trzydziestego trzeciego zapowiedział budowę obejmującej całe Niemcy sieci autostrad, przyniosła pracę i zarobek wielu tysiącom młodych ludzi. A także dla starszych skończyło się dzięki temu długoletnie bezrobocie. Mimo to nadzwyczaj ciężka praca wielu szła niesporo. Kiepskie i jednostronne odżywianie w minionym okresie mogło być przyczyną fizycznej niewydolności. W każdym razie doktor Brösing i ja w toku błyskawicznie postępującej naprzód budowy zetknęliśmy się z nie znaną dotychczas i dlatego nie zbadaną chorobą zawodową, którą doktor

Brösing, konserwatywny wprawdzie, ale nie pozbawiony humoru praktyk, zwykł nazywać „przypadłością łopaciarzy”. Mówił zawsze o „łopaciarskim trzaśnięciu”.

Rzecz miała zawsze taki sam przebieg; dotknięci tą dolegliwością robotnicy, obojętne: młodzi czy już w wieku zaawansowanym, przy intensywnym wysiłku fizycznym, szczególnie tam, gdzie trzeba było nieustannie przerzucać łopatą ogromne masy ziemi, czuli owo wspomniane trzaśnięcie między łopatkami, po którym następowały gwałtowne i kończące dalszą pracę bóle. N zdjęciach rentgenowskich

doktor Brösing znalazł potwierdzenie tak trafnie nazwanej przez siebie choroby: ułamanie kręgowych wyrostków kolczystych na granicy szyi i piersi, które z reguły dotyczyło pierwszego kręgu piersiowego i siódmego kręgu szyjnego.

Właściwie należałoby tych ludzi od razu uznać za niezdolnych do pracy i zwolnić; ale doktor Brösing, który tempo narzucone przez kierownictwo budowy nazywał „nieodpowiedzialnym”, a wobec mnie nawet „zabójczym”, poza tym zaś wydawał się politycznie neutralny, odwlekał zwolnienia, tak że barak chorych ciągle miał nadkomplet. On wręcz gromadził pacjentów, czy to dla zbadania przebiegu „przypadłości łopaciarzy”, czy też dla zwrócenia uwagi na zło.

Jako że nie brakowało wolnych rąk do pracy, pierwszy odcinek autostrady został jednak w końcu wybudowany w terminie. 19 maja odbyło się uroczyste poświęcenie w obecności führera, a także wysokiej rangi dostojników partyjnych i z udziałem przeszło czterech tysięcy robotników zatrudnionych przy budowie. Niestety pogoda była kiepska. Padał deszcz na przemian z gradem. Bardzo rzadko przebijało się słońce. Mimo to führer, stojąc w odkrytym mercedesie i pozdrawiając sto tysięcy gapiów to wyprostowaną, to znów ugiętą prawicą, przejechał wybudowany odcinek. Wielka była radosna wrzawa. Raz po raz rozbrzmiewał Marsz Badenweilerski. I od generalnego inspektora doktora Todta do kolumny łopaciarzy wszyscy byli świadomi wielkości chwili. Po krótkim podziękowaniu führera, skierowanym do „ludzi fizycznego i umysłowego trudu”, dostojnego gościa w imieniu wszystkich uczestników budowy powitał maszynista Ludwig Droessler, znajdując między innymi te proste słowa: „Budową autostrady, mój führerze, zapoczątkował pan dzieło, które jeszcze za setki lat będzie mówiło o woli życia i wielkości tych czasów...”

później, kiedy pogoda nieco się poprawiła, puszczono nową trasą korowód samochodów, w którym ku uciechu publiczności posapując i terkocząc uczestniczyły starodawne, ale także trochę nowsze pojazdy, nawiasem mówiąc również liczący sobie dobre dziesięć lat dwumiejscowy opel doktora Brösinga, kiedyś pewnie polakierowany na zielono. Doktor uważał, że w oficjalnych uroczystościach nie musi brać udziału; ważniejsze było dla niego odwiedzenie pod wieczór baraku chorych, mnie tymczasem pozwolił zostać na tym, jak powiedział, „nadętym nudziarstwie”.

Medycznego raportu o tak zwanej „przypadłości łopaciarzy” nie dane mu było niestety ogłosić w żadnym fachowym piśmie; podobno nawet nasza korporacyjna gazetka, „Teutonia”, nie podając przyczyn odmówiła druku.

1936

Takich, co podsycają nadzieję, nigdy nie brakowało. U nas w obozie Esterwegen, który zyskał pewien rozgłos dzięki „Pieśni żołnierzy z bagien”, gdzie „łopata” rymuje

się z „zapłatą”, już od wczesnego lata trzydziestego szóstego przebąkiwano, że amnestia jeszcze przed Igrzyskami Olimpijskimi położy kres naszemu nędznemu bytowaniu jako szkodników społecznych i torfiarzy w Emslandii. Tę pogłoskę podtrzymywało przypuszczenie, że nawet Hitler musi liczyć się z zagranicą, że czasy zastraszania terrorem minęły, a poza tym kopanie torfu jako zajęcie rdzennie niemieckie ma być zastrzeżone dla ochotników z Arbeitsdienstu.

Ale potem pięćdziesięciu więźniów, samych wykwalifikowanych rzemieślników, odkomenderowano do Sachsenhausen w pobliżu Berlina. Mieliśmy tam, pilnowani przez SS-manów ze skoszarowanych oddziałów spod znaku Trupiej Główni, zbudować wielki obóz zaplanowany na razie dla dwóch i pół tysiąca osób na około trzydziestu hektarach ogrodzonego terenu: obóz z przyszłością.

Ja jako kreślarz należałem do odkomenderowanych torfiarzy. Ponieważ prefabrykowane elementy baraków były dostarczane przez berlińską firmę, mieliśmy pewien kontakt ze światem zewnętrznym, skądinąd surowo zakazany, i słyszeliśmy coś niecoś o zgiełku wypełniającym stolicę Rzeszy już przed otwarciem Olimpiady: turyści z całego świata zaludniali Ku'damn, Friedrichstrasse, Alexa i Potsdamer Platz. Ale nic więcej do nas nie przenikało. Dopiero kiedy na wartowni ukończonego już baraku komendantury, w którym urzędowało też kierownictwo budowy, zainstalowano radio przynoszące od rana do wieczora nastrojowe relacje z uroczystości otwarcia, a potem pierwsze wyniki zawodów, zdarzało się nam czasami korzystać z tego nabytku. Ponieważ w pojedynkę albo razem z innymi musiałem dość często zachodzić do kierownictwa

budowy, byliśmy, co się tyczy początku Igrzysk, jakoś tam na bieżąco. A kiedy przy ogłaszaniu pierwszych wyników walk finałowych nastawiano aparat na cały regulator, tak że jego głos docierał nawet na plac apelowy i przyległe miejsca budowy, deszcz medali spadał na wielu z nas. Poza tym słyszeliśmy zza ściany, kto też to nie siedział na trybunie honorowej: jeden w drugiego międzynarodowa śmietanka, a w niej szwedzki następca tronu Gustaw Adolf, przyszły król Włoch Umberto, angielski podsekretarz stanu nazwiskiem Vansittart, do tego chmara dyplomatów, wśród nich paru Szwajcarów. Dlatego niektórzy z nas mieli nadzieję, że powstającego w okolicy Berlina wielkiego obozu koncentracyjnego nie da się ukryć przed tak licznie obecnymi przybyszami z zagranicy.

Ale świat nie zwrócił na nas uwagi. Sportowa „młodzież świata” była wystarczająco zaprzątnięta sama sobą. Nasz los nie obszedł nikogo. Myśmy nie istnieli. I tak obozowa powszedniość toczyła się normalnie, jeśli pominąć radio na wartowni. Bo ten szarozielony zresztą, widać wypożyczony od wojska aparat przynosił informacje z rzeczywistości, która rozciągała się za drutami. Już 1 sierpnia pchnięcie kulą i rzut młotem zakończyły się niemieckimi zwycięstwami. Z Fritjofem Tuschinskim,

„zielonym”, jak z racji więźniarskiego oznakowania nazywaliśmy kryminalistów, byłem w kierownictwie budowy, żeby wnieść poprawki do przygotowanych planów, kiedy w radio powiedziano o drugim złotym medalu i w sąsiednim pomieszczeniu wolne od służby wartowniczej trupie główki wybuchnęły zaraz głośnym entuzjazmem. Kiedy jednak Tuschinski uznał, że też ma prawo entuzjazmować się jak oni, spoczął na nim wzrok kierownika budowy, hauptsturmführera Essera, który miał opinię człowieka surowego, ale przyzwoitego. Głośny entuzjazm w moim wydaniu na pewno pociągnąłby za sobą ostrą karę, bo jako polityczny, oznaczony czerwonym trójkątem, byłbym potraktowany srożej aniżeli zielony. Tuschinski musiał tylko zrobić pięćdziesiąt przysiadów, a tymczasem mnie, dzięki żelaznej dyscyplinie, udało się na zewnątrz nieporuszenie czekać na polecenia, wewnątrz zaś cieszyć się z tego zwycięstwa i dalszych niemieckich zwycięstw; przecież jeszcze parę lat temu uprawiałem biegi średnie w Spartakusie Magdeburg i na trzy tysiące metrów odnosiłem nawet sukcesy.

Mimo *zakazu* radowania się jak inni – Esser dał do zrozumienia, że nie byliśmy godni jawnie demonstrowanego przeżywania niemieckich zwycięstw – w trakcie Olimpiady nie dało się całkowicie uniknąć parominutowych spontanicznych zbliżeń między więźniami a strażnikami, na przykład kiedy student z Lipska Lu Long w skoku w dal toczył emocjonujący pojedynek z amerykańskim zwycięzcą na sto i – trochę później – dwieście metrów czarnoskórym Jesse Owensem, który ostatecznie wygrał Owens, bijąc rekord olimpijski skokiem na odległość ośmiu metrów i sześciu centymetrów. Rekord świata, osiem trzysta i tak należał do niego. Ale ze srebrnego medalu Longa cieszyli się mimo to wszyscy stojący w pobliżu radia: dwaj podoficerowie SS, którzy mieli opinię okrutników, zielony kapo, który pogardzał nami, politycznymi, i szykanował przy lada okazji, i ja, średniego szczebla działacz KPD, który wszystko to i jeszcze więcej przetrwał i dzisiaj kiepsko dopasowanym uzębieniem przeżuwa smętne wspomnienia.

Podobno Hitler raczył uścisnąć dłoń kilkakrotnie zwycięskiego Murzyna i być może ów fakt spowodował to krótkotrwałe zbratanie. Potem znów panował dystans. Hauptsturmführer Esser złożył meldunek. Kroki dyscyplinarne objęły więźniów i strażników. Radio zainstalowane niezgodnie z przepisami zniknęło, wskutek czego umknął nam dalszy przebieg Igrzysk Olimpijskich. Tylko pocztą pantoflową dowiedziałem się o pechu naszych dziewcząt, które w finale sztafety cztery razy po sto metrów na jednej ze zmian zgubiły pałeczkę. A kiedy Olimpiada się skończyła, nie było już żadnej nadziei.

1937

Nasze zabawy na szkolnym podwórzu nie kończyły się z dzwonkiem, lecz były

kontynuowane na kolejnych przerwach pod kasztanami i koło piętrowego budynku toalet, nazywanego szczalnią. Walczyliśmy ze sobą. Przylegająca do sali gimnastycznej szczalnia uchodziła za toledański alkazar. Co prawda od zdarzenia minął rok, ale w naszych uczniowskich marzeniach Falanga wciąż bohatercko broniła warowni. Czerwoni raz po raz daremnie szturmowali. Lecz ich niepowodzenie należało przypisać też zmarkotnieniu: nikt, łącznie ze mną, nie chciał zostać zaliczony do czerwonych. Wszyscy uczniowie czuli się szaleńczo odważnymi stronnikami generała Franco. W końcu kilku szóstoklasistów podzieliło nas drogą losowania: wraz z innymi pierwszoklasistami wyciągnąłem kolor czerwony, nie przeczuwając późniejszego znaczenia tego przypadku; widać to, co przyniesie przyszłość, zaznacza się już na szkolnych podwórzach.

Zatem oblegaliśmy szczalnię. Nie odbywało się to bez kompromisu, bo nadzorujący nauczyciele pilnowali, żeby neutralne, ale też walczące grupy uczniów w czasie zarządzanego zawieszenia broni mogły się przynajmniej odlać. Jednym z kulminacyjnych punktów walki była rozmowa telefoniczna komendanta alkazaru, pułkownika Moscardó, z synem Luisem, którego czerwoni więzili grożąc mu zastrzeleniem, jeśli warownia nie będzie skłonna skapitulować.

Helmut Kurella, trzecioklasista o anielskiej twarzy i odpowiednim głose, grał Luisa. Ja musiałem odstawić czerwonego komisarza milicji Caballo i przekazywać Luisowi słuchawkę telefonu. Niczym dźwięk trąbki niosło się przez podwórze: – Halo, tato. – Na to pułkownik Moscardó: – Co się dzieje, mój chłopcze? – Nic. Mówią, że mnie zastrzelą, jeśli alkazar nie skapituje. – Gdyby to miała być prawda, mój synu, to polecam twoją duszę Bogu, wołam ‘Viva Espana’ i umieraj jak bohater. – Żegnaj ojczy. I bardzo mocno całuję.

Wołał to anielski Helmut jako Luis. Wtedy ja, czerwony komisarz, któremu jeden ośmioklasista wbił do głowy końcowy okrzyk „Viva la muerte!”, musiałem zastrzelić dzielnego chłopca pod kwitnącym kasztanem.

Nie, nie jestem pewien, czy to ja, czy ktoś inny dokonywał egzekucji; ale mógłbym to być ja. Potem walka toczyła się dalej. Podczas następnej przerwy została wysadzona w powietrze wieża warowni. Dokonaliśmy tego akustycznie. Ale obrońcy nie ustępowali. To, co później zyskało miano hiszpańskiej wojny domowej, rozgrywało się na szkolnym podwórzu Conradinum w Gdańsku-Wrzeszczu* jako zdarzenie jedyne w swoim rodzaju, stale powtarzane. Naturalnie na koniec zwyciężała Falanga. Pierścień oblężenia został przerwany z zewnątrz. Horda czwartoklasistów rzucała się z przesadną gwałtownością. Potem gremialne uściski. Pułkownik Moscardó witał wyzwolicieli słynnym potem hasłem „Sin novedad”, co znaczy mniej więcej: „Nie ma o czym mówić”. Potem likwidowano nas, czerwonych.

Tak to pod koniec przerwy można było znów normalnie korzystać ze szczytów, ale już następnego dnia szkoły powtarzaliśmy naszą zabawę. Ciągnęło się to do wakacji trzydziestego siódmego. Właściwie mogliśmy też się bawić w bombardowanie baskijskiego miasta Guernica. Niemiecka kronika tygodniowa pokazywała nam w kinie tę akcję naszych ochotników jako nadprogram. 26 kwietnia miasteczko zostało obrócone w perzynę. Do dzisiaj mam w uszach muzykę podłożoną pod huk motorów. Ale widać było tylko nasze nadlatujące nurkujące odlatujące heinkle i junkersy. Wyglądało to, jakby ćwiczyły. Nie było w tym żadnego bohaterstwa, które dałoby się naśladować w zabawie na szkolnym podwórzu.

* Langfuhr

1938

Kłopoty z naszym nauczycielem historii zaczęły się, kiedy wszyscy w telewizji zobaczyli, jak mur berliński nagle staje otworem i wszyscy, razem z moją babcią, która mieszka w Pankow, mogą sobie swobodnie przejść na zachodnią stronę. Przy tym profesor Hösle miał na pewno dobre zamiary, nie tylko mówiąc o upadku muru, lecz i pytając nas wszystkich: – Wiecie, co jeszcze takiego wydarzyło się w Niemczech 9 listopada? Na przykład dokładnie pięćdziesiąt jeden lat temu?

Ponieważ wszyscy wiedzieli tylko piąte przez dziesiąte, ale nic konkretnego, on nam objaśnił, co to była noc kryształowa Rzeszy. Tak się nazywała, ponieważ objęła całą Rzeszę Niemiecką, przy czym potłuczono dużo naczyń, które należały do Żydów, w tym szczególnie dużo kryształowych wazonów. Kamieniami brukowymi wybito też wszystkie wystawy sklepów, których współwłaścicielami byli Żydzi. A i poza tym zniszczono bez sensu dużo wartościowych rzeczy.

Może to był błąd pana Hösle, że nie potrafił przestać i na zbyt wielu lekcjach już tylko o tym nam opowiadał i odczytywał dane z dokumentów, ile to dokładnie synagog zostało spalonych i że dziewięćdziesięciu jeden Żydów po prostu zamordowano. Same smutne historyjki, a tymczasem w Berlinie, nie, w całych Niemczech panowała naturalnie wielka radość, ponieważ wszyscy Niemcy mogli się nareszcie zjednoczyć. Ale u niego liczyły się wciąż tylko stare historyjki, jak doszło do tego, do czego doszło. I to prawda, że tym, co się wtedy tutaj działo, dosyć nas rozstrajał.

W każdym razie na zebraniu rodziców prawie wszyscy obecni Wytykali mu to, jak mówiono, „opętanie przeszłością”. Nawet mój ojciec, który właściwie lubi opowiadać o dawnych czasach, na przykład jak jeszcze przed zbudowaniem muru uciekł z sowieckiej strefy okupacyjnej i przyjechał tutaj, do Szwabii, i długo czuł się obco, powiedział panu Hösle mniej więcej tak – Oczywiście, nie można mieć żadnych

zastrzeżeń do tego, że moja córka dowiaduje się, ile zła wyrządziły grasujące wszędzie i niestety również tutaj, w Esshngen, hordy SA, ale niechże to będzie we właściwym momencie, nie akurat wtedy, kiedy nareszcie, jak obecnie, jest się z czego cieszyć i cały świat gratuluje Niemcom.

Tymczasem my, uczniowie, jakoś tam interesowaliśmy się tym, co działo się wtedy w naszym rodzinnym mieście, na przykład w sierocińcu izraelskim „Wilhelmspflge”. Wszystkie dzieci musiały wyjść na podwórze. Podręczniki wszystkie, modlitewniki, nawet zwoje Tory zostały zwalone na stos i wszystkie spalone. Zapłakane dzieci, które musiały na to wszystko patrzeć, bały się, że też pójdą na spalenie. Ale tylko nauczyciela Fntza Samuela pobito do nieprzytomności, i to maczugami do ćwiczeń z sali gimnastycznej.

Chwała Bogu w Esshngen byli jednak też ludzie, którzy próbowali pomóc, na przykład kierowca taksówki, który chciał zawieźć kilka sierot do Stuttgartu. W każdym razie to, co opowiadał nam pan Höhle, jakoś tam wciągało. Nawet chłopaki z naszej klasy tym razem uważały na lekcji, chłopaki tureckie też, no i tak czy owak moja przyjaciółka Shirin, której rodzina pochodzi z Persji.

A na zebraniu rodziców nasz nauczyciel historii, jak to przyznał mój ojciec, bronił się zupełnie dobrze. Miał oświadczyć rodzicom. Żadne dziecko nie zdoła należycie pojąć końca czasów muru, jeśli nie będzie wiedziało, kiedy i gdzie dokładnie zaczęła się krzywda i co ostatecznie doprowadziło do podziału Niemiec. Temu podobno przytaknęli prawie wszyscy rodzice. Ale pan Höhle musiał potem przerwać dalsze wykłady na temat nocy kryształowej i przesunąć na później Właściwie szkoda.

Ale teraz wiemy o tym troszkę więcej. Na przykład, że w Esshngen prawie wszyscy tylko patrzyli w milczeniu albo odwracali wzrok, kiedy działy się te rzeczy w sierocińcu. Dlatego, jak kilka tygodni temu mieli deportować z rodzicami do Turcji Yasira, kurdyjskiego kolegę, wpadliśmy na pomysł wysłania listu protestacyjnego do burmistrza. Wszyscy się podpisali. Ale za radą pana Höhle nie wspomnieliśmy w liście o losie żydowskich dzieci z izraelskiego sierocińca „Wilhelmspflge”. Teraz mamy wszyscy nadzieję, że Yasir będzie mógł zostać.

1939

Trzy dni na wyspie. Uzyskawszy pewność, że w samym Westerlandzie i wokół niego są wolne pokoje gościnne, a duża bawialnia będzie wystarczająco obszerna na nasze pogaduszki, podziękowałem gospodarzowi, jednemu z Byłych, który – czynny tymczasem w branży wydawniczej i dobrze sytuowany – mógł sobie pozwolić na jeden z tych krytych trzciną fryzyjskich domów na Sylcie. Nasze spotkanie odbyło się w lutym. Przyjechała więcej niż połowa zaproszonych, nawet kilka grubych ryb,

które obecnie trzęsły radiem albo – jakże by inaczej – zasiadały w fotelach naczelnych redaktorów.

Zawierano zakłady faktycznie zawitał szef wysokonakładowego magazynu ilustrowanego, choć z opóźnieniem i tylko na krótko. Większość Byłych po wojnie znalazła jednak zatrudnienie na niższych szczeblach redakcyjnej hierarchii lub radziła sobie, jak ja, w charakterze wolnych strzelców. Przynosząc ujmę, ale także świadcząc o sporych kwalifikacjach przylgnęła do nich – a więc i do mnie – legenda, że byliśmy korespondentami wojennymi jako członkowie kompanii propagandy, w związku z czym chciałbym w tym miejscu przypomnieć, że z grubsza biorąc, czy to w lotach nad Anglią w kabinie He-111, czy jako reporterzy na pierwszej linii frontu, zginęło tysięcy naszych kolegów.

Wśród nas, którzyśmy przeżyli, z czasem coraz natarczywiej dochodziło do głosu pragnienie spotkania A więc, po pewnym wahaniu, zająłem się organizacją. Uzgodniliśmy, że będzie obowiązywała powściągliwość relacji. Nie należało wymieniać nazwisk, niedopuszczalne miały być osobiste porachunki. Chcieliśmy zupełnie normalnego spotkania koleżeńskiego, na podobieństwo owych zgromadzeń z lat powojennych, na których spotykali się kawalerowie Krzyża Rycerskiego, żołnierze tej czy tamtej dywizji, ale także byli więźniowie kacetów. Ponieważ ja będąc jeszcze żółtodziobem tkwiłem w tym od samego początku, to znaczy od kampanii polskiej, i nikt nie podejrzewał mnie o urzędniczenie w Ministerstwie Propagandy, cieszyłem się pewnym poważaniem. W dodatku wielu kolegów pamiętało moje pierwsze teksty pisane zaraz po wybuchu wojny a poświęcone 79 batalionowi saperów 2 dywizji pancерnej podczas bitwy nad Bzurą, z budowaniem mostów pod ostrzałem nieprzyjaciela, i wypadowi naszych czołgów niemal do samej Warszawy, przy czym ton nadawały loty nurkowców widziane z perspektywy zwykłego piechura. Bo ja zawsze pisałem tylko o żołnierzach z oddziału, biednych frontowych wojakach i ich raczej cichym bohaterstwie. Niemiecki piechur. Jego codzienne marszowe wyczyny na zakurzonych polskich drogach. Proza żołnierskiego znoju. Wciąż za wrywającymi się do przodu czołgami, oblepieni gliną, spaleni słońcem, ale zawsze w humorze, nawet jeśli po krótkim boju niejedna paląca się jasnym płomieniem wioska ukazywała prawdziwe oblicze wojny. Albo moje nie pozbawione współczucia spojrzenie na nie kończące się kolumny wziętych do niewoli, pobitych z kretesem Polaków...

No cóż, ta niekiedy refleksyjna tonacja moich korespondencji stanowiła chyba o wiarygodności. Przy tym niejedno wykreśliła mi cenzura. Na przykład kiedy mój opis spotkania naszych szpic pancernych z Rosjanami koło miejscowości Mosty Wielkie tchnął ponad miarę „braterstwem broni”. Albo kiedy w moim ujęciu brody starych Żydów w chałatach wypadły w swoim komizmie zbyt sympatycznie. W każdym razie kilku kolegów z tamtych czasów potwierdziło mi na spotkaniu, że moje polskie

artykuły, jeśli chodzi o żywą plastyczność, nie różnią się od tego, co w ostatnim okresie pisywałem dla jednego z czołowych magazynów ilustrowanych, czy to z Laosu, Algierii czy Bliskiego Wschodu.

Po załatwieniu spraw związanych z zakwaterowaniem przeszliśmy swobodnie do koleżeńskie rozmowy. Tylko pogoda nam nie sprzyjała. O przechadzce brzegiem morza lub spacerze w stronę przybrzeżnych pływaczni nie było co myśleć. My, przywykli wprawdzie mierzyć się z każdym klimatem, okazaliśmy się zwykłymi piecuchami, siedzieliśmy wokół zapalonego kominka przy grogu i ponczu, których gospodarz nam nie żałował. A więc omawialiśmy kampanię polską. Wojna błyskawiczna. Osiemnaście dni.

Kiedy padła Warszawa, wielkie gruzowisko, jeden z Byłych, który jak mówiono, miał się czym pochwalić w kolekcjonowaniu dzieł sztuki i w ogóle w interesach, rozwlekle i coraz bardziej grzmiąco uderzył w inny ton. Uraczył nas cytatai z korespondencji, które pisał na pokładzie U-boota i wydał później w książce pod tytułem „Łowcy na oceanie” z przedmową wielkiego admirała: Piąta wyrzutnia gotowa! – Torpeda w śródkręciu! – Doładować...” To naturalnie było bardziej wyraziste niż moi zakurzeni piechurzy na bezkresnych polskich gościńcach...

1940

Na Sylcie mało co widziałem. Jak się rzekło, pogoda pozwalała co najwyżej na krótkie wędrówki w stronę List albo w odwrotnym kierunku, w stronę Hórnum. Nasz osobliwy Związek Byłych, jakby od czasu odwrotów wszystkim władzę w nogach odjęło, zasiadał wokół rozpalonego kominka, paląc i pijąc. Każdy grzebał we wspomnieniach. Jeśli jeden zwycięsko przemierzał Francję, to drugi wyjeżdżał z bohaterskimi czynami spod Narviku i z fiordów Norwegii. Wydawało się, że każdy musiał przeżuwać artykuły ukazujące się w swoim czasie w „Adlerze”, pisemku Luftwaffe, czy „Signalu”, magazynie ilustrowanym Wehrmachtu z efektowną szatą graficzną: kolorowy druk, nowoczesne łamanie, rozpowszechnione wkrótce w całej Europie. Z fotela naczelnego redaktora kurs „Signalu” wytyczał niejaki Schmidt. Po wojnie, oczywiście pod innym nazwiskiem, nadawał ton Springerowskiemu „Kristallowi”. A teraz nas spotkała wątpliwa przyjemność jego wytrwałej obecności. Musieliśmy wysłuchać kazania, jakie wygłosił na temat „podarowanych zwycięstw”.

Chodziło o Dunkierkę, dokąd uciekł cały brytyjski korpus ekspedycyjny: blisko trzysta tysięcy miało się czym prędzej zaokrętować. Niegdysiejszy Schmidt, którego nazwiska nie należy wymieniać, wciąż jeszcze kipiał oburzeniem: – Gdyby Hitler nie zatrzymał korpusu pancernego Kleista pod Abbeville, lecz pozwolił czołgom Cuderiana i Mansteina przebić się do wybrzeża, gdyby wydał rozkaz zajęcia plaż i zaciągnięcia saka, to Anglicy straciliby całą armię, nie tylko jej wyposażenie. Wojnę

można by było rozstrzygnąć we wczesnej fazie, ba, Brytyjczycy nie mieliby czym odeprzeć inwazji. Ale najwyższy wódz podarował zwycięstwo. Myślał pewnie, że musi oszczędzić Anglię. Wierzył w rokowania. Ba, gdyby nasze czołgi wtedy...

Tak biadał niegdysiejszy Schmidt, aby potem zapaść w ponure rozmyślenia, ze wzrokiem utkwionym w płonącym kominku. Nie interesowało go to, co inni mieli do powiedzenia na temat manewrów oskrzydających i brawurowej techniki walki. Na przykład był taki, co w latach pięćdziesiątych utrzymywał się na powierzchni dzięki zeszytom o przygodach żołnierskich wydawanym przez oficynę Bastei-Lübbe, a teraz sprzedawał duszę wątpliwym pisemkom, nazywanym prasą brukową, choć wtedy w „Adlerze” wyrobił sobie dobrą markę reportażami z akcji Luftwaffe. A tu objaśniał nam zalety Ju-88 w porównaniu z Ju-87, zwanym pokrótce stuka, wykonując rękoma kręte ruchy przedstawiał procedurę zrzucania bomb w locie nurkowym, mianowicie proste celowanie całym samolotem, zrzucenie bomby w trakcie wyrównywania maszyny, krótkie odstępy między kolejnymi zrzutami przy bombardowaniu seryjnym i nalot po krzywej zewnętrznej na statki płynące zygzakiem, to znaczy zmieniające raz po raz kierunek. Latał maszynami Junkersa, ale także He-111. I to w oszklonej kabinie z widokiem na Londyn, Coventry. Miał do tego bardzo rzeczowe podejście. Z jego słów można by sądzić, że bitwę powietrzną o Anglię przeżył jedynie przez przypadek. W każdym razie udało mu się tak ekspresyjnie zademonstrować nam seryjne bombardowania dokonywane przez zwarte formacje lotnicze – łącznie ze słówkiem „unicestwić” – że znów stanął nam w oczach czas przeciwuderzeń, kiedy to w wyniku terrorystycznych nalotów legły w gruzach Lubeka, Kolonia, Hamburg, Berlin.

W rezultacie powstała groźba, że nastrój przy kominku się popsuje. Towarzystwo ratowało się zwyczajowymi dziennikarskimi ploteczkami. Kto kogo wygryzł z posady naczelnego. Czyj fotel jest zagrożony. Ile komu płacą Springer czy Augstein. W końcu na pomoc ruszył nasz specjalista od dzieł sztuki i U-bootów. Albo rozprawiał stylowo barwnie o ekspresjonizmie i zgromadzonych przez siebie malarskich skarbach, albo napędzał nam stracha grmiąc gwałtownym wołaniem: – Przygotować się do zanurzenia! – Niebawem mieliśmy wrażenie, że słyszemy bomby głębinowe – ... jeszcze daleko – namiar pod kątem sześćdziesięciu stopni – potem padły słowa:

–Zejsć na głębokość peryskopową... – a potem ujrzeliśmy niebezpieczeństwo: – Od sterburty na skos niszczyciel... – Jak to dobrze, że siedzieliśmy w bezpiecznym miejscu, podczas gdy na dworze porywisty wiatr starał się o właściwy akompaniament.

1941

Przez lata działalności w charakterze korespondenta wojennego, czy to w Rosji, czy

później w Indochinach i Algieru – dla takich jak my wojna toczyła się przecież dalej – bardzo rzadko udawało mi się opisywać sensacje, bo jak podczas kampanii polskiej i francuskiej, tak i na Ukrainie przeważnie wraz z jednostkami piechoty podążałem za naszymi szpicami pancernymi początkowo od jednej bitwy w kotle do drugiej, przez Kijów po Smoleńsk, a gdy zaczął się okres błot, towarzyszyłem batalionowi saperów, który – dla zapewnienia dostaw – układał groble z okrągłaków i wyciągał ugrzęzłe pojazdy Jak się rzekło proza żołnierskiego znoju. Pod tym względem koledzy górowali nade mną elokwentną sławą Jeden, który później w masowym dzienniku nas wszystkich donosił z Izraela o „błyskawicznych zwycięstwach”, zupełnie tak, jakby wojna sześciodniowa była kontynuacją „planu Barbarossa”, w maju czterdziestego pierwszego uczestniczył w desancie naszych spadochroniarzy na Kretę – i przy skoku Maks Schemeling skręcił nogę – inny z pokładu krążownika „Prinz Eugen” obserwował, jak „Bismarck” na trzy dni przed zatonięciem z tysiącosobową załogą zatopił brytyjski pancernik „Hood” – I gdyby torpeda powietrzna nie trafiła w urządzenie sterowe i nie pozbawiła tym sposobem „Bismarcka” zwrotności, to może by jeszcze – i dalsze historyjki przebiegające pod hasłem Gdyby ciocia miała wąsy.

W tym duchu wypowiadał się także kominkowy strateg Schmidt, który za wieloodcinkową story w „Kristallu”, wydaną później u Ullsteina w postaci opasłego tomiska, zgarnął miliony Jemu tymczasem trafiła do przekonania myśl, że to jakoby kampania bałkańska pozbawiła nas ostatecznego zwycięstwa w Rosji – Tylko dlatego, że serbski generał Simovic dokonał puczu w Belgradzie, musieliśmy najpierw tam zaprowadzić porządek, co naraziło nas na stratę pięciu cennych tygodni. A co by się stało, gdyby nasze armie ruszyły na Wschód nie dopiero 22 czerwca, lecz już 15 maja, gdyby zatem czołgi Gudenana przystąpiły do zadania ostatecznego ciosu Moskwie nie w połowie listopada, lecz już pięć tygodni wcześniej, zanim nadeszły błota i zanim uderzył ojczulek Mróz.

I znów rozpamiętywał, utrzymując niemy kontakt z płonącym kominkiem, „podarowane zwycięstwa” i starał się – później dawały po temu okazję Stalingrad i El Alamein – wygrywać poniewczasie przegrane bitwy. Był w swoich spekulacjach osamotniony. Ale nikt nie śmiał się sprzeciwić, także ja, prócz niego siedziało przecież jeszcze dwóch, trzech zakutych nazistów – wtedy jak dziś redaktorów naczelnych – wpływowych w naszym gronie weteranów. Któż zdobędzie się na to, zęby z własnej woli irytować swoich chlebodawców?

Dopiero, gdy z kumplem, który jak ja zawsze pisał tylko z perspektywy zwykłego frontowca, zdołałem wymknąć się ze sfery fluidów wielkiego stratega, w jednej z knajp Westerlandu natrzęsaliśmy się z filozofii gdybania. Znaliśmy się od stycznia czterdziestego pierwszego, kiedy to zostaliśmy wysłani – on jako fotograf, ja jako skryba – z korpusem afrykańskim Rommla do Libii. Jego zdjęcia pustynne i moje

teksty o odbiciu Cyrenajki były w „Signalu” mocno eksponowane i wzbudziły znaczne zainteresowanie. O tym gadaliśmy przy knajpianym kontuarze, wlewając w siebie kolejne wódki.

Zdrowo podochoceni, staliśmy później bokiem do wiatru na nadbrzeżnej promenadzie Westerlandu. Z początku jeszcze śpiewaliśmy „Kochamy wichry, wzburzone fale „ Potem milcząco wpatrywaliśmy się w morze, które monotonicznie uderzało o brzeg. W drodze powrotnej przez noc spowitą czernią usiłowałem parodiować naszego niegdysiejszego pana Schmidta, którego nowego nazwiska lepiej nie wymieniać – Wyobraź sobie, że Churchillowi na samym początku pierwszej wojny światowej udałooby się zrealizować powzięte plany i z trzema dywizjami wylądować na Sylcie. Czy dzięki temu wszystko nie skończyłoby się dużo wcześniej? I czy historia nie potoczyłaby się inaczej? Nie byłoby Adolfa i całego późniejszego nieszczęścia. Ani drutów kolczastych, ani muru w poprzek miasta. Być może do dzisiejszego dnia mielibyśmy cesarza i kolonie I w ogóle byłoby nam lepiej, dużo lepiej.

1942

Nazajutrz przed południem zbieraliśmy się bardzo niesporo, szło nam to nie przymierzając jak krew z nosa. Ponieważ pokrywa chmur pozwoliła słońcu na kilka prześwitów, od biedy można było wybrać się spacerkiem w stronę Keitum. Ale w bawialni, której wiejskie belkowanie obiecywało wielowiekową trwałość, znowu – a może w dalszym ciągu – płonął ogień w kominku. Nasz gospodarz zatroszczył się o herbatę w brzuchatych dzbankach. Rozmowy nie bardzo się kleiły. Nawet terażniejszość nie dostarczała im pożywki. Z dużą dozą cierpliwości można było ze skąpej sałatki słownej małomównego towarzystwa wyluskać parę haseł, które bardziej potrącały o kocioł wołchowski, pierścień wokół Leningradu czy front polarny niż czyniły z nich wydarzenia godne wzmianki. Jeden w kategoriach raczej turystycznych opowiadał o Kaukazie. Inny, także w tonacji jakby urlopowej, asystował przy zajmowaniu południowej Francji. Bądź co bądź zajęty został Charków, zaczęła się wielka ofensywa letnia. Cała masa komunikatów nadzwyczajnych. Powoli jednak sytuacja robiła się krytyczna. Jednemu z korespondentów skreślono zamrzniętych nad jeziorem Ładoga, drugiemu braki w zaopatrzeniu pod Rostowem. A potem, wykorzystując przypadkową pauzę, odezwałem się ja.

Do tej pory udawało mi się nie zabierać głosu. Być może trochę mnie peszyli nadęci ważnością redaktorzy naczelni. Ale jako że to bractwo łącznie ze specem od dzieł sztuki i U-bootów jeszcze się nie pojawiło i prawdopodobnie w okolicznych syltowych prominenckich siedzibach znalazło bardziej atrakcyjną publiczność, skorzystałem z okazji i przemówiłem, nie, jękając się wyduszałem z siebie

poszczególne zdania, bo w przemawianiu nigdy nie byłem mocny:

–Z Sewastopola przyjechałem na urlop do Kolonii. Mieszkałem u siostry niedaleko Neumarktu. Wszystko wyglądało jeszcze nie przymierzając pokojowo, prawie jak dawniej. Poszedłem do swojego dentysty, żeby otworzył mi ząb trzonowy po lewej, który mocno mi doskwierał. Za dwa dni ząb miał zostać zaplombowany. Nie doszło to jednak do skutku. Ponieważ w nocy z 30 na 31 maja... Przy pełni księżyca... Jak grom z jasnego nieba... Blisko tysięcy bombowców Royal Air Force... Najpierw ostrzelali naszą obronę przeciwlotniczą, potem mnóstwo bomb zapalających, potem bomby burzące, miny powietrzne, kanistry fosforu... Nie tylko na śródmieście, także na dzielnice peryferyjne, nawet na Deutz, Mülheim po drugiej stronie Renu... Bez celowania, bombardowanie dywanowe... Całe połączenie miasta... U nas tylko pożar wiązania dachowego, ale w sąsiedni dom walnęło... I napatrzyłem się przy tym na rzeczy niebywale... W mieszkaniu nad nami pomagałem dwóm starszym paniom gasić sypialnię, gdzie w płomieniach stanęły zasłony i oba łóżka... Ledwie się z tym uporałem, jedna ze starszych pań zapytała: „A kto przyśle nam kogoś do sprzątnięcia naszego mieszkania?” Ale o czymś takim nie da się opowiadać... Ani o zasypanych... Albo o zwęglonych ciałach... Widzę jeszcze jednak na Friesenstrasse przewody tramwajowe zwisające między dymiącymi gruzami, no, jak zwykle papierowe serpentyny w karnawale. A przy Breite Strasse z czterech wielkich domów handlowych zostały tylko żelazne szkielety. Wypalony Dom Agryppy z obydwoma kinami. Przy Ringu Cafe Wien, gdzie dawniej spotykałem się z Hildzią, która później została moją żoną... Prezydium policji nie miało już górnych pięter...

I Święci Apostołowie rozłupani jakby siekierą... Ale katedra stoi, dymi, ale stoi, podczas gdy dokoła i także most do Deutz... Aha, domu, w którym mieścił się gabinet mojego dentysty, po prostu już nie było. Jeśli pominąć Lubekę, był to pierwszy wielki nalot terrorystyczny. No cóż, właściwie to myśmy zaczęli od Rotterdamu, Covertry, nie licząc Warszawy. I tak to dalej szło aż po Drezno. Zawsze ktoś zaczyna. Ale żeby tysięcy bombowców, w tym około siedemdziesięciu czteromotorowych lancasterów... Co prawda nasza obrona przeciwlotnicza zestrzeliła przeszło trzydzieści... Ale ich było coraz więcej... Dopiero po czterech dniach znów funkcjonowała kolej. Przerwałem urlop. Mimo że ząb nadal mocno mi doskwierał. Chciałem wracać na front. Tam przynajmniej wiedziałem, czego można się spodziewać. Ryczałem, ryczałem jak bóbr, mówię wam, kiedy z Deutz popatrzyłem na moją Kolonię. Wciąż dymiła, pośród dymów stała tylko katedra...

Słuchano mnie. To się nieczęsto zdarza. Nie tylko dlatego, że w przemawianiu jestem niezbyt mocny. Tym razem jednak moja skromna osoba nadała ton. Ten i ów opowiadał potem o Darmstadicie i Würzburgu, o Norymberdze, Heilbronn i tak dalej. I oczywiście o Berlinie, o Hamburgu. Mnóstwo ruin... Ciągle te same historyjki... Właściwie nie do opowiedzenia... Ale potem, koło południa, kiedy nasze grono z

grubsza biorąc było już w komplecie, mówiło się o Stalingradzie, tylko o Stalingradzie, chociaż żaden z nas nie znalazł się w kotle. Jeden w drugiego mieliśmy szczęście...

1943

Aczkolwiek nasz gospodarz trzymał się niczym Bóg Ojciec na uboczu, to jednak potrafił zadbać, żeby nasze rozmówki jako tako dotrzymywały kroku zmiennym kolejom wojny, wobec czego po Stalingradzie i El Alamein można było relacjonować już prawie tylko odwroty czy, jak się wtedy mówiło, wyrównywanie frontu. Większość skarżyła się na kłopoty z pisaniem nie tylko ze względu na cenzurę, która skraciała bądź zakłamywała nadsyłane teksty, lecz generalnie: o bitwach w okrążeniu, konwojach dziesiątkowanych na Atlantyku i zwycięskiej paradzie na Polach Elizejskich pisze się dużo poręczniej aniżeli o odmrożeniach, opuszczeniu całego Zagłębia Donieckiego czy kapitulacji resztek korpusu afrykańskiego w Tunisie. Momentów heroicznych można było co najwyżej dopatrzeć się w obronie Monte Cassino. – No dobra, uwolnienie duce dałoby się przedstawić jako brawurowy wyczyn, ale poza tym?

–Toteż jako niemiłą, jeśli nie niestosowną przyjęto wypowiedź, która zdawała sprawę ze zdławienia powstania w warszawskim getcie i w tej masakrze jeszcze dopatrywała się zwycięstwa.

Ktoś, kto dotąd nie otwierał ust, okrągławy, odziany cały w myśliwski loden pan, który – jak się później dowiedziałem – wspaniałymi zdjęciami zwierząt i fotoreportażami z safari obdarzał rozmiłowaną w polowaniach klientelę, był ze swoją leicą na miejscu zdarzenia, kiedy to w maju czterdziestego trzeciego w otoczonej murem dzielnicy przy użyciu artylerii i miotaczy płomieni zlikwidowano przeszło pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Po tym getto warszawskie zniknęło niemal bez śladu.

Z ramienia kompanii propagandowej Wehrmachtu odkomenderowano go jako fotoreportera: tylko na czas akcji oczyszczającej. Poza tym – czy mówiąc ściślej: w chwilach wolnych od obowiązkowych zajęć – wklejał swoje zdjęcia do owego czarnego, oprawnego w groszkowaną skórę albumu, który w trzech egzemplarzach trafił do rąk reichsführera SS Himmlera, dowódcy SS i policji w Krakowie Krügera oraz dowódcy w Warszawie brigadeführera SS Jürgena Stroopa. Jako „sprawozdanie Stroopa” został później przedłożony Trybunałowi Wojskowemu w Norymberdze.

–Pstryknąłem ze sześćset zdjęć – mówił – ale tylko pięćdziesiąt cztery wybrane znalazły się w albumie. Wszystkie czyściutko naklejone na gładki brystol. Właściwie kontemplacyjna praca, coś dla drobiazgowców. Ale pisane ręką tytuły fotografii tylko

częściowo pochodzą ode mnie. Tu mieszał mi się adiutant Stroopa Kaleske. I wypisane gotykiem motto na wstępie: „Nie ma już żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej w Warszawie!” było pomysłem Stroopa. Z początku chodziło przecież tylko o opróżnienie getta, jakoby ze względu na niebezpieczeństwo epidemii. Wykaligrafowałem więc pod zdjęciami: „Fora ze dwora!” Ale potem nasi natknęli się na opór: kiepsko uzbrojone chłopaki, lecz i kobiety, w tym niektóre z osławionego ruchu Hechaluc. Z naszej strony do akcji weszły oddziały Waffen-SS i pluton saperów z miotaczami płomieni, a także ludzie z Trawnik, to byli Łotysze, Litwini i Polacy, z ochotniczego zaciągu. Jasne, myśmy także mieli straty. Ale ja ich na fotografiach nie uchwyciłem. W ogóle w obiektywie znalazło się bardzo niewielu zabitych. Przeważają zdjęcia grupowe. Znana później wszystkim fotografia nosiła tytuł: „Siłą wyciągnięci z bunkrów”. Inna, tak samo sławna: „Na Umschlagplatz”. Bo oni wszyscy szli na rampę przeładunkową. A stamtąd szły transporty do Treblinki. Wtedy pierwszy raz usłyszałem tę nazwę. Wyprawiono w drogę jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. Ale są także fotografie bez opisu, ponieważ mówią same za siebie. Jedna jest zabawna, nasi rozmawiają na niej całkiem przyjaźnie z grupą rabinów. Ale największy rozgłos zdobyło po wojnie zdjęcie ukazujące kobiety i dzieci z rękami uniesionymi do góry. Z prawej i w głębi kilku naszych z bronią gotową do strzału. A na pierwszym planie sympatyczny żydowski łobuziak w przekrzywionej cyklistówce i podkolanówkach. Na pewno znacie to zdjęcie. Było przedrukowywane tysiące razy. W kraju i za granicą. Nawet na okładce książki. W dalszym ciągu robią z niego istny przedmiot kultu. Naturalnie ani razu nie podając nazwiska fotoreportera... Nie mam z tego ani feniga... Ani złamanego grosza... Za prawa autorskie... Kiedyś to sobie obliczyłem... Bo gdybym od przedruku dostawał po pięć-

dziesiąt mareczek, to za to jedno jedyne zdjęcie na moim koncie byłoby... Nie, nie oddałem żadnego strzału... Przy tym zawsze na pierwszej linii. Sami wiecie, jak to było. Tylko te fotografie... I naturalnie pisane ręką tytuły zdjęć... Całkiem po staroświecku gotykiem... To bardzo ważne dokumenty, jak dzisiaj wiadomo...

Długo jeszcze tak paplał. Nikt już nie słuchał. Na dworze pogoda wreszcie się poprawiła. Wszyscy zapragnęli odetchnąć świeżym powietrzem. Toteż grupowo i w pojedynkę zaryzykowaliśmy spacer pod wciąż jeszcze silny wiatr. Wydeptanymi ścieżkami przez wydmy. Obiecałem mojemu synkowi, że przywiozę parę muszli. Jakies tam znalazłem.

Ludzie z Trawnik (Trawnikimänner) – formacja ochotnicza powołana przez hitlerowców do wspierania pacyfikacyjnych i eksterminacyjnych działań SS i niemieckiej policji. Jej członków według Encyklopedii Holocaustu (Enzyklopädie des Holocaust, Argon Verlag, Berlin 1993) rekrutowano spośród Litwinów, Łotyszy i Ukraińców (często jeńców radzieckich). Nie było wśród nich Polaków. (Przyp. tłum.)

Kiedyś musiało dojść do skandalu. Nie znaczy to, że awantura wisiała w powietrzu, ale spotkania tego rodzaju mają w sobie coś takiego. Kiedy można było opowiadać już tylko o wycofywaniu się – Padł Kijów, Lwów, Ruscy pod Warszawą... – kiedy załamał się front wokół Nettuno, Rzym padł bez walki, a inwazja wystawiła na pośmiewisko niezdobyty Wał Atlantycki, kiedy w kraju rozwalano bombardowaniami jedno miasto po drugim, nie było już nic do żarcia i w najlepszym razie tylko plakaty z węglokrudem i wrogiem, który podsłuchuje, mogły skłonić do jakiegoś żarciku, kiedy nawet nasza gromadka weteranów po tym wszystkim czuła się znośnie tylko sypiąc dowcipami o wytrwaniu, ktoś – jeden z owych dekowników z kompanii propagandy, którzy wtedy nigdy nie powąchali prochu i pozując na ogiery potrafili tylko rzeć zza biurka, a później zmieniawszy lekko stylistykę fabrykowali bestsellery – wyciągnął z rupieciarni drażniące słowo „wunderwaffe”.

Odpowiedzią był ryk. Wielki szef czołowego magazynu ilustrowanego zawołał: – Niech pan się nie ośmiesza! – Rozległo się nawet kilka gwizdów. Ale ów tymczasem już leciwy pan nie dawał za wygraną. Uśmiechnąwszy się prowokacyjnie zapowiedział, że „mit Hitlera” ma przed sobą przyszłość. Przywołując oprawcę Sasów Karola, naturalnie wielkiego Fryderyka i oczywiście „drapieźnika Napoleona” wnosił przyszły pomnik „zasadzie wodzostwa”. Nie skreślił ani słowa z owego artykułu o cudownej broni, który latem czterdziestego czwartego ukazał się w „Völkischer Beobachter”, zrobił furorę i – to jasne – umocnił wolę wytrwania.

Stał teraz, mając za plecami płonący kominek, wyprężył się: – Kto patrząc dalekowzrocznie wskazał drogę Europie? Kto do końca, ratując Europę, opierał się bolszewickiej nawale? Kto wprowadzając broń dalekiego zasięgu zrobił pierwszy przełomowy krok w rozwoju systemów przenoszenia głowic atomowych? Tylko on. Tylko z nim wiąże się wielkość, która w historii zajmie trwałe miejsce. A co się tyczy mojego artykułu w „Völkischer Beobachter”, to zapytuję wszystkich tu obecnych: Czyż nie jesteśmy ponownie, choćby w postaci tej śmiesznej Bundeswehry, pożądanymi jako żołnierze? Czyż nie jesteśmy forpocztą i zarazem bastionem? Czyż w dzisiejszych czasach nie okazuje się, choć z opóźnieniem, że to my, że to właściwie Niemcy wygrały wojnę? Świat z zazdrością i podziwem patrzy na podjęte przez nas dzieło odbudowy. Po całkowitej klęsce z nadwyżki energii wyrasta nam gospodarcza siła. Znowu jesteśmy kimś. Niedługo będziemy na czele. A również Japonii udało się...

Reszta zginęła we wrzasku, śmiechu, wzajemnym przekrzykiwaniu się. Ktoś wrzasnął mu prosto w twarz: – Deutschland über alles! – cytując tym samym tytuł jego od lat pokupnego bestsellera. Wielki szef głośno protestując pozbawił naszą

gromadkę widoku swej ogromnej postaci. Natomiast pozostały wśród nas autor radował się skutkami swojej prowokacji. Usiadłszy z powrotem, nadawał swemu spojrzeniu pozory proroczej mocy.

Wraz z naszym gospodarzem próbowałem bez powodzenia zapoczątkować jako tako uporządkowaną dyskusję. Kilku uczestników chciało koniecznie rozpamiętywać odwroty i raz jeszcze przeżyć klęskę w okrążeniu pod Mińskiem, dla innych zamach w Wilczym Szańcu stanowił okazję do snucia spekulacji: – Gdyby rzecz się powiodła, to na pewno zawieszenie broni z zachodnimi aliantami ustabilizowałoby front wschodni, tak że byśmy razem z Amerykanami przeciwko Ruskim... – lecz większość ubolewała nad utratą Francji i przywoływała na pamięć „piękne dni w Paryżu”, w ogóle zalety „francuskiego stylu życia”, czując się przeniesiona w baśniowe rejony, tak dalekie początkowi inwazji na plażach Normandii, jak gdyby wiadomość o wielkim lądowaniu dotarła do nich dopiero w latach powojennych, i to poprzez amerykańskie filmy szerokoekranowe. Ten i ów wyjeżdżał naturalnie z romansowymi historyjkami, dla przykładu nasz ekspert od U-bootów i dzieł sztuki, który opłakiwał francuskie portowe narzeczone, aby potem już w męskim gronie wyruszyć w rejs na wroga.

Zaś stary dziadyga, któremu „mit Hitlera” leżał na sercu, upierał się, żebyśmy przypomnieli sobie wręczenie Niemcowi Nagrody Nobla w dziedzinie chemii. Z kominkowego przypiecka, gdzie on, jak się zdawało, uciął sobie drzemkę, nadeszło posłanie: – Stało się to, moi panowie, wkrótce po upadku Akwizgranu i na kilka dni przed rozpoczęciem naszej ostatniej ofensywy, ofensywy w Ardenach, gdy neutralna Szwecja uhonorowała znakomitego uczonego Otto Hahna, ponieważ jako pierwszy odkrył reakcję rozbicia atomu. Jednakże dla nas za późno. Ale gdybyśmy przed Ameryką – choćby w ostatniej chwili – dysponowali tą cudowną bronią, która rozstrzyga wszystko...

Obyło się bez hałasów. Tylko milczenie i posępne zastanawianie się nad skutkami straconej możliwości. Wzdychanie, potrząsanie głową, chrząkanie, po którym jednak nie padły istotne słowa. Nawet naszemu specowi od U-bootów, flegmatykowi z gatunku hałaśliwych, urwał się marynarski wątek.

Ale potem gospodarz postawił grog po fryzyjsku. Grog coraz bardziej poprawiał nastrój. Przysunęliśmy się bliżej do siebie. Nikt nie chciał wychodzić w zapadającą wcześniej noc. Zapowiadano burzę.

1945

Według słów naszego gospodarza znad Islandii w kierunku Szwecji przesuwał się niż z huraganowymi wiatrami. On słuchał komunikatu meteorologów. Ciśnienie powietrza gwałtownie spada. Należy się spodziewać sztormów o sile dwunastu

stopni. – Ale nie ma strachu, ludzie, ten dom ostoja się wszelkim wichurom.

I w ów piątek, 16 lutego 1962, krótko po dwudziestej zawyły syreny. Było jak podczas wojny. Huragan uderzył na wyspę od jej krańca po kraniec z całym impetem. Zrozumiała rzecz, że ten spektakl zgotowany przez naturę niektórych nadzwyczaj ożywił. Lata na froncie wyrobiły w nas nawyk bycia tam, gdzie się coś dzieje, bycia możliwie jak najbliżej. W dalszym ciągu byliśmy specjalistami, ja także.

Mimo ostrzeżeń naszego gospodarza czereda byłych korespondentów wojennych opuściła dom, jak nas zapewniano, odporny na pogodowe przeciwności. Z wielkim trudem, skuleni, doczłapaliśmy, ba, doczołgaliśmy się z Alt-Westerlandu do nadmorskiej promenady, zobaczyliśmy łamane maszty, wrywane z korzeniami drzewa, zrywane trzcinowe dachy, wirujące w powietrzu ławki i płoty. A po grzywach piany domyślaliśmy się czegoś więcej, niż dało się zobaczyć: olbrzymie fale zwały się na zachodni brzeg wyspy. Dopiero później dowiedzieliśmy się, czego narobił ten sztormowy przyływ, wdzierając się w górę Łaby, w Hamburgu, szczególnie w dzielnicy Wilhelmsburg: normalny stan wody przekroczony o trzy i pół metra. Przerwało wały. Brakowało worków z piaskiem. Ponad trzysta śmiertelnych ofiar. Bundeswehra wprowadzona do akcji. Jeden taki, co później został kanclerzem, wydawał rozkazy, zapobiegał najgorszemu...

Nie, na Sylcie nie było śmiertelnych ofiar. Ale wyrwy w zachodnim brzegu dochodziły do szesnastu metrów w głąb. Nawet po drugiej stronie wyspy, gdzie królowały płycizny, mówiło się o ubytkach terenu. Zalane urwisko Keitum. Zagrożone List i Hórnum. Po grobli Hindenburga nie jeździły już pociągi.

Kiedy sztorm ustał, obejrzelśmy szkody. Chcieliśmy informować. Tego się nauczyliśmy. W tym byliśmy wyspecjalizowani. Ale kiedy wojna dobiegała końca i można by było informować już tylko o szkodach i stratach, pożądane były co najwyżej – i to do samego końca – apele o wytrwanie. Co prawda napisałem o kolumnach wschodniopruskich uciekinierów, którzy z Heiligenbeil chcieli przez zamknięty Zalew dostać się na Mierzeję Wiślaną, ale nikt, żaden „Signal”, nie wydrukował moich informacji o niedoli. Widziałem odbijające od brzegu w Gdańsku-Nowym Porcie statki ponad miarę załadowane cywilami, rannymi, partyjnymi waśniakami, widziałem „Wilhelma Custloffa” na trzy dni przed jego zatonięciem. Nie napisałem o tym ani słowa. A kiedy Gdańsk widoczny z daleka stanął w płomieniach, nie ułożyłem elegii wołającej o pomstę do nieba, lecz pomiędzy rozproszonymi żołnierzami i cywilnymi uciekinierami przebijałem się do ujścia Wisły. Widziałem, jak likwidowano kacet w Stutthofie, jak więźniów, o ile przeżyli marsz do Mikoszewa, zapędzano na promy, potem przeładowywano na statki zakotwiczone u ujścia rzeki. Nie powstał horror, nie powstał odgrzewany „Zmierzch bogów”. Widziałem to wszystko i nic o tym nie napisałem. Widziałem, jak w ewakuowanym kaccie

układano warstwami, palono pozostawione trupy, widziałem, jak uciekinierzy z Elbląga i Nowego Dworu z całym dobytkiem zajmowali puste baraki. Za to nie widziałem już strażników. Przychodzili teraz polscy robotnicy rolni. Co jakiś czas dochodziło do grabieży. I nadal walki, ponieważ przyczółek mostowy u ujścia Wisły trzymał się do maja.

Wszystko to przy przepięknej wiosennej pogodzie. Leżałem pomiędzy nadmorskimi sosnami, opalałem się, nic jednak nie przelałem na papier, chociaż wszyscy – chłopka z Mazur, która postradała dzieci, sędziwe małżeństwo, które przedarło się tutaj z Fromborka, polski profesor, który jako jeden z nielicznych więźniów pozostał w kaciecie – naopowiadali mi o swoich nieszczęściach. Nie nauczyłem się ich opisywać. Do tego brakowało mi słów. Uczyłem się więc przemilczania. Wyszedłem cało, wsiadając na jeden z ostatnich okrętów straży przybrzeżnej, który ze Świbna wziął kurs na zachód i mimo kilku ataków lecących nisko samolotów dotarł 2 maja do Travemünde.

Stałem teraz pośród innych ocalałych, którzy – podobnie jak moja skromna osoba – byli zaprawieni w opisywaniu posuwania się naprzód i zwycięstw oraz przemilczaniu reszty. Staralem się, jak to robili pozostali, notować szkody po sztormie na wyspie Sylt, notując wysłuchiwałem skarg poszkodowanych przez wodę. Cóż innego mielibyśmy robić? Ostatecznie ktoś taki jak my żył z informowania.

Nazajutrz gromada się rozpierzchła. Tuż spomiędzy nas, Byłych, i tak znalazły dach nad głową w potężnych nadmorskich willach wyspiarskich prominentów. Ja na koniec przy mroźnie słonecznej zimowej pogodzie widziałem nieopisany zachód słońca.

Potem, kiedy już wznowiono ruch pociągów, umknąłem przez groblę Hindenburga. Nie, nigdzie się już nie spotkaliśmy.

Następną korespondencję napisałem w dalekiej Algierii, gdzie po siedmiu latach masakry dokonywanej przez Francję wojna dogorywała, ale nie chciała wydać ostatniego tchnienia. A co to znaczy: pokój? Dla kogoś takiego jak my wojna nie kończy się nigdy.

1946

Ceglane paprochy, powiadam panu, wszędzie ceglane paprochy! W powietrzu, w ciuchach, między zębami i gdzie tylko się dało. Ale my, kobiety, żeśmy się tym nie przejmowały. Najważniejsze, że był nareszcie pokój. A dzisiaj to nawet chcą nam pomnik zbudować. Ależ to święta prawda! Jest inicjatywa jak się patrzy: kobieta z berlińskich ruin! A wtedy, jak wszędzie zalegały tylko rumowiska i między

wydeptanymi ścieżkami było całe mnóstwo gruzu, sześćdziesiąt jeden fenigów za godzinę dawali, dobrze pamiętam. Prócz tego miało się lepszą kartkę żywnościową, nazywała się numer dwa, to była kartka dla robotników. Bo na kartkę takiej, co tylko domem się zajmowała, było wszystkiego trzysta gramów chleba i siedem gramów tłuszczu. I co z taką kapką można było zrobić, pytam pana.

To była ciężka harówka – odgruzowywanie. Obie z Lotta, co to moją córką jest, żeśmy zasuwały w kolumnie: Berlin Centrum, gdzie prawie wszystko było rozwalone. Lotta zawsze wózek ze sobą ciągnęła. Dzieciak miał na imię Feliks, ale na suchoty zapadł, przez te ciągle ceglane paprochy, tak ja miarkuję. Umarł jej potem już w czterdziestym siódmym, zanim mąż z niewoli wrócił. Oboje mało co się znali. Było wojenne wesele ze ślubem na odległość, bo on najpierw na Bałkanach walczył, potem na froncie wschodnim. I małżeństwo się rozleciało. No, bo oni to w środku obcy sobie byli. A on nic pomagać nie chciał, nawet pniaka z Tiergartenu nie przyciągnął. Tylko by wciąż na łóżku leżał i na dziury w suficie się gapił. No, bo w Rosji, tak ja miarkuję, napatrzył się na różne okropności. Tylko biadolił, jakby noce pod bombami to dla nas, kobiet, była sama przyjemność. A tu biadolenie nic nie dawało. My to żeśmy zakasały rękawy: świątek czy piątek jazda w ruiny! A czasem to żeśmy uprzętały też zbombardowane strychy i całe kondygnacje. Gruz do wiadra i zasuway pięć pięter na dół, bo zsuwni jeszcze żeśmy nie miały.

A raz, dobrze pamiętam, to żeśmy w pustym mieszkaniu myszkowały, częściowo tylko zharatanym. Nic już w nim nie było, tylko tapety w strzępach. Aż tu Lotta w kącie misia pluszowego znalazła. Cały był utyłany w kurzu, zanim go otrzepała. Potem jak nowy wyglądał. Ale my wszystkie to żeśmy zadawały sobie pytanie, co się z dzieckiem stało, co to kiedyś do niego miś należał. Żadna z kolumny misia nie chciała, to go Lotta dla Feliksa wzięła, bo mały jeszcze wtedy żył. Ale przeważnie to żeśmy łopatami gruz na platformy ładowały albo zaprawę z dobrych jeszcze cegieł obtłukiwały. Gruz to na początku do lejów po bombach wywalali, a później ciężarówkami na górę ruin wozili, co to z czasem cała zielenią porosła i piękny jest z niej widok.

A właśnie! Dobre jeszcze cegły na kupkę się układało. Obie z Lotta przy obtłukiwaniu cegieł żeśmy na akord robiły. Była z nas fantastyczna kolumna. Kobiety się w niej trafiały, co na pewno lepsze czasy oglądały, wdowy po urzędnikach państwowych i jedna prawdziwa hrabina. Dobrze pamiętam: von Türkheim się nazywała. Majątki miała na wschodzie, tak ja miarkuję. A jak żeśmy wyglądały! Spodnie ze starych wehrmachtowskich koców, pulower z resztek wełny. I wszystkie w chustkach na głowie, zawiązanych na fest, no, przez ten kurz. W Berlinie podobno pięćdziesiąt tysięcy nas było. Nieee, same kobiety przy odgruzowywaniu robiły, żadnych chłopów. Za mało ich było. A ci, co jeszcze byli, to się objali albo na czarnym rynku handlowali. Nie dla nich była brudna robota.

Ale raz, dobrze pamiętam, kiedy żeśmy nową hałdę ruin zaczęły i żelazny dźwigar odgrzebać musiały, złapałam się za jakiś but. Słowo daję, chłop tam wisiał. Już się zmienił nie do rozpoznania, tylko że z volksszturmu był, żeśmy mogły przeczytać na opasce jego płaszcz. A ten płaszcz wyglądał jeszcze całkiem, całkiem. Czysta wełna. Towar przedwojenny. Hopa! powiedziałam do siebie i buchnęłam tę dobrą rzecz, zanim chłopą zabrali. Nawet wszystkie guziki były jeszcze na swoim miejscu. A w jednej kieszeni płaszcz były organki Hohnera. Zięciowi je dałam, żeby go trochę rozruszać. Ale on nie chciał grać. A jeśli już, to same smutne kawałki. To my obie z Lotta byłyśmy całkiem inne. Życie musiało jakoś iść do przodu. I pomaleńku szło...

Zgadza się! Ja robotę w stołowce schöneburskiego ratusza dostałam. A Lotta, co we wojnę w łączności służyła, jak się ruiny nam skończyły, na uniwersytet ludowy poszła, żeby stenografii i pisania na maszynie się nauczyć. Niedługo po rozwodzie też posadę dostała i teraz jest za sekretarkę. Ale dobrze pamiętam, jak Reuter, co wtedy był za burmistrza, wszystkie nas chwalił. I najczęściej idę do Schillinga przy Tauentzien, gdzie kobiety od gruzu na kawie i ciastkach się spotykają. Tam zawsze jest wesoło.

1947

Owej niebywalej zimy, kiedy to doskwierały nam temperatury 20 stopni minus, a wskutek zamarznięcia szlaków wodnych na Łabie, Wezerze, Renie niemożliwe stało się transportowanie statkami węgla z Zagłębia Ruhry w obrębie stref zachodnich, byłem senatorem odpowiedzialnym za zaopatrzenie miasta Hamburga w energię. Jak w przemówieniach radiowych podkreślał burmistrz Brauer, nigdy jeszcze – nawet w latach wojny – sytuacja nie była tak beznadziejna. W okresie uporczywych mrozów musieliśmy odnotować osiemdziesiąt pięć zgonów wskutek zamarznięcia. Ale proszę mnie nie pytać o liczbę zgonów wskutek grypy.

Pewną ulgę przyniosły urządzone przez Senat ogrzewalnie we wszystkich dzielnicach miasta, czy to w Eimsbüttel i Barmbek, czy w Langenhorn lub Wandbeck. Ponieważ nasze zgromadzone w ubiegłym roku zapasy węgla zostały zarekwirowane przez brytyjskie władze okupacyjne na potrzeby wojska, a zasoby Hamburskich Zakładów Elektrycznych starczały już tylko na parę tygodni, trzeba było wprowadzić drastyczne oszczędności. We wszystkich częściach miasta dochodziło więc do wyłączania prądu. Kolejka miejska ograniczyła ruch, podobnie jak tramwaje. Wszystkie gospody zamykano o godzinie dziewiętnastej, teatry i kina były w zasadzie nieczynne. Ponad sto szkół musiało zawiesić lekcje. A zakładom, które nie produkowały czegoś, co było ważne dla życia, pozostawała w najlepszym razie praca w skróconym wymiarze.

Ba, jeśli chodzi o ścisłość, to zrobiło się jeszcze gorzej: nawet szpitale nie omijały

wyłączenia prądu. Służby sanitarne musiały zakończyć seryjne badania rentgenowskie w instytucie szczepień przy Brennerstrasse. Na dodatek już i tak niskokaloryczne racje żywnościowe wskutek słabych plonów roślin oleistych praktycznie pozostały tylko na papierze: do rozdziału było miesięcznie siedemdziesiąt pięć gramów margaryny na osobę. A skoro starania o niemieckie uczestnictwo w międzynarodowej flocie wielorybniczej zostały przez władze brytyjskie potraktowane odmownie, nie sposób było liczyć, że przyjdą nam w sukurs miejscowe wytwórnie margaryny holenderskiego koncernu Unilever. Znikąd pomocy! Głód i zimno panowały powszechnie.

Ale jeśli pyta mnie pan o najbardziej poszkodowanych, to jeszcze dzisiaj, nie bez słów oskarżenia pod adresem lepiej wówczas sytuowanych, wskażę na tych wszystkich, którzy jako ofiary bombardowań musieli gnieździć się w piwnicach zrujnowanych posesji, a jako uciekinierzy ze Wschodu w ogródkach działkowych lub w barakach Nissena. Mimo że jako senator nie miałem w swojej gestii spraw mieszkaniowych, nie omieszkałem przeprowadzić inspekcji tych prowizorycznych kwater z blachy falistej postawionych w pośpiechu na betonowym podłożu, a także domków na działkach w Waltershofie. Działy się tam rzeczy nie do opisania. Wprawdzie lodowaty wiatr wdzierał się wszystkimi szczelinami, ale w większości żelaznych piecyków nie było napalone. Ludzie starzy nie wstawali już z łóżek. Kogo mogło to dziwić, kiedy najbiedniejsi z biednych, którzy na czarnym rynku – gdzie można było dostać cztery brykiety za jajko lub trzy papierosy – nie mieli już nic na wymianę, popadali w rozpacz lub schodzili na złą drogę; szczególnie dzieci ofiar bombardowań i wypędzonych brały udział w grabieniu pociągów z węglem.

Z chęcią przyznaję, że już wówczas wyrobiłem sobie zdanie na przekór obowiązującym przepisom. W obecności wyższych funkcjonariuszy policji miałem możliwość obserwować sprzeczne z prawem działania na stacji przeładunkowej Tiefstack: pod osłoną nocy zdecydowane na wszystko postacie, wśród nich wyrostki, dzieci. Bractwo przychodziło z workami i koszami, wykorzystując każdy cień, czasem tylko na moment ukazując się w blasku lampy łukowej. Jedni zrzucali węgiel z wagonów, inni zbierali. I już pierzchali, ciężko obciążeni i – można było sądzić – szczęśliwi.

Poprosiłem zatem szefa prowadzonej przez policję kolejową akcji, żeby tym razem nie interweniowali. Ale obława była już w toku. Reflektory oświetliły teren. Słowa komend, wzmacniane przez głośniki. Szczękały policyjne psy. Wciąż jeszcze słyszę przeraźliwe gwizdki i widzę znękaną dziecięcą twarz. Żeby malcy przynajmniej płakali, ale nawet do tego nie byli zdolni.

Nie, proszę mnie nie pytać, jak się czułem. Na użytek pańskiego reportażu już tylko jedna uwaga: Zapewne nie można było postępować inaczej. Władze miejskie, a

zwłaszcza policja nie były p0 to, żeby przyglądać się beczynninie. Dopiero w marcu zimno zelżało.

1948

Właściwie oboje z żoną chcieliśmy mieć pierwszy raz prawdziwy urlop. Jako emeryci chudego portfela musieliśmy sobie skąpić, mimo że reichsmarka niewiele już była warta. Ponieważ jednak zawsze byliśmy niepalący, dzięki kartkom dla palaczy – wszystko było przecież tylko na przydział-mogliśmy jakoś sobie radzić na czarnym rynku i nawet coś tam oszczędzić.

Pojechaliśmy więc do Allgäu. Ale tam padało i padało. O tym i o wszystkim, cośmy przeżyli w górach i co poza tym jeszcze się zdarzyło, moja żona ułożyła później prawdziwy rymowany wiersz, i to w dialekcie nadreńskim, ponieważ oboje rodem jesteśmy z Bonn. A wiersz zaczynał się tak:

Trzy dzionki i trzy nocki jak z ceberka lało, niebka, górek i gwiazdek nic się nie widziało.

Ale wtedy w pensjonacie i w ogóle wszędzie przebąkiwało się już o nowych pieniądzech, co to wreszcie miały przyjść, aż potem gruchnęła wieść: To nastąpi za dwa dni!

Jak tu ci urlopować? A na domiar złego pieniążki nam zmieniają ni z tego, ni z owego... napisała moja żona. A ja czym prędzej na zapas i za stare reichsmarki ostrzygłem się jeszcze u wiejskiego fryzjera, i to krócej niż zwykle. Moja żona ufarbowała włosy na kasztanowo i – nie oglądając się na koszty – zrobiła sobie nową trwałą. A potem trzeba było się pakować. Koniec z urlopem! Ale pociągi we wszystkich kierunkach, zwłaszcza do Nadrenii, były przepełnione, prawie jak za czasów szmuglerskich, ponieważ każdy chciał szybko dostać się do domu, w związku z czym Anneliese zrymowała:

W pociąжку takich tłumów nigdy nie bywało, przez te nowe pieniążki ludków opętało...

Takoż i my po przyjeździe do Bonn pognaliśmy zaraz do kasy oszczędności i wzięliśmy te marne grosze, cośmy jeszcze mieli na książeczkę, bo w najbliższą niedzielę, dokładnie 20 czerwca, ruszała wymiana. Najpierw trzeba było stanąć w kolejce. I to na deszczu. Wszędzie bowiem, nie tylko w Allgäu, to był deszczowy dzień. Staliśmy trzy godziny, taki długi był ogonek. Każdy dostał czterdzieści marek, a za miesiąc jeszcze dwadzieścia, ale to już nie były reichsmarki, tylko marki niemieckie, bo z Reichem tak czy owak wszystko wzięło w łeb. Miała to być jakaś

taka sprawiedliwość, ale nie była. Na pewno nie dla nas, emerytów chudego portfela, bo od tego, co ujrzeliśmy już na drugi dzień, można było dostać zawrotu głowy. Raptem, jak gdyby ktoś powiedział: hokus pokus, wypełniły się wszystkie wystawy. Kielbasy, szynki, radia, normalne buty, nie takie na drewnianej podeszwie, i ubrania – kamgarn! – w każdym rozmiarze. Sami oszukańcy gromadzili towary na zapas i czekali, aż nastanie prawdziwy pieniądź. Później mówiło się, że zawdzięczamy wszystko Erhardowi z grubym cygarem. Tymczasem to Amerykańcy po kryjomu wydrukowali nowe pieniądze. I oni postarali się o to, by marka niemiecka była tylko w tak zwanej Trizonii, ale w strefie sowieckiej już nie. Dlatego Rusczy potem wydrukowali tam swoją własną markę i zablokowali wszystkie dojazdy do Berlina, po czym powstał most powietrzny, a nasze Niemcy zostały dodatkowo podzielone przez pieniądź. Ale z forsą niedługo zrobiło się krucho. Dla emerytów chudego portfela tak czy owak. Toteż Anneliese napisała:

Nie dali, ile trzeba. A w tym cała bieda,

że bez grosza przy duszy żyć się wcale nie da...

Nic dziwnego, że na zebraniu naszego koła towarzysz Hermann pomstował: – Skąd nagle bierze się tyle towarów? Stąd, że gospodarka prywatna służy nie pokrywaniu zapotrzebowania, lecz jedynie osiągnięciu zysku... – Miał rację, nawet jeśli później troszkę się poprawiło. Ale emeryci chudego portfela nadal z trudem wzięli koniec z końcem. Mogliśmy co prawda stać przed pełnymi wystawami i podziwiać, ale nic więcej. Dobrze było tylko to, że w końcu znów pokazały się świeże owoce i jarzyny, wiśnie, pięćdziesiąt fenigów funt, i kalafiory, sześćdziesiąt pięć za sztukę. Mimo to musieliśmy rachować.

Na szczęście moja żona swój rymowany wiersz, który nosił tytuł „Ucieczka z Allgäu”, wysłała na konkurs „Kölnische Rundschau”.

Chodziło o to, żeby ubrać w rymy „swoje najpiękniejsze przeżycie na urlopie”. Co ja mam mówić: dostała drugą nagrodę. Było to dwadzieścia nowych marek na rękę. I jeszcze dziesięć za druk w „Rundschau”. Położyliśmy je na książeczkę. W ogóle oszczędzaliśmy, gdzie tylko się dało. Ale na to, żeby wyjechać na urlop, przez wszystkie późniejsze lata nigdy nie starczyło. Byliśmy przecież, jak się wtedy mówiło, „poszkodowani przez wymianę waluty”.

... i wyobraź sobie, Mój Drogi Ulli, że świat jest pełen niespodzianek, bo na stare lata przydarzyło mi się niedawno spotkanie szczególnego rodzaju: ona jeszcze istnieje, piękna Inga, której chłodna zjawiskowość (in natura et figura) niegdyś – może powinienem powiedzieć: za czasów Adolfa? – rozpalała nas, szczecińskich chłopaków, burzyła krew bądź odbierała mowę, w każdym razie przyprawiała o istny zawrót głowy; a ja mogę nawet stwierdzić, że z drżeniem serca zbliżyłem się do niej na wyciągnięcie ręki. Nie, nie na obozowisku nad Zalewem, ale kiedy wspólnie organizowaliśmy pomoc zimową dla marznącego frontu wschodniego: wpadliśmy na siebie przy układaniu i pakowaniu kalesonów, pulowerów, opasek rozgrzewających na nadgarstki i innych wełnianych rzeczy. Skończyło się to nieporadnymi uściskami na posłaniu z futer i swetrów. Okropnie potem cuchnęliśmy kulkami na mole.

Wracając do terażniejszej Ingi: podobnie jak nam, tak i jej wiek dał się we znaki, ale mimo zmarszczek i srebrzystej siwizny pani doktor Stephan tchnie ową młodzieńczo skondensowaną siłą, która wówczas wiodła ją ku coraz wyższym funkcjom. Na pewno przypominasz sobie: awans za awansem. Pod koniec była komendantką hufca BDM, a tymczasem Ty dochrapałeś się tylko stanowiska drużynowego, ja zaś zastępowego w Jungvolku. Kiedy nas odziano potem w mundury służby pomocniczej lotnictwa, czas brunatnych koszul, chust na szyję, dowódczych sznurów (nazywanych także małpimi huśtawkami) i tak przeminął. Inga natomiast, jak mi wstydliwie szepnęła, trzymała w garści swoje dziewczyny do ostatnich dni walk: opieka nad uciekinierami z Pomorza, występy chóru w lazarecie. Dopiero jak przyszli Rosjanie, zaprzestała, nie ponosząc na ciele żadnego uszczerbku, działalności w Związku Niemieckich Dziewcząt.

Zęby Twojej cierpliwości jako czytelnika tej epistoły nie wystawiać na zbyt ciężką próbę spotkaliśmy się z okazji targów książki w Lipsku, jako że do ich ramowego programu należały, notabene tolerowane przez państwo robotników i chłopów, fachowe dyskusje Towarzystwa Dudenowskiego, zrzeszającego Niemców ze Wschodu i Zachodu, a więc i mnie, wkrótce (jak Ty) emerytowanego profesora, na którego lingwistyczne sofizmaty Duden zachodni liczy jednak w dalszym ciągu. A ponieważ współpracujemy, na ogół bez zakłóceń, z Dudenem wschodnim, doszło do tego spotkania, bo Inga jako renomowana hngwistka także należy do ogólnoniemieckiej ferajny językowych przedobrzaczy, w której mogą wtrącić swoje trzy grosze jeszcze Austriacy i niemieckojęzyczni Szwajcarzy. Ale nie chcę Cię zanudzać naszymi utarczkami w kwestii reformy ortografii, ta góra już od dawna ma bóle porodowe i któregoś dnia urodzi przysłowiową mysz.

Interesujące jest jedynie moje tete-a-tete z Ingą. Umówiliśmy się jak należy na kawę

i ciastka w pasażu Mädlera i ja, zaproszony przez nią, miałem okazję pochrupania saskiej specjalności o nazwie „serczyk”. Po krótkiej wymianie zdań na tematy fachowe nawiązaliśmy do lat szczecińskiej młodości. Na początek pospolite sztubackie historyjki. Ona nie kwapiła się do grzebania w okruchach wspomnień z naszych wspólnych czasów w Hitlerjugend, uciekając się do metafor w rodzaju „W owych mrocznych latach otumanienia „ Mówiła także Jak bardzo zbrukano nasze ideały i nadużyto naszej wiary”. Ale kiedy przeszedłem na czasy po czterdziestym piątym, nie miała żadnych trudności z wytłumaczeniem przeorientowania się na system socjalistyczny, które dokonało się w niej po zaledwie półtorarocznym okresie przejściowym, jako „bolesnego nawrócenia na antyfaszizm” Także w FDJ, mając po temu wszelkie dane, robiła szybką karierę Opowiadała o swoim udziale w uroczystościach powstania NRD, które w czterdziestym dziewiątym odbyły się, jak wiadomo, w dawnym ministerstwie żeglugi powietrznej Göringa. Potem uczestniczyła w światowych festiwalach młodzieży, pochodach pierwszomajowych i nawet, gorliwie agitując krnąbrnych chłopów, w kolektywizacji rolnictwa. Ale podczas tej forsownej agitacji, „uprawianej”, jak mówiła, „z megafonowym nagłośnieniem”, ogarnęły ją pierwsze wątpliwości. Mimo to nasza piękna Inga po dziś dzień jest członkinią SED i w tej roli stara się, jak mnie zapewniła, „z konstruktywną krytyką odnosić się do błędów partii”

Potem zboczyliśmy na trasy ucieczki naszych rodzin Jej najbliżsi drogą lądową dotarli i osiedli w Rostocku, gdzie Inga wkrótce jako dziecko robotnicze – jej ojciec był spawaczem w stoczni Wulkan – mogła rozpocząć studia i przygotowywać późniejszą karierę partyjną. Moich rodziców, jak wiesz, zagnało drogą morską najpierw do Danii, potem do Szlezwiku-Holsztynu, ściśle mówiąc do Pinnebergu. Powiedziałem Indze – No cóż, mnie wyrzuciło na brzeg po zachodniej stronie Łaby, gdzie capnęli mnie Anglicy – i wyliczyłem jej potem kolejne etapy mojego życia niewola w obozie Munster, ciotka w Getyndze, nadrobiona matura, pierwsze semestry tamże, asystentura w dessen, stypendium amerykańskie itd, itd.

Jeszcze w trakcie naszej pogawędki zastanowiło mnie, jak uprzywilejowany i zarazem upośledzony przebieg miało nasze dojrzewanie na Zachodzie co prawda zniknęła brunatna koszula, ale nikt nam nie narzucał niebieskiej – To są oznaki zewnętrzne – powiedziała Inga – Myśmy w coś wierzyli, podczas gdy wy w kapitalizmie zatraciliście wszelkie ideały – Naturalnie ja odparowałem – A więc wiary już przedtem nie brakowało, kiedy ja chodziłem w brunatnej koszuli, a ty byłaś za wyznawczynię w bielusieńkiej bluzce i spódniczce do kolan’ – ,Byliśmy otumanionymi dziećmi’ – brzmiała jej odpowiedź. Potem Inga się usztywniła Zawsze umiała to robić. To zrozumiałe, że nie mogła ścierpieć mojej dłoni na swojej. Raczej do siebie wyznała szeptem – W jakimś momencie zaczęło się u nas psuć – Niby coś oczywistego nadeszło moje echo – U nas też.

Potem mówiliśmy już tylko o sprawach zawodowych, przeszliśmy na Towarzystwo Dudenowskie i jego ogólnoniemieckie swary. Na koniec dotknęliśmy reformy ortografii. Oboje byliśmy zdania, że musi być radykalna, bo w przeciwnym razie nie będzie z niej żadnego pożytku – Byle uniknąć połowicznych rozwiązań! – zawołała i zaróżowiła się lekko aż po nasadę włosów Kiwnąłem głową i zadumałem się nad moją młodzieńczą miłością.

1950

Jako że kiedyś, na długo przed wojną, byłem piekarzem, kolończycy nazwali mnie „błaznowatą drożdżówką”. Nie było w tym jednak złośliwości, bo po wielkim Ostermannie Willim to mnie przed wszystkimi innymi wychodziły najlepsze huśtane walce. W trzydziestym dziewiątym, kiedy ostatni raz przyszło nam świętować karnawał i wrzeszczeć „Kolie Alaaf!”, numerem jeden było „Ty sarenko żwawa...”, a po dziś dzień wciąż jeszcze rozbrzmiewa „Cała naprzód, panie kapitanie...”, czym unieśmierteliłem „mülheimskie łódeczki”.

Potem jednak nadeszły ciężkie czasy. Dopiero jak wojna się skończyła i z naszej kochanej Kolonii zostały same ruiny, jak władze okupacyjne surowo zakazały naszego karnawału i na przyszłość wszystko marnie wyglądało, zawojowałem publiczność kawałkiem „To my, tubylcy Trizonezji”, bo kolońscy błaznowie nie dadzą sobie niczego zakazać. Nie oglądając się na ruiny, wystrojeni w ocalałe fatałaszk: Czerwone Iskry, czereda dzieciaków, nawet paru wojennych inwalidów z książęcej gwardii, tak się zaczęło pod Hahnentor. A w czterdziestym dziewiątym pierwsza po wojnie błazeńska trójca gwiazd – a stanowią ją: Książę, Chłop, Dziewica – zaczęła własnoręcznie usuwać gruz z doszczętnie rozwalonego Gürzenicha. Miało to symboliczną wymowę, bo w Cürzenichu zawsze odbywały się najpiękniejsze posiedzenia.

Dopiero w następnym roku wolno nam było znów oficjalnie. Obchodziliśmy jubileusz, ponieważ starzy Rzymianie założyli nasze miasto pod nazwą Colonia w roku pięćdziesiątym. Hasło też brzmiało: „Kolonia, jaka jest i była przez 1900 lat”. Ale niestety to nie ja ułożyłem karnawałowy przebój sezonu, w ogóle żaden z nas, zawodowców, ani Jupp Schlösser, ani Jupp Schmitz, nie, był to niejaki Walter Stein, któremu, jak mówiono, „Kto za to zapłaci, kto tyle forsy ma...” przyszło do głowy przy goleniu. Muszę przyznać, że to trafiało w nastroje: „Kto tyle ma mamony, kto szmalu tyle ma...” Ale wylansował tę rozkołysaną piosenkę gość z radia nazwiskiem Feltz. Spryciarz kuty na cztery nogi, ponieważ Stein i Feltz to była mianowicie jedna i ta sama osoba. Było to co prawda grubymi nićmi szyte oszustwo i klasyczny przykład kolońskiego kumoterstwa, ale w „Kto za to zapłaci...” szło i szło, bo ten Stein czy Feltz znalazł mianowicie właściwy ton. Po reformie walutowej nikt przecież nie

miął grosza przy duszy, w każdym razie nikt z prostych ludzi. Lecz nasz karnawałowy Książę, Peter III, był zawsze przy forsie: hurtowy handel ziemniakami! A nasz Chłop prowadził firmę od marmurów w Ehrenfeld. Dobrze sytuowana była też nasza Dziewica Wilhelmina, która wedle statutu musiała być mężczyzną, a tym z kolei był jubiler i ponadto złotnik. Ta trójca gwiazd ciskała potem pieniędzmi na prawo i lewo, kiedy w hali targowej świętowało się z przekupkami babskie zapusty...

Ale ja przecież chciałem opowiedzieć o zapustnym poniedziałku. Dzień był deszczowy. Mimo to przybyło ponad milion ludzi, także z Holandii i Belgii. Świętowali nawet okupanci, bo znów dozwolone było właściwie wszystko. Było prawie jak dawniej, jeśli człowiek potrafił po prostu nie dostrzegać ruin, które wszędzie jeszcze upiornie rzucały się w oczy. Ruszył historyczny pochód ze starymi Germanami i starymi Rzymianami. Zaczynało się od ludu Ubierów, z którego podobno wywodzą się kolończycy. A potem już muzyka, fikanie nóżkami, dziewczuszki z Iskier. I hurma wozów, pewnie z pięćdziesiąt. O ile jeszcze w zeszłym roku śpiewało się: „Znowu tutaj jesteśmy i robimy, co się da”, a w istocie „dawało się” niewiele, o tyle tym razem rzucało się z wozów dzieciom i przebierańcom całą masę karmelków, blisko dwadzieścia pięć cetnarów. A z fontanny na kółkach firma 4711 rozpyliła na tłumy parę tysięcy litrów prawdziwej wody kolońskiej. Toteż dobrze było się kołysać: „Kto za to zapłaci...”

Ten szlagier długo się jeszcze trzymał. Ale poza tym pochód w zapustny poniedziałek miał niewiele politycznych akcentów, jako że władze okupacyjne patrzyły na ręce. Tyle tylko, że w uroczystym korowodzie zwracały uwagę dwie maski, zawsze tuż koło siebie. Nawet całowały się i tańczyły ze sobą. Sercem i duszą niejako stanowiły jedno, co naturalnie było mocno trywialne i trochę złośliwe, bo jedna maska przedstawiała realistycznie starego Ade

nauera, druga zaś była Szpicbródką stamtąd, no, tym Ulbrichtern. To jasne, że ludzie śmiali się z przebiegłego wodza Indian i syberyjskiej kozy. Był to jednak jedyny akcent ogólnoniemiecki, jaki pojawił się w zapustnym pochodzie. Bardziej chyba wymierzony w Adenauera, którego kolońscy wesołkowie nigdy nie lubili, ponieważ już przed wojną jako nadburmistrz występował przeciwko karnawałowi. Jako kanclerz najchętniej by go zakazał. I to na zawsze.

1951

Wielce Szanowni Panowie z Zakładów Volkswagena!

Znowu muszę się poskarżyć, ponieważ nie dostajemy od Panów w ogóle żadnej odpowiedzi. Czy dzieje się tak dlatego, że my, jak zrządził los, zamieszkujemy w Niemieckiej Republice Demokratycznej? Przy tym nasz domek znajduje się pod

Marienborn, bardzo blisko granicy, której my nie możemy już przekraczać, odkąd trzeba niestety było wznieść szaniec ochronny.

To niesprawiedliwość, że Panowie nie odpowiadacie! Mój mąż pracował u Panów od początku, ja dopiero później. Już w trzydziestym ósmym uczył się w Brunszwiku na narzędziowca dla VW. Potem był spawaczem, a zaraz jak tylko wojna się skończyła, pomagał usuwać gruz, ponieważ po bombardowaniach prawie połowa legła w ruinie. Później, jak pan Nordhoff został się za szefa i montaż po wznowieniu ruszył na ostro, był nawet kontrolerem jakości i poza tym w radzie zakładowej. Na załączonej fotografii możecie Panowie zobaczyć, że był przy tym, jak 5 października pięćdziesiątego pierwszego z taśmy zszedł dwieście pięćdziesiątych tysięcy volkswagen i myśmy świętowali. Pan Nordhoff wygłosił piękną mowę. Staliśmy wszyscy wokół Garbusa, który nie był jeszcze polakierowany na złotożółto jak milionowy, cośmy go świętowali cztery lata później. Mimo to uroczystość wypadła lepiej niż trzy lata wstecz, ponieważ wtedy, jak o pięćdziesiątych tysięcy szło, nie było pod dostatkiem kieliszków i posłużyliśmy się pucharami z jakiegoś sztucznego tworzywa, po czym wielu gości i pracowników dostało okropnych bólów brzucha i niejednen wymiotował już w hali fabrycznej albo na dworze. Ale tym razem kieliszki były jak trzeba. Szkoda tylko, że profesor Porsche, który właściwie – a nie ten Hitler – wymyślił volkswagena, akurat w tym roku zmarł w Stuttgartarcie i z tego powodu nie mógł z nami świętować. On by nam na pewno odpowiedział, gdyby zobaczył nasze oszczędnościowe kupony z dawnych lat.

Ja zaczęłam u Volkswagena w Wolfsburgu podczas wojny, zaraz po Stalingradzie, jak wszyscy musieli iść do roboty. Wtedy, jak Panowie pewnie pamiętają, nie robiło się Garbusów, tylko całą masę łazików dla Wehrmachtu. W prasowni, gdzie tłoczyłam blachy, pracowało bez wynagrodzenia dużo Rosjanek, ale z nimi to nie wolno nam było rozmawiać. Były to złe czasy. Przeżyłam więc też bombardowanie. Jak potem wszystko ruszyło na nowo, dostałam jednak lżejszą pracę przy taśmie montażowej. Wtedy poznałam mojego męża. Ale dopiero w pięćdziesiątym drugim, jak umarła moja kochana matka i zostawiła nam domek z ogrodem pod Marienborn, przeniosłam się do sowieckiej strefy. Mój mąż został jeszcze niespełna rok, do czasu ciężkiego wypadku. Może to był nasz błąd. Bo los tak zrządził, że jesteśmy odcięci od wszystkiego. Nawet na nasze listy Panowie nie odpowiadacie. To nie jest w porządku!

Tymczasem my zeszłego roku złożyliśmy w terminie naszą deklarację przystąpienia do ugody oszczędzających z Volkswagenem i wysłaliśmy Panom wszystkie załączniki. Po pierwsze, potwierdzenie, że mój mąż, Bernhard Eilsen, od marca trzydziestego dziewiątego co tydzień wpłacał co najmniej pięć reichsmarek i przez cztery lata naklejał oszczędnościowe kupony na ciemnogrnatowy samochód Kraft durch Freude, jak wówczas jeszcze nazywał się volkswagen. W sumie mój mąż

zaoszczędził 1230 marek. Taka była wtedy cena kupna w Zakładach. Po drugie, do rąk Panów dotarło potwierdzenie okręgowego inspektora narodowosocjalistycznej wspólnoty Kraft durch Freude do spraw samochodowych. Ponieważ jednak nieliczne wyprodukowane podczas wojny volkswageny były przeznaczone tylko dla partyjnych ważniaków, mój mąż został wystrychnięty na dudka. Z tego powodu i że jest inwalidą, rościmy sobie prawo do Garbusa, mianowicie do volkswagena 1500 w jasnozielonym kolorze, bez specjalnych bajerów.

Teraz, kiedy z taśmy zeszło już ponad pięć milionów Garbusów i panowie zbudowaliście nawet zakłady dla Meksykanów, będzie chyba możliwe spełnienie naszych roszczeń z tytułu oszczędzania na volkswagenowski samochód, mimo że na stałe mieszkamy w NRD. A może już się nie liczymy za Niemców?

W związku z tym, że Panów Trybunał Federalny niedawno wydał postanowienie o ugodzie ze stowarzyszeniem byłych oszczędzających w Karlsruhe, przysługuje nam upust cenowy w wysokości 600 marek niemieckich. Resztę chcielibyśmy zapłacić w naszej walucie. To chyba będzie możliwe, czy nie?

Oczekując odpowiedzi Panów z poważaniem

Elfriede Eilsen

1952

Kiedy goście nas pytają, wciąż jeszcze mówię: Połączyło nas Czarodziejskie Zwierciadło, jak na początku – i nie tylko w „Hör zu” – nazywano telewizję, miłość nadchodziła pomału, kroczył po kroczyku. Było to na Boże Narodzenie pięćdziesiątego drugiego. Wszędzie, a więc i u nas w Lüneburgu, ludzie tłoczyli się przed wystawami sklepów radiowych i śledzili na ekranach pierwszy prawdziwy program telewizyjny. Tam, gdzie myśmy stali, był tylko jeden jedyny aparat.

No, specjalnie porywające to nie było. Najpierw historyjka, w której rozchodziło się o kolędę „Cicha noc, święta noc”, jednego nauczyciela i jednego świątkarza imieniem Melchior. Później dali baletowy kawałek na motywach Wilhelma Buscha z rozszalałymi Maksem i Morycem. Wszystko to z muzyką tego Norberta Schulze, któremu my, dawni wojacy, zawdzięczaliśmy nie tylko „Liii Marien”, lecz i „Bomby na Anglię”. Aha, na początek jakieś tam uroczyste trzy po trzy plół dyrektor Północnozachodnioniemieckiej Rozgłośni, niejaki doktor Pleister, przez krytykę telewizyjną ochrzczony potem do rymu „nudziklajstrem”. I była spikerka w kwiecistej sukience, która występowała zgoła nieśmiało i uśmiechała się do wszystkich, a zwłaszcza do mnie.

To była Irena Koss i to ona w ten sposób nas poswatała, bo w ciżbie pod sklepem radiowym Gundel najzupełniej przypadkowo stanęła obok mnie. Podobało się jej wszystko, co Czarodziejskie Zwierciadło miało do zaoferowania. Bożonarodzeniowa historyjka wzruszyła ją do łez. Bez skrępowania oklaskiwała każdy figiel spleatany przez Maksa i Moryca. Ale kiedy po Nowinach Dnia – nie pamiętam już, co w nich było poza papieskim orędziem – nabrałem odwagi i zagadnąłem ją: „Czy zauważyła pani, moja panno, że jest pani do spikerki bajecznie podobna?”, przyszło jej do głowy tylko opryskliwe: „Pierwsze słyszę!”

Mimo to, nie umówieni, spotkaliśmy się nazajutrz przed znów oblężoną przez tłum wystawą, i to już wczesnym popołudniem. Ona wytrwała, chociaż transmisja meczu piłkarskiego pomiędzy p.C. St. Pauli a Hamborn 07 znudziła ją. Obejrzeliliśmy program wieczorny, ale tylko ze względu na spikerkę. A w przerwie poszczęściło mi się: Gundel przyjęła moje zaproszenie na filiżankę kawy „dla rozgrzania się”. Przedstawiła się jako uciekinierka ze Śląska, zatrudniona w charakterze ekspedientki w „Salamandrze”, ja, który snułem wtedy górnołotne plany, chcąc zostać dyrektorem teatru, a co najmniej aktorem, przyznałem, że muszę pomagać ojcu w prowadzeniu dość kiepsko prosperującej gospody ale w gruncie rzeczy jestem bezrobotny, za to pełen pomysłów. „Nie są to tylko zamki na lodzie”, zapewniłem.

Po Nowinach oglądaliśmy naszym zdaniem dowcipną audycję poświęconą przyrządzaniu strucli na Boże Narodzenie. Rozczynianie ciasta przeplatało się z zabawnymi komentarzami Petera Frankfelda, który później zdobył popularność poszukiwaniem talentów w programie „Kto chce, ten może”. Poza tym z przyjemnością patrzyliśmy na Ilse Werner, która gwizdała i śpiewała, a zwłaszcza na dziecięcą gwiazdę Cornelię Froboess, smarkulę z Berlina, znaną za sprawą wpadającego w ucho kawałka „Pakuj kąpielówki”.

I tak to potoczyło się dalej. Spotykaliśmy się przed wystawą. Wkrótce staliśmy i patrzyliśmy z dłonią w dłoń. Ale na tym się kończyło. Dopiero kiedy zaczął się już nowy rok, przedstawiłem Gundel mojemu ojcu. Jemu spodobał się sobowtór spikerki telewizyjnej Ireny Koss, jej spodobała się położona pod lasem gospoda. Żeby się zbytnio nie rozwodzić, Gundel wniosła życie do podupadłego lokalu „Pod Wrzosem”. Potrafiła namówić mojego od śmierci matki zmarkotniałego ojca, żeby wziął kredyt i w dużej sali postawił telewizor, nie jakiś tam stolikowy aparat, tylko wielki projektor Philipsa, nabytek, który się opłacił. Od maja co wieczór nie było już „Pod Wrzosem” wolnego stolika, wolnego krzesła. Goście przybywali z daleka, bo liczba prywatnych abonentów telewizyjnych jeszcze długo pozostawała skromna.

Wkrótce mieliśmy wierną stałą publiczność, która nie tylko gapiała się w ekran, lecz też umiała porządnie zjeść. A kiedy kucharz telewizyjny Clemens Wilmenrod stał się popularny, Gundel, która nie była już sprzedawczynią butów, tylko moją narzeczoną,

przejęła jego przepisy, aby włączyć je do dosyć przedtem jednostajnego menu „Pod Wrzosem”. Od jesieni pięćdziesiątego czwartego – tymczasem wzięliśmy ślub – serial „Rodzina Schölermannów” przyciągał coraz więcej publiczności. I wraz z naszymi gośćmi przeżywaliśmy zmienne koleje losów na ekranie, jak gdybyśmy utożsamiali się z telewizyjną rodziną, jak gdybyśmy też byli Schölermannami, czyli, jak często głośno nieprzychylnie opinie, niemiecką przeciętnością. Cóż, to prawda. Mamy dwoje dzieci, trzecie w drodze. Oboje cierpimy trochę z powodu nadmiaru kilogramów. Wprawdzie odstąpiłem od swoich górnoletnich zamiarów, ale nie jestem niezadowolony ze swej drugoplanowej roli. Bo to Gundel – starannie podpatrzywszy rzecz u Schölermannów – prowadzi teraz „Pod Wrzosem” także pensjonat. Jak wielu uciekinierów, którzy musieli zaczynać zupełnie od początku, jest pełna energii. I mówią to także nasi goście: Gundel, ta to wie, czego chce.

1953

Deszcz ustał. Kiedy zrywał się wiatr, ceglany pył trzeszczał w zębach. Powiedziano nam, że to typowe dla Berlina. Oboje z Anną byliśmy tu od pół roku. Ona opuściła Szwajcarię, ja miałem za sobą Düsseldorf. Ona w jednej z willi w Dahlem uczyła się u Mary Wigman bosonogiego tańca wyrazistego, ja w pracowni Hartunga przy Steinplatz nadal chciałem zostać rzeźbiarzem, ale stojąc gdziekolwiek, siedząc czy leżąc u boku Anny pisałem krótkie wiersze. Potem zdarzyło się coś nie związanego ze sztuką.

Pojechaliśmy kolejką do Dworca Lehrter. Jego stalowy szkielet wciąż jeszcze stał. Minęliśmy ruiny Reichstagu, Bramę Brandenburską, na której dachu brakowało czerwonej flagi. Dopiero przy Potsdamer Platz zobaczyliśmy od zachodniej strony granicy sektorów, co się zdarzyło i co zdarzało się w danej chwili bądź od momentu, kiedy ustał deszcz. Z Domu Kolumba i z Haus Vaterland buchał dym. Kiosk stał w płomieniach. Zwęglona propaganda, którą wiatr porwał z dymem, spadała z nieba niczym płatki czarnego śniegu. I widzieliśmy gromady ludzi, przemieszczające się bez celu to tu, to tam. Nigdzie policji ludowej, ale ugrzęzłe w tłumie sowieckie czołgi, T 34, znany mi typ.

Wypisane na tablicy ostrzeżenie: „Uwaga! Opuszczacie sektor amerykański”. Kilku wyrostków mimo to z rowerami i bez odważyło się przejść na tamtą stronę. My zostaliśmy na Zachodzie. Nie pamiętam, czy Anna widziała coś innego albo coś więcej niż ja. Oboje widzieliśmy dziecięce twarze rosyjskich piechurów, którzy okopywali się wzdłuż granicy. A dalej widzieliśmy rzucających kamienie. Wszędzie leżało pod dostatkiem kamieni. Z kamieniami na czołgi. Mógłbym być naszkicować postawę przy rzucie, stojąc napisać wiersz, krótki lub długi, o rzucaniu kamieni, nie narysowałem jednak ani kreski, nie

napisałem ani słowa, ale ruchy rzucającego kamieniami utkwiły mi w pamięci.

Dopiero w dziesięć lat później, kiedy oboje z Anną molestowani przez dzieci widzieliśmy w sobie nawzajem rodziców, a na Potsdamer Platz patrzyliśmy jak na ziemię niczyją, w dodatku odgradzoną murem, napisałem sztukę teatralną, która jako tragedia niemiecka miała tytuł „Plebejusze próbują buntu” i rozdrażniła strażników świętości w obu państwach. W czterech aktach chodziło o siłę i bezsilność, o planowaną i spontaniczną rewolucję, o kwestię, czy dałoby się zmienić Szekspira, o podwyższanie norm i podartą czerwoną szmatę, o słowa i antysłowa, o wyniosłych i zatrwożonych, o czołgi i rzucających kamieniami, o bunt robotników w deszczu, który – ledwie został stłumiony – okrzyknięto fałszywie powstaniem narodowym i pod datą 17 czerwca uczczono świętem, przy czym na Zachodzie po każdym weekendzie było więcej zabitych w wypadkach drogowych.

Zabici na Wschodzie zostali jednakże zastrzeleni, zlinczowani, straceni. Poza tym wymierzano kary pozbawienia wolności. Więzienie w Budziszynie było przepelnione. Wszystko to wyszło na jaw dopiero później. My oboje z Anną widzieliśmy tylko bezsilnych ludzi rzucających kamieniami. Stojąc w zachodnim sektorze zachowywaliśmy dystans. Kochaliśmy bardzo siebie i sztukę i nie byliśmy robotnikami, którzy rzucali kamienie w kierunku czołgów. Ale odtąd wiemy, że ta walka odbywa się raz za razem. Czasami, ale wtedy z opóźnieniem idącym w dziesiątki lat, zwyciężają nawet rzucający kamieniami.

1954

Co prawda nie byłem na meczu w Bernie, ale przez radio, które owego dnia w moim monachijskim pokoju studenckim było oblegane przez nas, młodych ekonomistów, przeżywałem jednak dośrodkowanie Schäfera na węgierskie pole karne. Ba, nawet dzisiaj, jako leciwemu, lecz nadal rzutkiemu szefowi firmy consultingowej, która ma swoją siedzibę w Luksemburgu, wydaje mi się, że widzę, jak Helmut Rahn, którego wszyscy nazywają „Bossem”, w biegu przejmuje piłkę. Teraz strzela w biegu, nie, ogrywa dwóch przeciwników, którzy rzucają się do niego, mija kolejnych obrońców i z odległości dobrych czternastu metrów lewą nogą posyła bombę w lewy dolny róg bramki. Nie do obrony dla Grosicsa. Sześć czy siedem minut przed końcem: 3:2.1 Węgrzy atakują. Po podaniu Kocsisa na miejscu jest Puskäs. Ale bramka nie zostaje uznana. Nie pomagają protesty. Major honwedów był jakoby na spalonym. Oto w ostatniej minucie Czibor dopada do piłki, przymierza z siedmiu, ośmiu metrów w krótki róg, ale Toni Turek rzuca się robinsonadą i piąstkuje. Jeszcze jeden wrzut Węgrów. Potem mister Ling odgwizduje spotkanie. Jesteśmy mistrzami świata, pokazaliśmy się światu, znowu się liczymy, nie jesteśmy już pokonanymi, śpiewamy pod parasolami na stadionie w Bernie, jak my wokół radia w moim monachijskim

pokoju zgromadzeni darliśmy się: „Ponad wszystko w świecie”.

Ale tutaj moja historyjka się nie kończy. Właściwie teraz dopiero się zaczyna. Bo moi bohaterowie z 4 lipca 1954 nie nazywali się Czibor czy Rahn, Hidegkuti czy Morlock, nie, przez dziesiątki lat, aczkolwiek bez powodzenia, jako ekonomista i doradca inwestycyjny, ostatecznie osiadły w Luksemburgu, troskałem się o finansową pomyślność moich idoli Fritza Waltera i Ferencza Puskása. Ale oni nie chcieli, żeby im pomagać. Moje przełamujące wszelkie nacjonalizmy budowanie mostów pozostało niewykorzystane. Mało tego, zaraz po wielkim meczu obaj serdecznie się znienawidzili, ponieważ węgierski major pomawiał niemieckich piłkarzy o teutońską manię wielkości, a nawet o doping. „Oni grają z pianą na ustach”, powiedział podobno. Dopiero po latach, kiedy już podpisał kontrakt z Realem Madryt, ale na niemieckich boiskach wciąż jeszcze miał zakaz gry, zdobył się na pisemne przeprosiny, tak że powiązaniu interesów Waltera i Puskása właściwie nic już nie stałoby na przeszkodzie, a moja firma usiłowała od razu pośredniczyć i doradzać.

Daremny trud! Co prawda Fritz Walter dostał order, zyskał miano „króla Betzenbergu”, ale za swoje o wiele zbyt nisko oszacowane usługi reklamowe dla Adidasa i wytwórni szampana, która miała nawet prawo nazywania jego imieniem poszczególnych marek – „Toast Fritza Waltera” – otrzymywał nędzne grosze; dopiero po tym, jak jego bestsellery o trenerze Seppie i wiekopomnym zwycięstwie Walterowej jedenastki w boju o mistrzostwo świata przyniosły mu znaczne dochody, mógł w Kaiserslautern, niedaleko ruin zamku, urządzić skromne kino z kolekturą totka w foyer. Właściwie mizeria, bo dużego zysku to nie przynosiło. Tymczasem on już na początku lat pięćdziesiątych mógł zrobić fortunę w Hiszpanii. Atletico Madryt wysłało faktora z ćwierć milionem zadatku w aktówce. Ale skromny, zawsze o wiele za skromny Fritz odmówił, chciał zostać w Palatynacie i tam, tylko tam być królem.

Zupełnie inaczej było z Puskássem. Po krwawym powstaniu węgierskim przebywając z reprezentacją na tournée w Ameryce Południowej został na Zachodzie, machnął ręką na swą dobrze prosperującą restaurację w Budapeszcie i przyjął później hiszpańskie obywatelstwo. Z reżimem Franco nie miał żadnych trudności, ponieważ Węgier, gdzie partia rządząca wysławiała go – podobnie jak Czesi swojego Zatopka – jako „bohatera socjalizmu”, wyniósł odpowiednie doświadczenia. Przez siedem lat grał w Realu Madryt i kosił miliony, które łądował w fabrykę salami: „Salchichas Puskäs” eksportowała nawet swoje wyroby. A prócz tego wielki żarłok, który wciąż musiał walczyć z nadwagą, prowadził restaurację dla smakoszy, która nazywała się „Pancho Puskäs”.

Pewnie, obaj moi idole korzystali ze swej rynkowej wartości, ale nie potrafili połączyć swoich interesów, sprzedawać się niejako w tandemie. Nawet mnie i mojej wyspecjalizowanej w doprowadzaniu do fuzji firmie nie udało się z dawnego młodego

robotnika z budapeszteńskiego przedmieścia i dawnego praktykanta bankowego z Palatynatu zrobić partnerów w interesach, na przykład oferować salami majora Puskäsa razemsuperszampanem „Uwieńczenie Fritza Waltera” i na płaszczyźnie zysków pojednać prowincjonalnego bohatera z obywatelem świata. Nieufni wobec wszelkich fuzji, obaj odmawiali bądź kazali odmawiać.

Major honwedów nadal chyba sądzi, że wtedy w Bernie nie strzelił bramki ze spalonego, lecz wyrównał na 3:3. Być może myśli, że sędzia, mister Ling, zemścił się za to, że rok przedtem Węgrom udało się na świętym stadionie Wembley zgotować Anglii pierwszą porażkę na własnym boisku: Madziarzy zwyciężyli 6:3. A sekretarka Fritza Waltera, która nieubłaganie ochrania króla Betzenbergu, nie chciała nawet przyjąć wręzonego przeze mnie osobiście w prezencie „salami Puskäsa”. Porażka, której wciąż jeszcze nie mogę przeboleć. Zapewne dlatego niekiedy nachodzi mnie myśl: co by było z niemieckim futbolem, gdyby sędzia po bramce Puskäsa nie odgwizdał spalonego, gdybyśmy ulegli w dogrywce albo przegrali powtórzony mecz finałowy i znów zeszli z boiska jako pokonani, nie jako mistrzowie świata...

1955

Już w zeszłym roku stanął nasz jednorodzinny dom, sfinansowany częściowo dzięki kredytowi z kasy mieszkaniowej – myślę, że z Wüstenrota – który tata w swoim przekonaniu miał prawo zaciągnąć jako urzędnik państwowy „o relatywnie”, jak mawiał, „stabilnych dochodach”. Jednakże dom, w którego pięciu i pół pokojach rychło poczułyśmy się dobrze nie tylko my, trzy dziewczynki, lecz również mama i babcia, został wzniesiony bez schronu, chociaż tata raz po raz zapewniał, że nie ulęknie się dodatkowych kosztów. Jeszcze w okresie planowania budowy pisał list za listem do firmy wykonawczej i do odpowiednich władz, dołączając do listów fotografie grzybów atomowych nad amerykańskim poligonem doświadczalnym i, jak mawiał, „relatywnie nietkniętych prowizorycznych schronów” w Hiroszynie i Nagasaki. Przedkładał nawet w formie propozycji dość nieporadne rysunki konstrukcyjne pomieszczenia piwnicznego na sześć do ośmiu osób z wejściem słuzowym i drzwiami wytrzymałymi na ciśnienie z zewnątrz, jak też z podobnie urządzonej wyjściem zapasowym. Odpowiednio duże było jego rozczarowanie, kiedy te, jak mawiał, „niezbędne w epoce atomu środki ochronne dla relatywnie znacznej części ludności cywilnej” nie zostały uwzględnione. Brak, oznajmiły władze budowlane, wytycznych ze strony państwa.

Przy tym tata nie był zdeklarowanym przeciwnikiem bomby atomowej. Akceptował ją jako zło konieczne, które trzeba przyjąć, dopóki pokojowi na świecie zagraża potęga sowiecka. Ale na pewno z zapałem krytykowałby późniejsze zabiegi kanclerza federalnego mające na celu ucięcie wszelkiej dyskusji na temat obrony cywilnej. „To

są przedwyborcze sztuczki”, słyszę jego słowa, „stary lis nie chce niepokoić ludności, wyrzutnie atomowe uważa za zwykłą kontynuację rozwoju artylerii, wydaje mu się przy tym, że jest bardzo przebiegły”.

W każdym razie stanął nasz dom, który wkrótce był przez sąsiadów nazywany „domkiem trzech dziewcząt”. I można też było uprawiać ogród. My zostałyśmy dopuszczone do pomocy przy sadzeniu drzewek owocowych. Przy tej sposobności nie tylko mama, lecz również my, dzieci, zwróciłyśmy uwagę, że tata w cienistej partii ogrodu starał się pozostawić nietknięty pokaźny czworokąt. Dopiero gdy babcia, jak to miała w zwyczaju, wzięła go ostro na spytki, wyjawiał swoje plany i przyznał, że planuje podziemny i, jak powiedział, „relatywnie opłacalny” bunkier podług najnowszych zasad, opracowanych przez szwajcarską obronę cywilną. Kiedy potem w lecie kilka gazet ogłosiło okropne szczegóły manewrów atomowych, które z udziałem wszystkich mocarstw zachodnich odbyły się 20 czerwca 1955 jako „Operation Carte Blanche” i objęły atomowymi działaniami wojennymi całe Niemcy, nie tylko Republikę Federalną, i kiedy według przybliżonych szacunków naliczono dwa miliony zabitych i trzy i pół miliona rannych – nie uwzględniając naturalnie Niemców ze Wschodu – tata zaczął działać.

Niestety w realizowaniu swego zamierzenia nie dał sobie pomagać. Szarpanina z władzami budowlanymi doprowadziła do tego, że chciał zdać się już tylko, jak mawiał, „na własne siły”. Nawet babcia nie zdołała go powściągnąć. Kiedy potem podano jeszcze do wiadomości, jakie niebezpieczeństwo stanowią wędrujące od lat wokół kuli ziemskiej chmury nasycone ponad miarę radioaktywnymi ładunkami, i że w każdej chwili należy się liczyć ze zvekslowaniem, tak zwanym „fall out”, co gorsza, że już w roku pięćdziesiątym drugim takie skażone chmury zostały odkryte nad Heidelbergiem i okolicą, a więc wprost nad nami, taty nic już nie powstrzymało. Teraz nawet babcia przekonała się do, jak mówiła, „kopaniny” i sfinansowała kilka worków cementu.

Tata po fajerancie – był kierownikiem działu w urzędzie katastralnym – bez pomocy wykopał dół głęboki na cztery i pół metra. Udało mu się bez pomocy w ciągu weekendu wybetonować kolisty fundament. Potrafił również osadzić w lanym betonie wejścia i wyjścia wraz z komorami śluzowymi. Mama, która zazwyczaj była dość powściągliwa w dodawaniu otuchy, chwaliła go bez miary.

Może dlatego tata zrezygnował z pomocy również wtedy, kiedy chodziło o oszalowanie kopuły naszego, jak mawiał „relatywnie bezpiecznego rodzinnego bunkra antyatomowego” i zalanie świeżym betonem. Również to wydawało się udane. Tata znalazł się w rotundzie, żeby zbadać wewnątrz bunkra, kiedy wydarzyło się nieszczęście. Oszalowanie nie wytrzymało. Dla zasypanego masą betonu wszelka pomoc przyszła za późno.

Nie, nie dokończyłyśmy jego planu. Nie tylko babcia była przeciwna. A ja od tego czasu, na co tata z pewnością patrzyłby niechętnym okiem, brałam udział w antyatomowych marszach wielkanocnych. Długie lata byłam przeciwko. I nawet w wieku dojrzałym uczestniczyłam z moimi synami w demonstracjach z powodu pershingów przechowywanych w Mutlangen i Heilbronn. Ale – jak wiadomo – niewiele to dało.

1956

W marcu owego żalobnie posępnego roku – kiedy to jeden zmarł w lipcu, wkrótce po swych siedemdziesiątych urodzinach, drugi zaś, niespełna sześćdziesięcioletni, w sierpniu, po czym świat wydawał mi się wyludniony, scena opustoszała – będąc studentem germanistyki, który w cieniu dwóch gigantów pracowicie układał wiersze, spotkałem obu przy grobie Kleista, w tym ustronnym miejscu z widokiem na Wannsee, gdzie doszło już do niejednego – czy to przypadkowego, czy też umówionego – niebywałego spotkania.

Przypuszczam, że miejsce i porę uzgodnili potajemnie, być może z pomocą pośredniczących kobiet. Przypadkiem byłem przy tym tylko ja, studencina w tle, który ich rozpoznał przyjrząwszy się uważniej: jeden łysy, buddowaty, drugi cherlawy i już naznaczony chorobą. Z trudem przychodziło mi utrzymywanie dystansu wobec nich. Ponieważ jednak słonecznie mroźny marcowy dzień był bezwietrzny, niesły się ich głosy, jeden miękko gderliwy, drugi dźwięczny i z lekka wpadający w falset. Mówili niewiele, pozwalali sobie na pauzy. Raz stali tuż koło siebie, jak na wspólnym cokole, to znów bacząc na ów przepisany sobie odstęp. O ile jeden uchodził za literackiego, zatem niekoronowanego króla zachodniej części miasta, o tyle drugi był cytowaną do woli instancją jego wschodniej połowy. Jako że w tamtych latach między Wschodem a Zachodem toczyła się wojna, aczkolwiek tylko zimna, obu napuszczano na siebie nawzajem. Tylko dzięki fortelom z obu stron mogło dojść do ich spotkania poza tym porządkiem walki. Moim idolom pewnie dogadzało to, że na godzinkę mogą uciec od swoich ról.

Tak to wyglądało, tak to brzmiało ich sam na sam. W pełnych zdaniach lub ich połówkach, które sobie dośpiewywałem, nie było wzajemnej wrogości. Cytując, obaj łapali za słowo nie samych siebie, lecz za każdym razem drugiego. Ich wybór lubował się w dwuznaczności. Jeden potrafił powiedzieć z głowy krótki wiersz „Pogrobowiec” i wyrecytował jego końcówkę z taką satysfakcją, jak gdyby sam napisał te słowa:

Kiedy pomyłek już nie staje,

jako ostatnia towarzyszka

nicość naprzeciw nas zasiada.

Drugi z wczesnego wiersza „Mężczyzna i kobieta idą przez barak rakowatych” przytoczył dość swobodnie ostatnie wersety:

Tu przy każdym łóżku grunt już nabrzmiwa.

Ciało równinnieje. Żar się wyżarza.

Sok gotów jest wypłynąć. Ziemia woła.

Tak to znawcy cytowali się z upodobaniem. Chwalili się również nawzajem pośród cytatów, szyderczo przerzucając się słowami, które nam, studentom, były aż nadto dobrze znane. „Udała się panu fenotypiczna obcość”, wołał jeden, a drugi odpowiadał falsetem: „Pańska zachodnia trupiarnia zarówno monologowo, jak i dialektycznie wspiera mój epicki teatr”. I dalsze uszczypliwości ku obopólnemu rozbawieniu.

Potem pokpiwali sobie ze zmarłego w ubiegłym roku Tomasza Manna, parodiując jego „trudoodporne lejtmotywy”. Następnie przyszła kolej na Bechera i Bronnena, których nazwiska pozwalały na kalamburowate igraszki. Co się tyczy grzechów politycznych popełnionych na własne konto, to wytknęli je sobie nawzajem jedynie pokrótce. Zatem jeden przypomniał drwiąco dwie linijki z tendencyjnego hymnu drugiego: „... i wielki żniwiarz radzieckiego ludu, Józef Stalin, mówił o prosie, mówił o nawozie i wietrze, co suszę niesie...”, po czym drugi połączył przejściowy entuzjazm pierwszego dla państwa führera z jego propagandową rozprawą „Świat dorycki” i przemówieniem wygłoszonym na cześć faszystowskiego futurysty Marinettiego. Ten z kolei ironicznie pochwalił „Środek zaradczy” drugiego jako „Manifest prawdziwego ptolemejczyka”, aby natychmiast rozgrzeszyć obu zebranych przy grobie Kleista grzeszników cytatem z poematu „Do potomnych”.

Wy, co z potopu się wynurzycie,

w którym myśmy zginęli,

pamiętajcie,

wytykając nam nasze słabości,

i o mrocznych czasach,

coście im uszli.

To „wy” było chyba adresowane do mnie, potomnego podsłuchiacza opodal.

Musiało mi wystarczyć to upomnienie, chociaż od moich idoli oczekiwałem wyraźniejszej oceny ich wytyczających drogę pomyłek. Ale nic takiego nie nastąpiło. Wyćwiczeni w przemilczaniu, obaj zajęli się swoim zdrowiem. Jeden był jako lekarz zaniepokojony o drugiego, któremu jeszcze niedawno profesor Brugsch zalecał dłuższy pobyt w Charite i który opowiadając o tym bił się w piersi. Z kolei pierwszy niepokoił się też „publicznym rwetesem”, jaki go nie ominie w związku z siedemdziesięcioleciem – „mnie wystarczyłoby zimne jasne!” – natomiast drugi obstawał przy zastrzeżeniu w testamencie: Nikomu, łącznie z państwem, nie wolno publicznie wystawić go na marach. Nad jego grobem nie może być żadnych przemówień... Wprawdzie jeden zgadzał się z drugim, potem miał jednak wątpliwości: „Zastrzeżenie to dobra rzecz. Ale kto ustrzeże nas przed epigonami?”

Nic o sytuacji politycznej. Ani słowa o remilitaryzacji w zachodnim, we wschodnim państwie. Śmiejąc się z ostatnich dowcipów o zmarłych i żywych obaj opuścili grób Kleista, nie wspomniawszy czy nie zacytowawszy skazanego tam na nieśmiertelność poety. Na Dworcu Wannsee jeden, który mieszkał w Schönebergu niedaleko Bayerischer Platz, wsiadł do kolejki; na drugiego czekał samochód z szoferem, który – należało przypuszczać – miał go zawieźć do Buckow albo na Schiffbauerdamm. Kiedy potem przyszło lato i obaj zmarli krótko jeden po drugim, postanowiłem spalić swoje wiersze, rzucić germanistykę i odtąd pracowicie studiować budowę maszyn na Politechnice.

1957

Drogi Przyjacielu,

po tak długiej wspólnej pracy czuję potrzebę napisania do Ciebie tego listu. Jakkolwiek nasze drogi się rozeszły, stawiam na łączące nas nadal więzy koleżeństwa i mam zarazem nadzieję, że moja poufna pisanina dotrze do Twoich rąk; w naszej podzielonej ojczyźnie takie ostrożne postępowanie jest niestety wskazane.

Ale już spieszę wyjaśnić, co mnie skłoniło do skreślenia tych przyjaznych słów: po tym, jak zarówno po Waszej, jak i po naszej stronie okres formowania Bundeswehry i Narodowej Armii Ludowej uznano za zakończony, 1 maja tego roku dostałem brązowy medal zasługi NAL. W trakcie dekorowania mnie za osiągnięcia w pracy uprzytomniłem sobie, że to wyróżnienie w niemałej części należy się również Tobie: wspólnie zasłużyliśmy się dla ewolucji niemieckiego stalowego hełmu.

Niestety podczas uroczystości nikt (z na pewno zrozumiałych powodów) nie wspomniał o początkach modelu M 56, a przecież my dwaj już w latach ostatniej wojny światowej byliśmy w Zakładach Hutniczych S.A. w Thale odpowiedzialni za produkcję stalowych hełmów, udoskonalając jako odpowiedzialni inżynierowie

wymodelowane przez profesora Fry i doktora Hänsla i wypróbowane pod ostrzałem hełmy B i B II. Jak sobie z pewnością przypominasz, Naczelne Dowództwo niestety zabroniło nam wycofania hełmów M 35, chociaż o ich wadach – zbyt spadziste ściany boczne i kąt uderzenia do 90 stopni – świadczyły znaczne straty w ludziach. Nowe, wypróbowane już w czterdziestym trzecim w szkole piechoty w Döberitz wykazywały dzięki płaskiemu kątowi nachylenia zwiększoną wytrzymałość na ostrzał i sprawdziły się w pełni przy obsłudze dwucentymetrowej rusznicy przeciwpancernej, jak i ośmiocentymetrowego granatnika – nazywanego rurą od pieca” – a także przy użytkowaniu lunety nożycowej i aparatów radiotelegraficznych „Dora”. Ponadto okazało się, że model ma dalsze zalety, potwierdzone przez kilka ekspertyz: mała waga hełmu, większa swoboda ruchów głowy przy obsłudze wszelkiej broni i aparatury oraz wzrost słyszalności przy wyeliminowaniu szumów ubocznych.

Niestety do końca, jak wiesz, utrzymał się hełm M 35. Dopiero teraz, w związku z formowaniem Narodowej Armii Ludowej, dane mi było w państwowych Zakładach Hutniczych w Thale kontynuować prace nad poddawanymi ponownym próbom modelami B i BII i podjąć seryjną produkcję jako hełmu NAL M 56. Przewidujemy na razie wyprodukowanie stu tysięcy sztuk. Wykonanie wyściółki wewnętrznej zostało powierzone państwowej Wytwórni Artykułów Skórzanych i Siodlarskich w Taucha. Nasz hełm prezentuje się okazale, przy czym odrzucam jako wyssane z palca drwiące stwierdzenia, że jest podobny do modeli czeskich.

Wręcz przeciwnie, Drogi Przyjacielu! Jak widzisz, w naszej Republice konstruując hełmy i projektując umundurowanie nawiązano (choć bez ostentacji) do pruskich wzorów i przejęto nawet saperki oraz oficerskie buty z cholewami, podczas gdy u Was złowieszczy „Urząd Blanka” najwyraźniej chce zerwać z wszelką tradycją. Toteż posłusznie zaakceptowano amerykański model hełmu. Szarą zieleń mundurów rozwodniono na bońską łupkową szarość. Miejmy nadzieję, że Cię nie urażę, jeśli powiem: ta Bundeswehra na zewnątrz stara się wprawdzie wyglądać swobodnie i jak najbardziej cywilnie, ale mimo rozśmieszającego przebrania nie potrafi ukryć swego agresywnego nastawienia. Jednakże bądź co bądź, jeśli chodzi o dowodzenie wojskami, to sięgnęła, co my także zdecydowani jesteśmy zrobić, po zasłużonych generałów Wehrmachtu.

Chciałbym wrócić jeszcze do wyróżnienia, jakie mnie (a w zasadzie zarazem i Ciebie) spotkało, bo kiedy w ramach uroczystości pierwszomajowych wręczano mi brązowy medal, przyszedł mi na pamięć nasz profesor Schwerd z hanowerskiej Politechniki. W końcu to on skonstruował ów stalowy hełm zastosowany w piętnastym najpierw pod Verdun, a potem na wszystkich frontach i zastąpił nim nędzną pikielhaubę. Uważaliśmy się za jego uczniów. W każdym razie wypełniało mnie uczucie wdzięczności, kiedy wyświadczano mi (a w skrytości i Tobie) tak wielki zaszczyt. Mimo to moja radość nie była niezmacona: niestety obecnie stoją

naprzeciw siebie dwie niemieckie armie. Nasza ojczyzna jest rozdarta. Zrządziła tak obca przemoc. Pozostaje tylko żywić nadzieję, że któregoś niezbyt odległego dnia jedność narodowa znów stanie się czymś pewnym. Wtedy będziemy mogli ponownie, jak za młodych lat, wędrować po Harcu, nie powstrzymywani przez żadną granicę. A nasi żołnierze będą wówczas zjednoczeni w noszeniu owego hełmu, który w trakcie dwóch wojen światowych uzyskał kształt chroniący maksymalnie od ostrzału i zarazem wierny niemieckiej tradycji. Do tego, Drogi Przyjacielu i Kamracie, dane nam było się przyczynić!

Twój Erich

1958

Jedno jest pewne: jak po fali obżerania się przyszła fala podróżowania, tak wraz z cudem gospodarczym nastąpił niemiecki cud dziewczęcy. Ale które covergirls były pierwsze? Kto już w pięćdziesiątym siódmym znalazł się na okładce „Sterna”? Które z dorastających piękności zostały wymienione z nazwiska, kiedy cud dziewczęcy chlupnął za Atlantyki i „Life” wybił na okładkową historię „Sensation from Germany”?

Jako podglądacz najnowszej szkoły już na początku lat pięćdziesiątych zadurzyłem się w bliźniaczkach, tuż po tym, jak przyjechały zza miedzy, z Saksonii, żeby w czasie wakacji odwiedzić ojca, który porzucił matkę. Zostały na Zachodzie, uroniły jednak trochę łez za swoją lipską szkołą baletową, skoro tylko, dzięki mojemu pośrednictwu, zaczęły występować w variete „Palladium”, bo Alice i Ellen dążyły do wyższych celów i wymarzyły sobie engagement do düsseldorfskiej Opery: „Jezioro łabędzie” i dużo więcej.

Boki można było zrywać, jak one gulgotały po saksońsku, kiedy prowadziłem obie w lila pończochach na spacer wzdłuż wystaw Königsallee, początkowo jako atrakcję dla oczu, a niebawem jako sensację. Toteż zostały odkryte przez dyrektorów Lido podróżujących w poszukiwaniu talentów i dzięki mojemu wstawiennictwu u ojca bliźniaczek otrzymały zaangażowanie do Paryża. Zatem i ja spakowałem walizki. Sztuczność Düsseldorfu i tak stała się dla mnie śmiertelnie nudna. A ponieważ po śmierci mamy nie chciałem żenić się z radą nadzorczą naszej kwitnącej firmy produkującej proszki do prania, koncern spłacił mnie tak korzystnie, że odtąd w każdej chwili jestem przy forsie, mogłem sobie pozwolić na podróże, najlepsze hotele, chryslera z kierowcą, a niedługo później domek niedaleko Saint Tropez, zatem na typowy żywot playboya; ale w gruncie rzeczy to ze względu na bliźniaczki Kessler wcieliłem się w tę jedynie z pozoru zabawną rolę. Pociągała mnie ich podwójna piękność. Straciłem głowę dla dwóch saksońskich latorośli. Ich zachwycająca przesadna wybujałość nadała mojemu bezużytecznemu bytowaniu cel, którego wszakże nigdy nie osiągnąłem, bo Alice i Ellen, Ellen i Alice widziały we mnie

tylko pieska pokojowego, który co prawda był nadziany.

Zresztą w Paryżu bardzo było trudno zbliżyć się do obydwu. „Kampanula”, miss Bluebell, prawdziwa jędza, która naprawdę nazywała się Leibovici, trzymała szesnaście długonogich girls ze swojej rewii jak uczennice klasztornej szkoły: żadnych męskich wizyt w garderobie! Żadnych kontaktów z gośćmi Lido! A po spektaklu do odwożenia dziewcząt dopuszczano tylko taksówkarzy po sześćdziesiątce. W gronie moich przyjaciół – a przestawałem wtedy z paczką międzynarodowych lubieżników – mówiono: „Łatwiej dobrać się do bankowego skarbcza niż do którejś z dziewczyn Bluebellki”.

Jednakże znajdowałem okazję lub korzystałem z pozwolenia surowej cerberki, żeby z moimi uwielbianymi bliźniaczymi stworzeniami pospacerować po Polach Elizejskich. Cerberka zlecała mi ponadto raz po raz zadanie pocieszania obydwu, ponieważ z racji teutońskiego pochodzenia były ignorowane przez garderobiane i szykanowane w brzydki sposób przez francuskie girlsy. W swej supersmukłej wielkości musiały zbierać cięgi za przeróżne zbrodnie wojenne „boszów”. Jakaż to udręka! Jak rozdzierająco potrafiły płakać z tego powodu! Z jaką pasją ocierałem ich łzy...

Ale później, wraz z sukcesem, szykany ustały. A w Ameryce podziwu dla „Sensation from Germany” nie zmaciły żadne obelgi. W końcu i Paryż legł u ich stóp. Czy to Maurice Chevalier, czy Francoise Sagan, księżna Monako Gracja Patrycja czy Sophia Loren, wszyscy byli zachwyceni, ledwie przedstawiłem im bliźniaczki Kessler. Jedynie Liz Taylor patrzyła chyba z zazdrością na talie moich saksońskich lili.

Ach, Alice, ach, Ellen! Jakkolwiek gorąco były pożądane, bodaj żadnemu z ognistych ogierów nie poszczęściło się z nimi naprawdę. Nawet przy kręceniu zdjęć do „Trapezu”, kiedy Tony Curtis i Burt Lancaster niezmordowanie próbowali poderwać to jedną, to drugą, nic z tego nie wyszło, przy czym ja nie musiałem wcale zabawiać się w stróża moralności. Mimo to obie strony pozostały w przyjaznych

stosunkach i przekomarzały się. Jeśli hollywoodzcy gwiazdorzy wołali drwiąco: „Ice-creams!”, ilekroć Ellen i Alice pojawiały się w przerwach między zdjęciami, to moje stworzenia odpowiadały: „Hot dogs! Hot dogs!” I nawet jeśli Burt Lancaster, jak później utrzymywano, przeleciał jednak jedną z dwóch, to chyba niewiele z tego miał i nie bardzo wiedział, z którą mu się trafiło.

One były dobre tylko do oglądania. A mnie wolno było oglądać, kiedy i gdzie dusza zapragnie. Tylko mnie było wolno, dopóki nie poszły własnymi drogami, które uTORował im sukces. Ich blask przyćmiewał wszystko, nawet ten często przywoływany cud, jaki przypisywano wyłącznie niemieckiej gospodarce, bo od Alice i Ellen zaczął się ów saksoński cud dziewczęcy, który do dzisiaj wprawia nas w zdumienie.

1959

Jak kiedyś w styczniowo zimnym Berlinie – było to w pięćdziesiątym trzecim – oboje z Anną znaleźliśmy się nawzajem na dansingu w „Eierschale”, tak tańczyliśmy teraz, ponieważ tylko z dala od hal targów książki z dwudziestoma tysiącami wydawniczych nowości i dziesiątkami tysięcy rozpaplanych ekspertów można było znaleźć ratunek, na koszt wydawcy (Luchterhanda, a może to było w nowiusieńkim „Ulu” S. Fischera, na pewno nie na woskowanym parkiecie Suhrkampa, nie, w lokalu wynajętym przez Luchterhanda), żwawo przebierając nogami, jak oboje z Anną zawsześmy tańcząc szukali się i znajdowali, przy muzyce, która zachowała rytm naszych młodych lat – dixieland! – jak gdybyśmy tylko tańcząc mogli ratować się przed tym rejuwchem, zalewem książek, tymi wszystkimi ważnymi ludźmi i w ten sposób umknąć chyżo ich gadaniu – „Sukces! Böll, Grass, Johnson na pierwszych miejscach...” – jednocześnie w szybkim wirowaniu uporać się z naszym przypuszczeniem, że coś się teraz kończy, coś zaczyna, że mamy teraz nazwisko, i to uporać się na miękkich nogach, bardzo ciasno przytuleni albo na odległość palca, bo to mamrotanie z hal targowych – „Bilard, Przypuszczenia, Blasany bębenek...” – i te szepty na party – „nareszcie się pojawiła ta powojenna literatura...” – albo też militarne słownictwo – „Mimo Sieburga i FAZ udało się dokonać przełomu...” – tylko tak, w opętaniu tańcem i rozhukaniu, można było puszczać mimo uszu, ponieważ dixieland i bicie naszych serc były głośniejsze, uskrzydlały nas i przenosiły w stan nieważkości, tak że ciężar książczyska – grubości siedmiuset trzydziestu stron – ulegał w tańcu kasacji, a my wyśrubowywaliśmy nakład coraz wyżej, piętnaście, nie, dwadzieścia tysięcy, przy czym Anna, podczas gdy ktoś krzyknął: „Trzydzieści tysięcy!” i spodziewał się umów licencyjnych z Francją, Japonią, Skandynawią, nagle, ponieważ myśmy przebili także ten sukces i tańczyli nie dotykając podłogi, zgubiła halkę z brzegiem dzierganym w mysie ząbki i trzema rzędami falbanek, kiedy gumka puściła albo razem z nami zatraciła wszelkie hamulce, Anna zaś wyzwolona uleciała z opadłej bielizny, czubkiem stopy posłała ją tam, gdzie mieliśmy widzów, targowych bywalców, między nimi nawet czytelników, którzy z nami na koszt wydawnictwa (Luchterhanda) wiwatowali na cześć już teraz bestsellera i wołali: „Oskar! Oskar tańczy!”, ale to nie Oskar Matzerath odstawał na parkiecie „Jimmy the Tiger” z panią z centrali telefonicznej, to my byliśmy zgrani w tańcu, my oboje z Anną, którzy Franza i Raoula, swoich synków, podrzucili przyjaciółom i przyjechali pociągiem, mianowicie z Paryża, gdzie ja w wilgotnej norze opalałem koksem nasze dwa pokoje i mając przed oczami zamkniętą ścianę pisałem rozdział za rozdziałem, podczas gdy Anna, która zgubioną halkę odziedziczyła po babce, przy Place Clichy codziennie pociła się przy baletowym drążku, aż ja wystukałem ostatnie strony, wysłałem korektę do Neuwied i skończyłem rysowanie okładki, z niebieskookim Oskarem, tak że wydawca (nazywał się Reifferscheid) zaprosił nas do Frankfurtu na targi książki, żebyśmy we dwoje

mogli przeżyć sukces, poznać jego smak, przedsmak i posmak; ale tańczyć to oboje z Anną tańczyliśmy zawsze, także później jeszcze, kiedy co prawda wyrobiliśmy sobie nazwisko, ale z każdym tańcem mieliśmy sobie mniej do powiedzenia.

1960

Jaki to żal! Co prawda na Olimpiadzie w Rzymie raz jeszcze wystąpiła drużyna ogólnoniemiecka, ale u Adidasa ostatecznie doszło do rozpadu. A stało się to z powodu Hary'ego. Nie w tym rzecz, by jego zamiarem było wywołanie kolejnej kłótni między braćmi, ale mimo to zaostrzył nasz konflikt, choć w interesach już dużo wcześniej poszliśmy osobnymi drogami, ponieważ mój brat także tutaj, w pobliżu Fürth, otworzył konkurencyjne przedsiębiorstwo Puma, nie dorównując jednak choćby w przybliżeniu wynikiem produkcyjnym Adidasa.

Zgadza się: obie firmy opanowały światowy rynek obuwia do lekkoatletyki i piłki nożnej. Ale prawdą jest także, że Armin Hary wygrywał nas przeciwko sobie nawzajem, idąc na start swych rekordowych biegów raz w pantoflach Adidasa, to znów w pantoflach Pumy. Płaciły za to obie firmy. Na przykład w Rzymie biegał w pantoflach mojego brata, a potem, gdy po bajecznym biegu zdobył złoto, na podium dla zwycięzcy stanął w adidasach. Tymczasem to ja już po zuryskim rekordzie świata wynoszącym dziesięć sekund umieściłem jego sprinterskie pantofle w naszym muzeum i opracowałem przyszłościowy model „9,9”, żeby Hary mógł stanąć w Rzymie na starcie w tym właśnie obuwii.

Żal, że dał się podkupić mojemu bratu i że w sposób typowy dla naszego rodzinnego konfliktu zaraz po złotych triumfach – Hary był pierwszy także ze sztafetą cztery razy sto metrów – przedstawiono prasie sportowej osiem modeli Pumy z jego podpisem. Zaczęło się od „Startu Hary'ego” i „Finiszu Hary'ego”, a skończyło się na „Zwycięstwie Hary'ego”. W rzeczy samej nie wiem, ile Puma musiała za to wybulić.

Dzisiaj zaś, kiedy na zmianę czegokolwiek i pojednanie jest za późno, kiedy firma przeszła w ręce zagranicznych właścicieli, mój brat nie żyje i wszelka wrogość została pogrzebana, wiem z bolesną jasnością, że z tym chłopakiem, słusznie nazywanym pędziwiatrem, obaj nie powinniśmy byli nigdy się zadawać. Rachunek za naszą szkodliwość wylądował niebawem na biurku. Ledwie nasz biegacz ustanowił zatwierdzony w końcu rekord świata, dopadły go skandale. Już w Rzymie w związku ze sztafetą rozgrymaszony szczeniak popadł w konflikt z działaczami. W rok później jego sprinterska kariera na dobrą sprawę dobiegła końca. Zabłysnął i zgasł jak kometa. E tam, to nie wypadek samochodowy, jak mówiono, lecz poważne wykroczenia przeciwko regułom amatorstwa były powodem. A my – Adidas i Puma – jakoby sprowadziliśmy biednego chłopaka na złą drogę. To jest oczywiście bzdura,

aczkolwiek muszę przyznać, że mój przyzwoity pan brat zawsze umiał podkupywać biegaczy – nie oglądając się na koszty. Czy to Fütterer, Germar czy Lauer, żadnemu nie przepuścił. Lecz z Harym noga mu się powinęła, chociaż jestem zdania, że komisja dyscyplinarna wyrokowała nazbyt małoostkowo, uniemożliwiając temu niezrównanemu fenomenowi krótkich dystansów – nawet czarny Jesse Owens z uznaniem ścisnął dłoń białego Armina Hary’ego – odnoszenie dalszych zwycięstw i bicie nowych rekordów.

Obstaję przy swoim: żal! Mimo że droga życiowa tego biegowego geniusza wskazuje, jak niewystarczający był podkład moralny jego talentu, jak często później, będąc czy to pośrednikiem w handlu nieruchomościami, czy przedsiębiorcą, wikłał się w skandale i wreszcie na początku lat osiemdziesiątych został wciągnięty w owo bagno machinacji związkowego przedsiębiorstwa „Neue Heimat” i monachijskiej kurii arcybiskupiej, co za sprzeniewierzenie i oszustwo przyniosło mu dwa lata więzienia, to ja nadal jednak widzę przed sobą wysokiego młodzieńca – i takim pewnie widział go także mój brat – jak czterdziestu dziewięciu krokami pokonuje dystans stumetrówki w czasie rekordu świata, przy czym najdłuższy krok miał dwa metry dwadzieścia dziewięć centymetrów.

Ach, jego start! Ledwie wyszedł z dołków, mijał wszystkich, także kolorowych biegaczy. Przez wiele lat utrzymywał się ten ostatni sprinterski rekord białego. Jaki żal, że jemu samemu nie było dane zejść poniżej słynnego dziesięć przecinek zero. Bo gdyby Armin Hary został u Adidasa i nie zadał się z Pumą i moim bratem, na pewno osiągnąłby 9,9. Jesse Owens spodziewał się nawet po nim 9,8.

1961

Mimo że dzisiaj to już mało kogo wzrusza czy w ogóle interesuje, mówię sobie: Jak się dobrze przyjrzeć, był to twój najlepszy czas. Byłeś potrzebny, byłeś pożądanym. Przez rok żyłeś ryzykownie, ze strachu gryzłeś paznokcie, narażałeś się na niebezpieczeństwa, nie bardzo zastanawiając się nad tym, czy przez to nie weźmie w łeb następny semestr. Byłem bowiem studentem Politechniki i już wtedy interesowałem się ciepłownictwem, gdy z dnia na dzień w poprzek miasta postawili mur.

Ale podniósł się wrzask! Dużo osób latało na demonstracje, protestowało pod Reichstagem czy gdzie indziej, ja nie. Jeszcze w sierpniu ściągnąłem Elke, która po tamtej stronie studiowała pedagogikę. Całkiem łatwo to poszło z zachodnioniemieckim paszportem, który, jeśli chodzi o furę danych i zdjęcie, nie stanowił dla niej problemu. Ale już w końcu miesiąca musieliśmy podfryzowywać przepustki i pracować w grupach. Ja byłem gościem od nawiązywania kontaktów. Z moim federalnym paszportem, który został wystawiony w Hildesheim, skąd właściwie

pochodzę, udawało się do początku września. Potem opuszczając sektor wschodni trzeba było oddawać przepustki. Być może i z tym byśmy sobie poradzili, gdyby ktoś w porę dostarczył nam typowy papier ze strefy.

Ale w dzisiejszych czasach nikt o tym nie chce słuchać. A już zwłaszcza moje dzieci. Po prostu puszczają mimo uszu albo mówią: „Już dobrze, tato. Byliście wtedy o klasę lepsi od nas, każdy to wie”. No, może kiedyś tam później posłuchają moje wnuki, kiedy im opowiem, jak ściągnąłem ich babcię, która przecież utknęła po tamtej stronie, a potem pracowałem w „Akcji Biuro Podróży”, jak nazwaliśmy się dla niepoznaki. Byli u nas specjaliści, którzy podrabiali pieczęcie, posługując się w tym celu jajkami gotowanymi

na twardo. Inni stawiali na dłubaninę z użyciem zastruganych zapalek. Prawie wszyscy to byli studenci, bardzo lewicowi, ale też korporanci i tacy, co ani rusz, jak ja, nie mogli zapalić się do polityki. Na Zachodzie odbywały się wprawdzie wybory i burmistrz Berlina kandydował z ramienia socjałów, ale ja nie postawiłem krzyżyka ani za Brandtem i towarzyszami, ani za starym Adenauerem, bo z ideologii i odstawiania wielkich tonów nic u nas nie wynikało. Liczyła się tylko praktyka. Musieliśmy mianowicie „przewieszać”, jak się to nazywało, zdjęcia paszportowe, również do zagranicznych paszportów, szwedzkich, holenderskich. Albo kombinowało się jakieś z podobnymi fotografiami i danymi – kolor włosów, kolor oczu, wzrost, wiek – przez pośredników. Do tego odpowiednie gadzety, bilon, stare bilety, typowa drobnica, którą ktoś, na przykład młoda Dunka, nosi w torebce. Była to straszna praca. A wszystko za darmo albo po cenie kosztów własnych.

Ale dzisiaj, kiedy nic nie ma za frajer, nikt człowiekowi nie wierzy, że my będąc studentami nie braliśmy forszy. Pewnie, byli tacy, co później przy budowie tunelu wyciągali rękę. No i przez to wziął w łeb projekt Bernauer Strasse. To było, jak trzyosobowa grupka, o czym myśmy nic nie wiedzieli, wzięła od amerykańskiego towarzystwa telewizyjnego trzydzieści tysięcy marek za filmowanie w tunelu. Kopaliśmy cztery miesiące. Marchijskie piaski! Podkop miał ponad sto metrów długości. A kiedy potem filmowano, podczas gdy my przerzucaliśmy blisko trzydzieści osób, w tym babcie i dzieci, pomyślałem sobie, że na pewno będzie to film dokumentalny na później. Ale nie, już niezadługo poszedł w telewizji i z trasą przerzutu z miejsca byłaby wsypa, gdyby na krótko przedtem tunel, mimo drogich urządzeń do odpompowywania, nie został zalany. Ale my mimo to robiliśmy dalej to samo gdzie indziej.

Nie, u nas nie było zabitych. A jakże, wiem. Na takie historyjki jest większy popyt. Gazety się rozpisywały, kiedy ktoś skoczył z trzeciego piętra domu przy granicy i na dole wyrznął o bruk, tuż obok rozpostartej przez straż pożarną płachty ratunkowej. Albo jak w rok później Peter Fechter chciał się przedrzeć przy Checkpoint Charlie,

został postrzelony i wykrwawił się z braku pomocy. My czymś takim nie mogliśmy służyć, ponieważ działaliśmy na pewniaka. A mimo to mógłbym panu opowiedzieć rzeczy, w które już wtedy niejeden nie chciał wierzyć. Na przykład – ile luda przeprowadziliśmy kanałami ściekowymi. I jak tam na dole cuchnęło amoniakiem. Jeden ze szlaków ucieczkowych, który wiódł z centrum na Kreuzberg, nazwaliśmy „Glockengasse 4711”, ponieważ wszyscy, uciekinierzy i my, musieli brodzić w gnojówce po kolana. Byłem później gościem od pokryw i skoro tylko wszyscy wydostali się na powierzchnię i ruszyli w drogę, dopasowywałem pokrywę włazu, ponieważ ostatni uciekinierzy przeważnie wpadali w panikę i zapominali o wymogach konspiracji. Tak było przy kanale deszczówki pod Esplanadenstrasse na północy miasta, gdy kilka osób, ledwie znalazłszy się na Zachodzie, narobiło dzikiego hałasu. Z radości, jasne jak słońce. Ale przez to policjanci pełniący wartę po enerdowskiej stronie skapowali, co i jak. Wrzucali potem do kanału bomby z gazem łzawiącym. Albo sprawa z cmentarzem, którego mur był częścią całego berlińskiego muru i pod który doprowadziliśmy wygrzebany w piaszczystym gruncie, podparty stemplami niski tunel, wprost pod groby z urnami, tak że nasza klientela, wszystko osoby nie wzbudzające podejrzeń z kwiatami i innymi nagrobnymi ozdobami, nagle zniknęła. Parę razy poszło to zupełnie dobrze, aż młoda kobieta, która chciała przedostać się na naszą stronę z małym dzieckiem, zostawiła wózek dziecięcy obok odsuniętej płyty wejścia, co prędko zwróciło uwagę...

Z takimi wpadkami trzeba było się liczyć. Ale teraz, jeśli pan chce, inna historyjka, w której wszystko grało. Wystarczy panu? Rozumiem. Przyzwyczailem się, że ludzie mają tego dość. Parę lat temu, jak mur jeszcze stał, było inaczej. Wtedy nieraz koledzy, z którymi pracuję tutaj w ciepłowni, w niedzielę przy porannym kufelku pytali: „Jak to było, Ulli? Opowiedzże, jak ci poszło, kiedyś ścigał swoją Elke...” Ale dzisiaj nikt o tym nie chce słuchać, zwłaszcza tutaj, w Stuttgarcie, no, ponieważ Szwabów już w sześćdziesiątym pierwszym ani to ziębiło, ani grzało, kiedy w poprzek Berlina... A jak mur potem zniknął, nagle, to tym bardziej. Raczej by się cieszyli, gdyby mur jeszcze stał, ponieważ wtedy odpadłby solidarnościowy podatek, który muszą płacić, odkąd nie ma muru. Więc już o tym nie gadam, mimo że to był mój najlepszy czas, jakżeśmy w kanałach brodzili po kolana w gnojówce... Albo czołgali się tunelem... W każdym razie moja żona ma rację, kiedy mówi: „Wtedy to ty byłeś całkiem inny. Wtedy to żyliśmy naprawdę...”

7962

Jak dzisiaj papież, kiedy w podróż jedzie, żeby swoje ludzkie w Afryce albo w Polsce zobaczyć, a przy tym, żeby się jemu nic złego nie stało, tak wielki szef od transportu, kiedy przed sądem u nas stawał, to w klatce siedział, ale ona tylko z trzech stron zamknięta była. Na jedną stronę, gdzie panowie sędziowie swój stół mieli, jego

szklana cela otworem stała. Bezpieczeństwo tak nakazała i dlatego ja tylko z trzech stron pudło specjalnym szkłem oszkliliem, a to drogie szkło pancerne było. Z odrobina szczęścia moja firma zamówienie dostała, bo myśmy zawsze klientów z bardzo specjalne życzenia mieli. Aj, filie banków w całym Izraelu i jubilery z ulicy Dizengoff, co to na swoje wystawy i gabloty pełno kosztowności pokazują i od złodziejskich wyskoków bezpieczne być by chciały. Ale już w Norymberdze, co to kiedyś piękne miasto było, i gdzie dawniej cała rodzina mieszkała, mój ojciec był pan majster od szklarskiego warsztatu, a zbyt to aż po Schweinfurt i Ingolstadt miał. Aj, roboty to dosyć było do trzydziestego ósmego, kiedy wszędzie dużo zniszczone zostało, możesz pan sobie wyobrazić, z jakiego powodu. Boże sprawiedliwy, bluzgałem młodym chłopakiem będąc, bo ojciec surowy był i ja dzień w dzień nocna szychta odwalać musiałem.

Z odrobina szczęścia myśmy jeszcze się wyrwali, mój młodszy brat i ja. Byli my jedyni. Wszyscy inni, jak już wojna nastąpiła, na koniec moje siostry dwie i wszystkie kuzynki, do Teresina najpierw pojechali, a potem czy ja wiem, dokąd, do Sobiboru, może do Oświęcimia. Tylko mama już wcześniej, jak to się mówi, naturalną śmiercią zmarła, znaczy na atak serca. Ale czegoś więcej to później nawet Gerson, znaczy mój brat, się nie dowiedział, kiedy po tym, jak wreszcie pokój przyszedł, we Frankonii i wszędzie rozpytywał. Tylko którego dnia transport wyjechał, udało się jemu dojść, bo z Norymbergi, gdzie moja rodzina z dziada pradziada mieszkała, przepełnione całe pociągi odchodziły.

Aj, a teraz ten, co go we wszystkie gazety „spedytor śmierci” nazywali, w moim szklanym pudle siedział, co kuloodporne musiało być i takież było. Darujesz pan, mój niemiecki pewnie jest ciut kiepski, bo ja dziewiętnaście lat miałem, jak trzymając za rękę młodszego brata, do Palestyny statkiem prysnąłem, ale ten, co w pudle siedział i bez ustanku coś tam przy słuchawkach gmerał, jeszcze kiepsziej mówił. Wszyscy panowie sędziowie, co niemiecki dobrze znali, to samo powiedzieli, kiedy on zdania jak tasiemiec długie wygłaszał, tak że końca im nie było. Ale ja, kiedy tak sobie między zwykle słuchacze siedziałem, jedno dobrze zrozumieć zdołałem, że on wszystko tylko na rozkaz robił. I że dużo jeszcze takich było, co wszystko na rozkaz robili, a dzisiaj z odrobina szczęścia spokojnie sobie na wolności chodzą. Dobrze zarabiają jeden nawet za sekretarza stanu jest u Adenauera, co to z nim nasz Ben Gurion o forszę układać się musiał.

To ja sobie powiedziałem: Posłuchaj, Jankele! Ty byś sto, nie, tysiąc takich cel z pancernego szkła zbudować musiał. Ze swoją firmą, jakbyś jeszcze paru ludzi najął, dałbyś radę, chociaż nie wszystkie pudła *naraz*. Aj, wtedy, jakby kogoś nowego z nazwiska wymieniali, może Aloisa Brunnera, to małe szklane pudełko tylko z tabliczką z nazwiskiem w środku ciut symbolicznie między szklanym pudłem Eichmanna a ławą sędziów postawić by można. Na osobnym stole. Prędko by się taki

stół zappełnił.

Dużo o tym pisali, aj, o złu i że jest ciut pospolite. Dopiero jak go powiesili, to już przestali tak się rozpisywać. Ale póki proces toczył się i toczył, we wszystkie gazety pełno o nim było. Tylko Gagarin, ten podziwiany człowiek sowiecki w kabinie kosmicznej, naszemu Eichmannowi konkurencję robił, tak że nasi ludzie i Amerykanie bardzo o Gagarina byli zazdrośni. Ale ja wtedy powiedziałem sobie: Ty nie uważasz, Jankele, że obaj są w podobnej sytuacji? Każdy skazany wyłącznie na siebie. Tylko że ten Gagarin jest jeszcze dużo bardziej samotny, bo nasz Eichmann zawsze kogoś dopadnie, z kim może gadać i gadać, odkąd nasi z Argentyny go sprowadzili, gdzie kury hodował. Bo gadać to on lubi. Najchętniej gada o tym, jak bardzo nas, Żydów, na Madagaskar chciał wysłać, nie do gazu. I że w ogóle nic a nic przeciwko Żydom nie ma. Nawet nas za ideę syjonizmu podziwia, ponieważ taka piękna idea, powiedział, dobrze

zorganizować można. I gdyby rozkazu nie dostał, że o transport ma zadbać, to naród żydowski być może do dziś wdzięczny by mu był, bo on tak osobiście o masową emigrację się troszczył.

To ja sobie powiedziałem: Ty też, Jankele, Eichmannowi za odrobina szczęścia wdzięczny powinieneś być, bo Gersonowi, znaczy twojemu młodszemu bratu, jeszcze w trzydziestym ósmym wolno było z tobą wyjechać. Tylko za resztę całej rodziny nie musisz być wdzięczny, za ojca, za wszystkie ciotki i wujów, za siostry wszystkie i twoje ładne kuzynki, razem ze dwadzieścia osób. O tym chętnie bym z nim pomówił, bo on swoje wiedział, aj, dokąd transporty szły i gdzie moje siostry i surowy ojciec w końcu trafili. Ale nic z tego nie wyszło. Świadców dosyć było. Poza tym byłem rad, że to mnie dane było zadbać o jego bezpieczeństwo. Być może cela z pancernego szkła mu się podobała. Tak wyglądało, kiedy ciut się uśmiechał.

1963

Marzenie do zamieszkania. Zjawa, która nie pierzchła, lecz stanęła na kotwicy. Ach, jak ja umiałam się entuzjasmować! Statek, śmiało zaprojektowany żaglowiec i jednocześnie parowiec z muzyką, stoi łososiowego koloru blisko rozdzielającego wszystko, szkaradnego muru, osiadły na mieliźnie w pustynnym otoczeniu, sterczącym dziobem stawia czoło barbarzyństwu i nadrealnością, jak można było zobaczyć później, odcina się od niejednej budowli w pobliżu, choćby nie wiem jak nowoczesnej.

Nazywano mój zachwyty dziewczęco, ba, podlotkowato przesadnym, a jednak ja nie wstydziałam się entuzjazmu. Cierpliwie, może także z wyniosłym spokojem znosiłam kpiny starszych szatniarek, wiedziałam przecież, że mnie, chłopskiej córce z

Wilstermarsch, a obecnie, dzięki stypendium, gorliwej studentce muzyki, która tylko czasami dla nieszczęsnych pieniędzy zatrudniała się jako szatniarka, nie przystoi głośno wyrażane pyszałkowe przemądrzalstwo. W dodatku kpiny moich dojrzałych koleżanek z za szatniarskiej lady miały dobroduszny charakter. – Nasza flecistka znowu ćwiczy najwyższe tony – mówiły robiąc aluzję do mojego instrumentu, fletu poprzecznego.

W rzeczy samej: to Aurele Nicolet, mój uwielbiany mistrz, zachęcił mnie, a prócz tego z pewnością jeszcze niejedną skłoną do zachwytów uczennicę, żeby elokwentnie wyrażać entuzjazm, czy to dla idei służącej ludzkości, czy dla osiadłego na mieliźnie statku o nazwie filharmonia; on przecież to także zapaleniec z kędzierzawą czupryną w płomieniach, z którą – jak kiedyś uważałam – jest mu uwodzicielsko pociągająco do twarzy. W każdym razie moje porównanie do statku osiadłego na mieliźnie od razu przetłumaczył na francuski: „bateau echoue”.

Berlińczycy natomiast znów wyteżyli swój dowcip miksując namiotowe elementy budowli z centralną pozycją dyrygenta i od ręki sprowadzając wielki projekt do banalnego mianownika „Cyrk Karajani”. Inni chwalili i jednocześnie zrzędzili. Dochodziła do głosu koleżeńska zawiść architektów. Tylko szanowany również przeze mnie profesor Julius Posener wygłaszając uwagę: „Scharounowi dane było zbudować gmach w duchu Piranesiego i zamienić jego więzienny charakter na odświętną okazałość...” powiedział coś trafnego. Mimo to ja obstaję przy swoim: jest to statek, niech tam będzie, że statek więzienny, którego życie wewnętrzne jest przeniknięte pobudzone opanowane przez muzykę, niech tam będzie, że przez muzykę uwięzioną w gmachu i zarazem uwolnioną.

A akustyka? Przez wszystkich, prawie przez wszystkich była chwalona. Ja asystowałam, miałam możliwość asystować przy jej wypróbowywaniu. Na krótko przed uroczystym otwarciem – Karajan porwał się naturalnie na Dziewiątą! – nie prosząc o pozwolenie wśliznęłam się do zaciemnionej sali koncertowej. Balkony były ledwie rozpoznawalne. Tylko podium położone na samym dole oświetlały reflektory. Raptem jakiś burkliwie dobroduszny głos zawołał mnie z ciemności: – Nie ma co stać, dziewczyno! Potrzebujemy pomocy. Szybko na podium! – A ja, nigdy zazwyczaj nie mająca kłopotów z odmowną odpowiedzią, harda chłopska córka z Wilstermarsch, usłuchałam z miejsca, zbiegłam schodami w dół, po pewnym błędzeniu stanęłam w świetle i wzięłam do ręki bębnekowy rewolwer wciśnięty mi z paru słowami objaśnienia przez mężczyznę, który potem okazał się akustykiem. Wtedy znów z ciemności plastrowato skonstruowanej sali koncertowej rozległ się burkliwy głos: – Wszystkie pięć strzałów jeden po drugim. Nie ma się czego bać, dziewczyno, to tylko ślepe naboje. Teraz, mówię, teraz! – Posłusznie uniosłam bębnekowy rewolwer, zrobiłam to śmiało i podobno, jak mi później mówiono, wyglądałam przy tym „anielsko pięknie”. Stałam więc i pięciokrotnie raz za razem nacisnęłam spust, żeby

można było dokonać akustycznych pomiarów. I proszę: wszystko grało. A burkliwy głos z ciemności należał do budowniczego Hansa Scharouna, którego od tej pory uwielbiam tak samo jak przedtem mojego nauczyciela fletu. Dlatego – a także idąc chyba za głosem wewnętrznym – rzuciłam muzykę i z entuzjazmem studiuję architekturę. Ale czasami -nie mając już stypendium – nadal dorabiam w Filharmonii jako szatniarka. Toteż z każdym koncertem przekonuję się, jak muzyka i budownictwo wzajemnie się dopełniają, szczególnie wówczas, kiedy budowniczy statku wsadza muzykę do więzienia i jednocześnie ją uwalnia.

1964

Faktycznie, z tymi wszystkimi okropnościami, które tam się wydarzyły, i z całą resztą zetknęłam się za późno, mianowicie kiedy musieliśmy szybko wziąć ślub, bo byłam w ciąży, i w Römerze, gdzie u nas we Frankfurcie mieści się urząd stanu cywilnego, całkiem żeśmy pobłądzili. Tak to było, mnóstwo schodów i zdenerwowanie. W każdym razie powiedziano nam: – Żleście państwo trafili. To dwa piętra niżej. Tutaj odbywa się proces. – Jaki proces? – zapytałam. – No, przeciwko sprawcom z Oświęcimia. Gazet pani nie czyta? Przecież pełno o tym we wszystkich.

Zeszliśmy więc z powrotem na dół, gdzie czekali już nasi świadkowie. Moi rodzice co prawda nie przyszli, bo od początku byli przeciwni temu małżeństwu, ale była mama Heinera, cała w nerwach, a także dwie koleżanki z centrali telefonicznej. Potem siedzieliśmy wszyscy w Ogrodzie Palmowym, gdzie Heiner zamówił stół, i świętowaliśmy jak się patrzy. Ale po weselu nie mogłam się od tego uwolnić, chodziłam tam raz za razem, będąc już w piątym czy szóstym miesiącu, nawet wtedy, kiedy wymiar sprawiedliwości przeniósł proces na Frankenallee, gdzie w domu Callusa dość obszerna sala zapewniała więcej miejsca, zwłaszcza dla widzów.

Heiner nigdy ze mną nie poszedł, nawet wtedy, kiedy na dworcu towarowym, gdzie pracuje, miał nocną zmianę i mógłby pójść. Ale opowiadałam mu, co można o tym powiedzieć. Wszystkich tych okropnych liczb, które szły w miliony, nie można było pojąć, bo wciąż inne liczby wymieniano jako prawdziwe. Faktycznie, raz miało być trzy, to znów najwyżej tylko dwa miliony zagazowanych czy zgładzonych w inny sposób. Ale reszta, którą przed sądem wyciągnięto na wierzch, była równie zła albo jeszcze gorsza, bo miało się ją przed oczami i mogłam o niej Heinerowi opowiadać, aż się obruszył: – Daj z tym już spokój. Ja miałem cztery, pięć lat, jak to się działo. A ciebie w ogóle nie było jeszcze na świecie.

To prawda. Ale ojciec Heinera i jego wujek, właściwie całkiem sympatyczny gość, byli obaj żołnierzami, i to gdzieś głęboko w Rosji, jak mi kiedyś mówiła mama Heinera. Ale skoro po ochrzczeniu Beaty, kiedy wreszcie spotkała się cała rodzina, chciałam opowiedzieć o procesie w domu Gallusa, o Kaduku i Bogerze, słyszałam w

kółko tylko jedno: – O tym nic żeśmy nie wiedzieli. Kiedy to miało być? W czterdziestym trzecim? To my już cały czas byliśmy w odwrocie... -A wujek Kurt oznajmił: -Jak musieliśmy wycofać się z Krymu i ja przyjechałem w końcu na urlop, to wszystko tutaj było zbombardowane. Ale o całym tym terrorze, jaki Amerykańcy i Anglicy stosowali wobec nas, nikt nie mówi. Jasne, bo to oni zwyciężyli i winni są zawsze tylko ci drudzy. Daj wreszcie z tym spokój, Heidi!

Ale Heiner to musiał słuchać. Wprost zmuszałam go, bo to na pewno nie był przypadek, że jak mieliśmy brać ślub, to pobłądziliśmy w Römerze i natknęliśmy się przy tym na Oświęcim i, co gorsza, na Brzezinkę, edzie były piece. Z początku nie chciał w to wszystko wierzyć, że na przykład jeden oskarżony kazał więźniowi utopić własnego ojca, na co więzień dostał wprost pomieszania zmysłów i dlatego oskarżony tylko dlatego zastrzelił go na miejscu. Albo co się działo na małym podwórzu między Blokiem 11 a Blokiem 10 pod czarną ścianą. Rozstrzeliwania! Ileś tysięcy. Bo jak sąd to rozpatrywał, nikt nie znał dokładnej liczby. W ogóle były kłopoty z pamięcią. Jak opowiadałam później Heinerowi o huśtawce, która nosi imię tego Wilhelma Bogera, co to wymyślił taki przyrząd, żeby nakłonić więźniów do mówienia, z początku ani rusz nie mógł tego skapować. To ja na kawałku papieru dokładnie mu narysowałam model zademonstrowany sędziom przez świadka, który sporządził go własnoręcznie specjalnie na proces. Na drągu mianowicie wisiał w górze manekin więźnia w prawdziwych pasiakach, i to tak spętany, że ten Boger mógł go bić między nogi, i to za każdym razem w jądra. Tak, w same jądra. – I wyobraź sobie, Heiner – powiedziałam – jak świadek wszystko to sądowi opowiadał, to Boger, który siedział na ławie oskarżonych skosem po prawej, a więc za plecami świadka, uśmiechał się ukradkiem, aż po kąciki ust...

Racja! Też sobie zadawałam to pytanie! Czy to jeszcze jest człowiek? Mimo to byli świadkowie, którzy twierdzili, że ten Boger był poza tym całkiem przyzwoity i zawsze dbał o kwiaty w komendanturze. Podobno tylko Polaków zawzięcie nienawidził, Żydów dużo mniej. No cóż, sprawa z komorami gazowymi i krematorium w głównym obozie i w Brzezince, gdzie w dodatkowych barakach przebywało mnóstwo Cyganów i wszyscy poszli do gazu, była dużo bardziej skomplikowana i trudniejsza do pojęcia niż ta z huśtawką. Ale tego, że ten Boger z wyglądu przypominał w jakiś sposób wujka Kurta, zwłaszcza kiedy tak dobrodusznie patrzył, naturalnie Heinerowi nie opowiedziałam, bo to byłoby nie w porządku wobec wujka Kurta, który przecież jest zupełnie niewinny i nadzwyczaj sympatyczny...

Mimo to sprawa z huśtawką i cała reszta nurtuje Heinera i mnie, tak że zawsze, ilekroć mamy rocznicę ślubu, musimy wspominać, również z tego powodu, że wtedy spodziewałam się Beaty i potem mówiliśmy sobie: – Miejmy nadzieję, że to wszystko nie odbije się na dziecku. – Ale zeszłej zimy Heiner powiedział mi: – Może latem, jak będę miał urlop, zrobimy sobie wycieczkę do Krakowa i Katowic. Mama dawno już o

tym marzy, bo właściwie pochodzi z Górnego Śląska. Byłem już w Orbisie. To jest polskie biuro podróży...

Ale nie wiem, czy to dla nas będzie dobre i czy w ogóle coś z tego wyjdzie, mimo że z biegiem czasu bardzo łatwo dostaje się wizę. Racja. Podobno z Krakowa niedaleko jest do Oświęcimia. Można nawet zwiedzać, piszą tu w prospekcie...

1965

Ze wzrokiem wlepionym w lusterko wsteczne jeszcze raz pożerać kilometry. W drodze między Pasawą a Kilonią. Objeżdżać regiony. Dla pozyskania głosów. Za kierownicę naszej pożyczonej dekawki wcisnął się Gustaw Steffen, student z Münster, który – jako że z niezbyt zamożnego domu, wyrosły w katolicko-proletariackim środowisku (ojciec był dawniej w Centrum) – musiał zdobywać wiedzę drogą okrężną, z terminowaniem na mechanika, w wieczorowym gimnazjum, a teraz, chcąc jak ja wesprzeć socjałów, rozsądny, punktualny – My jesteśmy inni. My się nie spóźniamy!

–odfajkowuje kolejne etapy naszego przedwyborczego objazdu:

–Wczoraj w Moguncji, dzisiaj do Würzburga. Dużo kościołów i dzwonów. Czarna miejscina z przejaśnieniami na obrzeżach...

I oto już parkujemy przed Salami Huttena. Zdany na lusterko wsteczne czytam najpierw wspak, potem normalnie napis na transparencie, który zawsze starannie uczesani chłopacy z Młodej Unii trzymają w górze jak zielonoświątkowe posłanie: „Czego ateista szuka w mieście świętego Kiliana?” i dopiero w przepelnionej sali z pierwszymi rzędami opanowanymi przez studentów z korporacji, rozpoznawalnych po breloczkach, daję uciszającą ogólne syczenie odpowiedź – Szukam Tilmana Riemenschneidera! – przywołując owego rzeźbiarza i burmistrza miasta, któremu książęco-biskupia zwierzchność w czasie wojen chłopskich okaleczyła obie ręce i który obecnie, tak wyraźnie zawezwany, z każdym akapitem przydaje mojej mowie polotu i być może zjednuje posłuch: „Ciebie śpiewam, demokracjo!” – Walt Whitman, dla celów kampanii wyborczej lekko zmieniony...

Czego nie ma w lusterku wstecznym, a co można tylko odczytać z pamięci: zorganizowali ten objazd studenci z Socjaldemokratycznego Związku Szkół Wyższych i Liberalnego Związku Studentów, którzy – czy to w Kolonii, Hamburgu czy Tybindze – są zagubioną gromadą i którym ja, kiedy wszystko było tylko planem zabarwionym nadzieją, przy Niedstrasse we Friedenau ugotowałem konspiracyjny garnek soczewicy. Do tego czasu SPD nie miała pojęcia o swym niezasłużonym szczęściu, później jednak, kiedy ruszyliśmy w objazd, uznała za udany przynajmniej

nasz plakat, mojego koguta piejącego Es-Pe-De. Towarzysze byli też zdumieni, że sale, chociaż braliśmy za wstęp, pękały w szwach. Tylko pod względem treści to i owo im nie smakowało, choćby moje cytowane wszędzie żądanie ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie, a więc zdeklarowana rezygnacja z Prus Wschodnich, Śląska, Pomorza i – co mnie szczególnie bolało – Gdańska. To nie mieściło się we wszelkich uchwałach zjazdu partii, tak samo jak moja polemika z paragrafem 218, ale mówiono: z drugiej strony widać, że przychodzi dużo młodych wyborców, na przykład w Monachium...

Po brzegi wypełniony dzisiaj Cyrk Krone ze swymi trzema i pół tysiącami miejsc. Na i tutaj nagminne syczenie skrajnie prawicowej zgrai pomaga mój okolicznościowy wiersz „Efekt kotła parowego”, który za każdym razem, a więc i tu wywołuje nastrój: „Spójrzcie na tych ludzi, w syczeniu zjednoczonych. Sykomanów, sykopleksów, sykofilów, bo syczenie zrównuje, mało kosztuje i rozgrzewa. Ale ta elita, bystra i sycząca, wykształciła się za czyjeś pieniądze...” Jak to dobrze, że w gmachu Cyrku Krone za sprawą lusterka wstecznego widzę siedzących przyjaciół, wśród nich takich, którzy tymczasem już nie żyją. Hansa Wenera Richtera, mego przybranego literackiego ojca, który początkowo, zanim ruszyłem na trasę, był sceptyczny, a potem powiedział: – Spróbuj. Ja mam już to wszystko za sobą: Crünewaldzki Krąg, Precz z Atomową Śmiercią. Teraz ty możesz się uszarpać.

Nie, drogi przyjacielu, to nie szarpanina. Ja się przy okazji uczę, badam długo gromadzony zaduch, jestem na tropie ślimaka, odwiedzam okolice, w których wciąż jeszcze szaleje wojna trzydziestoletnia, teraz na przykład przybywam do Cloppenburga, czarniejszego niż Vilshofen czy Biberach nad Riss. Gustaw Steffen pogwizdując wiezie nas przez płaski Münsterland. Krowy, wszędzie krowy, które mnożą się w lusterku wstecznym i rzucają pytanie, czy w tych stronach nawet krowy są katolickie. I coraz więcej wyładowanych ludźmi traktorów, które jak my jadą w stronę Cloppenburga. Są to wieloosobowe chłopskie rodziny, które chcą być przy tym, kiedy w wynajętej przez nas Hali MCinsterlandzkiej będzie mówił wcielony diabeł...

Dwóch godzin potrzebuję na mowę „Mamy do wyboru”, którą normalnie odbębniałem w ledwo godzinę. Mógłbym też grzmiącym głosem sadzić swój „Hymn pochwalny na cześć Willy’ego” albo „Nowe szaty cesarza”, ale tego tumultu nie uspokoiłoby nawet czytanie Nowego Testamentu. Na rzucanie jajkami reaguję wytykaniem „marnotrawienia” subwencji dla rolnictwa. Tutaj się nie syczy. Tutaj sięga się po mocniejszy oręż. Kilku wiejskich chłopaków, którzy celnie rzucali jajkami i trafiali, w cztery lata później, jako obecnie nawróceni młodzi socjaliści, zaprosi mnie na drugą rundę do Cloppenburga; ale tym razem upominam miotaczy jajek, korzystając z bagnisto głębokiej katolickiej wiedzy: – Zostawcie to, chłopaki! Bo inaczej będziecie musieli w najbliższą sobotę wypowiedać się na ucho swojemu

księdzu proboszczowi...

Kiedy obdarowani pełnym koszem jajek – okolice Vechty i Cloppenburga są znane z mnóstwa kurzych farm – opuszczaliśmy miejsce zdarzenia i ja dosyć utyłłany zasiadłem obok kierowcy, Custaw Steffen, który w parę lat później w wypadku samochodowym stracił swoje młode życie, patrząc w lusterko wsteczne powiedział: – Wybory to na pewno mamy przechłapane. Ale tutaj tośmy zyskali głosy.

Po powrocie do Berlina, podczas gdy ja spałem jak kamień, paliły się drzwi wejściowe naszego domu i wystraszyły Annę, dzieci. Od tego czasu w Niemczech zmieniło się to i owo, ale nie w sprawie podpaleń.

1966

Bycie albo bytowanie, te podniosłe słowa nagle nic już nie mówiły. Nagle, jak gdyby ziszczanie się, podstawa, wszelki byt i nicestwiejąca nicość były tylko pustym dźwiękiem, poczułem się podany w wątpliwość i zarazem wezwany do dania świadectwa. Po tak długim ciągu lat i jako że w wirze obecnego życia święci się najróżniejsze osobliwości, choćby markę niemiecką, bo zaczęła swój marsz pięćdziesiąt lat temu, ale też złowieszczy rok sześćdziesiąty ósmy, spisuję, co mi się przydarzyło pewnego popołudnia w bieżącym letnim semestrze. Bo nagle, skoro tylko rozpocząłem moje środowe seminarium od raczej ostrożnych uwag na temat powiązań tekstowych między wierszami „Fuga śmierci” i „Todt-nauberg”, pomijając na razie godne uwagi spotkanie filozofa z poetą, gdzieś w głębi, podczas gdy pierwsze prace moich studentek i studentów ześlizgiwały się w pojęciową dowolność, poczęły nurtować mnie pytania, które właściwie wystąpiły w zbyt silnych odniesieniach czasowych, aby je stypizować na wskroś egzystencjalnie: Kim byłem wtedy? Kim jestem dzisiaj? Co się stało z owym kiedyś bycia wyzbytym, lecz bądź co bądź radykalnym uczestnikiem wydarzeń roku sześćdziesiątego ósmego, który już dwa lata wcześniej, choć jakby przypadkiem tylko, był przy tym, kiedy w Berlinie po raz pierwszy formował się protest przeciwko wojnie w Wietnamie?

Nienie, żadne pięć tysięcy, chyba ledwie dwa tysiące osób trzymając się pod ręce i nie żałując gardeł ruszyło w pochód – zgłoszony i dopuszczony – ze Steinplatz przez Hardenbergstrasse pod Dom Ameryki. Wzywały do tego najrozmaitsze grupy i grupki, SDS, SHB, Liberalny Związek Studentów i Klub Argument jak i Ewangelicka Wspólnota Studencka. Przedtem ten i ów, ja na pewno też, poszedł do Butter-Hoffmanna, żeby zaopatrzyć się zawczasu w najtańsze jajka. Obrzucaliśmy nimi, jak się mówiło, „imperialistyczne siedlisko”. Nie tylko u krnąbrnych chłopów, także w kręgach studenckich rzucanie jajkami weszło wtedy w modę.

O tak, ja rzucałem i krzyczałem z innymi: „Amerykańcy precz z Wietnamu!” i

Johnson morderca!” Właściwie miało dojść do dyskusji i kierownik Domu Ameryki, człowiek podający się za liberała, był nawet gotów dyskutować, ale już poleciały jajka, a po zbiorowym rzucaniu, podczas którego policja nie interweniowała, pociągnęliśmy z powrotem przez Kurfürstendamm, potem przez Uhlandstrasse na Steinplatz. Pamiętam kilka napisów na transparentach, na przykład „Parszywe gagatki, pakujcie manatki!” i „Żyć spokojnie bez tej wojny!” Ale przykre było, że kilku funkcjonariuszy SED zza miedzy dołączyło do protestacyjnego pochodu, żeby nas – choć na próżno – agitować. Dla prasy Springera ich obecność była gratką nie lada.

Ale ja? Jak to się stało, że szedłem w szeregu? Że kogoś tam brałem pod rękę? Że wydzierałem się do ochrypnięcia? Że z innymi rzucałem jajkami? Wyrosły w mieszczańskim i poniekąd konserwatywnym otoczeniu studiowałem u Taubego religioznawstwo i trochę filozofię, próbowałem Husserla, radowałem się Schelerem, inhalowałem Heideggera, czułem się spokojnie na jego polnej drodze, byłem niechętny wszelkiej technice, zwykłemu „zestawieniu”, i do tego momentu odrzucałem wszystko, co się człowiekowi nasuwa, choćby politykę, jako „bycia wyzbyte”. I raptem stanąłem po czyjejs stronie, lżyłem prezydenta Ameryki i jego sojuszników, dyktatora Wietnamu Południowego Thieu i generała Ky, jednakże nie byłem jeszcze gotów całkowicie uwolnić się od zahamowań okrzykami: Ho-Ho-Ho-Szi-Min! Kim więc właściwie byłem, wtedy przed trzydziestu laty?

Podczas gdy prace seminaryjne, dwa, trzy krótkie referaty, absorbowwały mniej niż połowę mojej uwagi, to pytanie nie odstępowało mnie. Moi studenci pewnie dostrzegli częściową nieobecność swego profesora, ale skierowane wprost do mnie pytanie jednej ze studentek, czemu to autor skrócił zawartą w pierwszej wersji wiersza „Todtnauberg” frazę: „nadziei, dzisiaj, na myślącego nadchodzące (niezwłocznie nadchodzące) słowo”, bo w ostatniej wersji wiersza, która znajduje się w tomie „Przymus światła”, słów ujętych w nawias już nie ma, to centralne pytanie przywiodło mnie na powrót do uniwersyteckiej codzienności

i zadane z tak szorstką bezpośredniością przywołało poniekąd sytuację, w którą czułem się rzucony już jako młody człowiek: jeszcze przed rozpoczęciem zimowego semestru 66/67 opuściłem niespokojny i niebawem ożywiany coraz to większymi pochodami protestacyjnymi berliński bruk, aby studiować we Fryburgu.

Stamtąd się wywodziłem. Do tego zaimponował mi germanista Baumann. Usiłowałem interpretować swój powrót jako Heideggerowski „zwrot”. Natomiast mojej studentce, której wyzywająco postawione pytanie miało mnie zmusić do „niezwłocznej” reakcji, odpowiedziałem – wskazując na przejściowe zbliżenie się kontrowersyjnego filozofa do państwa führera i jego milczenie wznoszone niczym kopuła nad każdą zbrodnią – wymijająco i z pewnością niewystarczająco, zwłaszcza że zaraz potem znów wypytywałem tylko siebie.

Taktak, uciekając do Fryburga szukałem bliskości wielkiego szamana. To on mnie pociągał albo jego aura. Wcześniej poznałem podniosłe słowa, bo ojciec, który będąc naczelnym lekarzem w schwarzwaldzkim sanatorium spędzał nieliczne wolne chwile na turystycznych szlakach, prowadził mnie już jako dziecko z Todtnau do Todtnaubergu i nigdy nie omieszkał wskazać skromnej chaty filozofa...

1967

Aczkolwiek moje przeciągające się środowowe seminarium było jakby ożywiane tylko za sprawą bardzo umiarkowanego zainteresowania, jeśli pominąć motyla, który zabłąkał się przez otwarte okno, to jednak na tyle miało w sobie coś z pochylni, aby raz po raz rzucać mnie na moje przedawnione bycie i stawiać poniekąd przed wielkokalibrowymi pytaniami: Co – właściwie – wypędziło mnie z Berlina? Czy nie należało tam być 2 czerwca? Czy nie powinienem był szukać swego miejsca między protestującymi pod schöneberskim ratuszem? Czy i ja, który poczuwałem się do nienawiści wobec perskiego szacha, nie byłbym odpowiednim celem dla walących łatami dachowymi na lewo i prawo perskich entuzjastów?

Wszystko to z niewielkimi tylko ograniczeniami wypadało potwierdzić. Na pewno i ja mógłbym wyrazić solidarność przez plakat z napisem: „Natychmiast uwolnić irańskich studentów!” i wpaść w oko policji. A ponieważ w ratuszu, równocześnie z wizytą szacha, komisja parlamentarna obradowała nad podwyższeniem opłat za studia, łatwo by mi przyszło śpiewać chórem z innymi demonstrantami głupawy szlagier karnawałowy sprzed lat: „Kto za to zapłaci?” A kiedy wieczorem szach ze swoją Farah Dibą, prowadzony z dyplomatyczną pompą przez Albertza, rządzącego burmistrza miasta, odwiedzał Operę Niemiecką przy Bismarckstrasse, oddziały policyjnych łapaczy mogłyby i mnie, gdybym strachliwie nie zwiął do Fryburga, zapędzić w kichę między Krumme i Sesenheimer Strasse i – podczas gdy w Operze szedł już uroczysty program – pogonić pałami. A potem, zapytywałem siebie lub w głębi ducha byłem zapytywany, kiedy realizowano policyjny plan „Polowanie na lisy”, to czy zamiast studenta germanistyki i romanistyki Benno Ohnesorga nie mogłoby z bliskiej odległości dostać się mnie?

Jak ja uważał się za pacyfistę i był członkiem Ewangelickiej Wspólnoty Studenckiej. Jak ja liczył sobie dwadzieścia sześć lat i lubił jak ja chodzić latem w sandałach bez skarpetek. A jakże, mogłoby to poniekąd załatwić, wykończyć mnie. Ale ja się wycofałem i przy pomocy filozofa, który po swoim zwrocie zawierzył zimnej krwi, nabrałem ontologicznego dystansu. Więc spałowali jego, nie mnie. Więc funkcjonariusz policji kryminalnej po cywilnemu, Kurras, wymierzył odbezpieczony pistolet służbowy, model PPK, nie w moją głowę, lecz trafił Benno Ohnesorga powyżej prawego ucha, tak że mózg mu wypłynął, a pokrywa czaszki została

strzaskana...

Nagle zbulwersowałem moich studentów przerywając głośno ich namaszczone interpretacje dwóch znaczących wierszy: – To hańba! Policjant Kurras został uniewinniony na dwóch procesach i do emerytury pracował w dyspozyturze berlińskiej policji...

–Potem umilkłem, widziałem co prawda skierowane na mnie wyzywająco drwiące spojrzenie wspomnianej studentki, czułem je nawet jak najintymniej i mimo to dobrze wiedziałem, że przepełniają mnie pytania, które już od czasów dzieciństwa zapędzały moje zastraszone bycie w kozi róg. Kiedy dokonał się mój zwrot? Co kazało mi rozstać się z pospolitym bytowaniem? I od kiedy dokładnie w długim ciągu lat ogarnęła mnie podniosłość, aby

–mimo przejściowego odwrotu – już nigdy mnie nie odstąpić? Mogłoby się to zdarzyć w miesiąc później, owego 24 lipca, gdy poeta, ozdrowiały po dłuższej chorobie, przybył do Fryburga, gdzie przełamał swoje początkowe wahanie i zanim uroczyście przeczytał nam wszystkim swoje wiersze, spotkał się jednak z filozofem, którego problematyczna przeszłość nastawiała go sceptycznie. Lecz razem z Heideggerem Paul Celan nie chciał się sfotografować. Później gotów był wszakże pozować do fotografii; ale na zdjęcie dokumentujące godne uwagi spotkanie zabrakło już czasu.

Tą i jeszcze innymi anegdotami podzieliłem się, uwolniony już od wewnętrznego wypytywania, z moim popołudniowym seminarium, bo zręcznymi wypowiedziami jednej zwłaszcza ze studentek udało się wyrwać mnie spod presji spoglądania wstecz i poniekąd rozwiązać mi język jako świadkowi owej powikłanej konfrontacji; bo to mnie na polecenie profesora Baumanna przyszło lustrować wystawy fryburskich księgarń. Na życzenie filozofa miały być z pietyzmem wystawione wszystkie tomiki wierszy poety. I proszę,

od wczesnego zbioru „Mak i pamięć” po „Kratę mowy” i tomik „Róża niczyja” wszystko było nieuchwytnie, a mimo to namacalne; pokazały się nawet, za sprawą mojego zapалу, rzadkie nadbitki.

I to również mnie dane było o rannej godzinie następnego dnia starannie przygotować wizytę poety wysoko w Schwarzwaldzie, gdzie czekała chata filozofa. Ale znów Celan poczuł się urażony postępowaniem Heideggera w mrocznych latach, podobno nawet, cytując samego siebie, nazwał go „mistrzem z Niemiec” i w ten sposób, chociaż nie wprost, włączył śmierć do gry. Toteż pozostawało rzeczą niepewną, czy przyjmie zaproszenie. Poeta długo się wahał i zachowywał się nieprzystępnie.

Jednakże potem wyjechaliśmy o świcie, chociaż niebo zasnuło się ołowiano. Po wizycie w chacie i owej godnej uwagi rozmowie czy milczeniu, w których nikomu, nawet mnie, nie dane było uczestniczyć, spotkano się w St. Blasien, gdzie wszystkim udzieliła gościny miejscowa kawiarnia. Nic zdawało się nie dziwić. Najwidoczniej poeta był obecnie rad myślicielowi. Już wkrótce obaj znaleźli się na drodze do Horbacher Moor, z którego wschodniego skraju wszyscy powędrowaliśmy kawałek po ułożonych okrągłakach. Ponieważ jednak utrzymywała się brzydka pogoda, a obuwie poety było zbyt miejskie czy, jak to sam zauważył, „nie dość wiejskie”, niebawem wędrowanie przerwano, po czym w ozdobionym świętymi obrazami kącie gospody w miłej atmosferze zjedliśmy obiad. Nienie, nie rozmawiało się o żadnych politycznych aktualnościach, choćby o rozruchach w Berlinie i podanej niedawno informacji o śmierci studenta; była mowa o świecie roślinnym, przy czym okazało się, że poeta potrafił nazwać po imieniu tyle samo, jeśli nie więcej ziół niż myśliciel. Ponadto Paul Celan znał nie tylko łacińską nazwę niejednego ziółka, lecz również rumuńską, węgierską, nawet żydowską. Pochodził przecież z Czerniowców, które znajdują się -jak wiadomo – na wielojęzycznej Bukowinie.

To wszystko i jeszcze dalsze osobliwości wyjawilem moim studentom, na postawione jednak ze szczególnej strony pytanie, o czym to mówiono w chacie bądź co przemilczano, mogłem odpowiedzieć tylko powołaniem się na wiersz „Todtnauberg”. Tam nasuwa się niejedno. Na przykład „arnika”, nazywana uczenie „pociechą dla oka”, pozwala na różne interpretacje. A studnia przed chatą ze znamieną gwiazdzistą kostką obfituje w odniesienia. Ponadto w centralnym miejscu, będąc niejako sednem, znajduje się

owa wspomniana w wierszu księga pamiątkowa, do której poeta wpisał się z lęklwym pytaniem: „czyje nazwisko przed moim przyjęła?”, wszelako z „nadzieją, dzisiaj, na myślącego nadchodzące słowo w sercu...”, przy czym raz jeszcze trzeba powiedzieć, że ujęte w nawias słowa „niezwłocznie nadchodzące”, skreślone później przez poetę, były dobitnym wyrazem jego naglącego pragnienia które – jak wiadomo – pozostało nie spełnione. Ale co poza tym mogło w chacie dojść do głosu bądź pominięte zostać milczeniem, tego się nie wie, to pozostaje mgławicą, dopuszcza zaledwie niejasne domysły, poniekąd jednak pozostawia ranę nie zabliznioną...

Tak mniej więcej mówiłem do moich studentów nie zdradzając im czy zgoła wspomnianej osobie, jak często wyobrażałem sobie rozmowę w chacie; bo między poetą bez miejsca na ziemi a mistrzem z Niemiec, między Żydem z niewidzialnie żółtą gwiazdą a byłym rektorem fryburskiego uniwersytetu z kolistą, a przecież wymazaną odznaką partyjną, między tym, co nazywa, a tym, co pomija milczeniem, również między głoszącym wciąż własną śmierć ocalałym a głosicielem bycia i nadchodzącego Boga musiałyby znaleźć się słowa spod znaku niewymowności, ale nie znalazło się ani jedno.

I to milczenie trwało i trwało. Również ja zataiłem przed seminarium powody mojej ucieczki z Berlina, zniosłem niby to nieporuszenie obmacujący mnie wzrok owej studentki i nie puściłem farby na temat tego, co mnie przejściowo odstręczyło od podniosłości i już w następnym roku, znowu w popłochu, zapędziło z Fryburga we frankfurcką kotłownię, nawiasem mówiąc w to miejsce, w którym Paul Celan, skoro tylko opuścił naszą uniwersytecką miejscinę, napisał pierwszą wersję wiersza „Todtnauberg”.

1968

Seminarium zdawało się uspokojone, mnie natomiast nadal trawił niepokój. Ledwie dzięki przezornie dawkowanemu autorytetowi udało mi się usłyszeć ów wiersz z chaty jako późne echo „Fugi śmierci” i jako wyzwanie rzucone poważnemu, ale jednocześnie utożsamianemu ze śmiercią „mistrzowi z Niemiec”, a już poczułem się znowu podawany usilnie w wątpliwość: Co zaraz po Wielkanocy następnego roku wygnało cię z Fryburga? Który to zwrot uczynił radykalnego uczestnika wydarzeń roku sześćdziesiątego ósmego z ciebie, któryś do tej pory przysłuchiwał się milczeniu pomiędzy słowami i zdawał się na podniosłą fragmentaryczność, na powolne milknięcie Hölderlina?

Może z opóźnieniem to zamordowanie studenta Benno Ohnesorga, a już na pewno zamach na życie Rudiego Dutschke uczynił z ciebie, przynajmniej werbalnie, rewolucjonistę, kiedy wyrzekłeś się żargonu właściwości i zacząłeś gadać innym, żargonem dialektyki. Tak w przybliżeniu objaśniałem siebie, nie byłem jednak pewien głębszej przyczyny zmiany mojego języka i póki moje środowowe seminarium miało samoczynnie czym się zajmować, próbowałem uśmierzyć raptowne wzburzenie moich pomysłów.

W każdym razie we Frankfurcie zerwałem – na pewien czas – z germanistyką i zapisałem się, jakby na dowód ponownego zwrotu, na wydział socjologii. Słuchałem zatem Habermasa i Adorna, którego wszakże myśmy – ja wkrótce jako członek SDS – z rzadka dopuszczali do głosu, jako że w naszych oczach był to autorytet do zakwestionowania. A ponieważ wszędzie, we Frankfurcie szczególnie gwałtownie, uczniowie buntowali się przeciwko nauczycielom, doszło do okupowania uniwersytetu, z którego jednak, ponieważ Adorno, wielki Adorno, poczuł się zmuszony wezwać policję, okupujących wnet usunięto. Jeden z naszych najbardziej wygadanych mówców, podziwiany za elokwencję przez samego mistrza negacji, mianowicie Hans-Jürgen Krahl, który nawiasem mówiąc jeszcze parę lat wcześniej należał do faszystowskiego związku Ludendorffa, potem do reakcyjnej Młodej Unii i który obecnie, po absolutnym zwrocie, uważał się za bezpośredniego sukcesora Dutschkego i antyautorytet, ten Krahl został aresztowany, po kilku dniach jednak

wyszedł na wolność i wnet się uaktywnił, czy to występując przeciwko ustawom wyjątkowym, czy też przeciwko swemu mimo wszystko wielce szanowanemu nauczycielowi. Tak było ostatniego dnia targów książki, 23 września, kiedy w domu Callusa, gdzie w sześćdziesiątym piątym zakończył się pierwszy proces oświęcimski, dyskusja na podium, której ofiarą padł w końcu Adorno, omal nie pogrążyła się w tumulcie.

Jakież gwałtowne czasy! Czując się bezpiecznie na moim zacisznym seminarium i będąc zbijany z tropu tylko prowokacyjnymi pytaniami szczególnie upartej młodej osoby, usiłowałem przeskoczyć ciąg trzydziestu przeżytych lat i włączyć się w dyskusję, która stała się trybunałem. Jaka to rozkosz użyć mocnego słowa! Również ja, w tłumie, wznosiłem okrzyki, znajdowałem rozszarpujące słowa, uważałem, że gorliwością muszę prześcignąć Krahla, razem z nim i z innymi dążyłem do tego, żeby kulistogłowego mistrza dialektyki sprowadzającej wszystko do sprzeczności, który milczał teraz speszony i nie wiedział, jakich użyć słów, całkowicie obnażyć, co się też udało. U stóp profesora siedziały przecież ciasno stłoczone studentki, które niedawno odsłoniły przed nim swoje biusty i zmusiły w ten sposób Adorna do przerwania wykładu. Chciały go teraz, wrażliwca, zobaczyć nago. On, zażywny mężczyzna, który ubierał się z mieszczańską solidnością, miał zostać poniekąd roznegliżowany. Rzecz była jeszcze bardziej przykra: powinien był punkt po punkcie wyprzeć się osłaniającej go teorii i swój dopiero co rozerwany na strzępy autorytet – czego domagał się Krahl i inni – po jakim takim polataniu oddać na użytek rewolucji. Niechże się na coś przyda, żądano. Jest jeszcze potrzebny. Żeby wkrótce wziąć udział w marszu gwiazdzistym na Bonn. Zachodzi potrzeba wykorzystania, wobec klasy panującej, jego autorytetu. Ale w zasadzie to należy go usunąć.

Tę ostatnią kwestię wykrzyczałem chyba ja. A może ktoś lub coś krzyczało moimi ustami? Co mi kazało opowiedzieć się za użyciem przemocy? Skoro tylko znów ujrzałem przed sobą twarze moich studentów, którzy na bieżącym seminarium Celanowskim z umiarkowanym zapalem zapracowywali na swoje zaliczenia, zwątpiłem w swój niegdysiejszy radykalizm. Może my, może ja chciałem tylko pozwolić sobie na żart. Albo byłem skołowany, bo źle zrozumiałem nazbyt wymyślne zdanie, na przykład to o represyjnej tolerancji, jak przedtem opacznie tłumaczyłem sobie dokonane przez mistrza potępienie wszelkiego bycia-wy-zbycia.

Krahl, który uchodził za najzdolniejszego ucznia Adorna, lubił szerokim łukiem zakładać ostateczną pętlę i wyostrzać do niedawna jeszcze tępe pojęcia. Pewnie, słyszało się również słowa przeciwne. Choćby z ust Habermasa, który jednak podpadł nam swoim od czasu kongresu w Hanowerze stale słyszalnym ostrzeganiem przed groźbą lewicowego faszyzmu. Albo z ust owego wąsatego pisarza, który zaprzedał się Es-Pe-De i uważał teraz, że ma prawo zarzucać nam „zaślepiony hurraaktywizm”. Sala wrzeszczała. Muszę przyjąć, że ja również wrzeszczałem. Co

wszakże skłoniło mnie do opuszczenia przepelnionej sali przed czasem? Czy był to niedostatek radykalizmu? Czy nie mogłem już znieść widoku Krahla, który będąc jednooki zawsze chodził w ciemnych okularach? A może nie chciałem dłużej patrzeć na mękę upokorzonego Theodora W. Adorna?

W pobliżu wyjścia z sali, gdzie wciąż jeszcze stała zbita ciżba, zaczął mnie starszy pan, najwidoczniej gość targów książki, mówiący z lekkim akcentem: – Co za brednie panowie tu wygadujecie! U nas w Pradze od miesiąca stoją wszędzie sowieckie czołgi, a panowie bajdurzycie o kolektywnych procesach edukacji ludu. Przyjedźcie, panowie, raz-dwa do pięknych Czech. Tam będziecie mogli edukować się w kolektywie, co to jest siła, a co bezsiła. Wy to nic nie wiecie, ale chcecie być mądrzejsi od wszystkich...

–Ach tak – powiedziałem nagle ponad głowami moich studentów, którzy spłoszeni podnieśli głowy znad swoich interpretacji tekstu dwóch wierszy – u schyłku lata sześćdziesiątego ósmego zdarzyło się przecież jeszcze coś innego. Czechosłowacja znalazła się pod okupacją, uczestniczyli w tym niemieccy żołnierze. A w niecały rok później zmarł Adorno: mówiono, że na serce. Nawiasem mówiąc Krahl w lutym siedemdziesiątego zginął w wypadku samochodowym. I w tym samym roku w Paryżu Paul Celan, nie doczekawszy się upragnionego słowa od Heideggera, rzucił pozostałe mu życie z mostu do wody. Nie znamy dokładnie dnia...

Potem moje środowowe seminarium się rozeszło. Tylko wspomniana studentka nie ruszyła się z miejsca. Jako że najwidoczniej nie miała już na składzie żadnego pytania, ja również się nie odzywałem. Chyba wystarczyło jej być ze mną jakiś czas sam na sam. Zatem milczeliśmy. Dopiero gdy zbierała się do odejścia, padły jeszcze dwa oszczędzone na tę chwilę zdania: – To ja sobie pójdę – powiedziała. – Z pana dzisiaj tak czy owak nic już się nie wydusi.

1969

To musiały być naprawdę odjazdowe czasy, chociaż wtedy przylepiono mi etykietkę trudnej. Ciągłe mówiło się: „Carmen jest trudna”, albo „szczególnie trudna”, albo „Carmen to dziecko z problemami”. I to nie tylko dlatego, że moja matka była rozwiedziona, a ojciec przeważnie robił za montera gdzieś daleko stąd. Ale w naszym przytulisku były jeszcze inne dzieci z problemami, nawet takie, co właściwie powinny by już być dorosłe, na przykład nasi studenci z uniwersytetu Zagłębia, którzy urządzili przytulisko z początku tylko dla samotnych matek na studiach i wszystko, ale to dosłownie wszystko chcieli załatwiać antyautorytarnie, nawet z proletariackimi dziećmi, jak nazywano nas, kiedyśmy doszlusowali. Prowadziło to zrazu do zgrzytów, bo my byliśmy przyzwyczajeni do silnej ręki, a nasi rodzice tym bardziej. Tylko moja matka, która później sprzątała będące kiedyś biurem albo czymś w tym rodzaju dwa

pomieszczenia, bo dla studentek z przychówkiem było to poniżej godności, powiedziała podobno do innych matek z sąsiedztwa: – Niech czerwoni spróbują, czym to się je, bo w Bochum grupa założycielska, która chciała, żeby przytulisko służyło także dzieciom tak zwanych najsłabszych, była nastawiona skrajnie lewicowo, w związku z czym stale dochodziło do tarć frakcyjnych, a zebrania rodziców, które przeważnie kończyły się po północy, za każdym razem, jak mi opowiadała matka, bliskie były zerwania.

Ale wtedy podobno wszędzie, nie tylko u nas, dzieci, panował jakiś taki chaos. W całym społeczeństwie, gdzie tylko człowiek spojrzeł, były zgrzyty. A poza tym toczyła się walka wyborcza. Ale przed naszym przytuliskiem wisiał transparent, na którym, jak przypomina sobie moja matka, można było przeczytać: „Zamiast walki wyborczej walka klasowa!” No i mieliśmy walkę. Wciąż wybuchały bijatyki, bo każdy, zwłaszcza my, dzieci proletariackie chciał mieć dla siebie zabawki, jakie lewicowi studenci zebrali dla naszego przytuliska. Zwłaszcza ja, mówi moja matka, byłam podobno bardzo pazerna. Ale poza tym walka wyborcza prawie nas ominęła. Tylko raz nasi studenci zabrali nas na wiec, na wprost uniwersytetu, który był olbrzymim betonowym kłocem. I tam musieliśmy razem z innymi wołać: „Kto nas zdradził? – socjaldemokraci!” Ci jednak ze swoim Willym do pewnego stopnia wygrali potem wybory. My, dzieci, naturalnie nie mieliśmy o tym pojęcia, bo w telewizji przez całe lato szło coś zupełnie innego, mianowicie lądowanie na Księżycu. Dla nas wszystkich, którzy w domu albo jak ja u pani Pietzke, naszej sąsiadki, gapiliśmy się w pudło telewizora, było to dużo ciekawsze od tego, co się działo w walce wyborczej. W związku z tym na wskroś antyautorytarnie, mianowicie każdy według swego upodobania, dużymi mazakami i farbami w tubkach, które można było mieszać, wymalowaliśmy na wszystkich ścianach przytuliska coś w rodzaju lądowania. Naturalnie obu ludzików na Księżycu w tych dracznym ciuchach. A poza tym pojazd księżycowy, który po naszymu nazywał się „Orzeł”. Właściwie musiało to być zabawne. Ale ja jako dziecko z problemami znowu postarałam się o zgrzyt na zebraniu rodziców, bo nagryzmoliłam na ścianie i pobazgrałam farbami nie tylko obu ludzików – nazywali się Armstrong i Aldrin – lecz też, jak to wyraźnie widziałam w telewizji, amerykańską flagę z masą gwiazd i pasów, która powiewała na Księżycu. Coś takiego naturalnie było nie w smak naszym studentom, w każdym razie tym szczególnie lewicowym. Wielka akcja pedagogiczna! Ale perswazją nie dało się ze mną nic wskórać. I moja matka pamięta, że tylko mniejszość, mianowicie jedynie antyautorytami studenci, którzy nie byli maoistami czy czymś podobnie rewolucyjnym, głosowała przeciw, kiedy komitet rodzicielski postanawiał, że moje malowidło, mianowicie „gwiazdy i pasy”, jak wciąż jeszcze mówi moja matka, musi zostać do cna zmyte ze ściany przytuliska. Nie, z tego powodu ani trochę nie ryczałam. Ale podobno byłam uparta jak koziół, kiedy jeden ze studentów – racja, on jest dzisiaj w Bonn jakimś tam sekretarzem stanu – chciał mnie namówić, żebym umieściła na Księżycu jaskrawoczerwoną flagę. Ja nie chciałam. Dla mnie to nie

wchodziło w rachubę. Nie, nie miałam nic przeciwko czerwieni. Tylko że w telewizji nie było czerwonej, lecz była ta druga... A że ten student nie ustępował, narobiłam wielkiego bałaganu rozdeptując wszystkie te piękne pastele, wszystkie kredki i tubki, również innych dzieci, tak że moja matka, która przecież codziennie sprzątała przytulisko i dostawała za to pieniądze od studentek też będących matkami, zdrowo się potem namęczyła, żeby wyskrobać z podłogi całą tą kolorową papkę, w związku z czym po dziś dzień, kiedy spotyka się z matkami z tamtych czasów, mówi do nich: - Moja Carmen to było kiedyś naprawdę dziecko z problemami...

Ja w każdym razie, jeśli będę miała dzieci, to na pewno wychowam je inaczej, mianowicie normalnie, chociaż rok, w którym człowiek stanął na Księżycu, a wkrótce potem moja matka głosowała na swojego Willy'ego, musiał być odlotowy, a mnie dziś jeszcze śni się nieraz bardzo żywo nasze przytulisko.

1970

Moja gazeta nigdy tego ode mnie nie weźmie. Oni chcą mieć jakąś pompę. Coś w rodzaju: „Przyjął na siebie całą winę...” albo „Nagle kanclerz padł na kolana...”, albo jeszcze mocniej: „Kłęczał za Niemcy!”

Jakie tam nagle. To było precyzyjnie wykombinowane. Jestem pewien, że ten nadzwyczajny numer podszeptał mu ów cwaniaczek, no, jego zausznik i przedstawiciel, który w kraju haniebne wyrzeczenie się proniemieckiej ziemi potrafi sprzedawać jako sukces. A jego szef, moczymorda, robi to po katolicku. Rzuca się na kolana. Tymczasem on w nic nie wierzy. Wszystko to oczywista pokazówka. Jednakże jako materiał na pierwszą stronę, z czysto dziennikarskiego punktu widzenia, to był szlagier. Podział jak bomba. Rzecz odbyła się poza protokołem. Wszyscy myśleli, że będzie to przedstawienie jak zwykle: złożyć wieniec z goździków, poprawić szarfy, cofnąć się dwa kroki, spuścić głowę, z powrotem unieść podbródek w górę, spoglądać nieruchomo w dal. I już w policyjnej asyście jedzie się do pałacu w Wilanowie, do wytwornej siedziby, gdzie czeka butelczyna i koniakówki. Ale nie, on pozwala sobie na ekstra zagranie: klęka nie na pierwszym stopniu, co byłoby niezbyt ryzykowne, lecz wprost na mokrym granicie, nie podpierając się jedną, drugą ręką, umiejętnie zginając nogi w kolanach, ma przy tym dłonie splecione na wysokości moszny, robi wielkopiątkową minę, jak gdyby był bardziej papieski niż sam papież, oczekuje pstrykanie sfory fotografów, wytrzymuje cierpliwie dobrą minutę i wstaje nie korzystając z bezpiecznego sposobu – najpierw jedna, potem druga noga – lecz podrywając się szybkim ruchem, jakby to całymi dniami ćwiczył przed lustrem, stoi teraz i patrzy, jak gdyby ukazał mu się we własnej osobie Duch Święty, ponad głowami nas wszystkich, jakby musiał dowieść nie tylko Polakom, nie, całemu światu, jak fotogeniczny może być akt przeprosin. No cóż, było to umiejętnie

rozegrane. Nawet pieska pogoda dołożyła swoje. Ale czegoś takiego na cyniczną nutę moja gazeta nigdy ode mnie nie weźmie, nawet jeśli nasze szefostwo rade byłoby, lepiej dzisiaj niż jutro, pozbyć się tego kanclerza od klęczek, przez obalenie, odwołanie czy jeszcze w inny sposób, byle tylko się pozbyć!

Więc jeszcze raz nabieram rozpędu i uruchamiam grzmiące organy: Tam, gdzie kiedyś było warszawskie getto, w maju 1943 w równie bezsensowny jak okrutny sposób zniszczone i brutalnie obrócone w perzynę, w miejscu pamięci, gdzie codziennie, a zatem i w ten dżdżysty i zimny grudniowy dzień, w dwóch świecznikach z brązu parskają rozszarpywane przez wiatr płomienie, klęczał samotnie niemiecki kanclerz federalny i dawał wyraz skrusze, skrusze za wszystkie zbrodnie popełnione w imieniu Niemiec, biorąc na siebie ogromną winę; on, który sam nie był winien, padł jednak na kolana...

No i co? To wydrukuj każdy. Oto ktoś, kto dźwiga ciężar, ktoś, kto cierpi za wielu! Może jeszcze na dodatek trochę lokalnego kolorytu? Parę drobnych uszczypliwości. To nie może zaszkodzić. Na przykład coś na temat zdziwienia Polaków, że dostoyny gość ukląkł nie przed Pomnikiem Nieznanego Żołnierza, który jest tutaj narodową świętością, lecz akurat u Żydów. Wystarczy popytać, trochę podrażnić, a już prawdziwy Polak okazuje się antysemitą. Przecież nie tak dawno, dobre dwa lata temu, polscy studenci sądzili, że wolno im rozrabiać, jak rozrabiali studenci u nas albo w Paryżu. Ale potem milicja, z tutejszym ministrem spraw wewnętrznych Moczarem na czele, kazała przetrzepać skórę, jak mówiono, „syjonistycznym prowokatorom”. Parę tysięcy działaczy partyjnych, profesorów, pisarzy i innych osobistości życia umysłowego, przeważnie Żydów, znalazło się na bruku, spakowało walizki, wyjechało za granicę, do Szwecji albo do Izraela. O tym nikt już tutaj nie mówi. Natomiast obarczanie nas wszelką winą należy do dobrego tonu. Clędzi się o „katolickiej postawie, która chwyta za serce każdego szczerego Polaka”, kiedy ten zdrajca ojczyzny, który w norweskim mundurze walczył przeciwko nam, Niemcom, przyjeżdża tu z wielką świtą – menedżer od Kruppa Beitz, paru lewicowych pisarzy i inne osobistości – podaje Polaczkom na tacy nasze Pomorze, Śląsk, Prusy Wschodnie, a potem jeszcze, jakby na bis w cyrku, rzuca się na kolana.

To nie ma sensu. Nie pójdzie do druku. Moja gazeta będzie wołała milczeć na ten temat. Informacja agencyjna i cześć. Poza tym co to mnie obchodzi? Pochodzę z Krefeld, jestem pogodnym nadreńczykiem. Co mnie denerwuje? Wrocław, Szczecin, Gdańsk? Powinny mi być obojętne. Napiszę po prostu coś nastrojowego: o polskim całowaniu w rękę, jakie ładne jest Stare Miasto, że pałac wilanowski i jeszcze parę innych okazałych gmachów zostało odbudowanych, chociaż sytuacja gospodarcza, gdziekolwiek spojrzeć, jest kiepska... Puste wystawy... Kolejki przed każdym sklepem rzeźnickim... Wobec czego cała Polska ma nadzieję na miliardowy kredyt, który ten kanclerz od klęczek na pewno obiecał swoim komunistycznym

przyjaciołom. Ten emigrant! Jak on mnie wkurza. Nie dlatego, że był nieślubnym dzieckiem... Coś takiego może się zdarzyć... Ale poza tym... Całe jego krygowanie się... I jak tam klęczał w mżawce... Obrzydliwe... Jak ja go nienawidzę.

No, ale się zdziwi, jak wróci do domu. Rozerwą na strzępy jego i te jego układy wschodnie. Nie tylko w mojej gazecie. – Ale to padnięcie na kolana było zrobione umiejętnie.

1971

Doprawdy, powieść można by o niej napisać. Była moją najlepszą przyjaciółką. Wymyślałyśmy sobie najbardziej zwariowane rzeczy, również niebezpieczne, tylko nie wymyśliłyśmy tego nieszczęścia. Zaczęło się to, kiedy wszędzie powstawały dyskoteki i ja, choć wolałam właściwie chodzić na koncerty i korzystałam skwapliwie z abonamentu teatralnego mojej matki, która już wtedy niedomagała, namówiłam Uschi, żeby raz spróbowała ze mną czegoś innego. Wpadniemy tylko na króciutko, powiedziałyśmy sobie, z miejsca jednak utknęłyśmy w pierwszym lepszym disco.

Wyglądała doprawdy ślicznie z rudymi kędziorami i piegami na nosku. A jaki miała, kurczę, szwabski zaśpiew. Trochę zadziorna, ale zawsze przy tym dowcipna. Można pozazdrościć łatwości, z jaką owijała sobie chłopaków wokół małego palca, nie wdając się przy tym w nic poważniejszego, myślałam i przy Uschi wydawałam się sobie ociężałą niezdarą, która przywiązuje wagę do każdego słowa.

A przecież ile ja się nahasałam: „Hold That Train...” Naturalnie Bob Dylan. Ale również Santana, Deep Purple. Szczególnie przypadł nam do serca Pink Floyd. Jak nas to porywało. „Atom Heart Mother...” Ale Uschi wyżej stawiała grupę Steppenwolf – „Born To Be Wild...” Przy tym potrafiła się całkiem wyluzować. Mnie ani rusz nie udawało się osiągnąć tego stanu.

Nie, doprawdy obywało się bez wyskoków. Skręt puszczony w koło, jeszcze jeden, nic więcej. A szczerze mówiąc to kto wtedy nie brał? O prawdziwym niebezpieczeństwie nie mogło być mowy. U mnie i tak próg hamowania był zbyt wysoki, rychło czekał mnie końcowy egzamin na stewardessę, a już wkrótce po nim zaczęłam pracować na liniach krajowych, tak że brakowało czasu na disco i trochę straciłam Uschi z oczu, co było wprawdzie godne pożałowania, ale nieuniknione, zwłaszcza że od sierpnia siedemdziesiątego częściej latałam z BEA do Londynu i coraz rzadziej bywałam w Stuttgarcie, gdzie potem, jako że matka doprawdy coraz bardziej podupadała na zdrowiu, czekały mnie całkiem inne problemy, zwłaszcza że ojciec... Ale nie mówmy o tym.

W każdym razie pod moją nieobecność Uschi musiała przejść na coś twardszego,

prawdopodobnie na nepalski hasz. A potem nagle okazało się, że daje sobie w żyłę, że szprycuje się heroiną. Zbyt późno, dopiero przez jej rodziców, doprawdy miłych, niepozornych ludzi, dowiedziałam się o wszystkim. Jej położenie jednak pogorszyło się znacznie, kiedy zaszła w ciążę i nie wiedziała nawet z kim. Można już powiedzieć: to było dla niej nieszczęście, bo dziewczyna jeszcze się uczyła, w szkole dla tłumaczy, ale właściwie chciałyby, jak ja, być stewardessą. „Polatać sobie hen daleko, zobaczyć świat!” Mój Boże, co za wyobrażenia miała ta mała o mojej ciężkiej pracy, w szczególności podczas lotów długodystansowych. Ale Uschi była moją najlepszą przyjaciółką. I dlatego dodawałam jej otuchy: – Może sobie poradzisz, kurczę, jesteś jeszcze młoda...

A tu taka wpadka. Chociaż Uschi była za tym, żeby urodzić, to jednak potem ze względu na szprycowanie się heroiną chciała przerwać ciążę i latała od doktora do doktora, naturalnie na próżno. Kiedy usiłowałam jej pomóc, wysłać ją do Londynu, bo tam było to do zrobienia do trzeciego miesiąca za tysiąc, później z dopłatą, a ja przez koleżankę znałam adresy, na przykład Nursing Home przy Cross Road, poza tym proponowałam jej przelot tam i z powrotem oczywiście oraz pokrycie kosztów zabiegu i noclegu, to ona raz chciała, raz nie chciała i coraz trudniej, na pewno nie z mojej winy, było mi się z nią dogadać.

Gdzieś w Schwäbische Alb, u jednego z tych partaczy – podobno było to małżeństwo, on ze szklanym okiem – zrobiła w końcu skrobankę. Doprawdy, musiało to być koszmarne, z roztworem z mydła do prania i olbrzymią szprycą wprost w szyjkę macicy. Nie trwało długo. Zaraz po poronieniu wszystko powędrowało do miski klozetowej. Zostało po prostu spuszczone. Podobno to był chłopiec.

Wszystko to bardziej dało się Uschi we znaki niż szprycowanie się heroiną. Nie, trzeba chyba przyjąć, że jedno i drugie, dawanie sobie w żyłę, od czego się nie uwolniła, i okropna wizyta u fabrykantów aniołków, wykończyło dziewczynę. A mimo to próbowała dzielnie walczyć z nałogiem. Ale doprawdy zerwać z nim to nie zerwała, aż

wreszcie udało mi się przez opiekę społeczną zdobyć pewien adres na wsi, w pobliżu Jeziora Bodeńskiego. Wioska terapeutyczna, nie, w rzeczywistości było to duże gospodarstwo, w którym grupa doprawdy miłych antropozofów tworzyła coś w rodzaju ośrodka leczniczego, gdzie starano się metodami Rudolfa Steinera, a więc przez zdrowotną eurytmie, malowanie, biologicznie dynamiczną uprawę warzyw i odpowiednią hodowlę zwierząt, uwolnić pierwszą grupę uzależnionych od strzykawki z kompotem.

Tam umieściłam Uschi. Spodobało się jej. Znów śmiała się trochę i zaczęła odżywać na dobre, chociaż w tym chłopskim gospodarstwie było na swój sposób ciężko.

Bydło stale uciekało. Po drodze tratowało wszystko. A toaleta! Brakowało najpotrzebniejszych rzeczy, bo landtag w Stuttgarcie odmówił jakiegokolwiek subwencji. A i poza tym było sporo niewypałów, zwłaszcza podczas rozmów grupowych. Ale to Uschi nie przeszkadzało. Śmiała się tylko z tego. Nawet kiedy spalił się główny budynek ośrodka, ponieważ, jak się później okazało, myszy mościły sobie kryjówkę i pościągały słomę do osłoniętej rury pieca, wskutek czego ogień zaczął się tlić, a w końcu buchnął na całego, ona tam została, pomagała urządzać prowizoryczne kwatery w stodole i wszystko przebiegało doprawdy dobrze, aż, no tak, aż jeden z tych ilustrowanych magazynów wystąpił z tytułową historią na dwadzieścia cztery fajerki: „Myśmy przerywały!”

Niestety to ja w dniu odwiedzin przywiozłam jej ten bogato ilustrowany reportaż z fantastyczną okładką, bo uważałam, że to może dziewczynie pomóc, kiedy kilkaset kobiet, wśród nich wiele o znanych nazwiskach, prezentuje się na paszportowych zdjęciach: Sabine Sinjen, Romy Schneider, Senta Berger i tak dalej, same filmowe sławy, które były u nas na świączniku. Naturalnie prokuratura powinna by była wszcząć śledztwo, ponieważ chodziło o rzecz karalną. Pewnie też wszczęła. Ale kobietom, które się przyznały, nic się nie stało. Były zbyt sławne. Tak to jest na tym świecie. Ale moją Uschi takie nagromadzenie odwagi wprawiło, jak powiedziała, „w prawdziwą euforię”, tak że chciała wziąć udział w akcji i załączając zdjęcie paszportowe oraz życiorys napisała do kierownictwa redakcji. Raz-dwa nadeszła odmowa. Jej szczegółowy opis – heroina plus fabrykanci aniołków-jest zbyt drastyczny. Opublikowanie tak jaskrawego przypadku zaszkodziłoby dobrej sprawie. Może kiedyś później. Walka z paragrafem 218 długo jeszcze się nie skończy.

To nie do pojęcia. Ta impertynencka rutyna. Dla Uschi było tego za wiele. W kilka dni po odmowie zniknęła. Szukaliśmy wszędzie. Jej rodzice i ja. Ilekroć pozwalała na to moja praca, ruszałam w drogę obskakując wszystkie disco. Ani śladu dziewczyny. A kiedy ją w końcu znaleziono na stuttgarckim Dworcu Głównym, leżała w damskiej toalecie. Zwykle przedawkowanie, złoty strzał, jak to nazywają.

Naturalnie robię sobie wyrzuty, wciąż jeszcze. W końcu była moja najlepszą przyjaciółką. Powinnam była twardo wziąć Uschi za rękę, polecić z nią do Londynu, zawieźć ją na Cross Road, zapłacić z góry, potem ją odebrać, wesprzeć, podtrzymać na duchu, kurczę, Uschi? A nasza córeczka miała właściwie nazywać się Ursula, ale mój mąż, który jest doprawdy wyrozumiały i rozczulająco zajmuje się naszym dzieckiem, bo ja w dalszym ciągu latam w BEA, uważał, że lepiej będzie, jeśli napiszę o Uschi...

1972

Ja jestem teraz nim. On mieszka w Hanowerze-Langenhagen, jest nauczycielem

szkoły podstawowej. Jemu – już nie mnie – nigdy nie było łatwo. W gimnazjum skończyło się na siódmej klasie. Potem przerwane terminowanie w zawodzie kupieckim. Był sprzedawcą papierosów, w wojsku dosłużył się gefrajtra, próbował jeszcze raz w prywatnej szkole handlowej, nie został jednak dopuszczony do końcowego egzaminu, bo nie miał małej matury. Pojechał do Anglii, żeby podciągnąć się w języku. Mył tam samochody. Chciał w Barcelonie uczyć się hiszpańskiego. Ale dopiero w Wiedniu, gdzie przyjaciel starał się dodać mu otuchy z pomocą czegoś takiego jak psychologia sukcesu, nabrał odwagi, podjął kolejną próbę, poszedł w Hanowerze na akademię administracyjną i poradził sobie, mimo braku matury dostał się na studia, złożył egzamin nauczycielski i jest obecnie członkiem związku zawodowego Wychowanie i Nauka, a nawet przewodniczącym komisji do spraw młodych nauczycieli, pragmatycznym lewicowcem, który chce zmieniać społeczeństwo krok po kroku, o czym marzy w swoim kupionym gdzieś okazyjnie uchatym fotelu. Raptem odzywa się u niego dzwonek – Walsroder Strasse, drugie piętro po prawej.

Ja, to znaczy on, otwieram. Przed drzwiami stoi dziewczyna z długimi brązowymi włosami, chce mówić ze mną, z nim.

–Mogłyby u was na krótko przenocować dwie osoby? – Mówi: „u was”, ponieważ od kogoś wie, że on czy ja mieszkamy z przyjaciółką. On i ja zgadzamy się.

Później, powiada on, naszły mnie wątpliwości, a moją przyjaciółkę przy śniadaniu także. – To są jednak tylko przypuszczenia... – powiedziała. Ale najpierw poszliśmy do szkoły, bo ona uczy tak jak ja, tyle że w szkole zintegrowanej. Mnie czekała wycieczka z całą klasą do Ptasiego Parku. To jest w pobliżu Walsrode. Potem wciąż jeszcze mieliśmy wątpliwości: – Możliwe, że tymczasem oni już się wprowadzili, bo dałem długowłosej klucz od mieszkania... Dlatego on rozmawia z przyjacielem, jak i ja na pewno bym porozmawiał z dobrym przyjacielem. Przyjaciel mówi to, co przyjaciółka powiedziała już przy śniadaniu: – Zadzwoń na 110...

–On (z moją aprobatą) wykręca numer i łączy się z Oddziałem Specjalnym BM. Ci z Oddziału Specjalnego wysłuchują go, mówią:

–Sprawdzimy pańską informację... – i robią to po cywilnemu. Już wkrótce w towarzystwie dozorca domu lustrują klatkę schodową. W pewnym momencie naprzeciwko nich idzie po schodach w górę kobieta z młodym mężczyzną. Dozorca zapytuje, kogo szukają. Oni idą do nauczyciela. – A tak – mówi dozorca – on mieszka na drugim piętrze, ale chyba nie ma go w domu. – Później młody mężczyzna wraca, na ulicy wchodzi do budki telefonicznej, wrzucając monety zostaje aresztowany, ma przy sobie pistolet.

Nauczyciel politycznie sytuuje się z pewnością na lewo ode mnie. Czasami, siedząc

w kupionym okazji uchatym fotelu, marzy postępowo o przyszłości. Wierzy w „proces emancypacji warstw upośledzonych”. Z hanowerskim profesorem, który w kręgach lewicowych jest prawie tak samo znany jak Habermas i który w odniesieniu do BM miał powiedzieć: – Znaki, jakie oni chcą stawiać swoimi bombami, to w rzeczywistości błędne ogniki... – on w dużej mierze się zgadza: – Ci ludzie dali prawnikom do ręki argumenty do skalowania całej lewicy.

Odpowiada to mojej opinii. Dlatego on i ja, on jako nauczyciel i związkowiec, ja jako człowiek wolnego zawodu, nakręciliśmy 110. Dlatego funkcjonariusze krajowej policji kryminalnej są teraz w mieszkaniu, które jest mieszkaniem nauczyciela i w którym stoi kupiony okazji uchaty fotel. Kobieta, która na dzwonek policjantów otwiera drzwi wejściowe, ze swymi rozczochranymi krótkimi włosami ma chorowity wygląd, jest wychudzona i całkiem niepodobna do zdjęcia z listu gończego. Może poszukiwana to nie ona. Już kilkakrotnie mówiło się o jej śmierci. Podobno zmarła na guza mózgu, pisały gazety.

–Wy świnie! – woła ona w momencie aresztowania. Ale dopiero kiedy funkcjonariusze znajdują w mieszkaniu nauczyciela rozłożony egzemplarz pisma ilustrowanego z reprodukcją zdjęcia rentgenowskiego czaszki osoby poszukiwanej, Oddział Specjalny zyskuje pewność, kogo to ma w garści. Potem funkcjonariusze znajdują w mieszkaniu nauczyciela jeszcze coś więcej: amunicję, broń palną, granaty ręczne i walizkę kosmetyczną marki Royal, w której leży czteroipółkilogramowa bomba.

–Nie – mówi później nauczyciel w wywiadzie – musiałem tak postąpić. – A i ja jestem zdania, że w przeciwnym razie wciągnąłby w sprawę i siebie, i swoją przyjaciółkę. On mówi: – Mimo to ogarnia mnie niedobre uczucie. Ostatecznie dawniej, zanim wzięła się do podkładania bomb, byłem nieraz tego samego zdania co ona. Na przykład kiedy po zamachu na frankfurcki dom towarowy Schneidera napisała w „Konkrecie”: „Przeciwko podpaleniom w ogólności przemawia to, że mogą zagrozić ludziom, którzy nie chcą być zagrożeni...” Ale potem w Berlinie, kiedy uwalniano Baadera, ona jednak brała w tym udział, a przy tej okazji ciężko ranny został szeregowy urzędnik. Potem zeszła do podziemia. Potem byli zabici po obu stronach. Potem ona przyszła do mnie. Potem ja zadzwoniłem... Ale właściwie to myślałem, że ona już nie żyje.

On, nauczyciel, w którym widzę siebie, chce teraz wysoką nagrodę, przysługującą mu z kasy państwowej za to, że zadzwonił pod 110, przeznaczyć na potrzeby zbliżającego się procesu, żeby wszyscy dotychczas ujęci, również Gudrun Ensslin, która zwróciła na siebie uwagę odwiedzając w Hamburgu elegancki butik, mieli uczciwy proces, „z ukazaniem”, jak mówi, „społecznych zależności...”

Ja bym tego nie zrobił. Szkoda takiej kupy pieniędzy. Dlaczego ci adwokaci, Schily i

kto tam jeszcze, mają z nich korzystać? Powinien raczej ofiarować te pieniądze swojej szkole i innym szkołom, z pożytkiem dla warstw upośledzonych, o które się troszczy. Ale bez względu na to, komu da pieniądze, nie otrząśnie się z przygnębienia, ponieważ do końca życia pozostanie człowiekiem, który zadzwonił pod 110. Ja czuję się podobnie.

Oddział Specjalny BM – jednostka policji do walki z terrorystyczną grupą Baader-Meinhof. (Przyp. tłum.)

1973

Jaki tam zbawienny szok! To kiepsko pani zna moich zięciów, całą czwórkę. Oni są ożenieni nie z moimi córkami, lecz cichcem ze swoimi samochodami. Stale je pucują, nawet w niedziele. Biadolą z powodu najdrobniejszego wgniecenia. Rozprawiają bez przerwy o drogich gablotach, Porsche i takie tam, zerkają na nie spod oka jak na szalowe babki, z którymi chciałoby się zakombinować na boku. A tu kolejki do każdego dystrybutora. Kryzys paliwowy! To przyszło jak grom z jasnego nieba, mówię pani. Był co prawda szok, ale nie zbawienny. No jasne, że chomikowali. Cała czwórka. I Gerhard, co to zwykle gada jak apostoł zdrowej żywności – Na miłość Boską, bez mięsa! Tylko żadnego tłuszczu zwierzęcego! – i nie uznaje innego chleba niż graham, przy przelewaniu do kanistrów, które zachomikował na zapas, tak długo wysysał szlauch, że omal nie nabawił się zatrucia benzyną. Mdłości, bóle głowy. Mleko pił litrami. A Heinz-Dieter napełnił nawet wannę do kąpieli, tak że cuchnęło w całym mieszkaniu i mała Sophie zemdląła.

Moi szanowni zięciowie! Dwaj pozostali nie lepsi. Ciągłe narzekania na ograniczenie prędkości do setki. A że w biurze u Horsta wolno mieć w pokojach temperaturę nie wyższą niż 19 stopni, uważa on, że musi trząść się jak zmarzlak na mrozie. Do tego jego wieczne urąganie: – To ci poganiacze wielbłądów, Arabowie, są winni! – Za chwilę wina spada na Izraelczyków, bo wywołali nową wojnę i w ten sposób wkurzyli biednych Saudyjczyków. – To zrozumiałe – woła Horst – że przykręcili kurek z ropą, żeby u nas z paliwem zrobiło się krótko, i to być może na dłużej... – W związku z czym Heinz-Dieter jest bliski łez: – W ogóle już się nie opłaci oszczędzać na nowe BMW, skoro wszystkim wolno już tylko wlec się setką na autostradzie i osiemdziesiątką na szosie... – To jest socjalistyczna urowniłowka. Może pasuje temu Lauritzenowi, co to się ministrem komunikacji mieni... – zagrzmiał Eberhard, to jest mój najstarszy zięć, i przemówił się z Horstem, który – choć na punkcie samochodów ma takiego samego bzika – jest za towarzysza: – No, poczekajcie, następne wybory na pewno przyjdą... – Obaj zdrowo sobie nawrzucałi.

Wtedy powiedziałam: – Posłuchajcie wszyscy, wasza autonomiczna teściowa, która zawsze była dobrym piechurem, ma pierwszorzędny pomysł. – Bo od śmierci ojca,

kiedy moje dziewczynki ledwie poszły na swoje, jestem głową rodziny, która co prawda zawsze wytknie, co trzeba, ale też trzyma całe towarzystwo w kupie i w razie czego mówi, jak naprawdę sprawy stoją, kiedy przychodzi do nas prawdziwy kryzys energetyczny, przed którym tak alarmująco ostrzegali ludzie z Klubu Rzymskiego, i wszyscy uważają, że mają prawo dostawać fiksum-dyr dum. – Więc posłuchajcie wszyscy – powiedziałam przez telefon – wiecie, że od dawien dawna spodziewałam się końca wzrostu. No i masz, babo, placek. Ale to jeszcze nie powód, żeby spuszczać nos na kwintę, nawet jeśli jutro jest Święto Zmarłych. Będzie obowiązywał, na przyszłość w każdą niedzielę, surowy zakaz jazdy samochodem. Wobec tego zrobimy rodzinną wycieczkę. Jasne, że pieszo. Najpierw pojedziemy tramwajem do końca i od pętli trójki pójdziemy sobie spacerkiem, przecież wokół Kassel mamy takie piękne lasy. A więc do Jastrzębiego Boru!

Ale zrobił się szum. – A jak będzie padać? – Jakby rzeczywiście lało, to dojdziemy tylko do pałacu Wilhelmshöhe, obejrzymy sobie Rembrandty i inne obrazki, po czym na piechotę wrócimy. – My już znamy te stare malunki. – A kto to w listopadzie chodzi po lesie, kiedy na drzewach nie ma już ani jednego liścia? – Jak już ma to być dzień rodzinny, to chodźmy wszyscy razem do kina... – Albo spotkajmy się u Eberharda, zapalimy kominek w bawialni i wszyscy sobie przyjemnie posiedzimy...

–Nic z tego! – odrzekłam. – Bez wykrętów. Dzieci już się cieszą. – I tak to całą gromadą, początkowo w mżawce, w kurtkach od deszczu i gumowych butach, powędrowaliśmy od pętli Druseltal do Jastrzębiego Boru, który nawet ogołocony z liści zachowuje swoje piękno. Przez dwie godziny szliśmy to pod górę, to z góry. Z daleka widzieliśmy nawet sarny, jak spoglądały, a potem pierzchły nagle. A ja objaśniałam dzieciom drzewa: – To jest buk. A to tutaj to dąb. A drzewa iglaste tam wysoko mają już nadzarte wierzchołki. To sprawa przemysłu i wielu, o wiele zbyt wielu aut. To przez spaliny, rozumiecie?

A potem pokazywałam dzieciom żołądzie i buczynę i opowiadałam, jak w czasie wojny zbieraliśmy żołądzie i buczynę. I widzieliśmy wiewiórki biegające po pniach drzew to w górę, to w dół. Jak było pięknie! Potem jednak deszcz się wzmógł i biegiem schroniliśmy się w gospodzie, gdzie ja, zła teściowa i dobra babcia, zaprosiłam cały klan na kawę i ciastka. Dla dzieci była lemoniada. I jasne, była też wódeczka. – Dzisiaj to nawet kierowcy mogą się napić! – nabijałam się z moich szanownych zięciów. A dzieciom musiałam opowiadać, czego to jeszcze w czasie wojny brakowało, nie tylko benzyny, i że z buczyny, jak się jej dużo nazbierało, można wycisnąć prawdziwy olej jadalny.

Ale niech pani mnie nie pyta, co się działo potem. Nie zna pani moich zięciów. Jacy tam wdzięczni. Pyskowali na nedorzeczną bieraninę przy pieskiej pogodzie. Poza tym ja „sentymentalnie gloryfikując gospodarkę niedoborów” dałam dzieciom

rzekomo zły przykład. – Nie żyjemy w epoce kamiennej! – wrzeszczał Heinz-Dieter. A Eberhard, który przy każdej niestosownej okazji powołuje się na swój liberalizm, pożarł się z Gudrun, moją najstarszą, tak że w końcu z pościelą wyniósł się z sypialni. I niech pani zgadnie, gdzie biedak spał. Racja, w garażu. I to w swoim starym oplu, którego co niedziela pucuje i pucuje.

1974

Jak to jest, kiedy człowiek przed telewizorem czuje swoją dwoistość? Ktoś nawykły do dwutorowego poruszania się nie powinien właściwie być zdeprimowany, skoro tylko przy jakiejś specjalnej okazji przekona się, że jego ja jest przepołowione. Nie tylko w okresie ciężkiego szkolenia, lecz również przez praktykę uczył się zarządzać tą podwójną jaźnią. I później, jak już odsiedział cztery lata w zakładzie karnym Rheinbach i dopiero wtedy, po długotrwałych staraniach, postanowieniem małej izby karnej dostał zgodę na korzystanie z własnego aparatu telewizyjnego, dawno zdawał sobie sprawę ze swego życia w rozdzieleniu, ale w siedemdziesiątym czwartym, kiedy jeszcze przebywał w kolońskim więzieniu Ossendorf jako więzień śledczy i na czas piłkarskich mistrzostw świata bez problemu uzyskał pozwolenie na telewizor w celi, wydarzenia na ekranie były jednak pod niejednym względem powodem mojego rozdarcia.

Nie wówczas, kiedy Polacy w deszczu przypominającym potop rozegrali fantastyczny mecz, nie wówczas, kiedy uzyskało się zwycięstwo nad Australią i bądź co bądź remis z Chile, stało się to, kiedy Niemcy grały z Niemcami. Za kogo trzymało się kciuki? Za kim byłem ja albo ja? Z którą ze stron wypadało się radować? Co, jaki konflikt wewnętrzny wybuchnął we mnie, jakie pola sił mnie rozszarpały, kiedy Sparwasser strzelił bramkę?

Dla nas? Przeciwno nam? Jako że każdego przedpołudnia wożono mnie na przesłuchanie do Bad Godesberg, federalny urząd kryminalny mógłby być wiedzieć, że te i podobne próby rozchwiania nie są mi obce. Ale właściwie nie były to próby rozchwiania, lecz zachowanie powiązane z niemiecką dwupaństwowością, którego kontynuacja stanowiła podwójny obowiązek. Dopóki dane mi było w dwojaki sposób wykazywać się w roli najbardziej godnego zaufania referenta kanclerza, a na dodatek rozmówcy w sytuacjach sam na sam, wytrzymywałem to napięcie i nie odczuwałem go jako konfliktu, zwłaszcza że nie tylko kanclerz był zadowolony z moich osiągnięć, lecz również berlińska centrala przez łączników okazywała mi zadowolenie, a moja praca zyskała pochwałę na najwyższym szczeblu, z ust towarzysza Miszy. Miało się pewność, że między nim, który uważał się za „kanclerza pokoju”, a mną, który wypełniałem misję „wywiadowcy pokoju”, istniała produktywna harmonia. Były to dobre czasy, w których w kwestii pokoju fakty z życia kanclerza współgrały z

terminami jego referenta. W każdej chwili człowiek był pełen zapału i gotów do usług.

I oto byłem w rozterce, kiedy 22 czerwca na hamburskim Volksparkstadion w obecności przeszło sześćdziesięciu tysięcy widzów rozpoczął się mecz NRD – RFN. Co prawda pierwsza połowa zakończyła się bezbramkowo, ale gdy mały, zwrotny Müller w 40 minucie o mały włos nie zdobył prowadzenia dla Republiki Federalnej trafiając tylko w słupek, niewiele brakowało, bym wpadł w ekstazę wrzeszcząc: gol, gol, goool! i wiwatując na cześć przewagi uzyskanej przez zachodnie z dwóch osobnych państw, podobnie jak z drugiej strony bliski byłem wybuchu radości, kiedy Lauck gładko ograł Overatha, a w późniejszej fazie meczu wyprzedził nawet Netzera, ale jego strzał minimalnie minął bramkę federalnych Niemców.

Na jaką zmienność nastrojów był człowiek wystawiony. Nawet decyzje sędziego z Urugwaju opatrywało się stronnickým komentarzem, który sprzyjał raz jednemu, raz drugim Niemcom. Obserwowałem u siebie niezdiscyplinowanie, niejako rozszczepienie. Tymczasem przed południem, kiedy przesłuchiwał mnie komisarz Federau, udawało mi się bez pudła trzymać ustalonego z góry tekstu. Chodziło o moją działalność w nastawionym szczególnie lewicowo okręgu SPD Hesja-Południe, gdzie miałem opinię dobrego, ale jednak konserwatywnego towarzysza. Chętnie przyznałem się do przynależności do prawego, zajmującego bardziej pragmatyczne stanowisko skrzydła socjaldemokratów. Potem okazano mi mój skonfiskowany sprzęt fotolaboratoryjny. W takim wypadku człowiek bagatelizuje sprawę, powołuje się na wcześniejszą pracę w charakterze zawodowego fotografa, wskazuje na zdjęcia urlopowe, na hobby zachowane w szczątkowej postaci. Ale mieli tam również moją wysokowydajną kamerę wąskotaśmową Super 8 i dwie kasety z ekstra twardym i bardzo czułym materiałem filmowym, nadającym się „specjalnie”, jak zostało powiedziane, „do działalności wywiadowczej”. No cóż, nie był to dowód, co najwyżej poszlaka. Ponieważ jednak udało mi się trzymać tekstu, wróciłem do celi uspokojony i cieszyłem się na mecz.

I tu, i tam: nikt by się we mnie nie domyślił kibica piłkarskiego. Do tej pory nawet nie wiedziałem, że Jürgen Sparwasser grał u nas z powodzeniem w barwach Magdeburga. A teraz oglądałem go, widziałem, jak w 78 minucie, po podaniu Hamanna, wypuścił sobie piłkę głową, przemknął obok Vogtsa, tego twardziela, wyprzedził również Hóttgesa i posłał futbolówkę do bramki, dla Maiera nie do obrony.

1:0 dla Niemiec. Dla których? Dla moich czy dla moich? Tak, chyba wrzeszczałem w swojej celi: gol, gol, goool, ale jednocześnie bolało mnie to, że drugie Niemcy przegrywają. Kiedy Beckenbauer próbował raz za razem konstruować nowe akcje ofensywne, dopingowałem jedenastkę federalną. A do mojego kanclerza, którego naturalnie nie obalił nikt z takich jak my – zrobili to pewnie Nollau i przede wszystkim

Wehner oraz Genscher – napisałem pocztówkę z wyrazami ubolewania z powodu wyniku meczu, jak później pisywałem na święta i na 18 grudnia, jego urodziny. Ale on nie odpowiadał. Tymczasem wolno mieć pewność, że również on przyjął bramkę Sparwassera z mieszanymi uczuciami.

Günther Cuillaume, energiczny szpieg w bliskim otoczeniu kanclerza Willy Brandta, zdemaskowany w roku 1974. (Przyp. tłum.)

1975

Rok taki jak inne? A może już czas ołowiany i my ogłuchli od własnego krzyku? Ja mogę sobie przypomnieć tylko sieczkę zdarzeń, a w najlepszym razie bezpłodny niepokój, ponieważ pod moim dachem, czy to we Friedenau, czy w Wewelsfleth nad Stör, wciąż się nie układało, ponieważ Anna, ponieważ ja, ponieważ Weronika, wobec czego dzieci urażone albo chodu z domu, a ja uciekałem – gdzież by indziej? – w manuskrypcie, zanurzałem się w napęczniałym cielsku „Turбота”, zbiegałem po schodach stuleci i bawiłem u dziewięciu i więcej kucharek, które udzielały mi nauk – raz surowo, innym razem wyrozumiale – z warząchwią w garści, podczas gdy z dala od tropów mojej ucieczki wyładowywała się terażniejszość i wszędzie, czy to w celach więzienia w Stammheim, czy wokół budowanej elektrowni atomowej w Brokdorf, przemoc udoskonalała swoje metody, ale poza tym, odkąd oszczędził Brandt i Schmidt jako kanclerz uprzedmiotowił nas wszystkich, niewiele się działo: tylko na telewizyjnym ekranie panował ścisk.

Obstaję przy swoim: nie był to szczególny rok, a jeśli już, to szczególne było w nim tylko to, że my, obywatele Zachodu, w liczbie czterech, pięciu osób, poddawaliśmy się kontroli na granicy, potem w Berlinie Wschodnim spotykaliśmy pięciu, sześciu obywateli Wschodu, którzy przyjeżdżali również z manuskrypcem na sercu, Rainer Kirsch i Heinz Czechowski nawet z Halle. Początkowo zasiadaliśmy u Schädlicha, potem u Sary Kirsch albo Sybilli Hentschke, u tego czy u tamtej, aby po kawie i ciastkach (i zwyczajowych na linii Wschód – Zachód uszczypliwościach) czytać sobie rymowane i nierymowane wiersze, przydługie rozdziały i krótkie opowiadania, to, co w owym czasie po obu stronach muru znajdowało się na warsztacie i miało szczegółowo objaśniać świat.

Czy zatem ten rytuał, mniej lub bardziej przewlekła kontrola graniczna, jazda na miejsce spotkania (Rotkäppchenweg albo Lenbachstrasse), czasem dowcipne, czasem zatroskane utarczki i odśpiewywanie ogólnoniemieckich lamentów, do tego odczytana rzeka atramentu opętanych pisaniem autorów, następnie po części gwałtowna, po części opieszła krytyka przeczytanego, ta zredukowana do zażyłości kopia Grupy 47, wreszcie, na krótko przed północą, pośpieszny wyjazd – kontrola graniczna na Dworcu Friedrichstrasse – był jedynym trwalszym zdarzeniem, jakie ten rok miał w kalendarzu?

Daleko stąd i tuż obok padł w telewizji Sajgon. Z dachu swej ambasady ostatni Amerykanie w panice opuszczali Wietnam. Ale taki koniec był do przewidzenia i przy cieście z kruszonką oraz pszczelich żądełkach nie stanowił dla nas tematu. Albo terror RAF-u, który objawił się nie tylko w Sztokholmie (przetrzymywanie zakładników), lecz również należał do codzienności wśród więźniów w Stammheim,

aż w rok później Ulrike Meinhof powiesiła się w swojej celi albo została powieszona. Ale nawet ta żywotna kwestia chyba niespecjalnie poruszała nas, zebranych skrybów. Nowe były co najwyżej, po letniej suszy, owe pożary lasów w Lüneburskiej Pustaci, ogarniające rozległe obszary, podczas których zginęło pięciu strażaków, okrążonych przez płomienie.

To również nie był temat na linii Wschód – Zachód. A może, zanim Nicolas Born przeczytał kawałek swojej „Niewidocznej strony”, Sara w berlińskim dialekcie zaprezentowała swe marchijskie wiersze, Schädlich skołował nas jedną z owych opowieści, które ukazały się później na Zachodzie pod tytułem „Bliskość na próbę wystawiona”, a ja wypróbowałem fragment „Turбота”, może jako nowością częstowaliśmy się owym zdarzeniem, o którym po zachodniej stronie miasta w maju rozpisywały się gazety: przy kreuzberskim Cröbenufer, nie opodal przejścia granicznego Oberbaumbrücke, pięcioletni chłopiec turecki (Cetin) wpadł do Kanału Sprewy, który stanowił granicę między obu częściami miasta, po czym nikt – ani policja zachodnioberlińska, ani marynarze Armii Ludowej w łodzi strażniczej – nie chciał czy nie mógł chłopcu pomóc. A ponieważ na Zachodzie nikt nie miał odwagi wejść do wody, na Wschodzie zaś trzeba było czekać na decyzję wyższego stopniem oficera, czas mijał, aż dla Cetina było za późno. Kiedy straży pożarnej wolno było wreszcie wydobyć zwłoki, na zachodnim brzegu Kanału kobiety tureckie podniosły lament, który trwał długo i musiał być słyszalny aż hen na Wschodzie.

Co jeszcze byłoby do opowiedzenia przy kawie i ciastkach w owym roku, który przeszedł tak jak inne? We wrześniu, kiedy znów spotkaliśmy się z manuskryptami pod pachą, śmierć cesarza Etiopii – było to morderstwo, był to rak prostaty? – dałaby mi okazję do podzielenia się wspomnieniem z dzieciństwa. W „Dźwiękowej kronice tygodniowej Focha” kinoman we mnie widział negusa Hajle Sellasje, jak w motorowym barkasie przy typowej mżawce zwiedzał port (hamburski?). Niewielkiego wzrostu, brodaty, w za dużym tropikalnym hełmie stał pod parasolem, który rozpiął nad nim sługa. Musiało to być w trzydziestym piątym, na krótko przed wkroczeniem żołnierzy Mussoliniego do Abisynii, jak wówczas nazywała się Etiopia. Jako dziecko rad byłbym mieć negusa za przyjaciela i towarzyszyć mu, kiedy musiał uciekać z kraju do kraju przed włoską przemocą.

Nie, nie jestem pewien, czy podczas naszych spotkań na linii Wschód – Zachód była mowa o negusie czy zgoła o Mengistu, najnowszym, komunistycznym władcy. Pewne było tylko, że przed północą musieliśmy okazać nasze dokumenty i zezwolenie na wjazd w hali kontroli granicznej, nazywanej „Pałacem Łez”. I również pewne pozostawało, że w Berlinie Zachodnim i w Wewelsfleth, gdziekolwiek ze swoim fragmentarycznym „Turbotem” szukałem dachu nad głową, coś się nie układało.

Sądziłyśmy, że bez względu na to, gdzie się w Berlinie Wschodnim spotykaliśmy, byliśmy podsłuchiwani. Podejrzewaliśmy, że wszędzie, pod tynkiem, w lampie sufitowej, nawet w doniczkach z kwiatami, zostały starannie umieszczone pluskwy i dlatego rozprawialiśmy ironicznie o przezornym państwie i jego nienasyconej potrzebie bezpieczeństwa. Wyraźnie i powoli, żeby to można było zapisać, wyjawialiśmy tajemnice, które odsłaniały z gruntu wywrotowy charakter liryki i rozmyślnemu posługiwaniu się koniunktywem imputowaliśmy spiskowe zamiary. Firmie, jak poufale nazywano organa bezpieczeństwa w państwie robotników i chłopów, radziłyśmy, żeby wyprosiła u zachodniej konkurencji (Pullach albo Kolonia) urzędową pomoc, gdyby się miało okazać, że nasze intelektualne sofizmaty i dekadencjonalne metafory można rozszyfrować tylko przekraczając granicę, a więc w ogólnoniemieckiej współpracy. Wyniośle bawiliśmy się ze Stasi i przypuszczaliśmy – na poły poważnie, na poły żartem – że w naszym gronie jest co najmniej jeden szpicel, przy czym zapewnialiśmy się po przyjacielsku, że „w zasadzie” każdy może być podejrzany.

W dwa dziesiątki lat później Klaus Schlesinger, który w owym urzędzie firmowanym nazwiskiem Caucka przefiltrował wszystkie zgromadzone pilnie przez Stasi materiały na swój temat, przysłał mi kilka szpiclowskich raportów dotyczących naszych konspiracyjnych spotkań (w połowie lat siedemdziesiątych). Ale w nich można było tylko przeczytać, która osoba z którą spotkała się przed księgarnią przy Dworcu Friedrichstrasse, kto kogo pocałował na powitanie albo komu wręczył gościńce, choćby kolorowo opakowane butelki, czyją też trabanciną (numery rejestracyjne) i dokąd odnośne osoby pojechały, w którym domu (ulica, numer) i o jakiej porze zniknęły wszystkie obserwowane osoby i kiedy – po przeszło sześciu godzinach obserwacji obiektu – wszystkie opuściły nazywany obiektem dom i rozeszły się w różne strony, osoby z Zachodu na przejście graniczne, niektóre roześmiane i głośne, widać po znacznym spożyciu alkoholu.

Zatem żadnych pluskiew. Żadnego szpicla w naszym gronie. Nie było ani słowa o tym, cośmy sobie czytali. Nic – jakie to rozczarowanie! – o materiale wybuchowym zawartym w rymowanej i nierymowanej liryce. I żadnej wzmianki o wywrotowych rozmówkach przy kawie i ciastkach. Toteż nie zostały przekazane, gdzie należało, opinie osób z Zachodu o sensacjach w filmie „Szczęki”, który był ostatnio grany w jednym z kin przy Ku’dammie. Oceny ciągnących się w Atenach procesów pułkowników z junty przebrzmiały nie usłyszane. A kiedy naszym przyjaciółom opowiadaliśmy, ja ze znajomością topografii, o bitwie o elektrownię atomową Brokdorf, w której policja po raz pierwszy i od razu z sukcesem zastosowała wypróbowaną w Ameryce „maczugę chemiczną”, aby potem nisko lecącymi helikopterami ścigać po płaskich polach Wilstermarsch tysiące protestujących cywilów, władzom wschodnim również nie było pilno dowiedzieć się czegoś na temat skuteczności akcji zachodniej policji.

A może w naszym gronie nie padło żadne słowo o Brokdorfie? Czy to możliwe, że potraktowaliśmy delikatnie naszych kolegów izolowanych po tamtej stronie muru, nie podważyliśmy ich dobrego mniemania o Zachodzie, oszczędziliśmy im użycia maczugi chemicznej i nazbyt deprymującego popisu bijących policjantów, bijących, gdzie popadnie, nawet kobiety i dzieci? Raczej przypuszczam, że Born albo Buch, albo ja z ostentacyjną rzeczowością powiązaliśmy ten niesamowity gaz (chloracetophenon), którym napełnione były użyte w Brokdorfie rozpylacze, z owym gazem używanym już w pierwszej wojnie światowej pod nazwą „Biały Krzyż” i że w związku z tym Sara albo Schädlich, Schlesinger albo Rainer Kirsch wyrazili pogląd, że Policja Ludowa obecnie nie jest jeszcze tak dobrze wyposażona, to się jednak da zmienić, skoro tylko będzie się miało do dyspozycji więcej dewiz, bo w zasadzie to, co osiąga Zachód, może być warte starań i dla Wschodu.

Zbędne spekulacje. Nie ma o nich nic w dostarczonych przez Schlesingera papierach Stasi. A czego tam nie ma, to nigdy nie istniało. Natomiast każde zdarzenie utrwalone na papierze z podaniem czasu, określeniem miejsca i związłym opisem osób było

faktem i miało wagę, mówiło prawdę. Toteż z prezentu od Schlesingera – były to fotokopie – mogłem wyczytać, że podczas jednej z obserwowanych za każdym razem aż do bramy domu wizyt w Berlinie Wschodnim towarzyszyła mi osoba – płci żeńskiej, wysokiego wzrostu, z blond kędziorami – która, według uzupełniających danych kontroli granicznej, urodziła się na bałtyckiej wyspie Hiddensee, ma ze sobą robótkę na drutach, ale do chwili obecnej uchodzi za nieznaną w kręgach literackich.

Tak to Ute trafiła do akt. Odtąd jest faktem. Żaden sen nie może mi jej zabrać. Bo od tego czasu nie musiałem błąkać się stąd tam, gdzie wciąż się nie układało. To pod jej osłoną dopisywałem na kamienistej skórze „Turbota” rozdział za rozdziałem i skoro tylko się zbieraliśmy, czytałem nadal przyjaciółom, czy to coś gotyckiego o „Skańskich śledziach”, czy to barokową alegorię „O ciężarze czasu złego”. Ale co Schädlich, Born, Sara i Rainer Kirschowie albo ja rzeczywiście czytaliśmy w zmieniających się miejscach; tego nie ma w papierach Schlesingera, to zatem jest wyzbyte faktyczności, nie ma błogosławieństwa ani Stasi, ani urzędu Caucka; w najlepszym razie wolno przypuszczać, że ja, kiedy Ute stała się faktem, czytałem dalszy ciąg baśni „Druga prawda”, a Schädlich już wtedy, a może dopiero w następnym roku przedstawił nam początek swojego „Tallhoversa”, historii nieśmiertelnego szpicla.

1977

To miało następstwa. Ale co nie miało następstw? Terror, który wymyślił sobie antyterror. I pytania, które pozostają otwarte. Toteż do dzisiaj nie wiem, jak dwa

rewolwery z amunicją, z których jakoby Baader i Raspe zastrzelili się w Stammheim, trafiły na pilnie strzeżony oddział i jak Gudrun Ensslin mogła się powiesić na kablu od głośnika.

To miało następstwa. Ale co nie miało następstw? Choćby pozbawienie obywatelstwa pieśniarza Wolfa Biermanna, któremu odtąd brakowało opasanego niedostępnym murem państwa robotników i chłopów oraz – ledwie zaczął śpiewać na zachodnich estradach – rezonansu. Do dzisiejszego dnia widzę go we Friedenau przy Niedstrasse, gdzie bawiąc przejazdem za zgodą władz przy naszym stole jadalnym najpierw mówił zabawnie o sobie, o prawdziwym komunizmie i znów o sobie, a potem w mojej pracowni z gitarą przed małą publicznością – Ute, gromada dzieci i ich przyjaciół – próbował swój program na wielki, łaskawie dozwolony występ w Kolonii, który nazajutrz ponownie obejrzelśmy „na żywo” w telewizji, bo on wyćwiczył wszystko, każdy okrzyk przeciwko samowoli panującej partii, każdy drwiący śmiech, do jakiego pobudzało go upaństwowione szpiclowanie, każdy szloch nad zdradzonym, zdradzonym przez czołowych towarzyszy komunizmem, każdy nieczysty akord i z bólu zrodzony skrzek, aż po ślad zaczynającej się chrypki, aż po dosłowne brzmienie spontanicznego przejęzyczenia, każdą minę kłowna i każdą cierpiętника, wyćwiczył, powiadam, od miesięcy, od lat, od kiedy surowy zakaz występów poza jego norą (naprzeciwko „Stałego Przedstawicielstwa”) zmusił go do zamilknięcia, wyćwiczył każdy numer wielkiego występu; bo to wszystko, co w Kolonii wstrząsnęło masami słuchających widzów, wyszło mu już poprzedniego dnia przed małą

publicznością. Takie w nim było bogactwo wystudiowanego zamiaru. Tyle dbałości o niezawodny efekt. I tyle wypróbowanej odwagi demonstrowanej na scenie.

Ledwie pozbawiono go obywatelstwa, wszyscy mieliśmy nadzieję, że taka odwaga będzie miała następstwa, że ta odwaga zostanie teraz wypróbowana na Zachodzie. Ale niewiele z tego wyszło. Później, dużo później, kiedy mur runął, był obrażony, że to się stało bez jego udziału. Niedawno uhonorowano go najważniejszą u nas nagrodą.

Po tym, jak Biermanna pozbawiono obywatelstwa, po raz ostatni spotkaliśmy się na Wschodzie miasta. W domu Kunerta z mnóstwem kotów początkowo czytaliśmy (jak to mieliśmy wyćwiczone) swoje rzeczy sobie nawzajem, potem jednak doszli inni, którzy publicznie zaprotestowali przeciwko odebraniu Biermannowi obywatelstwa i próbowali teraz radzić sobie z następstwami swego protestu. Jednym z następstw było, że wielu (nie wszyscy) poczuło się zmuszonych wystąpić z wnioskiem o wyjazd ze swojego państwa. Kunertowie zabrali się ze swoimi kotami. Z dziećmi, książkami i meblami wyjechali Sara Kirsch i Jochen Schädlich.

Także to miało następstwa. Ale co nie miało następstw. Później umarł nam wszystkim Nicolas Born. Później, dużo później pozrywały się nasze przyjaźnie: szkody wynikłe ze zjednoczenia. Natomiast nasze manuskrypty, których kawałki raz za razem czytaliśmy na głos, ukazały się na rynku. Także turbot zdał pływacki egzamin. Ach racja, pod koniec roku siedemdziesiątego siódmego zmarł Charlie Chaplin. Pokolebał się w stronę horyzontu, odszedł po prostu nie znalazłszy następcy.

1978

Na pewno, proszę księdza, powinnam była przyjść wcześniej, ulżyć swojemu sercu. Ale mocno wierzyłam, że z dziećmi jakoś się ułoży. Oboje z mężem czuliśmy się pewnie, niczego im nie brakowało, do obojga odnosiliśmy się z miłością. A odkąd zamieszkaliśmy w willi mego teścia, zresztą na jego życzenie, wyglądało na to, że są szczęśliwe lub bądź co bądź zadowolone. Obszerny dom. Duża posiadłość ze starym drzewostanem. I chociaż mieszkamy trochę na uboczu, to do centrum miasta, jak ksiądz wie, nie jest daleko. Stale odwiedzali ich koledzy ze szkoły. Na zabawach ogrodowych bywało nadzwyczaj wesoło. Nawet mój teść, nasz ukochany przez dzieci dziadziuś, cieszył się z pełnych wigoru imprez. Aż tu nagle oboje się wyrodzili. Zaczęło się od Martina. Ale Monika uważała, że musi przebić brata. Chłopak był raptem, nie licząc kosmyka nad czołem, ostrzyżony na zero. A dziewczyna ufarbowała swoje piękne blond włosy częściowo na lila, częściowo na jadowitą zieleń. No cóż, można by było przymknąć na to oczy – tak też robiliśmy – ale kiedy oboje pokazali się w tych okropnych ciuchach, byliśmy – ja bardziej niż mąż – zaszokowani. Martin, który do tej pory nosił się raczej odrobinę snobistycznie, raptem paradował w dziurawych dżinsach, trzymających się na zardzewiałym łańcuchu. Miała do nich pasować nabijana nitami czarna kurtka, zapinana na piersiach na szkaradną kłódkę. A nasza Moni pokazała się w wytartym skórzanym kombinezonie i sznurowanych butach. Na dodatek z obu pokojów dochodziła ta muzyka, jeśli można tak nazwać tego rodzaju agresywny hałas. Ledwie przychodzili ze szkoły, zaczynał się ryk. Bez oglądania się na naszego dziadziusia, który po przejściu na emeryturę cenił sobie już tylko ciszę, myśleliśmy nie przeczuwając nic złego...

Właśnie, proszę księdza. Tak czy jakoś podobnie nazywają się ci hałaśliwcy: „Sex Pistols”. Ksiądz widać zna się na tym. Ależ pewnie, że tak. Próbowaliśmy wszystkiego. Perswazji, ale też surowości. Mój mąż, skądinąd uosobienie cierpliwości, nawet wstrzymania kieszonkowego. Nic nie pomagało. Dzieci stale poza domem i w złym towarzystwie. Ich szkolni koledzy, wszystko z dobrych rodzin, naturalnie już nie przychodzili. Zrobiło się piekło, bo teraz sprowadzały do domu tych typków, tych punków. Nigdzie nie było przed nimi schronienia. Siedzieli w kucki na

dywanach. W palarni rozwalali się nawet na skórzanych fotelach. Do tego ten rysztockowy język. Tak to było, proszę księdza. Ciągłe ta gadanina w stylu „no future”, aż tu, jak mam to powiedzieć, naszemu dziadziusiowi raptem odbiło. I to z dnia na dzień. Oboje z mężem poczuliśmy się bezradni. Bo mój teść...

Ksiądz przecież go zna. Ten wytworny, zadbany pan – wcielona dyskrecja – obdarzony staroświeckim wdziękiem i delikatnym, nie raniącym nikogo dowcipem, który po wycofaniu się ze wszystkich interesów bankowych oddawał się już tylko upodobaniu do muzyki klasycznej, prawie nie opuszczał swoich pokoi, z rzadka przesiadywał na wychodzącym na ogród tarasie, pogrążony w myślach, jak gdyby finansistę na wysokim stanowisku – ksiądz przecież wie, że należał do kierownictwa Deutsche Bank – całkowicie pozostawił za sobą, on, który nigdy nie mówił o sobie i swojej długoletniej pracy – zupełna powściągliwość w garniturze w prążki – bo kiedy raz, krótko po ślubie, zapytałam go, co robił w strasznych czasach wojny, odpowiedział, jak to miał w zwyczaju, z lekką ironią: – To pozostaje tajemnicą bankową – i nawet Erwin, który pracuje również w bankowości, mało wie o kolejnych etapach swojego dzieciństwa, a jeszcze mniej o kolejach życia swego ojca, który nagle, już to księdzu mówiłam, z dnia na dzień był jakby zamieniony...

Niech ksiądz to sobie wyobrazi: przy śniadaniu zaskakuje nas, nie, szokuje tym okropnym wystrojem. Zgolił piękne, mimo podeszłego wieku gęste siwe włosy pozostawiając tylko na środku nastroszone pasmo i w dodatku farbując żalostną resztkę na lisią rudość. Do tego ma na sobie, naprawdę stosownie, skleconą widać po kryjomu z czarno-białych skrawków materiału bluzę i swoje stare sztuczkowe spodnie, które dawniej wkładał na posiedzenia zarządu. Wyglądał jak więzień. A wszystko, kawałki materiału i nawet

rozporek, było pospinane agrafkami. Mało tego, dwie nadzwyczaj duże agrafki wetknął sobie w przekłute – proszę nie pytać mnie, w jaki sposób – uszy. Ponadto musiał skądś wytrzasnąć kajdanki, ale zakładał je tylko, kiedy wychodził z domu.

Ależ pewnie, że tak, proszę księdza. Nikt nie mógł go powstrzymać. Ciągłe przebywał poza domem, nie tylko tutaj w Rath, lecz i, jak nam opowiadano, w centrum miasta, nawet na Königsallee, robił z siebie pośmiewisko. A niebawem miał wokół siebie zgraję tych punków, z którymi napędzał stracha całej okolicy aż po Cerresheim. Nie, proszę księdza, nawet kiedy Erwin robił mu wyrzuty, padała odpowiedź: – Pan Abs teraz wychodzi. Pan Abs musi przejąć Zjednoczony Bank Czeski i Wiedeński Creditanstalt. Poza tym pan Abs musi wkrótce „aryzować” znane domy handlowe w Paryżu i Amsterdamie. Proszono pana Absa, jak to już było w wypadku domu bankowego Mendelsohna, o dyskretne postępowanie. Pan Abs jest znany z dyskrecji i życzy sobie, żeby go dłużej nie wypytywać...

Dzień w dzień, proszę księdza, musieliśmy wysłuchiwać tego i jeszcze czegoś więcej. Niech ksiądz powie: nasz dziadzius w pełni utożsamiał się ze swoim dawnym szefem, z którym był widać jak najściślej związany nie tylko w latach powojennej odbudowy, lecz także w czasach wojny, a jakże, z Hermannem Josefem Abssem, co to w swoim czasie doradzał panu kanclerzowi federalnemu w ważnych sprawach finansowych. Czy to chodzi o uciążliwe kwestie odszkodowań, które dotyczą I. G. Farben, czy też o dalsze żądania z Izraela, zawsze uważa, że musi działać jako pełnomocnik pana Adenauera. Wtedy padają słowa: – Pan Abs odrzuca wszystkie żądania. Pan Abs postara się o to, żebyśmy zachowali zdolność kredytową... – Tak też wołały na niego te okropne punki, skoro tylko opuszczał willę: „Tata Abs!” A nas zapewniał z uśmiechem: – Nie ma powodu do niepokoju. Pan Abs po prostu wyjeżdża w interesach.

A dzieci? Ksiądz nie uwierzy. Wyleczyły się z dnia na dzień, tak zaszokował je nasz dziadzius. Monika wyrzuciła na śmietnik swój skórzany kombinezon i te szkaradne sznurowane buty. Przygotowuje się teraz do matury. Martin na nowo odkrył jedwabne krawaty. Chciałby, jak słyszałam od Erwina, pojechać do Londynu i tam chodzić do college’u. Właściwie, ale tylko abstrahując od tragicznych skutków, powinniśmy być wdzięczni starszemu panu, że doprowadził swoje wnuki do opamiętania.

Na pewno, proszę księdza. Ogromnie ciężko przyszło nam podjąć tę, wiem, zdawać by się mogło: bezlitosną decyzję. Godzinami razem z dziećmi szukaliśmy wyjścia. Tak, jest teraz w Crafenbergu. Niech ksiądz powie: zakład ma dobrą opinię. My odwiedzamy go regularnie. Pewnie, że tak, również dzieci. Niczego mu nie brakuje. Tylko niestety nadal podaje się za „pana Absa”, ale, jak zapewniał nas jeden z pielęgniarzy, udziela się towarzysko i przestaje z innymi pacjentami. Nasz dziadzius podobno zaprzyjaźnił się ostatnio z chorym, który odpowiednio podaje się za „pana Adenauera”. Personel pozwala obydwu cieszyć się grą w boccia.

1979

Przestań wreszcie z tym wypytywaniem... Co to za sprawa: moja największa miłość? Oczywiście ty nią jesteś, mój mocno denerwujący Klausie-Stephanie, podczas gdy ja dla ciebie... Więc dobrze, żeby się skończyło to wiercenie dziury w brzuchu. Przypuszczam, że mówiąc o miłości masz na myśli coś takiego jak kołatanie serca, wilgotne dłonie, bełkotanie bliskie majaczeniu. Owszem, raz się zaiskrzyło, mianowicie jak miałam trzynaście lat. Wtedy, zdziwisz się, zadurzyłam się w prawdziwym baloniarzu, po uszy, do omdlenia. Ściśle mówiąc w synu baloniarza albo jeszcze ściślej w starszym synu jednego z baloniarzy, bo byli to dwaj mężczyźni, którzy z rodzinami – kiedy to było? Dwanaście lat temu, w połowie września –

balonem na gorące powietrze przelecieli z Turynii do Frankonii. Coś ty, to nie była przejażdżka dla przyjemności! Nic nie rozumiesz albo nie chcesz skapować. Przelecieli przez granicę. Brawurowo nad drutem kolczastym, minami przeciwpiechotnymi, samopałami, pasem śmierci i wprost do nas. Ja mianowicie, jak sobie być może przypominasz, pochodzę z Naila, miejsciny we Frankonii. A niespełna pięćdziesiąt kilometrów stamtąd, w wówczas jeszcze drugich Niemczech, leży Pössneck, skąd uciekły obie rodziny. Przecież mówię, że balonem, i to własnoręcznie uszytym. W związku z czym Naila zrobiła się sławna i trafiła do wszystkich gazet, nawet do telewizji, ponieważ baloniarze wylądowali u nas wprawdzie nie wprost przed bramą domu, ale na skraju miasta na leśnej polanie: czwórka dorosłych, czwórka dzieci. I jednym z nich był Frank, świeżo upieczony piętnastolatek, w którym się zadurzyłam, i to z miejsca, kiedy my, inne dzieci, stałyśmy za linią blokady i patrzyłyśmy, jak obie rodziny dla telewizji jeszcze raz wdrapywały się do gondoli i na życzenie machały rękami. Tylko mój Frank nie machał. Zachował kamienną twarz. Dla niego była to nieprzyjemna sytuacja. Dość miał zamieszania. No, tej całej szopki z mediami. Chciał wyjść z gondoli, ale nie miał jak. A mnie wzięło z miejsca. Chciałam być blisko niego albo daleko od niego. Słowo daję, było zupełnie inaczej niż z nami, kiedy to wszystko rozwijało się stopniowo i prawie nic nie następowało spontanicznie. Ale z Frankiem to była miłość od pierwszego wejrzenia. Pewnie, że z nim gadałam! To znaczy, jak tylko wyszedł z gondoli, po prostu zaczepiłam go. On mało co mówił. Był taki cofnięty. Naprawdę słodki. Ale ja wzięłam go na spytki, chciałam wiedzieć wszystko, no, całą historię. Jak obie rodziny już raz próbowały, ale ponieważ była mgła, balon nabrał wilgoci i osiadł po tamtej stronie, tuż przed granicą, a oni wszyscy nie wiedzieli: gdzie jesteśmy? Mieli fart, że ich po tamtej stronie nie złapano. A potem Frank mi opowiedział, jak obie rodziny nie zniechęciły się, lecz jeszcze raz skupowały na metry materiały na płaszcze od deszczu, w całej ówczesnej NRD, co z pewnością nie było łatwe. Nocami kobiety i mężczyźni na dwóch maszynach do szycia zszywali nowy balon kawałek po kawałku, w związku z czym zaraz po udanej ucieczce firma Singer chciała podarować im dwie nowiusieńkie maszyny elektryczne, ponieważ przypuszczano, że balon został sporządzony na dwóch staroświeckich singerowskich maszynach na pedał... Ale to nie była prawda... To były maszyny wschodniej produkcji... Nawet elektryczne... Więc obyło się bez superprezentów... Jasne, bo nie dałoby to żadnego reklamowego efektu... A musi być coś za coś... W każdym razie mój Frank opowiadał mi to wszystko po trochu, kiedy spotykaliśmy się potajemnie na leśnej polanie, gdzie wylądował balon. Właściwie to on był nieśmiały, zupełnie inny niż chłopaki tutaj na Zachodzie. Czy się całowaliśmy? Z początku nie, ale później. Miałam już wtedy przeprawy z ojcem. Bo on uważał, co nie było całkiem od rzeczy, że rodzice z balonu postąpili neodpowiedzialnie, narażając swoje rodziny na niebezpieczeństwo. Ja oczywiście nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Powiedziałam ojcu, co też nie było całkiem od rzeczy: Jesteś zazdrosny, ponieważ ci ludzie zdobyli się na coś, na co ty z

pewnością jesteś o wiele za strachliwy... No, co takiego! Teraz to mój najdroższy Klaus-Stephan odgrywa zazdrośnika, chce mi zrobić scenę, być może doprowadzić do zerwania. Tylko dlatego że mnie przed laty... Więc dobrze. Skłamałam. Po prostu coś zmyśliłam. Mając trzynaście lat byłam o wiele za wstydliva, żeby zaczepić chłopaka. Ciągłe tylko patrzyłam i patrzyłam. Także później, kiedy widywałam go na ulicy. Chodził przecież tuż koło nas do szkoły podstawowej w Naila. Znajduje się ona przy Albin-Klöver-Strasse, skąd niedaleko jest do leśnej polany, na której oni wszyscy wylądowali balonem. Później myśmy się przenieśli, tak, do Erlangen, gdzie mój ojciec podjął pracę u Siemensu w dziale reklamy. Ale Frank... Nie, byłam nie tylko trochę zadurzona, byłam w nim zakochana, całym sercem, czy to ci odpowiada, czy nie. I nawet jeśli między nami do niczego nie doszło, nadal go lubię, chociaż Frank nie ma o tym zielonego pojęcia.

1980

–Z Bonn to przecież tylko dwa kroki – powiedziała mi przez telefon jego żona. Nie ma pan pojęcia, panie sekretarzu stanu, jacy ci ludzie są naiwni, a przy tym mili: – Niech pan spokojnie wpadnie na krótko, żeby zobaczyć, co się u nas dzieje od rana do wieczora i tak dalej... – Jako kierownik odnośnego referatu czułem się zatem w obowiązku przeprowadzić wizję lokalną, chociażby po to tylko, żeby ewentualnie zdać sprawę panu. Faktycznie: z Ministerstwa Spraw Zagranicznych były to tylko dwa kroki.

Ależ nie, centrala czy to, co jest uważane za centralę, mieści się w najzwyczajszym szeregowym domku. I oni są przekonani, że mogą stamtąd nie namyślając się długo wtrącać się w bieg wydarzeń na świecie i ewentualnie postawić nas w sytuacji przymusowej. A jego żona zapewniła mnie, że to ona załatwia „wszystkie organizacyjne hocki-klocki”, mimo domu na głowie i trójki małych dzieci. Robi to „bez problemu”, utrzymując przy tym stały kontakt ze wspomnianym statkiem na Morzu Południowo-chińskim i rozdzielając, jakby mimochodem, pieniądze z datków napływających w dalszym ciągu obficie. Tylko z nami, powiedziała, „z biurokracją”, są trudności. Ona zresztą trzyma się hasła swego męża: „Bądź rozsądny, porywaj się na nierozsądne!”, które przed laty, było to w sześćdziesiątym ósmym, usłyszał w Paryżu, wówczas, kiedy studenci byli jeszcze odważni i tak dalej. Ona radzi także mnie, czyli Ministerstwu Spraw Zagranicznych, postępować w myśl tej dewizy, bo bez politycznej odwagi coraz więcej boat people będzie się topić albo umierać z głodu na tej szkurzej wyspie Pulau Bidong. W każdym razie statek dla Wietnamu, który jej mężowi dzięki obfitym datkom udało się wyczarterować na dalsze miesiące, musi wreszcie dostać zezwolenie na to, żeby bez ceregieli zabierać uciekinierów z innych statków, na przykład owych biednych ludzi, którzy zostali wyłowieni przez frachtowiec duńskiej linii Maersk. Ona tego żąda. Jest to nakaz humanitaryzmu i tak

dalej.

Jeszcze jak zwracałem na to uwagę poczciwej kobiecie. Kilkakrotnie i oczywiście stosownie do wskazówek, panie sekretarzu stanu. W końcu konwencja prawa morskiego z roku 1910 jest jedyną wytyczną, której możemy się trzymać w tej krytycznej sytuacji. W myśl postanowień konwencji, o czym zapewniałem ją raz za razem, wszyscy kapitanowie są zobowiązani do przyjmowania na pokład rozbitków, jednakże wyłącznie wprost z wody, nie zaś z innych frachtowców, jak to ma się stać w wypadku „Maersk Mango”, który pływa pod tanią banderą Singapuru i przyjął przeszło dwudziestu rozbitków, a teraz chciałby się ich pozbyć. I to natychmiast. Jak głosi radiotelegram, statek wiezie łatwo psujące się owoce południowe, nie może zboczyć z kursu i tak dalej. A mimo to, zaręczałem jej uroczyście raz za razem, bezpośrednie przejęcie uratowanych boat people przez „Cap Anamur” byłoby sprzeczne z międzynarodowym prawem morskim.

Wyśmiała mnie stojąc przy piecu kuchennym i krojąc drobno marchewkę na jednogarnkowy misz-masz. Ta regulacja, powiedziała, pochodzi z czasów „Titanica”. Dzisiejsze katastrofy mają inny wymiar. Już teraz trzeba przyjąć, że utonęło, zmarło z pragnienia trzysta tysięcy uciekinierów na łodziach. Nawet jeśli „Cap Anamur” zdołał dotychczas uratować wiele setek, to nie można się tym zadowolić. Gdy podważyłem ścisłość oszacowanych mocno z grubsza liczb i wysunąłem dalsze zastrzeżenia, usłyszałem w odpowiedzi: – Ach, co tam! Mnie to nie interesuje, czy wśród uciekinierów są też czarnorynkowi handlarze, sutenerzy, być może kryminaliści albo amerykańscy kolaboranci – jej chodzi o ludzi, którzy dzień w dzień się topią, podczas gdy Ministerstwo Spraw Zagranicznych i w ogóle wszyscy politycy kurczowo czepiają się wytycznych ustalonych za króla ćwieczka. Jeszcze rok temu, kiedy zaczęła się gehenna, byli włodarze krajowego szczebla, którzy w Hanowerze i Monachium przed kamerami telewizyjnymi wyrażali gotowość przyjęcia paruset, jak to określali, „ofiar komunistycznego terroru”, a teraz nagle mówi się już tylko o uciekinierach z powodów ekonomicznych i bezwstydnym nadużywaniu prawa azylu...

Nie, panie sekretarzu stanu, poczciwej kobiety nie dało się uspokoić. To znaczy ona nie była specjalnie zdenerwowana, raczej pogodnie opanowana, przy tym stale zajęta, czy to przy garnku na płycie kuchennej – „jarzynowy misz-masz i mostek barani”, jak usłyszałem – czy przy telefonie. Poza tym nieustannie przychodzili goście, wśród nich lekarze, którzy oferowali swoje usługi. Długie dysputy na temat list oczekujących, przydatności w tropikach, szczepieniach ochronnych i tak dalej. Pośród tego wszystkiego stale trójka dzieci. Ja, jak się rzekło, stałem w kuchni. Chciałem wyjść i nie wychodziłem. Nie było wolnego krzesła. Ona kilkakrotnie prosiła mnie, żebym drewnianą łyżką pomieszał w garnku, podczas gdy sama w bawialni rozmawiała przez telefon. Kiedy w końcu przycupnąłem na koszu na bieliznę, usiadłem na gumowej kaczce, zabawce dzieci, która wydawała z siebie żałosne piski,

co wywołało ogólny śmiech. Nie, wolny od kpiny czy zgoła szyderstwa. Ci ludzie, panie sekretarzu stanu, lubią chaos. On, jak usłyszałem, czyni ich kreatywnymi. W tym wypadku mamy do czynienia z idealistami, którzy nic sobie nie robią z obowiązujących przepisów, wytycznych i tak dalej. Są natomiast, jak ta poczciwa kobieta z szeregowego domku, święcie przekonani, że zdołają poruszyć świat. Właściwie to godne podziwu, uznałem, aczkolwiek było mi nie w smak, że przy swojej funkcji w Ministerstwie Spraw Zagranicznych muszę występować jako człowiek bez serca, jako ktoś, kto ciągle musi mówić „nie”. Na pewno nie ma rzeczy przykrzejszej niż odmawianie pomocy.

W sposób wzruszający, ale i zawstydzający jedno z dzieci, dziewczynka, podarowało mi na pożegnanie piszczącą gumową kaczkę. Usłyszałem, że kaczka potrafi pływać.

1981

Możesz mi wierzyć, Rosi, dla mnie to była nieprzyjemna podróż. Jeszcze nigdy nie widziałem tak dużo Krzyży Rycerskich, do tej pory tylko jeden na zdjęciach, u szyi wuja Konrada. A teraz dyndała ich cała masa, nawet takie z dębowymi liśćmi, jak dość głośno, bo jest przygłucha, objaśniała mnie babcia stojąca obok na cmentarzu. To od niej bowiem przyszedł ten telegram: „Natychmiast przyjechać pociągiem do Hamburga. Potem kolejką do stacji końcowej Aumühle. Tam oddamy ostatnią posługę naszemu wielkiemu admirałowi...”

Jasne, że musiałem. Nie znasz mojej babci. Jeśli ona mówi: „natychmiast”, to tak musi być. Mimo że zwykle nie dam sobie nic powiedzieć i w Kreuzbergu, jak przecież wiesz, należą do kręgu okupujących puste domy i każdego dnia musieliśmy liczyć się z tym, że ten Lummer naśle na nas swoich gliniarzy: brygada oczyszczająca Hermsdorfer Strasse. W każdym razie nieprzyjemnie było mi pokazać telegram mojej wspólnocie mieszkaniowej. Jeszcze jak nabluźnili z powodu wielkiego admirała. W każdym razie teraz stałem obok mojej babci i pomiędzy tymi wszystkimi dziadkami, którzy zaparkowali swoje mercedesy przed cmentarzem i obecnie, prawie co drugi z Krzyżem Rycerskim pod brodą, poza tym jednak po cywilnemu, od kaplicy aż do grobu „utworzyli szpaler”, jak to nazwała moja babcia. Było mi zimno. Ale prawie wszyscy dziadkowie stali bez płaszczy, chociaż leżał śnieg i mimo słońca było piekielnie zimno. Włożyli jednak czapki z daszkiem, na marynarską modłę.

Wszystko to byli marynarze z U-bootów, jak chłopiny, które powoli mijając nas niosły trumnę z ciałem wielkiego admirała przykrytą czarno-czerwono-złotą flagą, jak obaj starsi bracia mojego ojca, który jednak pod koniec trafił tylko do volksszturmu, też byli marynarzami z U-bootów. Jeden zginął na Oceanie Lodowatym, drugi gdzieś na Atlantyku, czyli, jak zawsze mówi moja babcia, „spoczęli w chłodnym

marynarskim grobie”. Jeden był „kaleu”, co oznacza mniej więcej kapitana, drugi, mój wujek Karl, tylko starszym bosmanem.

Ty w to nie uwierzysz, Rosi. Łącznie utonęło blisko trzydzieści tysięcy ludzi w około pięciuset łodziach podwodnych. Wszyscy z rozkazu tego wielkiego admirała, który właściwie był zbrodniarzem wojennym. W każdym razie tak mówi mój ojciec. I że większość, także jego bracia, wsiadła na ochotnika do „tych pływających trumien”. Jemu jest tak samo nieprzyjemnie jak mnie, kiedy nasza babcia zawsze koło Bożego Narodzenia uprawia kult swych „poległych bohatersko synów”, w związku z czym mój ojciec ciągle ma z nią awantury. Już tylko ja odwiedzam ją czasami w Eckernförde, gdzie ma domek i gdzie zawsze, również po wojnie, uwielbiała tego wielkiego admirała. Ale poza tym ona jest całkiem o.k. I właściwie lepiej się z nią rozumiem niż z ojcem, któremu naturalnie to nasze okupowanie domów nie odpowiada. Dlatego moja babcia wysłała ten telegram tylko do mnie, nie do ojca, tak, na Hermsdorfer Strasse numer 4, gdzie my w ciągu kilku miesięcy z pomocą sympatyków, to są lekarze, lewicowi nauczyciele, adwokaci i tacy różni, urządziliśmy się bardzo wygodnie. Herbi i Robi, którzy, jak ci niedawno pisałem, są moimi najlepszymi przyjaciółmi, na pewno nie byli zachwyceni, kiedy pokazałem im telegram. – Chyba na mózg ci padło – powiedział Herbi, kiedy zacząłem pakować manatki. – O jednego starego nazistę mniej! – Ale ja odrzekłem: – Wy nie znacie mojej babci. Jeśli ona mówi „przyjechać natychmiast”, to nie ma żadnych wykrętów.

A właściwie – możesz mi wierzyć, Rosi – to jestem całkiem rad, że obejrzałem sobie ten cyrk na cmentarzu. Byli tam prawie wszyscy, którzy wyszli cało z toczonej przez U-booty wojny. Było komicznie i trochę strasznie, ale i bardzo nieprzyjemnie, kiedy potem wszyscy śpiewali nad grobem, przy czym większość wyglądała, jak gdyby nadal wyprawiała się na wroga i musiała przeszukiwać horyzont wypatrując smugi dymu. Moja babcia też śpiewała, naturalnie bardzo głośno. Najpierw „Ponad wszystko w całym świecie”, a potem „Miałem ci ja kamrata”. Było naprawdę okropnie. W dodatku przymaszerowało paru prawicowych pętaków z bębnami, w podkolanówkach przy tym zimnie. A nad grobem było dużo gadania, na wszystkie możliwe tematy, szczególnie na temat wierności. Natomiast trumna rozczarowywała. Wyglądała zupełnie zwyczajnie. Czy nie można było, zastanawiałem się, wyciosać czegoś w rodzaju mini-U-boota, z drzewa naturalnie, ale pomalowanego jak okręt wojenny? I czy nie można było bardzo wygodnie złożyć w nim wielkiego admirała?

Kiedy potem rozeszliśmy się i wszyscy faceci z Krzyżami Rycerskimi odjechali swymi mercedesami w siną dal, zapytałem moją babcię, która na hamburskim Dworcu Głównym zaprosiła mnie na pizzę i wetknęła mi trochę więcej pieniędzy, niż kosztowała podróż: – Naprawdę myślisz, babciu, że opłaciła się ta historia z marynarskimi grobami wuja Konrada i wuja Karla? – Było mi później przykro, że tak obcesowo ją o to zapytałem. Ona nie odzywała się co najmniej przez minutę, a potem

powiedziała: – Ano, mój chłopcze, jakiś sens musiało to chyba mieć...

No, jak już wiesz, gliniarze Lummera zaraz po moim powrocie wywalili nas z Hermsdorfer Strasse. Zajęliśmy teraz w Kreuzbergu parę innych domów. Moja babcia też uważa, że z tą masą pustych mieszkań to jest wielkie świństwo. Ale jeśli zechcesz, Rosi, to jak mnie znów wywalą, możemy zamieszkać u mojej babci w jej małym domku. Powiedziała, że ogromnie byłaby rada.

Wielki admirał Karl Dönitz (1891-1980), od 1936 dowódca niemieckiej floty podwodnej, od 1943 całej floty wojennej, bliski współpracownik Hitlera, który desygnował go na swego następcę [w styczniu 1945 roku] Skazany przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze za zbrodnie wojenne na 10 lat więzienia. (Przyp. tłum.)

1982

Abstrahując od nieporozumień, jakie widać zostały wywołane zacytowanymi przeze mnie słowami: „perfidny Albion”, jestem nawet z dzisiejszej perspektywy w pełni zadowolony ze swojej ekspertyzy dla stoczni Howaldta i filii AEG (Technika Morska) w Wedel, zatytułowanej „Skutki wojny o Falklandy”. Bo zakładając, że obu okrętom podwodnym typu 209, które stocznia dostarczyła Argentynie i których elektroniczny system torpedowy uchodzi za optymalny, udało się od pierwszego uderzenia z powodzeniem wejść do akcji przeciwko angielskiej task force, na przykład zatopić lotniskowiec „Invincible”, a także wyładowany wojskiem po brzegi transportowiec „Queen Elisabeth”, to dla rządu federalnego, mimo zadeklarowanego poparcia dla podwójnej uchwały NATO i niezależnie od dawno już nieodzownej zmiany kanclerza, ten podwójny sukces miałby zgubne skutki. „Niemieckie systemy uzbrojenia sprawdzają się w akcji przeciwko sojusznikom z NATO!”, podniósłby się krzyk. „Nie sposób sobie tego wyobrazić!”, pisałem wskazując równocześnie na to, że nawet zatopienie niszczyciela „Sheffield” i okrętu desantowego „Sir Calahad” przez argentyńskie samoloty wyprodukowane we Francji nie zrelatywizowałoby ewentualnego sukcesu okrętów podwodnych produkcji niemieckiej. Na pewno w Anglii otwarcie doszłaby do głosu maskowana z wielkim trudem wrogość wobec Niemiec. Znowu nazywano by nas „Hunami”.

Na szczęście w chwili wybuchu wojny o Falklandy jeden z okrętów Howaldta, „Salta”, stał w porcie z defektem maszyn, drugi, „San Luis”, wprawdzie wyszedł w morze, jednakże z niedostatecznie wyszkoloną załogą, która, jak się miało okazać, nie potrafiła obsługiwać opracowanej przez AEG skomplikowanej elektroniki systemów naprowadzania torped. „Dzięki temu”, pisałem w swojej ekspertyzie, „dla brytyjskiej Navy i również dla nas jako narodu skończyło się na strachu”, zwłaszcza że zarówno Anglicy, jak i my nadal jako chwalebny kartę zachowujemy w pamięci

pierwszą bitwę falklandzką z 8 grudnia 1914, kiedy to zwycięska do tego czasu niemiecka eskadra wschodnioazjatycka, pod dowództwem legendarnego wiceadmirała hrabiego von Spee, została zniszczona przez przeważające siły brytyjskie.

Ażeby wesprzeć wykraczające poza sferę czystej techniki wojskowej, bo mające podłoże historyczne rozważania mojej ekspertyzy, osiem lat temu, kiedy Schmidt musiał odejść i wraz z Kohiem zaczął się zwrot, dołączyłem do mojej skądinąd suchej analizy fotokopię olejnego malowidła. Chodzi o „Obraz morski” pędzla znanego marynisty Hansa Bordta, którego motywem jest zatonięcie krążownika pancernego w trakcie wspomnianej bitwy. Podczas gdy w głębi obrazu okręt pogrąża się rufą w oceanie, na pierwszym planie unosi się na powierzchni niemiecki marynarz, który chwycił się deski poszycia, ale w prawej dłoni pamiętnym gestem trzyma w górze flagę – najwidoczniej banderę tonącego krążownika.

Jest to, jak Pan widzi, szczególna flaga. I dlatego, Drogi Przyjacielu i Kamracie, piszę do Pana tak daleko sięgając wstecz i odwołując się do przeszłości. Rozpoznamy bowiem na tym dramatycznym obrazie ową banderę wojenną Rzeszy, która niedawno, przy okazji poniedziałkowych demonstracji w Lipsku, pojawiła się ponownie w aktualnych okolicznościach. Niestety doszło przy tym do ohydnych bójek. Bo według mojej interpretacji, jak to zaproponowałem w zamówionej u mnie ekspertyzie na temat procesu zjednoczenia, zamiana owego nic nie mówiącego hasła: „My to naród!” na, jak widać, przynaglające politykę do sukcesu wołanie: „My to jeden naród!” powinna przebiegać na wskroś pokojowo, ba, kulturalnie. Z drugiej strony wypada się nam cieszyć, że owym ogolonym do skóry i zdecydowanym na wszystko chłopakom – znanym powszechnie jako skinheadzi – udało się przez zaskoczenie tak dużą liczbą dostarczonych flag wojennych Rzeszy zdominować lipską poniedziałkową scenę i podkreślić wołanie – nie da się ukryć, że nadmiernie głośne – o jedność Niemiec.

Po tym można poznać, jak okrężnymi drogami potrafi zdążyć historia. Czasem jednakże trzeba trącić ją ostrogą. Jak to dobrze, że gdy nadeszła stosowna chwila, przypomniałem sobie moją ówczesną ekspertyzę na temat wojny o Falklandy i wymieniony obraz morski. Wtedy panowie z kierownictwa AEG wykazali brak jakiegokolwiek wiedzy historycznej, a tym samym i zrozumienia mojego śmiałego przeskoku w czasie, ale dzisiaj być może zaświtał im głębszy sens flagi wojennej Rzeszy. Widzimy ją coraz częściej. Młodzi ludzie, znów zdolni do entuzjazmu, pokazują się z nią, trzymają ją w górze. A odkąd jedność jest już faktem, mogę przyznać się Panu, Drogi Przyjacielu, że wypełnia mnie duma, ponieważ dostrzegłem znak historii i dopomogłem swoją ekspertyzą, kiedy chodziło o to, żeby przypomnieć sobie narodowe wartości i wreszcie pokazać się widoczną z daleka flagą...

Taki to nigdy więcej nam się nie trafi! Odkąd nie usłyszał już – no, gdzież to? – w środku lasu trąbki na koniec polowania, a tu jeszcze odszedł także jego kompan, dostawca mięsa-sera-piwa, i tylko trzeci z paczki, który w porę wyniósł się zza miedzy, wypełnia wielokilogramową masą swoją willę nad Tegernsee, nam, kabareciarzom, brakuje materii, bo nawet sprawująca rządy waga ciężka nie może zrekompensować tego tria. Od tego czasu nuda. Tylko obrabianie Süssmuthki, lurowata kawa niby ä la Blüm, dowcipy na temat brwi i podobne dzielenie włosa na czworo. Nie ma już z czego się śmiać. I z tego powodu my, zawodowi rozweselacze narodu, uznaliśmy, że musimy z troską się naradzić. Oczywiście w bawarskiej gospodzie. Grossholzleute nazywa się ta zapadła dziura, gdzie szeleszcząc papierami zbierali się już inni, mniej lub bardziej godni nagradzania, dawno temu. A my siedzieliśmy bezradnie w renomowanym gronie. Z całą powagą został nawet wygłoszony referat – „O sytuacji niemieckiego kabaretu po zgonie wielkiego Franza Josefa, ze szczególnym uwzględnieniem zjednoczenia, które dokonało się wkrótce po jego śmierci” – ale niewiele było z tego zabawy. Co najwyżej my, zgromadzeni przy piwie śmiertelnie poważni komicy, zrobiliśmy z siebie pośmiewisko.

Ach, jakże nam go brak! Strauss, Franz Josef, święty praco- i hasłodawca bliskich obecnie emerytury humorystów. Twoje ciemne sprawy były dla nas codziennym chlebem. Czy to chodziło o posmarowane ze wszystkich stron transportery opancerzone, potłuczone szkło „Spiegla”, pogmatwane afery na styku biznesu i polityki, czy o Twoje konszachty z dyktatorami na całym świecie, za każdym razem nie obyło się bez skeczu. Niemiecki kabaret był przecież zawsze gotów do usług, kiedy szło o to, żeby odciążyć biedną, oskubaną opozycję. Na Twój temat, człowieka bez szyi, zawsze coś nam wpadło do głowy. A jeśli z końmi pociągowymi było krucho, to zaprzęgaliśmy u Twego boku Wehnera, starego ponuraka. Ale on i jego fajka już nie ciągną.

Na Tobie i na nas zawsze można było polegać. Tylko raz, w osiemdziesiątym trzecim, kiedy szło o miliardy – ma się rozumieć: przeznaczone miłosiernie dla biednych braci i siostr na Wschodzie – musieliśmy zaspać, w każdym razie nie zdarzyło nam się nastawić uszu, gdy w Rosenheim, w gospodzie Spöcka, obradował jedyny w swoim rodzaju triumwirat. Tu krępy Strauss, tam posłaniec ze Wschodu Schalck, pośrodku jako światowiec dostawca mięsa-sera-piwa März. Uzbrojone w najlepsze zamiary oszukańczo-paskarskie trio wystąpiło w sztuce, która jako łąpówkarska komedia wypełniłaby cały wieczór. Bo kwota z dziewięcioma zerami z zachodniej kasy miała nie tylko posłużyć cierpiącemu na brak dewiz wschodniemu państwu, lecz i zadbać o to, żeby gospodarzowi i fundatorowi jako bawarskiemu importerowi na wielką skalę trafiły pod nóż całe stada będących kiedyś własnością

ludu, teraz dojrzałych do zarżnięcia wołów.

Przyjaciele cenią się nawzajem. Co to tutaj znaczy „komunożerca” i „wróg kapitalizmu”, kiedy ukradkiem wychodzi rachunek za mięso-ser-piwo, a przy sposobności filut Schalck może dekarzowi stojącemu na czele jego państwa dostarczyć z pierwszego źródła najnowsze dowcipy o Kohlu. Nie padali sobie w ramiona, ale ogólnoniemieckie mrugnięcie okiem zawsze było na miejscu. Jak to bywa przy wielkich wydarzeniach w miejscu utrzymywanym w tajemnicy. Każdy ma coś do zaofiarowania: udogodnienia rynkowe, wiejski wdzięk, bońskie bebechy, tanie półtusze wieprzowe, dobrze skruszałe tajemnice państwowe i inne próbki zaduchu lat osiemdziesiątych, dostatecznie zakwaszone, żeby za każdym razem ucieszyć nimi miejscowe tajne służby.

Musiała to być uczta dla oczu, nosa i uszu i ogólnoniemiecka uciecha. Naturalnie biesiadowano: mięso, ser, piwo. Nas jednak nie poproszono do stołu. Tamci sami byli wystarczającą satyrą. Nasz profesjonalny naśladowca głosów, któremu Strausowski gulgotanie jeszcze dzisiaj wychodzi jak nikomu innemu, mógł co najwyżej domyślać się falsetowania Schalcka, a wolarz März i tak wydawał się tylko mistrzem w pokazywaniu liczb na migi. Tak to miliardowy kredyt zrodził się bez nas, kabareciarzy. Właściwie szkoda, bo na naszej scenie można by z poślizgiem zainscenizować całość jako przygrywkę do niemieckiej jedności pod hasłem „Ręka rękę myje”, ale Strauss i März senior zeszli z tego świata, zanim padł mur, a faworyt nas wszystkich Schalck, którego firmy spod znaku Ko-Ko nadal kwitną w ukryciu, siedzi bezpiecznie w swojej willi nad Tegernsee, ponieważ wie więcej, niżby to białoniebieskiej Bawarii wyszło na zdrowie, wobec czego jego milczenie jest złotem.

Podczas obrad naszego grona weteranów toczących się z polotem wiejskiego przygłupa mówiło się: O niemieckim kabarecie można spokojnie zapomnieć. Ale imieniem Franza Josefa nazwano wielkie monachijskie lotnisko, nie tylko dlatego że on prócz karty łowieckiej miał licencję pilota, lecz i po to, żebyśmy go wspominali przy każdym przylocie i odlocie. Franz Josef odgrywał wiele ról naraz: z jednej strony był najważniejszą postacią naszych dowcipów, z drugiej ryzykiem tego rodzaju, którego my, gdy w roku osiemdziesiątym zechciał zostać kanclerzem, jako ostrożni wyborcy i lękliwi kabareciarze nie chcieliśmy podjąć.

W Grosshalzleute obradowała w roku 1958 słynna Grupa 47 – Grass dostał wówczas jej nagrodę za fragment „Blaszanego bębena”.

Alexander Schalck-Golodkowski był w enerdowskim Ministerstwie Handlu Zagranicznego szefem wydziału Komercyjnej Koordynacji (Ko-Ko) – podległe wydziałowi firmy na Zachodzie zdobywały dewizy dla NRD.

Dekarz to wyuczony zawód Ericha Honeckera (1912-1994), długoletniego

1984

Wiem, wiem! To wezwanie: „Pamiętajcie o zabitych” jest zbyt zdawkowe, ale to miejsce wymaga dużej liczby wskazań o charakterze organizacyjnym. Dlatego z rosnącym zapalem – wzmożonym także przez owo symboliczne podanie sobie rąk, na które zdobyli się przed Kostnicą prezydent i kanclerz w ten pamiętny dzień 22 września 1984 roku – oznakowuje się coraz więcej i więcej szlaków wędrówek po dawnym polu bitwy pod Verdun, przy czym ktoś taki jak ja stara się pomagać umieszczając dwujęzyczne napisy, choćby: do Mort Homme, czyli do Martwego Mężczyzny, zwłaszcza że tam i w pobliżu nasiąkniętego krwią Lasu Kruków (Bois des Corbeaux) wciąż jeszcze można się spodziewać min i niewypałów, w związku z czym istniejące już francuskie ostrzeżenie: „Nie wchodzić” trzeba było uzupełnić na tabliczkach o nasz „Wstęp wzbroniony”. W określonych punktach, na przykład tam, gdzie widać jeszcze pozostałości wioski Fleury, a obecnie kaplica zachęca do pojednania, podobnie jak na Wzgórzu 304 (Côte 304), które między majem a sierpniem 1916 roku było kilkakrotnie zdobywane szturmem i odbijane przeciwnatarciem, nie należy ociążać się z dyskretnym przypomnieniem, że tu jak i w wielu innych miejscach będących celem wędrówek po polu bitwy wskazane jest przebywanie w zadumie.

Ta uwaga nie jest pozbawiona pewnej usilności, bo odkąd kanclerz odwiedził nasz żołnierski cmentarz Consenvoye, po czym nastąpiły odwiedziny na francuskim cmentarzu na terenie fortu Douaumont, gdzie potem doszło do historycznego uściśnięcia sobie rąk z prezydentem Republiki, napływ odwiedzających stale przybiera na sile. Przyjeżdżają autobusami wieloosobowe transporty, przy czym zbyt turystyczne zachowanie niektórych grup zwiedzających daje powody do skarg. I tak Kostnica, której sklepienie zwieńczono wieżą w kształcie artyleryjskiego granatu, często bywa traktowana jako atrakcja z dreszczykiem, w związku z czym pod oszklonymi oknami, które jednakże ukazują zaledwie część kości i czaszek stu trzydziestu tysięcy poległych Francuzów, nierzadko słychać śmiechy, a co gorsza plugawe uwagi. Niekiedy też rozlegają się zbyt dosadne słowa, które dowodzą, że owemu wielkiemu dziełu pojednania między naszymi narodami, do którego starali się przyczynić kanclerz i prezydent, daleko jeszcze do końca. I tak ktoś taki jak ja nie bez powodu obrusza się na fakt nie do przeczenia, że poległych Francuzów upamiętnia piętnaście tysięcy białych krzyży nagrobnych, krzyżowy napis: „Mort pour la France” i zasadzony przed każdym grobem krzak róży, podczas gdy naszym poległym, w dużo mniejszej liczbie, przypadły tylko czarne, w dodatku pozbawione napisów krzyże, nie ma też żadnej ozdoby z kwiatów.

Trzeba tu nadmienić, że komuś takiemu jak ja trudno znaleźć odpowiedź na te skargi. Często również człowiek czuje się bezradny, kiedy pada pytanie o liczbę ofiar bitwy. Długo mówiło się, że każda ze stron musiała opłakiwać trzysta pięćdziesiąt tysięcy poległych. Mówienie o milionie ofiar na trzydziestu pięciu kilometrach kwadratowych my uważamy jednak za przesadę. W zaciekłych watkach o fort Douaumont i fort Vaux, pod Fleury, na Wzgórzu 304 oraz na „Zimnej Ziemi” (Froideterre), której nazwa mówi coś niecoś o gliniastej i jałowej glebie całego poboju pod Verdun, oddało życie łącznie chyba tylko pół miliona ludzi – w głównych miejscach bitwy mniej więcej siedmiu, ośmiu zabitych na metr kwadratowy. W kołach wojskowych używano przecież powszechnie pojęcia „wojna na wyniszczenie”.

Ale bez względu na to, jak wysokie były straty, nasz kanclerz i prezydent Francji ustanowili znak, ważniejszy od wszelkich obliczeń, stając z dłonią w dłoni przed Kostnicą (Ossuaire). Aczkolwiek ktoś taki jak ja należał do poszerzonej delegacji, w której znalazło się także miejsce dla Ernsta Jüngera, sędziwego pisarza i świadka jakże bezsensownego poświęcenia, obu mężów stanu widziało się tylko od tyłu.

Później posadzili wspólnie jaworowy klon, wobec czego przedtem trzeba było się upewnić, że ten symboliczny akt nie odbędzie się na wciąż jeszcze zaminowanym terenie. Ta część programu ogólnie się podobała. Natomiast odbywające się równocześnie w niedalekiej okolicy manewry niemiecko-francuskie spotkały się z bardzo niewielkim uznaniem. Nasze czołgi na drogach Francji i nasze tornada w locie koszącym nad Verdun: na to w tym kraju patrzy się niechętnym okiem. Na pewno byłoby sensowniej i owocniej, gdyby – zamiast manewrów – nasz kanclerz poszedł jednym z oznakowanych szlaków wędrówek, choćby do resztek owego schronu, który nosi nazwę „Czterech Kominów” (Abri de Quatre Cheminees), a o który 23 czerwca 1916 pułki bawarskie i francuscy strzelcy alpejscy walczyli zażarcie i krwawo. Przebywanie kanclerza w zadumie bez oglądania się na wszelką symbolikę, w miarę możliwości poza protokołem, byłoby w tym miejscu jak najbardziej wskazane.

1985

Moje Drogie Dziecko, chciałabyś wiedzieć, jak mi się żyło w osiemdziesiątych latach, ponieważ tego rodzaju osobiste informacje są ważne dla Twojej pracy magisterskiej, która będzie się nazywała „Dzień powszedni seniorów”. Chętnie Ci pomogę. Teraz wszakże piszesz mi, że chodzi przy tym też o „niedobory konsumpcyjne”. Na ten temat niewiele Ci powiem, bo Twoja babcia nie może się specjalnie uskarżać. Prócz dziadka, najdroższego człowieka pod słońcem, którego nikt nie zastąpi, niczego mi nie brakuje. Z początku, jak byłam jeszcze dobra w

nogach, pomagałam na pół etatu w pralni ekspresowej po sąsiedzku i nawet działałam w kościelnej gminie. Ale jeśli pytasz mnie o moje wolne chwile, to mówiąc szczerze muszę przyznać, że osiemdziesiąte lata częściowo zmitrężyłam, częściowo spędziłam całkiem przyjemnie siedząc przed telewizorem. W szczególności odkąd nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa, mało wychodziłam z domu, a za życiem towarzyskim, takim czy innym, nigdy nie przepadałam, co mogą Ci potwierdzić Twoi ukochani rodzice.

A poza tym to niewiele się działo. W polityce, o którą kilka razy pytasz, to w ogóle nic. Jak zwykle tylko obietniki cacanki. Co do tego zawsze się zgadzałam z moją sąsiadką, panią Scholz. Ona zresztą przez te wszystkie lata rozczulajaco się o mnie troszczyła, i to, jak szczerze muszę przyznać, bardziej niż własne dzieci, Twojego ukochanego ojca niestety nie wyłączając. Tylko na pani Scholz można było polegać. Czasem, jak miała na pocztce ranną zmianę, to przychodziła już po południu i przynosiła domowe wypieki. Wtedy dogadzałyśmy sobie i często do wieczora oglądałyśmy wszystko jak leci. Doskonale pamiętam „Dallas” i „Klinikę w Schwarzwaldzie”. Ilzie Scholz to podobał się ten profesor Brinkmann, mnie mniej. Ale kiedy potem, gdzieś od połowy osiemdziesiątych lat, zaczęła iść, i wciąż jeszcze idzie, „Lindenstrasse”, powiedziałam jej: -To jest coś innego. To jest jak z życia wzięte. I to takiego, co się normalnie toczy. To ciągle zamieszanie, raz wesołe, raz smutne, z kłótniami i godzeniem się, ale też z kłopotami i zmartwieniami, jak to i u nas bywa przy Gütermannstrasse, nawet jeśli Bielefeld to nie Monachium, a knajpę na rogu już od lat całkiem przyzwoicie prowadzi nie Grek, tylko włoska rodzina. Ale stróżka u nas jest tak samo kłótniwa jak Elza Kling przy Lindenstrasse pod trzecim. Bez przerwy nalatuje na swego męża i naprawdę ma niewyparzony ozór. Za to matka Beimer jest uosobieniem dobroci. Zawsze ma uszy otwarte na problemy innych ludzi, prawie jak moja sąsiadka, pani Scholz, której przecież dzieci przysparzają dość utrapień, a córka Jasmin, podobnie jak Marion od Beimerów, kręci dość problematyczny romans z cudzoziemcem.

W każdym razie myśmy trzymały rękę na pulsie od początku, jak serial ruszył, zdaje się, w grudniu. Już w bożonarodzeniowym odcinku doszło do scysji między Henny a Franzem z powodu marnej choinki. Ale oni się potem pogodzili. A u Beimerów na Wigilię było co prawda smutno, bo Marion chciała koniecznie jechać ze swoim Wasylm do Grecji, ale potem Hans Beimer przyprowadził dwoje osieroconych dzieci. A ponieważ zaproszony został też samotny Wietnamczyk Gung, zrobiła się z tego uroczystość jak się patrzy.

Czasem, jak oglądałam z panią Scholz „Lindenstrasse”, przypominały mi się moje dawne małżeńskie lata, kiedy w gospodzie, w której już wtedy chodził telewizor, oglądałam z Twoim dziadkiem serial „Rodzina Schólermannów”. Naturalnie tylko na czarno-biało. Musiało to być w połowie pięćdziesiątych lat.

Ale przecież Ty do tej swojej pracy magisterskiej chciałaś wiedzieć, co jeszcze poza tym w osiemdziesiątych latach było ciekawego. Racja, akurat w tym roku, jak Marion od pani Beimer bardzo późno z rozbitą głową wróciła do domu, już wcześniej zaczął się teatr z Borysem i Steffi. Normalnie to nie ciągnie mnie do tenisa, tego przebijania to w tę, to we w tę, ale patrzeć tośmy patrzyły, często godzinami, kiedy brühlerka i leimeńczyk, jak się o nich mówiło, zdobywali coraz cenniejsze laury. Pani Scholz wkrótce zorientowała się, jak to szło z serwisem i returnem. Ja nie mogłam zrozumieć, co znaczy tie-break, i dlatego często musiałam pytać. A kiedy odbywał się Wimbledon i nasz Borys wygrał z jednym

takim z Południowej Afryki, a po roku jeszcze raz z Czechem Lendlem, którego wszyscy uważali za niezwyciężonego, to ja szczerze mówiąc drżałam o mojego Bobbele, który miał dopiero siedemnaście lat. Trzymałam za niego kciuki. A jak potem w osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy w polityce coś się wreszcie zaczęło dziać, jeszcze raz po trzech setach odniósł w Wimbledonie zwycięstwo, mianowicie nad Szwedem Edbergiem, to szczerze mówiąc popłakałam się i moja droga sąsiadka też.

Do Steffi, którą pani Scholz zawsze nazywała „panną Forhand”, nigdy nie mogłam nabrać przekonania, a już tym bardziej do jej ojca, tego oszusta podatkowego mającego na koncie brudne sprawy. Ale mój Bobbele to nie dał się wykoślawić, potrafił stanąć okoniem i nieraz bluznął, aż w pięty poszło. Tylko nie podobało się nam, że nie chciał płacić podatków i z tego powodu wyemigrował do Monako. „Czy to musi tak być?” – pytałam panią Scholz. A potem, jak już i jemu, i Steffi gorzej szło, zaczął nawet reklamować Nutellę. Co prawda fajnie to wyglądało, jak w telewizji oblizywał nóż i przy tym uśmiechał się po szelmowsku, ale na pewno nie było konieczne, skoro przecież tak czy owak zakosił więcej, niż mógł wydać.

Ale to się zdarzyło już w dziewięćdziesiątych latach, a tymczasem Ty, Moje Drogie Dziecko, chciałaś przecież wiedzieć, co dla mnie liczyło się w osiemdziesiątych. Z Nutellą w każdym razie miałam do czynienia już w sześćdziesiątych latach, kiedy wszystkie nasze dzieci chciały koniecznie do chleba to smarowidło, które dla mnie wygląda jak pasta do butów. Spytaj kiedy swojego ojca, czy jeszcze pamięta, jakie przez to codziennie były przeprawy z jego młodszymi braćmi. Dochodziło u nas do głośnych awantur, z trzaskaniem drzwiami i takimi tam. Prawie jak w „Lindenstrasse”, która wciąż jeszcze leci...

1986

My, mieszkańcy Górnego Palatynatu, jak mówią, rzadko się stawiamy, ale tego było za wiele. Najpierw Wackersdorf, gdzie chcieli utylizować to diabelstwo, a potem jeszcze zwałił się na nas Czernobyl. Aż do maja chmura rozciągała się nad całą

Bawarią. Także nad Frankonią i gdzie tam jeszcze, tylko na północy mniejsza. Ale na zachodzie, tak w każdym razie mówią Francuzi, podobno zatrzymała się na granicy.

Prawda była, kto w to uwierzy! Zawsze znajdują się tacy, co liczą na świętego Floriana. U nas jednak w Ambergu sędzia Sądu Okręgowego cały czas był przeciwko ZU, który to skrót oznaczał Zakłady Utylizacji. Dlatego młodym chłopakom, co biwakowali pod ogrodzeniem Utylizacji i hałasowali waląc w nie żelaznymi prętami – co w gazetach nazwano „trąbami jerychońskimi” – przynosił w niedzielę porządne kanapki, wskutek czego ten Beckstein z Sądu Krajowego, który od dawna był bezwzględny draniem i dzięki temu został później ministrem spraw wewnętrznych, napadł na niego sposób podły i uwłaczający: „Ludzi takich jak sędzia Wilhelm należy egzystencjalnie unicestwić”.

A wszystko przez Wackersdorf. Ja także tam poszedłem. Ale dopiero jak nadciągnęła chmura z Czernobyla i zaległa nad Górnym Palatynatem i pięknym Lasem Bawarskim. Poszliśmy tam mianowicie całą rodziną. Na swoje stare lata, mówiono, ja właściwie nie powinienem się tak bardzo przejmować, ale że jesienią, co jest u nas tradycją, od niepamiętnych czasów chodziliśmy na grzyby, nakazem chwili było: mieć się na baczności!, mało tego: bić na alarm! A ponieważ to diabelstwo, które nazywa się cez, spadało z drzew niczym deszcz i okropnie skaziło radioaktywnością podszycie, obojętnie, czy to mech, listowie czy igły, ja też się przebudziłem i z żelaznym prętem ruszyłem na ogrodzenie, chociaż wszyscy moi wnukowie wołali: – Daj spokój, dziadku, to nie dla ciebie!

Pewnie mieli rację. Bo raz, jak wmieszałem się między tych wszystkich młodych ludzi i wołaliśmy: – Truciciele, truciciele! – ścięła mnie z nóg armatka wodna, przysłana specjalnie przez panów z Ratzbony. A w wodzie był tak zwany środek drażniący, paskudna trucizna, nawet jeśli nie taka szkodliwa jak ten cez, który skapywał z czernobylskiej chmury na nasze grzyby i teraz pozostanie na długo.

Dlatego później w Lesie Bawarskim i w lasach wokół Wackersdorfu przebadano wszystkie grzyby, nie tylko jadalne, jak smaczna czubajka kania i purchawka chropowata, bo dzika zwierzyna zżera także najróżniejsze gołąbki, których my nie bierzemy do ust, i w ten sposób się zatręła. Nam, którzy mimo to chcieliśmy iść na grzyby, pokazano tabele, z których wynikało, że podgrzybek brunatny, który pojawia się w październiku i jest nadzwyczaj smakowity, wchłonął najwięcej skoncentrowanego cezu. Najmniej dostało się chyba opieńce miodowej, ponieważ wyrasta ona nie z leśnego gruntu, lecz jako grzyb pasożytniczy z pniaków drzew. Oszczędzony został także czernidłak kołpakowaty, który za młodu ma dobry smak. Ale ciężko skażone, powiadam, są jeszcze tego roku podgrzybki zajączki, podgrzybki złotawe, rydze, które lubią rosnać pod młodymi drzewami iglastymi, nawet koźlarz babka, mniej koźlarz pomarańczowożółty, ale niestety w najwyższym stopniu

Cantharelle zwane kurkami, a gdzie indziej pieprznikami. Mocno poszkodowany wyszedł z opresji prawdziwek, którego nazywają także borowikiem i który, jeśli się go znajdzie, jest prawdziwym błogosławieństwem Bożym.

Ano, z Wackersdorfu na koniec nic nie wyszło, ponieważ panowie z przemysłu atomowego taniej utylizują swoje diabelstwo we Francji i nie mają tam takiego ambarasu jak w Górnym Palatynacie. Teraz znów panuje tu spokój. I nawet o Czernobylu i chmurze, która nad nas nadciągnęła, nikt już nie mówi. Ale moja rodzina, wszystkie wnuki, nigdy nie chodzi na grzyby, co jest zrozumiałe, nawet jeśli w ten sposób kończy się nasza rodzinna tradycja.

Ja jeszcze chodzę. Tam, gdzie mnie dzieci upchnęły w domu starców, jest dokoła dużo lasu. Zbieram w nim, co znajdę: kolczaki obłączaste i pierścieniaki wybujałe, prawdziwki już latem, a kiedy przyjdzie październik, podgrzybki brunatne. Smażę je w mojej malusieńkiej kuchni dla siebie i kilku innych starców z naszego domu, którzy nie są już tacy dobrzy w nogach. Wszyscy dawno przekroczyli siedemdziesiątkę. Co nam ma zaszkodzić, mówimy sobie, skoro nasze dni i tak są policzone.

1987

Co mieliśmy do roboty w Kalkucie? Co mnie tam ciągnęło? Zostawiwszy za sobą „Szczurzycę” i obrzydzenie do niemieckich szlachtunków rysowałem góry śmieci, śpiących na ulicach, boginię Kali, jak ze wstydu pokazuje język, widziałem wrony na stertach kokosowych łupin, odbłask Imperium w porośniętych zielono ruinach i jako że wszystko tak niehumanie cuchnęło, na razie nie znajdowałem słów. Aż raz przyśniło mi się...

Lecz zanim przyśniło mi się tak brzemienne w skutki, zrodziła się, co tu kryć, dręcząca zazdrość, bo Ute, która zawsze czyta dużo i to różności, dopóki coraz bardziej chudnąc i chudnąc wytrzymywała Kalkutę, czytała jednego Fontanego za drugim; w bagażu, jako przeciwwagę dla indyjskiej codzienności, mieliśmy przecież dużo książek. Ale dlaczego czytała tylko jego, hugenockiego Prusaka? Dlaczego tak namiętnie i pod włączonym wentylatorem tego gawędziarskiego kronikarza Marchii Brandenburskiej? Dlaczego pod bengalskim niebem i dlaczego w ogóle Theodora Fontanego? Aż raz przyśniło mi się w południe...

Zanim jednak puszczę szpulę z tym snem, trzeba powiedzieć, że nie miałem nic, absolutnie nic przeciwko pisarzowi Fontanemu i jego powieściom. Przypominałem sobie kilka jego dzieł czytanych z opóźnieniem: Effi na huśtawce, przejażdżki łódką po Haweli, spacer z panią Jenny Treibel nad Halensee, letniska w Harcu... Lecz Ute znała wszystko, powiedzenia każdego pastora, przyczyny każdego pożaru, czy to płomienie trawiły Tangermünde, czy w „Bezpowrotnie” buchały z tłącego się ognia.

Nawet mimo ciągłych wyłączeń prądu i pod milczącym wentylatorem, podczas gdy Kalkuta pogrążała się w ciemnościach, przy świecy czytała jeszcze raz „Lata dzieciństwa” i chroniła się, na przekór Zachodniemu Bengalowi, na świnoujskie nabrzeże albo uciekała mi na pomorskie plaże nad Bałtykiem.

W południe, podczas gdy leżałem pod moskitierą, przyśniło mi się coś chłodno północnego. Z okna mojej pracowni na poddaszu w Wewelsfleth patrzyłem na ogród ocieniony przez owocowe drzewa. Co prawda opowiadałem ten sen już często i przed zmieniającą się publicznością, ale nieraz zapominałem przy tym nadmienić, że wioska Wewelsfleth leży w Szlezwiku-Holsztynie nad Stör, dopływem Łaby. Zatem we śnie widziałem nasz holsztyński ogród, a w nim obficie owocującą gruszę, pod której cienistym dachem przy okrągłym stole siedziała Ute naprzeciwko jakiegoś mężczyzny.

Wiem, bardzo ciężko opowiada się sny – zwłaszcza takie, które śnią się człowiekowi zlanemu potem pod moskitierą: wszystko wypada zbyt racjonalnie. Ale tego snu nie mały drugorzędne wątki, nie migotał w nim, jak w snach bywa, drugi czy trzeci film, ten sen przebiegał linearnie, a mimo to był brzemienisty w skutki, ponieważ ów mężczyzna, z którym Ute gawędząc siedziała pod gruszą, wydał mi się znajomy: białowłosy pan, z którym gawędziła i gawędziła coraz bardziej przy tym piękniejąc.

W porze monsunu wilgotność powietrza w Kalkucie wynosi dziewięćdziesiąt osiem procent. Nic zatem dziwnego, że pod moskitierą, poruszaną, jeśli w ogóle, to ledwie, ledwie przez wentylator, przyśniło mi się coś chłodno północnego. Ale czy starszy pan, który uśmiechając się gawędził poufale z Ute pod gruszą i na którego białych włosach igrały promienie słońca, musiał koniecznie być podobny do Theodora Fontanego?

To był on. Ute go poderwała. Zaczęła romansować z moim sławnym kolegą, który dopiero w starszym wieku pisał jedną powieść po drugiej; a w kilku jego powieściach rzecz szła o zdradę małżeńską. Ja w tej historii ze snu dotychczas nie występowałem albo występowałem jedynie w roli widza z daleka. Tych dwoje wystarczało sobie. Dlatego teraz śniło mi się, że jestem zazdrosny. To znaczy mądrość lub przebiegłość kazała mi ukrywać kielkującą zazdrość, postępować rozważnie lub chytrze, chwycić zatem stojące w pobliżu krzesło, zejść z nim na dół i w ogrodzie przysiąc się w przyjemnie chłodnym cieniu gruszy do wyśniewanej pary, do Ute i jej Fontanego.

Odtąd – a opowiadając ten sen mówię to zawsze – pędzimy życie małżeńskie we troje. Ta dwójka już się mnie nie pozbyła. Ute nawet podobało się to rozwiązanie, a ja coraz bliżej zaznajamiałem się z Fontanem, ba, zacząłem, jeszcze w Kalkucie, czytać wszystko, co wyszło spod jego pióra, a było dostępne, na przykład jego listy do Anglika nazwiskiem Morris, w których wykazał się znajomością polityki

międzynarodowej. Przy okazji wspólnej jazdy riksą do centrum miasta – Writers Building – wypytywałem go w związku z tym, co sądzi o konsekwencjach brytyjskich rządów kolonialnych i podziału Bengalu na Bangladesz i Bengal Zachodni. Byłem tego samego zdania co on: Tego podziału nie można chyba porównywać z obecnym podziałem Niemiec, a o zjednoczeniu Bengalu raczej nie ma co myśleć. A kiedy później okrężnymi drogami wróciliśmy do Wewelsfleth nad Stör, dobrowolnie zabrałem go ze sobą, to znaczy przyzwyczałem się do niego jako zajmującego, czasem humorzastego domownika, występowałem obecnie jako entuzjasta Fontanego i uwolniłem się od niego dopiero, gdy w Berlinie i gdzie indziej historia okazała się przeżuwaczką tego, co było, i za przyjaznym pozwoleniem Ute mogłem wziąć go za słowo wpisując dalszy ciąg jego egzystencji życiowego bankruta w nasze dobiegające końca stulecie. Odkąd – uwięziony w powieści „Rozległe pole” – żyje dla nieśmiertelności, już nie udaje mu się wdzierać w moje sny, zwłaszcza że jako Fonty pod koniec książki, za namową młodego stworzenia, dał nura w Sewenny, między ostatnich ocalałych tam hugenotów...

1988

...ale przedtem, w roku poprzedzającym upadek muru i powszechną ogromną radość, po której przyszła wzajemna obcość, zacząłem rysować rzucające się nieodparcie w oczy zwalone sosny, wyrwane z korzeniami buki, martwe drzewa. Już od kilku lat była mowa o „umieraniu lasów”. Ekspertyzy pociągały za sobą kontrekspertyzy. Znow, jako że spaliny samochodowe szkodzą lasom, bez powodzenia domagano się ograniczenia prędkości do setki. Uczyłem się nowych słów: kwaśny deszcz, lękopędy, korzeniognilność, brunatnienie igieł... A rząd wydawał co roku raport o szkodach leśnych, który później nosił, mniej niepokojącą, nazwę raportu o stanie lasów.

Ponieważ wierzę tylko w to, co da się narysować, pojechałem z Getyngi do Górnego Harcu, zagnieździłem się tam w prawie pustym hotelu dla letników i narciarzy i syberyjskim węglem – produktem drzewnym – rysowałem to, co poprzewracało się na zboczach i górskich grzbietach. Tam, gdzie leśnicy usunęli już szkody, uprzętnęli zwalone drzewa, pozostały jeden przy drugim pniaki z korzeniami, które w rozluźnionym cmentarnym porządku zajmowały wielkie połacie. Doszedłem do tablic ostrzegawczych i zobaczyłem, że umieranie lasów szerzyło się tutaj nie zważając na granicę, że po cichu i bez jednego wystrzału pokonało płot z drutu kolczastego, zaminowany pas śmierci, „żelazną kurtynę” dzielącą nie tylko średnie góry Harcu, lecz całe Niemcy, mało tego: Europę. Ogołoczone góry odsłaniały widok na tamtą stronę.

Nie spotkałem nikogo, ani czarownic, ani samotnego węglarza. Nic się nie działo.

Wszystko już się wydarzyło. Na tę podróż do Harcu nie przygotowała mnie lektura Goethego, Heinego. Moim jedynym materiałem były: ziarnisty papier rysunkowy, pudełko krzywych pałeczek węgla i dwie puszki fiksatywu, który – jak głosiła instrukcja – miał się obywać całkowicie bez niezdrowego gazu napędowego i być nieszkodliwy dla środowiska.

I tak wyposażony nieco później – ale wciąż jeszcze za czasów rozkazu strzelania – pojechałem z Ute do Drezna, skąd dostaliśmy pisemne zaproszenie pomocne do uzyskania wizy wjazdowej. Nasi gospodarze, poważny malarz i wesola tancerka, dali nam klucz do wygodnej chaty w Rudawach. Niedaleko czeskiej granicy zacząłem zaraz – jak gdybym nie widział dosyć – rysować umierający i tam las. Na zboczach drzewa leżały jedne na drugich, tak jak upadły. Na górskich grzbietach wiatry połamały obumarłe pnie na chłopa wysoko. Tutaj też nic się nie działo, jeśli nie liczyć faktu, że w chacie malarza Cöschela z Drezna rozmnożyły się myszy. Poza tym jednak wszystko już się wydarzyło. Spaliny i osadzające się na dużej przestrzeni wyziewy będących własnością państwa okręgów zagłębi przemysłowych wykonały całą pracę po obu stronach granicy. Podczas gdy ja pokrywałem rysunkami arkusz za arkuszem, Ute czytała, tylko już nie Fontanego.

W rok później na plakatach i transparentach demonstrujących obywateli w Lipsku i gdzie indziej można było przeczytać: „Wykopcie waźniaków, nie dajcie drzew i krzaków”. Ale jeszcze ten moment nie nadszedł. Jeszcze państwo z trudem trzymało swoich obywateli w garści. Jeszcze szkody przekraczające granice wyglądały na trwałe.

Właściwie okolica nam się podobała. Domy we wsiach Rudaw były kryte gontami. Tutaj bieda osiadła na długo. Wsie nazywały się Fürstenau, Gottgetreu i Hemmschuh. Przez pobliską miejscowość Zinnwald biegła trasa tranzytowa do Pragi. Tą drogą uczęszczaną nie tylko przez turystów dwadzieścia lat temu, w pewien sierpniowy dzień, jechały zmotoryzowane jednostki Narodowej Armii Ludowej wypełniając otrzymany rozkaz wymarszu; a pięćdziesiąt lat temu, w październikowy dzień roku 1938, w tym samym kierunku ruszyły jednostki niemieckiego Wehrmachtu, tak że Czesi muszą wspominać raz za razem. Recydywa. Przemoc w podwójnym opakowaniu. Historia lubi takie powtórzenia, nawet jeśli wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej; na przykład rosły jeszcze lasy...

1989

Kiedy wracając z Berlina wjechaliśmy na Ziemię Lauenburską, z opóźnieniem, bo słuchamy wyłącznie Trzeciego Programu, dotarła do nas ta wiadomość z samochodowego radia, po czym ja, jak wiele tysięcy innych, zawołałem prawdopodobnie: – Oblęd! – z radości i strachu: – To przecież oblęd! – a następnie,

jak Ute, która siedziała przy kierownicy, zatraciłem się w myślach wybiegających naprzód i podążających wstecz. A do znajomego, który miał mieszkanie i miejsce pracy po drugiej stronie muru zawiadując w archiwum Akademii Sztuk, przedtem jak i obecnie, literacką spuścizną, dobra nowina doszła również z poślizgiem, niejako z opóźnionym zapłonem.

Podług jego relacji wracał spocony z joggingu we Friedrichshain. Nic nadzwyczajnego, bo z biegiem czasu to samoumartwienie się amerykańskiego pochodzenia było znane także wschodnim berlińczykom. Na skrzyżowaniu Käthe-Niederkirchner-Strasse i Bótzow-strasse spotkał znajomego, którego bieganie również przyprawiło o zadyszkę i siódme poty. Jeszcze drepcząc w miejscu umówili się na wieczorne piwo i siedzieli potem w obszernej bawialni znajomego, który miał zapewnioną pracę w sferze, jak to się mówiło, „produkcji materialnej”, w związku z czym mojego znajomego nie zdziwiło, że w mieszkaniu swojego znajomego ujrzał świeżo położony parkiet; dla niego, który w archiwum tylko przekładał papiery i co najwyżej był odpowiedzialny za przypisy, taka inwestycja byłaby nieosiągalna.

Wypili pilznera, potem jeszcze jednego. Później na stole pojawiła się żytniówka z Nordhausen. Rozmawiali o dawnych czasach, o dorastających dzieciach i barierach ideologicznych na zebraniach rodzicielskich. Mój znajomy, który pochodzi z Rudaw, gdzie ja w zeszłym roku rysowałem martwe drzewa na górskich grzbietach, chciał, jak powiedział swojemu znajomemu, nadchodzącej zimy pojechać tam z żoną na narty, miał jednak problemy ze swoim Wartburgiem, którego przednie i tylne opony były pościerane niemal na łyso. Teraz miał nadzieję, że przez swego znajomego dochrapie się nowych opon zimowych: kto w realnie istniejącym socjalizmie może sobie prywatnie położyć parkiet, ten wie także, jak dopaść do specjalnych opon z oznakowaniem „B + Ś”, co miało znaczyć „Błoto i Śnieg”.

Podczas gdy my, już z radosną wieścią w sercu, zbliżaliśmy się do Behlendorfu, w tak zwanym „pokoju berlińskim” znajomego mojego znajomego szedł telewizor z dźwiękiem przykręconym prawie do zera. I podczas gdy obaj przy żytniówce i piwie gawędzili jeszcze o problemie opon i właściciel parkietu wyraził opinię, że do nowych gum w zasadzie można dopaść tylko za „prawdziwe pieniądze”, zaofiarował się jednak, że skombinuje dysze do wartburgowego gaźnika, nie czyniąc wszakże nadziei na cokolwiek innego, mój znajomy rzuciwszy na krótko okiem w kierunku niemego ekranu zwrócił uwagę, że najwidoczniej szedł tam film, w którym młodzi ludzie zgodnie z wymogami akcji wdrapywali się na mur, siedzieli okrakiem na jego górnym zgrubieniu, a policja graniczna beczynnienie przyglądała się tym zabawom. Reagując na takie lekceważenie szanśca ochronnego znajomy mojego znajomego powiedział: – Typowy Zachód! – Potem obaj komentowali nadawane bezguście – to na pewno jakiś zimnowojenny film – i wkrótce byli znowu przy nieszczęsnych letnich i brakujących zimowych oponach. O archiwum i leżącej tam spuściznie bardziej czy

mniej wybitnych autorów nie było mowy.

Podczas gdy my żyliśmy już ze świadomością nadchodzących czasów bez muru i – zaraz po wejściu do domu – włączyliśmy telewizor, po tamtej stronie mur trwał jeszcze chwilę, aż wreszcie znajomy mojego znajomego zrobił parę kroków po świeżo ułożonym parkiecie i podkręcił dźwięk telewizora. Od tego momentu już ani słowa o zimowych oponach. Ten problem pewnie rozwiąże nowa era, „prawdziwy pieniądz”. Już tylko łyknąć resztkę żytniówki, potem w drogę do Invalidenstrasse, gdzie już stały w korku samochody – więcej trabantów niż Wartburgów – bo wszyscy chcieli dostać się na przejście graniczne, które cudownym zrządzeniem stało otworem. A kto dobrze słuchał, temu obito się o uszy, że każdy, prawie każdy z tych, co na piechotę albo trabanciną chcieli dostać się na Zachód, wołał lub szeptał: – Obłąd! – jak ja na krótko przed Behlendorfem zawołałem: – Obłąd! – potem jednak poddałem się gonitwie myśli.

Zapomniałem spytać mojego znajomego, jak, kiedy i za które pieniądze doszedł wreszcie do zimowych opon. Rad byłbym też wiedzieć, czy z żoną, która w czasach NRD odnosiła sukcesy w łyżwiarstwie szybkim, spędził w Rudawach sylwestrową noc z osiemdziesiątego dziewiątego na dziewięćdziesiąty. Bo przecież życie jakoś tam toczyło się dalej.

1990

Spotkaliśmy się w Lipsku nie tylko po to, żeby asystować przy liczeniu głosów. Jakob i Leonora Suhlowie przyjechali z Portugalii i stanęli w hotelu Merkur niedaleko dworca. Ute i ja, przybywając ze Stralsundu, zatrzymaliśmy się na przedmieściu Wiederitzsch u drogisty, którego znałem z lipskiego Okrągłego Stołu. Popołudnie spędziliśmy chodząc śladami Jakoba. Wyrastał w robotniczej dzielnicy, która dawniej nazywała się Oetzsch, a teraz nosi nazwę Markkleeberg. Najpierw z jego młodszymi braćmi wyemigrował do Ameryki ojciec, Abraham Suhl, który jako nauczyciel w Gimnazjum Żydowskim uczył niemieckiego i jidysz. W trzydziestym ósmym podążył za nim piętnastoletni Jakob. Tylko matka, z powodu rozbitego małżeństwa, została w Oetzsch, aż i ona musiała uciekać do Polski, na Litwę, Łotwę, gdzie pod koniec lata czterdziestego pierwszego została doścignięta przez niemiecki Wehrmacht i – jak to później określono – zastrzelona przez strażników w czasie ucieczki. Jej mężowi i synom nie udało się zdobyć dość pieniędzy na wizę wjazdową do Stanów Zjednoczonych Ameryki, ostatnią nadzieję żony, matki. Jakob nieraz, zacinając się, mówił o tych daremnych wysiłkach.

Chociaż nogi nie bardzo już mu dopisywały, nieznużenie pokazywał nam czynszową kamienicę, podwórko, na którym suszyła się bielizna, swoją szkołę i przy bocznej ulicy halę gimnastyczną. Na podwórku odbyło się spotkanie po latach z trzepakiem.

Uradowany Jakob raz po raz wskazywał na ten relikwiarz swojej młodości. Przechylał głowę, zamykał oczy, jakby nasłuchując regularnych uderzeń, jakby podwórko wciąż jeszcze żyło. I chciał, żeby Leonora sfotografowała go pod niebieską emaliowaną tabliczką, na której można było przeczytać datowaną 1 maja 1982 urzędową pochwałą: „Wzorowa wspólnota lokatorska miasta Markkleeberg”. Ustawił się również przed niebieskimi, niestety zamkniętymi na klucz drzwiami do hali gimnastycznej, nad którymi z niszy surowo spoglądało w dal popiersie ojca gimnastyki Jahna, który stworzył młodoniemiecki ruch gimnastyczny. – Nie – powiedział Jakob – z bogatymi Żydami ze śródmieścia, co paradowali w futrach, myśmy nie mieli nic wspólnego. Tutaj wszyscy, Żydzi czy nie-Żydzi, nawet naziści, to byli tylko drobni urzędnicy i robotnicy. – Potem chciał iść, miał już dość.

Klęskę wyborczą przeżyliśmy w „Domu Demokracji”, który znaleźliśmy, w towarzystwie młodego technika budowlanego, przy Bernhard-Görling-Strasse. Tam od niedawna miały swoje biura ruchy obywatelskie. Najpierw byliśmy z Zielonymi, potem z Sojuszem 90. I tu, i tam przed aparatami telewizyjnymi stali, siedzieli, kucali młodzi ludzie. Także tutaj Leonora robiła zdjęcia, na których po dziś dzień zaznacza się milczenie i przerażenie wobec pierwszej prognozy wyników. Młoda kobieta zasłoniła twarz. Wszyscy widzieli, że CDU odniesie miażdżące zwycięstwo. – No cóż – powiedział Jakob – tak to już bywa w demokracji.

Nazajutrz przed bocznym wejściem do kościoła Świętego Mikołaja, skąd jesienią zeszłego roku wyruszały poniedziałkowe demonstracje, zobaczyliśmy naklejoną na płocie z falistej blachy ulotkę, która niebieskim obramowaniem i niebieskim pismem imitowała, tabliczkę z nazwą ulicy. Przeczytaliśmy: „Plac Oszukanych”. A pod spodem małymi literami: „Pozdrowienia od dzieci Października. Tak, my jeszcze istniejemy”.

Zanim pożegnaliśmy się z naszym drogistą, który głosował na chrześcijańską demokrację – No, ze względu na kochane pieniądze. Już teraz żałuję... – on z wylewną dumą obrotnego nawet w socjalizmie Saksończyka pokazał nam dom z basenem i ogrodem. Obok malutkiego stawu zobaczyliśmy półtorametrowej wysokości głowę Goethego z brązu, którą nasz gospodarz, na krótko przed planowanym przetopieniem ogromnej czachy poety, wymienił za większą partię miedzianego drutu. Podziwialiśmy w ogrodzie kandelabr, który zostałby sprzedany za dewizy do Holandii, gdyby naszemu drogiście nie spodobało się odkurzyć ten egzemplarz czy, jak powiedział, „uchronić”. Podobnie uchronił i postawił w swoim ogrodzie dwie labradorowe kolumny i porfirową misę z cmentarza, któremu groziła likwidacja. I wszędzie znajdowały się wykute w kamieniu albo odlane z żelaza ławki do posiedzenia, z których jednak on, nigdy nie siadając, mały miał pożytek.

Potem nasz drogistą, który mimo socjalizmu utrzymał samodzielną pozycję,

zaprowadził nas na kryty basen; miał on być ogrzewany od kwietnia przez kolektory słoneczne. Ale bardziej niż te uzyskane przez handel wymienny zachodnie wyroby zaskoczyły nas ponad-naturalnej wielkości figury z piaskowca przedstawiające Jezusa Chrystusa i sześciu apostołów, wśród nich ewangelistów. Usłyszeliśmy zapewnienie, że w ostatniej chwili udało mu się uratować te rzeźby, mianowicie zanim kościół Świętego Marka, jak inne lipskie kościoły, został zniszczony przez, jak powiedział, „komunistycznych barbarzyńców”. Teraz Chrystus, wyrzeźbiony według upodobań schyłku dziewiętnastego wieku, z kilkoma swymi apostołami stał półkolem wokół lśniącego turkusowo basenu i błogosławił dwa roboty (produkcji japońskiej) czyszczące skrzętnie kaflowe ściany, błogosławił także nas, którzy przyjechaliśmy do Lipska, żeby 18 marca dać się otrzeźwić pierwszym wolnym wyborom do Izby Ludowej, błogosławił być może nadchodzącą jedność i błogosławiąc stał pod dachem, którego konstrukcja opierała się na smukłych, jak oznajmił drogista, „doryckich kolumnach”. – Tutaj – powiedział – krzyżują się elementy hellenistyczne i chrześcijańskie z saksońskim zmysłem praktycznym.

W drodze powrotnej, wzdłuż winnic nad Unstrut, przez Mühlhausen w stronę granicy, Jakob Suhl spał, wyczerpany swoim powrotem do Lipska-Oetzsch. Dostyc zobaczyć.

1991

–Zabitych się nie widzi. Tylko niepewne koordynaty i trafienia, rzekomo celne. To idzie jak z płatka...

–Jasne, ponieważ CNN ma prawa telewizyjne do tej wojny i już teraz do jutrzejszej i pojutrzejszej...

–Ale widzi się płonące pola naftowe...

–Ponieważ chodzi o ropę, tylko o ropę...

–To wiedzą wszędzie nawet dzieciaki na ulicach. Całe szkoły opustoszały i jazda, przeważnie bez nauczycieli, w Hamburgu, Berlinie, Hanowerze...

–Nawet w Schwerinie i Rostocku. I to ze świecami, bo dwa lata temu to u nas wszędzie...

–... podczas gdy my tutaj w dalszym ciągu gędzimy o sześćdziesiątym ósmym, jakżeśmy wtedy twardo przeciwko wojnie w Wietnamie, przeciwko napalmowi i, i, i...

–... ale dzisiaj nie ruszymy tyłka, podczas gdy dzieciak na ulicy...

–Nie daje się porównać. Myśmy przynajmniej mieli perspektywę i rewolucyjną myśl, tymczasem oni tylko z tymi świecami...

–Ale Saddama porównywać z Hitlerem to można, co? Obu sprowadzić do wspólnego mianownika i już każdy wie, co jest dobre, co złe.

–No cóż, to było chyba pomyślane raczej metaforycznie, ale trzeba było pertraktować, dużo dłużej pertraktować i bojkotem gospodarczym wywierać presję jak w Południowej Afryce, bo wojną...

–A jaka to wojna? Pokazówka starannie zaaranżowana przez CNN i Pentagon, serwowana przeciętnemu zjadaczowi chleba na telewizyjnym ekranie, wygląda jak fajerwerk, specjalnie zainscenizowany do bawialni. Sama schludność, żadnych zabitych. Ogląda się jak science fiction i chrupie przy tym słone paluszki.

–Ale widzi się płonące pola naftowe i jak rakiety spadają na Izrael, tak że ludzie teraz w piwnicy w maskach przeciwgazowych...

–A kto latami zbroił Saddama przeciwko Iranowi? Właśnie. Amerykańcy i Francuzi...

–... i niemieckie firmy. Proszę, oto długa lista, kto co dostarczył: mnóstwo najprecyzyjniejszego sprzętu, wyposażenie rakiet, całe trucicielskie kuchnie z przepisami...

–... dlatego nawet ten Biermann, którego zawsze miałem za pacyfistę, jest za wojną. Mówi wręcz...

–Nic nie mówi, tylko rzuca gromy na wszystkich, którzy nie podzielają jego zapatrywań...

–... a dzieciaki ze świecami, co są za pokojem, nazywa mazgajami...

–Ponieważ ta dzieciarnia nie ma społecznego celu, nie ma perspektywy i argumentów, podczas gdy myśmy wtedy...

–... więc „Nie chcemy krwi za ropę” coś bądź co bądź mówi...

–Ale za mało. Kiedy myśmy protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie...

–... no, „Ho Ho Ho Szi Min” to też nie był superwstrząsający argument...

–W każdym razie dzieciaki są teraz na ulicach i placach. Doszło jeszcze Monachium, Stuttgart. Ponad pięć tysięcy. Nawet maluchy z przedszkoli doszlusowały. Urządzają marsze milczenia przerywane minutami wrzasku. „Ja się boję! Ja się boję!” krzyczą.

Tego jeszcze nigdy nie było, żeby tutaj, w Niemczech, ktoś całkiem otwarcie się przyznał... Moim zdaniem...

–Zdania są głównie warte! Przyjrzyjcie się tym dzieciakom! Na dole Adidas, na górze Armani. Rozpieszczone bachory, które nagle zaczynają trząść się ze strachu o swoje zwykowne ciuchy, podczas gdy my w sześćdziesiątym ósmym i później, kiedy szło o budowę pasa startowego Zachód, albo jeszcze później, kiedy protestowało się przeciwko pershingom II w Mutlangen i gdzie indziej... Wióry wtedy leciały. A tutaj te dzieciaki turlają się ze swoimi świecami...

–No i co? Czy w Lipsku też się tak nie zaczynało? Byłem tam, kiedyśmy co poniedziałek ruszali spokojnie z kościoła Świętego Mikołaja. Co poniedziałek, powiadam, aż tych tam na górze obleciał strach...

–Nie można porównywać z tym, co dzisiaj.

–Ale Hitlera i Saddama. Obaj na jednym znaczku. To można, co?

–W każdym razie pola naftowe płoną...

–A w Bagdadzie załatwili schron pełen cywilów...

–W CNN idzie jednak zupełnie inny film...

–W końcu zaczyna mi świtać. To jest przyszłość. Zanim jeszcze wojna wybuchnie, sprzedaje się prawa telewizyjne temu, kto oferuje najwięcej...

–Coś takiego można dzisiaj nawet wyprodukować na zapas, bo następna wojna na pewno przyjdzie. Gdzieś indziej albo znów nad Zatoką.

–Na Bałkanach przeciwko Serbom albo Chorwatom na pewno nie...

–Tylko gdzie jest ropa...

–Zabitych znów nie będzie się oglądać...

–A dzieciaki się boją, panicznie się boją...

1992

Trochę zdziwiony, bo na życzenie i prośbę starszych państwa, którzy służyli upadłemu systemowi, wyruszyłem z Wittenberg!. Jako kapłan miałem niejako wprawę, jeśliby znów miało chodzić o duszpasterskie zgłębianie przepaści, jakie od niedawna w całym kraju nie stanowiły już tajemnicy. Ja także po upadku muru

opowiadałem się za ujawnieniem efektów pilności dawnej służby bezpieczeństwa, a tu spadała na mnie podwójna odpowiedzialność.

Sprawa do rozpatrzenia – „Mąż całymi latami szpicluje własną żonę” – była mi znana nie tylko z nagłówków, z prasy. Ale o radę prosili mnie nie małżonkowie dopadnięci przez nieszczęście czy, lepiej powiedziawszy, spuściznę rządów Stasi, lecz ich rodzice, którzy z jednej strony szukali pomocy, z drugiej zaś zapewniali mnie przez telefon, że nie są zupełnie związani z żadną religią; a ja ze swej strony zaręczyłem, że zamierzam przyjechać do Berlina wolny od jakiegokolwiek misjonarskiej gorliwości.

Para gospodarzy siedziała na sofie, drudzy teściowie podobnie jak ja w fotelach. – My – usłyszałem – nie chcemy tak po prostu wierzyć w to, o czym trąbią gazety. Ale z nami żadna z zaangażowanych osób nie rozmawia. – Najbardziej – powiedziała matka szpiclowanej kobiety – cierpią naturalnie dzieci, ponieważ oboje są niezwykle przywiązani do ojca. – Wszyscy rodzice nieszczęsnej pary zgadzali się co do jednego: syn i zięć zawsze był dla dzieci dobrym i cierpliwym tatą. Poza tym zapewniono mnie, że córka i synowa była osobą silniejszą, ba, dominującą, lecz słowa krytyki pod adresem partii, a później państwa były wypowiedzane jednomyślnie przez obie strony. Mówiło się jak do ściany przekonując wielokrotnie, ile to należy zawdzięczać państwu robotników i chłopów. Nigdy i ona, i on jako naukowcy z uniwersyteckim wykształceniem nie znaleźliby tak wysoko kwalifikowanej pracy, gdyby nie socjalistyczny patronat...

Ja ograniczałem się na razie do słuchania. Mówią o mnie, że jestem w tym dobry. Dowiedziałem się więc, że obaj teściowie byli czynni zawodowo, jeden jako uznany badacz w dziedzinie farmakologii, drugi – ojciec szpiclowanej córki – do ostatka w Służbie Bezpieczeństwa, mianowicie w dziale kształcenia kadr. Obecnie bezrobotny były oficer Stasi ubolewał nad uwikłaniem swego zięcia opierając się na znajomości aparatu od środka: – Żeby mi w porę powiedział choć słowo. Odradziłbym mu ryzykowną podwójną grę. Bo z jednej strony w imię lojalności wobec państwa chciał być użyteczny jako informator, z drugiej chodziło mu chyba o to, żeby zbyt krytyczną żonę, która zawsze miała skłonność do spontaniczności, uchronić przed ewentualnymi represjami ze strony państwa. To go wpędziło w tarapaty. Był o wiele za słaby, żeby wytrzymać taki ciężar. W końcu wiem, o czym mówię. Byłem kilkakrotnie z wysokiego szczebla ganiony za to, że po pierwszej prowokacji, jakiej moja córka dopuściła się w jednym z kościołów w Pankow, nie zgodziłem się na zaprzestanie wszelkich kontaktów z nią, co oznaczałoby zerwanie. Nie, ja mimo wszystko do końca wspierałem ją finansowo, nawet jeśli moją instytucję zawsze nazywała pogardliwie „ośmiornicą”.

Podobnie skarżył się zasłużony badacz. Syn nigdy nie pytał go o radę. On,

wypróbowany antyfaszysta i długoletni członek partii, od czasów emigracji otrząskany z wszelkimi rodzajami odchyłeń i odpowiednio drastycznymi sankcjami, usilnie doradzał synowi, żeby ten zdecydował się tak czy owak: – A jemu marzyła się trzecia droga...

Matki i teściowe mówiły niewiele, zabierając głos tylko wtedy, kiedy nadarzała się okazja, żeby dać wyraz swoim niepokojom o wnuki i podkreślić ojcowskie walory szpicla własnej żony. Matka szpiclowanej jako dysydentka córki powiedziała: – Tutaj, na tej sofie, jeszcze parę miesięcy temu siedzieli oboje z dziećmi. W pełnej harmonii... A tymczasem wszystko się posypało...

Jako wprawny słuchacz nadal się nie odzywałem. Była kawa i ciasteczka, nawiasem mówiąc zachodnie, od Bahlsena. Usłyszałem, że koniec Republiki przyjęto nie bez bólu, aczkolwiek z niewielkim zaskoczeniem. Zdumiewające było tylko to, że syn i zięć, mimo czy z powodu swej podwójnej roli, uważał „nasze państwo” za reformowalne, za do końca podatne na zmiany. Podobnie jak córka i synowa: w chwili, gdy czołowi towarzysze już zrezygnowali, ona stawała na barykadach w imię „jakoś tam demokratycznego socjalizmu”. Wszystko to można uznać tylko za dowody obopólnej naiwności. – Nie! – zawołał bezrobotny obecnie oficer Stasi. – Wykończyliśmy się nie przez opozycyjność naszych dzieci, lecz przez nas samych. – Po pauzie, w której dolewano kawę, usłyszałem: – Najpóźniej od osiemdziesiątego trzeciego, kiedy moja córka i mój zięć zgodnie – tak to wyglądało – uczestniczyli w powoływaniu do życia w Gotha tak zwanego „Kościoła od dołu”, partia i państwo powinny były pozytywnie ocenić ten krytyczny impuls, przetworzyć go na „partię od dołu”...

Nastąpiły teraz samooskarżenia. A ja, który również, mimo zastrzeżeń naszych władz kościelnych, należałem do „Kościoła od dołu”, z dużym trudem tłumiłem w sobie wszelki triumf z powodu takiej dawki późnego, zbyt późnego zrozumienia. Potem jednak farmakolog wytknął kształcącemu kadry oficerowi Stasi, że przez nazbyt pilnie gromadzone a pozostałe w spadku po Stasi akta i tak osłabiona społeczność tego państwa została wydana na łaskę Zachodu i jego władz. A teść szpicla Stasi przyznał, że w tej kwestii organa bezpieczeństwa zawiodły. To zaniedbanie, że w porę nie objęto ochroną działających w dobrej wierze, lojalnych informatorów, w tym członków rodzin, wymazując raporty i dane osobowe. Sumiennosc nakazywałaby taki krok. – A co sądzi o tym nasz kapłan?

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, rzekłem: – Z pewnością tak, z pewnością. Ale Zachód także powinien był się zorientować, jaka to bomba zegarowa tyka przy Normannenstrasse. Należałoby centralę z całą dokumentacją opieczętować na długo. Zablokować na co najmniej dwadzieścia lat. Ale Zachodowi chyba nie wystarcza materialne zwycięstwo... Również z chrześcijańskiej perspektywy wypadaloby... Po

to, żeby – jak w wypadku rodziny państwa – chronić wnuki...

Następnie pokazano mi album z fotografiami. Na kilku zdjęciach widziałem sławną od kilku lat dysydkentkę i jej obecnie również znanego męża, melancholijnego brodacza. Między nimi dzieci. Sfotografowana rodzina siedziała na owej sofie, na której teraz siedzieli rodzice córki jako dziadkowie godnych pożałowania wnuków. Dopiero w tym momencie dowiedziałem się o bliskim rozwodzie małżonków. Teściowie obojga aprobowali ten zamiar. – Tak zostało uzgodnione – powiedzieli jedni i: – Tu już nic się nie da zrobić – drudzy rodzice. Potem podziękowano mi za cierpliwe słuchanie.

1993

Będąc szeregowym policjantem jesteś wobec czegoś takiego bezsilny. Nie w zasadzie, bo jeszcze parę lat temu, kiedy byliśmy szczelnie oddzieleni od Zachodu i nasze organa państwowe dotrzymywały tego, co obiecały, mianowicie pilnowały normalności i porządku, nie zdarzało się, że pięciuset, sześciuset ogolonych na zero skrajnych prawicowców, między nimi takich z kijami baseballowymi, bije, po prostu bije, gdzie popadnie, jak zobaczy chociażby cień Murzyna. Co najwyżej trochę pomstowano na przyjeżdżających Polaków, którzy przenikali tutaj i wykupywali wszystko, co można było dostać. Ale prawdziwi naziści, dobrze zorganizowani, z flagą wojenną Rzeszy i takimi różnymi, pojawili się tutaj dopiero pod koniec, jak już tak czy siak nie było żadnego porządku i nasi czołowi towarzysze mieli pełne portki strachu. Po tamtej stronie, na Zachodzie, byli już od dawna, po tamtej stronie to normalka. Ale jak potem zaczęło się też u nas, no, najpierw w Hoyerswerda, a potem tu, w Rostocku-Lichtenhagen, ponieważ Centralny Ośrodek dla Azylantów, w skrócie zwany COdA, i tuż obok schronisko dla Wietnamczyków przeszkadzały sąsiadom, my, policjanci, byliśmy dość bezsilni, bo zbyt nieliczni i pozbawieni zdecydowanego kierownictwa. Potem z miejsca mówiono: „Typowy Wschód!” i „Policja to udaje, że nie widzi...” A jakże, słyszało się takie opinie. Przypisywano nam potajemną i jawną sympatię do awanturników. I dopiero teraz, po tym, jak w zeszłym roku paliło się w Möltn i były trzy ofiary śmiertelne, a niedawno w Solingen doszło do kolejnego podpalenia i śmiertelnych ofiar, tym razem pięciu, odkąd wszędzie, powiedzmy: w skali ogólnoniemieckiej, terror toruje sobie drogę i powoli staje się czymś normalnym, nikt już nie mówi: „To się zdarza tylko na Wschodzie”, nawet jeśli u nas w Rostocku mieszkańcy dawniej niemal bez wyjątku pracujący, a teraz zrestrukturyzowani, czyli bezrobotni, którzy w zasadzie nigdy nie mieli nic przeciwko cudzoziemcom, okazują powszechne zadowolenie, ponieważ od czasu zajść domy dla azylantów zostały opróżnione, a czarni i Wietnamczycy wynieśli się, nie, nie wynieśli, tylko przenieśli i już nie rzucają się w oczy.

Zgoda, to było nieładne i nam, policjantom, nie ułatwiało sprawy, kiedy tutaj w Lichtenhagen, jak przedtem w Hoyerswerda, ludzie tłoczyli się w oknach, po prostu gapili się tylko, a niektórzy nawet bili brawo, gdy ci ogoleni na zero ze swoimi kijami baseballowymi gonili tych biedaków, między nimi i takich z Bałkanów, bili, bili, gdzie popadnie, i zaczęło się tutaj, można powiedzieć, piekło. Z wielkim trudem zdołaliśmy uchronić paru Wietnamczyków przed najgorszym. Bo u nas nie było śmiertelnych ofiar, były za to – jak się rzekło – na Zachodzie, mianowicie w Mölln i Solingen. To byli Turcy. Tych tutaj to prawie w ogóle nie ma. Może się to jednak zmienić, skoro ci z Zachodu uważają, że ich Turków i wszystko, co napływa z Bałkanów, Bośniaków, Albańczyków, w tym naprawdę fanatycznych muzułmanów, można upchać u nas, po prostu upchać, ponieważ tutaj, jak mówią, jest jeszcze dosyć miejsca. Jeśli coś takiego nastąpi, to ty będąc szeregowym policjantem będziesz całkiem bezsilny, jak przyjdą te zabijaki i po prostu zrobią to, co w normalnym wypadku powinna załatwiać polityka: mianowicie uszczelnić granice i uprzątnąć teren, zanim będzie za późno. Ale panowie na górze tylko gadają i brudną robotę zostawiają potem nam.

Co pan mówi? Łańcuchy świec? Setki tysięcy, które ze świecami protestowały przeciwko wrogości wobec cudzoziemców? Co ja o tym sądzę? To teraz ja zapytam: A co to wielkiego dało? Tutaj u nas zresztą też to było. Cała masa świec. Jeszcze parę lat temu. W Lipsku, nawet w Rostocku. I co? Co z tego wynikło? Owszem, zgoda: nie ma muru. Ale co jeszcze? Że raptem jest tutaj masa skrajnych prawicowców. Co dzień więcej. Łańcuchy świec! One mają na to pomóc! Śmiech na sali. Niech pan spyta ludzi, co dawniej wszyscy mieli pracę w stoczni czy gdzie indziej, co oni sądzą o łańcuchach świec i co rzeczywiście jest faktem, mianowicie, co to znaczy zostać po prostu z dnia na dzień zrestrukturyzowanym. Ale niech pan spyta moich kolegów, nie, nie tych z Hamburga, których czym prędzej wycofano, ledwie się pokazali, jak się tu zagotowało, lecz naszych funkcjonariuszy, którzy mają doświadczenie jeszcze z czasów Policji Ludowej, co oni sądzą o czarowaniu świecami i podobnym pokojowym wielkim halo. Co pan mówi? W ten sposób naszym europejskim sąsiadom dany został wyraźny znak naszego wstydu, że w Niemczech znów brunatna hołota...

To ja jako szeregowy policjant chciałbym skromniutko zapytać: Może we Francji dzieje się inaczej? Albo na przykład w Londynie? Czy oni załatwiają się ze swoimi Algierczykami albo Pakistańczykami w rękawiczkach? Albo Amerykanie ze swoimi Murzynami? No więc. To ja teraz powiem panu prosto z mostu: to, co się zdarzyło tutaj w Lichtenhagen, a później w Mölln i Solingen przybrało skrajną formę, było wprawdzie godne ubolewania, ale w zasadzie może być uznane za zjawisko całkiem normalne. Tak jak w ogóle my jako Niemcy – a teraz mówię z panem w ogólnoniemieckiej skali – jesteśmy całkiem normalnym narodem, jak Francuzi, Anglicy i Amerykańcy. Co pan mówi? No i już. Dla mnie najnormalniejszym w świecie...

Mówią, że jestem twarda jak głaz. A co mi tam! Tylko dlatego że jestem kobietą, miałabym okazywać słabość? Ten, co mnie tutaj opisuje i myśli, że ma prawo wystawiać mi świadectwo – „postawa społeczna – dwója!” – zanim odmaluje moje w ostatecznym bilansie zawsze uwiecznione sukcesem działania jako plajtę, będzie musiał przyjąć do wiadomości, że ja przetrzymałam w jak najlepszym zdrowiu, to znaczy bez uszczerbku, wszystkie, ale to wszystkie komisje śledcze i że również w roku 2000, kiedy ruszy Expo, dam sobie radę z wszystkimi, co szukają dziury w całym i dzielą włos na czworo. A jeśli bym miała upaść, bo nagle dorwą się do rządu ci socjalromantycy, to upadnę miękko i wrócę do naszej rodzinnej siedziby z widokiem na Łabę, która mi pozostała, kiedy tata, jeden z ostatnich wielkich prywatnych bankierów, został wpędzony w bankructwo. Powiem wtedy: „a co mi tam!” i będę poświęcała swoją uwagę statkom, w szczególności kontenerowcom: jak ciągną w górę rzeki do Hamburga albo stamtąd głęboko zanurzone, bo naładowane ciężko, biorą kurs w stronę ujścia Łaby na morze, na wiele mórz. A kiedy potem o zachodzie słońca pojawi się nastrój, rzeka zagra wszystkimi kolorami, to ja ulegnę, poddam się szybko rozplywającym obrazom, będę już tylko uczuciem, samą miękkością...

Ależ tak! Ja kocham poezję, lecz i ryzyko monetarnych operacji, również to, co nieprzewidywalne, jak kiedyś „Powiernictwo”, które pod moim, w końcu tylko pod moim nadzorem operowało miliardami, w rekordowym czasie zlikwidowało wiele tysięcy upadających przedsiębiorstw i oczyściło teren dla czegoś nowego, a w związku z tym ten pan, który zamierza widać zestawić przyznane mi za osiągnięte wyniki maksymalne wynagrodzenie z nieuniknionymi w procesie naprawczym stratami, planuje – nie pierwszy raz – nader opasłe powieścisko, a w nim chce mnie porównać z postacią z dzieła pisarza Fontanego, tylko dlatego że niejaka „Pani Jenny Treibel” umiała tak jak ja łączyć interesy z poezją...

Czemu nie? Odtąd będę nie tylko twardą jak głaz „Panią Powierniczą” – nazywaną również „Żelazną Lady” – lecz ponadto stanę się częścią składową historii literatury. Ta zawiść społeczna i nienawiść do nas, lepiej zarabiających! Jak gdybym ja wyszukiwała sobie tę czy tamtą posadę. Za każdym razem wzywał obowiązek. Byłam za każdym razem powoływana, czy to do Hanoweru na ministra gospodarki, czy później do wielkiego gmachu przy Wilhelmstrasse, kiedy tam mój poprzednik został – przez kogo to?

–po prostu zastrzelony, w związku z czym Powiernictwo znalazło się w potrzebie. Tak samo było z Expo 2000. Wcisnęli mi to, ponieważ nie boję się ryzyka, ponieważ od nikogo nie jestem zależna, chyba że w ostateczności od rynku, i potrafię radzić

sobie ze stratami, ponieważ robię długi, które się opłacają, i ponieważ stawię czoło twardo jak głaz każdej przeciwności, nie oglądając się na koszty...

Nie ma co ukrywać: byli bezrobotni, nadal są. Pan, który mnie opisuje, chce mi wmówić setki tysięcy. A co mi tam, mówię sobie. Tamtym wciąż jeszcze pozostaje błogie nieróbstwo na społeczny koszt, podczas gdy ja mam bez wytchnienia mierzyć się z nowymi zadaniami, bo kiedy w dziewięćdziesiątym czwartym Powiernictwo dokonało swego nieporównywalnego dzieła i usunęło pozostałości komunistycznej gospodarki planowej, musiałam od razu przygotować się na następną przygodę, wystawę światową. Co to znaczy: przygotować? Należało skoczyć na biegnącego konia, zwanego Expo. W mglisty jeszcze pomysł należało tchnąć życie. Przy tym o wiele bardziej wolałabym, będąc przecieŜ niejako bezrobotna, oddawać się na koszt państwa takiemu błogiemu nieróbstwu, najchętniej oczywiście na tarasie naszej rodzinnej siedziby z widokiem na Łabę, którym jednak niestety mogę się cieszyć bardzo rzadko i prawie nigdy przed zachodem słońca, ponieważ nadal ciągną się za mną sprawy Powiernictwa, ponieważ znów mi grożą komisją śledczą, ponieważ ten pan, który chce mnie wyksięgować z upływem roku 1994, zamierza mi wystawić bardzo duŜy rachunek: to rzekomo ja – nie zaś zachodniemiecki przemysł potasowy – ponoszę winę za Bischofferode, za utratę miejsc pracy przez parę tysięcy górników wydobywających potas; to rzekomo ja – nie zaś Krupp – wykończyłam stalownię w Oranienburgs to rzekomo ja – i ani trochę Fischer od łożysk ze Schweinfurtu – wpędziłam w ruinę wszystkie zakłady łożysk kulkowych z zamierzchłych czasów NRD; mnie imputuje się oszukańcze kombinacje mające na celu postawienie na nogi podupadłych przedsiębiorstw zachodnich – choćby bremeńskiej stoczni Vulkan – dzięki wykorzystaniu państwowych funduszy przeznaczonych na Wschód; ja, Pani Powiernicha, zwana również Jenny Treibel, dokonałam rzekomo brzemienego graficznie – i kosztem bezradnie miotających się ludzików – miliardowego szwindlu...

Nie. Mnie nikt nic nie podarował. Wszystko musiałam sobie brać. Nie pociągała mnie jakaś partanina w socjalnym sosie, tylko gigantyczne zadania mogłyby dla mnie stanowić wyzwanie. Ja kocham ryzyko, a ryzyko kocha mnie. Kiedy jednak pewnego dnia ucichnie gadanie o jakoby za wysokim bezrobociu i przepadłych bez śladu, podkreślam, bez śladu funduszach, kiedy od roku 2000 nikt już nie zapyta o subwencionowane karty wstępu na Expo i nie zechce gadać o podobnych dyrdymałkach, wtedy się dostrzeŜe, jak ogromne wolne przestrzenie wywalczyło Powiernictwo twardym jak głaz usuwaniem przeszkód i Ŝe ewentualne straty przyniesione przez wystawę światową można spokojnie zapisać na dobro przyszłości, naszej wspólnej przyszłości. A mnie dane będzie wreszcie cieszyć się naszą rodzinną siedzibą z widokiem na Łabę, poezją niestrudzonej rzeki i bezpłatnymi zachodami słońca; chyba Ŝe wyłoni się przede mną ryzyko nowych zadań. Na przykład mogłoby mnie skusić pokierowanie z kluczowego stanowiska

obligatoryjną wówczas wymianą twardej marki niemieckiej naeuro w banknotach i bilonie...

A co mi tam, powiem sobie wtedy i twardo, w razie potrzeby twardo jak głaz wezmę się do rzeczy. Nikt, również pan, mój panie, który chce mnie opisać, nie zdoła ustrzec kobiety nie znającej słabości przed owym rodzajem plajty z dużą klasą i już choćby z tego powodu zapowiadającej sukces...

Na czele Urzędu Powierniczego, powołanego w celu restrukturyzacji gospodarki w byłej NRD, stał Detlev Rohwedder, zamordowany w 1991 przez terrorystów, a jego następczynią była Birgit Breuel. (Przyp. tłum.)

1995

... i oto, drodzy słuchacze i słuchaczki, jak mówią w Berlinie, niedźwiedź zerwał się z łańcucha. Tylko posłuchajcie, to pewnie dwieście, trzysta tysięcy doprowadza Ku'damm, miejsce tylu wielkich zdarzeń, na całej długości, od kościoła Pamięci aż po Halensee, do wrzenia, nie, do kipienia. Coś takiego możliwe jest tylko w tym mieście. Tylko tutaj, w Berlinie, gdzie jeszcze niedawno fakt jedyny w swoim rodzaju, nieporównanie cudowne opakowanie Reichstagu przez Christo, artystę o międzynarodowej sławie, stał się ewenementem, który przyciągnął setki tysięcy, tutaj, tylko tutaj, gdzie przed kilku laty młodzież tańczyła na murze, wyprawiając wolności huczne święto i wołanie: „Obłęd!” podnosząc do rangi słowa roku, jedynie tutaj, powiadam, po raz kolejny, ale tego roku w imponującym ścisku, może odbywać się żywiolowa i odlotowa „Love Parade” i chociaż Senat z początku się wahał i nawet wobec spodziewanego mnóstwa śmieci rozważał wprowadzenie zakazu, to jednak w końcu – my, drodzy słuchacze i słuchaczki, oczywiście respektujemy wasze zastrzeżenia – na dopuszczonej przez senatora spraw wewnętrznych demonstracji mają prawo zgromadzić się jako fanatyczni tancerze techno tak zwani raverzy, co oznacza mniej więcej marzycieli, fantastów, totalnych odlotowców, i cały Berlin, to cudowne miasto, otwarte zawsze na wszelkie nowości, uszczęśliwią, jak mówią jedni, bądź zaszokują, jak twierdzą inni, „największym party świata”, bo to, co się tutaj od kilku godzin dzieje – tylko posłuchajcie! – jest nie do przebiccia pod względem natężenia dźwięków i radości życia, ale też rozochoconego umiłowania spokoju i pokoju, hasło tego obchodzonego nad Sprewą „karnawału w Rio” brzmi przecież tym razem „Peace on Earth”. Tak, drodzy słuchacze obojga płci, tego z całą pewnością i przede wszystkim chcą ci jakże fantastycznie wystrojeni młodzi ludzie, którzy przyjeżdżają tu zewsząd, nawet z Australii, chcą pokoju na Ziemi! Ale jednocześnie chcą też całemu światu pokazać: Patrzcie, jesteśmy. Jest nas dużo. Jesteśmy inni. Chcemy zabawy. Nic tylko zabawy. I oddają się zabawie bez żadnych zahamowań, ponieważ oni, jak się rzekło, są inni, nie mają w sobie nic z zabijaków z lewa czy z

prawa, nie są pogrobowcami tych z sześćdziesiątego ósmego, którzy zawsze byli tylko przeciw i nigdy nie byli naprawdę za czymś, ale też wcale nie przypominają tych niedorajdów, co to, jak widzieliśmy, chcieli powstrzymać wojnę wrzeszcząc ze strachu albo zapalając łańcuchy świec. Nie, ta młodzież lat dziewięćdziesiątych jest z innej materii, jak jej muzyka, która wam, moi drodzy słuchacze i słuchaczki, może się wydać tylko hałasem tak nieznośnym, że mało nie popękają bębrenki, bo nawet ja, choć niechętnie, muszę przyznać, że ten dudniący, wstrząsający Ku'dammem grzmot basów, to bezlitosne bum bum bum – czaka czaka czaka, nazywane krótko techno, nie każdemu przypada do gustu, ale ta młodzież jest zadurzona w sobie i w chaosie, chce się ogłuszyć i doświadczać siebie w ekstazie. Tańczy aż do wyczerpania, wprawia się w trans, cała w potach, aż do granicy i poza nią, na poruszających się w ślimaczym tempie, ale nadzwyczaj dowcipnie udekorowanych ciężarówkach, ciągnikach, w wynajętych autobusach i na ich dachach przyprawia Ku'damm – tylko posłuchajcie! – cały Berlin o kipienie, tak że mnie, który z mikrofonem wchodzę teraz w podskakujący, przytupujący tłum, zaczyna brakować słów, wobec czego podchodzę do kilku z fanatycznych tancerzy, zwanych raverami, z pytaniem: Co cię skusiło, żeby przyjechać do tego miasta, do Berlina? – Bo to jest super po prostu zobaczyć, ile nas tu jest... – A pani, moja panno w różowości?

–No, bo ja tutaj na Love Parade to w końcu mogę być taka, jaka faktycznie jestem... – A pan, młody człowieku? – Jasna sprawa, bo jestem za pokojem, a co się tutaj wyrabia, to sobie tak pokój wyobrażam... – A ty, moja piękna w plastikowej przezroczystości? Co ciebie tu sprowadza? – Oboje, mój pępek i ja, chcemy być widziani... – A wy dwie w kusych błyszczących lakierowanych spódniczkach? – Słowo daję, wystrzałowo tutaj... – Superwystrzałowo... – Nastrój bierze cię do szpiku... – Tylko tu mój outfit robi wrażenie jak trzeba... – Słyszycie, moi drodzy słuchacze, młodzi i starzy, żeńskiej i męskiej płci. Hasło brzmi: Outfit! Bo ta niby to rozhukana młodzież, ci raverzy nie tylko tańczą, jakby taniec świętego Wita mieli we krwi, oni chcą być widziani, zauważani, podziwiani, chcą być sobą. A to, co mają na sobie – często tylko bielizna – musi przylegać do ciała. Nic dziwnego, że już teraz wybitni projektanci mody czerpią inspirację z Love Parade. I kogo to zdziwi, że przemysł tytoniowy, z Camelem na czele, już teraz odkrył tancerzy techno dla reklamy. I nikt tutaj nie gorszy się reklamową wrzawą, bo to pokolenie na pełnym luzie pogodziło się z kapitalizmem. Oni, młodzi lat dziewięćdziesiątych, są jego dziećmi. On pasuje do nich jak ulał. Oni są produktem jego rynków. Zawsze chcą reprezentować i mieć to, co najnowsze. Co niejednego skłania do tego, żeby do najnowszego uniesienia dojść przy pomocy ecstazy, najnowszego narkotyku. Całkiem niedawno młody człowiek w szampańskim humorze powiedział mi: – Świata tak czy owak nie da się uratować, więc bawmy się na party... – i to party, drodzy słuchacze i słuchaczki, odbywa się dzisiaj. Nie ma miejsca na hasła polityczne, tylko obecnie i w przyszłości peace, nawet jeśli gdzieś na Bałkanach, w Tuzli, Srebrenicy i gdzie tam jeszcze, strzela się, morduje. Dlatego pozwólcie, że na koniec mojego

nastrojowego reportażu z Kurfürstendamm spojrzę w przyszłość: tutaj, w Berlinie, ona jest obecna już teraz, tutaj, gdzie kiedyś legendarny burmistrz Reuter wołał do narodów świata: „Patrzcie na to miasto!”, tutaj, gdzie kiedyś prezydent Ameryki, John F. Kennedy, wyznał: Ja także jestem berlińczykiem!*, tutaj, w tym kiedyś podzielonym, obecnie scalającym się mieście, na wiecznym placu budowy, skąd wkrótce – wyprzedzając rok 2000 – weźmie początek „Republika Berlińska”, tutaj rok w rok – od przyszłego już w Tiergartenie – będzie mogło wprawiać się w ekstazę pokolenie, do którego już teraz należy przyszłość, a tymczasem my, starsi, jeśli wolno mi na zakończenie rzucić coś żartem, będziemy mogli zająć się śmieciami, mnóstwem śmieci, jakie Love Parade i wielkie party techno pozostawiły nam już w zeszłym roku i pozostawią też w przyszłości.

*** w niektórych źródłach uznaje się że podczas przemówienia w 1963 roku w Berlinie Zachodnim, J.F.Kennedy popełnił gafę, mówiąc „Ich bin ein Berliner” zamiast „Ich bin Berliner” (ein Berliner = pączek, w samym Berlinie zwany „Pfankuche”, choć w innych miastach zwany czasem „Berliner”). Ściśle mówiąc „Ich bin Berliner” jest bardziej poprawne, ale wbrew pogładowej opinii, sens wyrażenia (jestem z Wami-Berlińczykami w walce o wolność przeciw komunizmowi) – został odebrany przez słuchaczy poprawnie – o czym świadczy fala owacji.**

**Więcej informacji na ten temat (po angielsku!)
http://en.wikipedia.org/wiki/Ich_bin_ein_Berliner**

1996

Właściwie profesor Vonderbrügge, którego od dłuższego czasu zamęczam dyletanckimi pytaniami, chciał mi w tym roku napisać coś analitycznego na temat genów, podając dane dotyczące sklonowanych owczych bliźniąt o imionach Megan i Morąg – szkocka owieczka Dolly urodziła się dopiero w następnym roku z łona zastępczej matki – ale wymówił się pilnym wyjazdem do Heidelbergu. Jako uznawany wszędzie autorytet musi tam wziąć udział w światowym kongresie badaczy genomów, chodzi tam nie tylko o sklonowane owce, lecz z perspektywy bioetycznej o naszą przyszłość zapowiadającą się już teraz na coraz bardziej bezojcowską.

Opowiadam więc zastępczo o sobie, a raczej o moich trzech córkach i o sobie, ich niezaprzeczalnym ojcu, jak to na krótko przed Wielkanocą wybraliśmy się razem w podróż, która nie szczydziła niespodzianek, a jednak przebiegła według życzenia i upodobania. Laurą, Heleną i Nelą obdarzyły mnie trzy matki, które z ducha i z wyglądu – dla pełnych czułości oczu – nie mogłyby być bardziej odmienne, ba, gdyby kiedykolwiek doszło między nimi do rozmowy, bardziej krańcowo różne; ich córki natomiast szybko uzgodniły z zapraszającym ojcem cel podróży: Do Włoch! Mnie wolno było zażyczyć sobie Florencję i Umbrię, co nastąpiło, przyznaję, ze względów

sentymentalnych, bo tam przed dziesiątkami lat, dokładnie latem pięćdziesiątego pierwszego, zawiodła mnie podróż autostopem. Wówczas mój plecak ze śpiworem i koszulą na zmianę, szkicownikiem i pudełkiem akwarel niewiele ważył, a każdy gaj oliwny, każda dojrzewająca na drzewie cytryna były dla mnie godne podziwiania. Teraz jechałem z córkami, a one jechały ze mną bez matek. (Ute, która nie ma córek, ma tylko synów, pożegnała mnie na ten czas sceptycznym spojrzeniem).

Laura, matka trójki dzieci, jeśli w ogóle uśmiechająca się, to tylko na próbę, zarezerwowała nam hotele i załatwiła wypożyczenie samochodu z Florencji. Helena, pobierająca jeszcze niecierpliwie nauki w szkole aktorskiej, przy misach studzien, na marmurowych schodach czy oparta o antyczne kolumny umiała już przybierać teatralne, najczęściej komiczne pozy. Nela być może przeczuwała, że ta podróż była ostatnią okazją do tego, by po dziecięcemu iść z ojcem trzymając go za rękę. Dzięki temu mogła nie przejmować się czekającą ją kotłowaniną i pozostawić Laurze siostrzane przekonywanie jej, żeby jednak – choćby na przekór głupiej szkole – zrobiła maturę. Wszystkie trzy na stromych schodach Perugii, w trakcie wspinania się pod górę w Asyżu i Orvieto niepokoiły się o ojca, któremu nogi palacza na każdym kroku przypominały o wydmuchiwanym przez dziesiątki lat dymie. Musiałem robić przerwy i zwracać uwagę na to, żeby przy okazji było jednak do obejrzenia coś godnego podziwu: tu portal, tam fasada krusząca się szczególnie intensywnie kolorystycznie, czasem tylko wystawa zapełniona butami.

Oszczędniejszy niżli z tytoniem okazałem się z pouczeniami wobec nagromadzenia sztuki, która wszędzie, czy to początkowo w Uffizi, później przed fasadą katedry w Orvieto, czy w nie tkniętych jeszcze w dziewięćdziesiątym szóstym górnym i dolnym kościele w Asyżu, zachęcała do komentarzy; to raczej moje córki były dla mnie najżywszym pouczeniem, bo widząc je przed Botticellim, Fra Angelico, przed freskami i obrazami, na których włoscy mistrzowie z wdziękiem łączyli kobiety w grupy, często po trzy, rozstawiali, szeregowali, pokazywali od przodu i od tyłu, z profilu, obserwowałem, jak Laura, Helena, Nela zachowywały się niczym lustrzane odbicie namalowanych dziewcz, aniołów, wiosennie alegorycznych dziewcząt, raz jak gracje, raz w milczącej adoracji, to znów gestykulując wymownie stały przed obrazami, podrygiwały, uroczyście przesuwały się z lewej na prawą albo kroczyły ku sobie, jak gdyby wyszły spod pędzla Botticellego, Ghirlandaio, Fra Angelica czy (w Asyżu) Ciotta. Wszędzie, wyjąwszy solowe występy, oferowano mi balet.

Tak to zachowujący dystans obserwator czuł się uhonorowany jako ojciec. Lecz zaraz po powrocie do Perugii, gdzie się zatrzymaliśmy, idąc z córkami wzdłuż etruskich murów miejskich to pod górę, to z góry, miałem wrażenie, że ja, dopiero co jeszcze samowładny ojciec, jestem obserwowany przez szczeliny ciasno spojonego obmurowania, że spoczywana na mnie wyteżone spojrzenie, że trzy tak odmienne matki mają się na baczności i – co się mnie tyczy – są zgodnie zaniepokojone, czy

wszystko układa się jak należy, czy ja nie faworyzuję żadnej z córek, czy wciąż się staram nadrobić dawne zaniedbania i czy w ogóle potrafię sprostać moim ojcowskim obowiązkom. W następnym dniu unikałem nieszczęśliwych murów wzniesionych na sposób ściśle etruski. A potem przyszła Wielkanoc z biciem w dzwony. Jak gdybyśmy mieli za sobą bytność w kościele i na mszy, przechadzaliśmy się po Corso tam i z powrotem: Laura wzięła mnie pod rękę, ja trzymałem dłoń Neli, a przed nami produkowała się Helena. Potem pojechaliśmy na zieloną trawkę. I ja, zaopatrzonej z ojcowską przezornością, w splekanych, tworzących jaskinie i gniazda korzeniach drzew oliwnego gaju, który zapraszał nas na piknik, pochowałem nie akurat wielkanocne jajka, ale przecież wyszukane niespodzianki, jak ciasto migdałowe, torebki suszonych prawdziwków, koncentrat bazylii, słoiczki oliwek, kaparów, sardeli i czym tam jeszcze Włochy dogadzają podniebieniu. Podczas gdy uwijałem się wśród drzew, córki musiały nieruchomo spoglądać na krajobraz.

I oto nastąpiła powtórka czy może nadrabianie zaległości z dziecinnych lat. Wszystkie trzy wytropiły kryjówki ojca i zdawały się szczęśliwe z tego powodu, aczkolwiek Helena twierdziła, że między korzeniami, akurat tam, gdzie znalazła woreczek lawendy, gnieździły się węże, na pewno jadowite, potem jednak – chwała Bogu – umknęły.

Od razu przyszły mi znów na myśl ukryte w etruskich murach matki jako stężony matriarchat. Potem wszakże, już w drodze powrotnej, przejeżdżając obok plakatów wyborczych agitujących za potentatem od mediów lub jego faszystowskimi sprzymierzeńcami, ale także za sojuszem centrolewicowym spod znaku oliwki, zobaczyliśmy stado owiec, w którym za prowadzącym baranem podążały owce-matki ze swymi wielkanocnymi jagniętami i zachowywały się przy tym tak po owczemu niefrasobliwie, jak gdyby czegoś takiego jak sklonowane owce o imionach Megan i Morąg nigdy nie było, jak gdyby nie należało się liczyć z rychłymi narodzinami pozbawionej ojca owcy Dolly, jak gdyby także w przyszłości ojcowie mogli się jeszcze przydać...

1997

Wielce Szanowny Panie, dopiero teraz, po powrocie z kongresu w Edynburgu, gdzie miałem okazję porozmawiać na tematy fachowe z powszechnie wychwalanym i budzącym lęk embriologiem doktorem Wilmutem, a przed odlotem – już pojutrze – do Bostonu na wymianę poglądów z kolegami, znajduję chwilę czasu, żeby rozproszyć Pańskie na pewno nie bezpodstawne, jednakowoż wyolbrzymione do bajecznych rozmiarów obawy. Ma Pan skłonność do niepohamowanego puszczania wodzy swojej fantazji, tymczasem, dla dobra wszystkich, wskazana jest trzeźwość.

Zacznijmy od tego, co nawet dla laika powinno być zrozumiałe, również wówczas,

gdy metoda tego w gruncie rzeczy prostego systemu klocek zatrąca o czarną magię. Dolly zawdzięcza swą skromną egzystencję trzem matkom: matce genowej, od której pobrano komórki wymienia umożliwiając następnie ich substancji dziedzicznej sterowanie konstrukcją całkowicie nowej owcy; matce jajowej, od której pobrano komórki jaja, po czym z jednej z nich odessano substancję dziedziczną i przy pomocy impulsów elektrycznych komórkę wymienia połączono z wydrylowaną obecnie komórką jaja, w związku z czym jedynie kod genetyczny matki genowej mógł komórce jajowej wydać rozkaz dzielenia się; i już można było umieścić rosnący embrion w macicy matki zastępczej, trzeciej owcy, a po tradycyjnym okresie ciąży przyszła na świat nasza Dolly, identyczna ze swoją matką genową, przy czym obyło się to – i na tym polega sensacja – bez jakiegokolwiek udziału samców.

To jest w gruncie rzeczy wszystko. Ale – jeśli dobrze Pana rozumiem – ta rezygnacja z męskiego uczestnictwa jest najwidoczniej przyczyną Pańskiego nieustannego zaniepokojenia. Obawia się Pan, że życiodajne i całkowicie bezojcowskie manipulowanie genami najpierw u owiec, następnie u świń, w końcu u małp w krótszej czy dłuższej perspektywie będzie można z powodzeniem zastosować u ludzi, ściślej powiedziawszy: u kobiet. Tego rzeczywiście nie sposób wykluczyć. Wszędzie z nadzieją i obawą oczekuje się już nie tylko wyobraźnego w teorii rozszerzania metody klocek. A doktor Wilmut, niejako „ojciec duchowy” sklonowanej owcy Dolly, opowiadał mi o silnie umotywowanych kobietach, które już teraz zgłaszają swoje kandydatury na matki genowe, matki jajowe, matki zastępcze.

Nie, Drogi Panie, na razie wszystko to jeszcze pozostaje w sferze spekulacji, chociaż laureat Nagrody Nobla i zasłużony badacz substancji genetycznej, James Watson, już na początku lat siedemdziesiątych nie tylko przepowiadał, lecz jasno domagał się klonowania ludzi w celu wytwarzania kopii nadzwyczajnych egzemplarzy, czyli geniuszy w rodzaju Einsteina, Callas czy Picassa. A czy to nie Pan w powieści, którą niestety znam tylko fragmentarycznie, a która po ukazaniu się musiała wzbudzić bardzo sprzeczne opinie, wprowadził do fikcyjnej akcji sklonowanych szczuroludzi i te cynicznie wykombinowane produkty niepoohamowanej manipulacji genami nazwał z lekką ironią „watsoncrickami”?

Ale żarty na bok. Czego nam brakuje, Drogi Panie, to podbudowanej naukowo bioetyki, która będąc skuteczniejsza od przestarzałych wyobrażeń moralnych z jednej strony utrzyma w pewnych granicach szeroko rozpowszechnione panikarstwo, a z drugiej będzie miała upoważnienie do zaprojektowania nowego porządku społecznego dla przyszłych sklonowanych generacji, które przecież pewnego niezbyt odległego dnia *zaczną* dorastać obok wysłużonej, tradycyjnej generacji ludzkiej, bo to współistnienie całkiem bezkonfliktowo nie może się ułożyć. Zadaniem bioetyków będzie także regulowanie przyrostu ludności świata, w praktyce jego redukcja. Stoimy obecnie na rozdrożu. Już choćby dlatego trzeba będzie

zadać sobie pytanie, którą część ludzkiej substancji dziedzicznej powinno czy wręcz musi się wspierać, a którą wyeliminować. Wszystko to wymaga rozwiązań i długofalowego planowania. Tylko proszę bez żadnych natychmiastowych programów, chociaż nauki, jak wiadomo, nie da się zatrzymać.

I już znajdujemy się na rozległym, jeśli niezbyt rozległym polu, do którego uprawy potrzeba nie istniejących jeszcze narzędzi rolniczych. Oby powstały jak najprędzej. Czas nagli!

A co się tyczy Pańskiego zatrwożenia, jak Pan powiada, „bezojcowskim społeczeństwem”, to po otrzymaniu Pańskiego ostatniego listu odniosłem wrażenie, że niepokoję Pana to – za pozwoleniem – dziecinada albo skutek wciąż jeszcze zaraźliwego męskiego szowinizmu. Cieszymy się z tego, że tradycyjnie konfliktogenny akt płodzenia coraz bardziej i bardziej traci na znaczeniu. Istnieją powody do radości, kiedy mężczyzna jako taki wyzbywa się wreszcie ciężaru, uwalnia spod przymusu odpowiedzialności, wyzwala od wszelkich kłopotów z potencją. A jakże, wolno nam się radować, bo przyszły, „wymancypowany mężczyzna”, jak ja go nazywam, będzie wolny. Wolny do wypoczynku. Wolny do zabaw. Wolny do przeróżnych żartów. Niejako luksusowe stworzenie, na które pozwoli sobie przyszłe społeczeństwo. Akurat Pan, Mój Drogi Panie, nie powinien mieć kłopotów z wykorzystaniem tych niebawem otwartych, wolnych przestrzeni, aby nie tylko Dolly i spółka mogły się w nich rozmnażać, lecz także płody Pańskiego umysłu znajdowały dla siebie dość miejsca na wprost bezkresnym pastwisku.

Na marginesie: Co Pan powie o powodzi nad Odrą? Bardzo chwalebnie spisała się nasza Bundeswehra. Jeśli jednak, za czym przemawia wiele danych, nastąpi ogarniająca cały świat zmiana klimatu, to będą nas nękać powodzie na jeszcze większą skalę. Co do tego mam swoje obawy, chociaż na ogół właściwa mi jest postawa optymisty.

W nadziei, że trochę uśmierzyłem Pana lęki o przyszłość i z pozdrowieniami dla Pańskiej drogiej Małżonki, którą miałem przyjemność spotkać niedawno u lubeckiego handlarza win, pozostaję

Pański Hubertus Vonderbrügge

1998

Zagłosowaliśmy korespondencyjnie, a potem jednak, wracając z Hiddensee, już w przeddzień 27 września zajechaliśmy do Behlendorfu, gdzie krzątanią próbowaliśmy pokryć przywiezione przez nas uczucie niepewności. Ute na wieczór wyborczy podgotowywała soczewicę, która bez względu na wynik miała uspokajać.

Zapowiedział się jeden z synów, Bruno z przyjacielem, i Rühmkorfowie. Ja wczesnym popołudniem wymknąłem się do pobliskiego lasu, żeby – zgodnie z buńczuczną zapowiedzią – nazbierać grzybów.

Bór Behlendorfski, który przez pagórkowate moreny końcowe ciągnie się do jeziora, należy do Lasów Lubeckich i jesienią jako las mieszany wygląda bardzo obiecująco. Ale pod liściastymi i iglastymi drzewami nie było ani podgrzybków, ani borowików. Tam, gdzie w połowie miesiąca znalazłem pod dostatkiem czubajek czerwieniejących na suty obiad, nie rosło nic. Fioletowe gąsówki na skraju lasu były już scherlałe, żółkłe. Moje pójście na grzyby zapowiadało się mało wydajnie. Nawet pies nie chciał mi towarzyszyć.

Być może będziecie państwo podawać to w wątpliwość: jedynie pozostały mi zabobon, którego – jak wielu późniejszych racjonalistów – trzymam się z braku czegoś innego, skłaniał mnie do tego, żeby jednak szukać nadal i nierozważnie wyczekiwany zbiór grzybów powiązać z również wyczekiwany wynikiem wyborów. Ale nóż nie znajdował zastosowania, koszyk pozostawał pusty. Już chciałem zrezygnować, na resztę godzin przyjąć fatalistyczną postawę, już widziałem siebie, obyty z porażkami, na ławie przegranych, już kusilo mnie, żeby oczekiwane powszechnie brzemie wielkiej koalicji pragmatycznie spuszczać z tonu o kilka gramów pomniejszyć, już pomstowałem na swój zabobon, gdy nagle załśniła białawo pomiędzy spróchniałymi gałęziami, na omszałych pniakach, rosła pojedynczo i w grupach, dawała jasne, nieomyślne sygnały: niewinność w grzybiej postaci.

Znacie państwo purchawkę chropowatą? Czy kiedykolwiek spotkaliście purchawkę chropowatą? Nie wyróżniają jej blaszki czy rurki. Nie stoi ani na cienkiej, być może zdrewniałej nóżce, ani na brzuchatym, już robaczywym trzonie. Nie chce jej ocieniać żaden kapeluszek, ani z szerokim rondem, ani z rowkiem pośrodku, ani w kształcie budki. Stoi sobie łyśca i można ją pomylić tylko z młodym tęgoskórem pospolitym, który wprawdzie uchodzi za jadalny, ale podobno nie jest tak smaczny i nie wygląda tak pięknie. Purchawka chropowata natomiast nosi swoją okrągłą łyśca głowę, która często wydaje się posypana białymi ziarenkami, na łagodnie zaznaczonej, a przecież wyraźnie wyszczupionej szyi. Ucięta młodo tuż nad ziemią ukazuje na dowód swej młodości zwarty, biały miąższ, którego dni są jednakże policzone, bo już po paru starzejąc się zbyt szybko krągła głowa i szyja szarzeją, miąższ rozpada się wodniście, przechodzi w zielonkawość, staje się gąbczasty, aby w starej powłoce zbrązowieć, a wkrótce w suchej jak papier błonie rozpaść się na pył. Wszelako powinniście państwo wiedzieć, że purchawka chropowata jest smaczna i nie wywołuje ciężkich snów.

Znajdowałem i znajdowałem. Ona lubi butwiejące drewno. Jedna zapowiada kilka. Są towarzyskie. Można by je zgarniać. Ale każda chce, żeby ją brać ostrożnie.

Jakkolwiek są do siebie bardzo podobne, to jednak mają za każdym razem odrębny kształt. Zacząłem więc liczyć wszystkie purchawki, jakie trafiały mi pod nóż. Wkrótce na rozpostartym gazetowym papierze – „Frankfurter Rundschau” – z którego można by było wyczytać przestarzałe wiadomości, komentarze, prognozy wyborcze, leżało ponad dwadzieścia niedużych, średnich i wyrosniętych egzemplarzy, te ostatnie z jeszcze dobrym mięszem. Odezwał się pozostały mi zabobon. Uprawiał kombinacje liczbowe. Zaczął znalezione już purchawki chropowate przeliczać na procenty grożącego przegraną lub wielce obiecującego rezultatu wyborów. Już wykombinował sobie korzystne wstępne wyniki. Ale po trzydziestu pięciu egzemplarzach skończyły mi się purchawkowe miejsca. Zacząłem niepokoić się o czerwono-zielonych. Wszędzie nic albo co najwyżej gołąbki. Potem jednak poszczęściło mi się w kotlinie nie opodal potoku, który jest właściwie rowem odpływowym i łączy Behlendorfer See z Kanałem Łaba – Trave.

Żeby państwa, którzy tymczasem wiecie, jak piękne są purchawki chropowate, i możecie się domyślać, jak wyśmienicie grzyby tej jakości, smażone krótko na maśle, będą smakować ich zbieraczowi i jego gościom, nie trzymać dłużej w niepewności, należy teraz zapewnić, że – po odrzuceniu każdego już starszawego i pozieleniałego w środku grzyba – na przebrzmiałej gazecie było rozłożonych czterdzieści siedem purchawek chropowatych, które zaniósłem do domu i do kuchni.

Niebawem nadeszli goście: Bruno i jego przyjaciel Martin, Ewa i Peter Rühmkorfowie. Krótco po informacji o korzystnym trendzie i tuż przed podaniem pierwszych przewidywanych wyników zaserwowałem jako przekąskę smażone grzyby, którymi mając do mnie zaufanie częstowali się wszyscy, nawet P. R., który co się tyczy potraw, uchodzi za wybrednego. Jako że pokroiłem purchawki na plasterki i w ten sposób skasowałem ich liczbę, moja magiczna tabliczka mnożenia pozostała tajna, ale mimo to skuteczna. Coście byli zdumieni. Nawet Ute, która zawsze wie wszystko z góry i trzyma się zupełnie innego zabobonu, wyzbyła się resztek sceptycyzmu. Gdy wystarczający do utworzenia czerwono-zielonej koalicji rezultat wyborów coraz bardziej się stabilizował, co więcej, należało się liczyć z dodatkowymi mandatami, czułem, że mój zabobon się sprawdził: nie miało prawa być mniej purchawek chropowatych, więcej też nie.

Na stół wjechała teraz z wonią majeranku soczewica Ute, zdatna do tłumienia pojawiającej się pychy. Na jakby za małym ekranie telewizora widzieliśmy, jak przegrany kanclerz autentycznie płakał. Zdumienie zwycięzców ze zdobycia tak wielkiej siły, z którą nie bardzo jeszcze wiedzieli, co się da zrobić, sprawiało, że wyglądali młodziej, niż liczyli sobie lat. Niedługo z upodobaniem będą się kłócić między sobą. Cieszyliśmy się nawet na to. Rachunek wyszedł; ale ja jeszcze przez wiele dni października nie znalazłem już żadnej purchawki chropowatej.

Zmusić to nicpoń mnie nie zmuszał, ale namówił. Zawsze to potrafił, aż w końcu powiedziałam „tak”. I oto jakoby żyję jeszcze, mam ponad setkę i zdrowie mi dopisuje, bo on tego chce. W tym od samego początku był dobry, ledwie odrósł od ziemi. Potrafił kłamać jak z nut i obiecywać cudowne rzeczy: „Jak będę duży i bogaty, to pojedziemy, dokąd zechcesz, mamó, nawet do Neapolu”. Ale potem przyszła wojna, a jeszcze potem nas wysiedlili, najpierw do sowieckiej strefy, później ucieczka na Zachód, gdzie ci nadreńscy chłopci ulokowali nas w lodowato zimnej paszami i dogryzali nam: „Idźta sobie, skąd żeśta przyszli!” A to byli katolicy jak ja.

Ale już w pięćdziesiątym drugim, kiedy z mężem od dawna mieliśmy swoje mieszkanie, wyszło na to, że u mnie to jest rak. Podczas gdy chłopak studiował w Düsseldorfie swoją głodową sztukę i żył nie wiem z czego, ja pociągnęłam jeszcze dwa lata, aż nasza córka ukończyła biurową praktykę, ale poza tym pogrzebała wszystkie marzenia, biedna dziewczynina. Nie dociągnęłam nawet do pięćdziesięciu ośmiu lat. A teraz, bo on koniecznie wszystko chce nadrobić, co mnie, jego biedną mamę, ominęło, mają być obchodzone moje sto któreś urodziny.

Nawet mi się podoba, co on w tajemnicy sobie umyślił. Zawsze byłam za bardzo pobłażliwa, kiedy on, jak mówił mój mąż, wysysał z brudnego palca niestworzone historie. Ale dom seniora z widokiem na jezioro, który nazywa się „Augustinum” i w którym teraz, bo on tego chce, zamieszkuję jako pensjonariuszka, należy zgoła – tu nie ma co narzekać – do lepszej kategorii. Mam półtora pokoju, do tego łazienka, wnęka kuchenna i balkon. Wstawił mi kolorowy telewizor i urządzenie do tych nowych srebrzystych płyt, takich z ariami operowymi i operetkami, których zawsze lubiałam słuchać, przedtem to jeszcze z „Carewicza” arię „Stoi żołnierz nad Wołgi brzegiem...” Odbywa też ze mną krótsze i dłuższe podróże, niedawno do Kopenhagi, a w przyszłym roku, jak zdrowie mi nie nawali, pojedziemy w końcu na południe aż do Neapolu...

A teraz to mam opowiedzieć, jak to dawniej i jeszcze dawniej bywało. Mówię przecie, była wojna, wciąż wojna z przerwami od czasu do czasu. Mój ojciec, który pracował jako ślusarz w fabryce karabinów, poległ zaraz na początku pod Tannenbergiem. A potem dwaj bracia we Francji. Jeden malował, drugiemu to wiersze nawet do gazety wzięli. Na pewno mój syn ma to wszystko po nich, bo trzeci mój brat był tylko kelnerem, co prawda zobaczył kawałek świata, ale potem jednak gdzieś go dopadło. Musiał się zarazić. Podobno to była jedna z tych wenerycznych chorób, nie potrafię powiedzieć która. No i moja matka, zanim jeszcze nastał pokój, umarła z żalu po swoich chłopakach, tak że ja zostałam się sama na świecie z młodszą siostrą Betty, rozpieszczonym stworzeniem. Jak to dobrze, że w sklepie kawowym Kaisera

wyuczyłam się na ekspedientkę i liznęłam trochę buchalterii. Dzięki temu, jak wyszłam za Willy'ego za męża, zaraz po inflacji, kiedy w Gdańsku dostaliśmy guldeny, mogliśmy otworzyć sklep, artykuły kolonialne. Szedł z początku całkiem dobrze. A w dwudziestym siódmym, miałam już wtedy po trzydziestce, przyszedł na świat chłopak, a w trzy lata później dziewczuszka...

Prócz sklepu mieliśmy jedynie dwa pokoje, tak że małemu na jego książki, pudełka z farbami i plastelinę pozostawał tylko kąt pod parapetem. Ale to mu wystarczało. Tam wszystko sobie wymyślał. A teraz mnie zmusza, żebym ożyła, rozpieszcza mnie – „Mamunia tu i mamunia tam” – i przychodzi do domu seniora ze swoimi wnukami, które koniecznie mają być moimi prawnukami. Bardzo ładne dzieciaki, ale trochę czasami niesforne, tak że jestem rada, kiedy cała gromadka, w tym bliźniacy – bystre chłopaki, tylko za bardzo przemądrzałe – pędzi w tę i we w tę po parkowej alei na tych swoich deskach, które są jak łyżwy bez lodu i których nazwa na piśmie podobna jest do skata, urwisy wymawiają ją jednak: skejt. Z balkonu mogę sobie patrzeć, jak jeden zawsze chce być szybszy od drugiego...

Skat! Przez całe życie z przyjemnością grałam. Przeważnie z mężem i z Franzem, moim kaszubskim kuzynem, który pracował na Poczcie Polskiej i dlatego na samym początku, jak znowu przyszła wojna, został rozstrzelany. Była kiepska sprawa. Nie tylko dla mnie. Ale to czas ze sobą coś takiego przyniósł. I to, że Willy wstąpił do partii, ja byłam we Frauenschafcie, bo tam za darmo można było się pogimnastykować, a i chłopak w Jungvolku w szykownym mundurze... Później w skacie to przeważnie mój teść był tym trzecim. Szanowny pan stolarz zawsze jednak za bardzo się gorączkował. Często zapominał o odkładaniu kart, a ja z miejsca dawałam kontrę. W dalszym ciągu lubię grać, nawet teraz, kiedy muszę znowu żyć, a siadam do gry z moim synem, kiedy przychodzi w odwiedziny ze swoją córką Heleną, moją imienniczką. Dziewczyna gra całkiem chytrze, lepiej niż jej ojciec, którego co prawda nauczyłam skata, jak miał dziesięć czy jedenaście lat, który jednak nadal licytuje jak początkujący. Gra swoją ulubioną czerwień z ręki nawet wtedy, kiedy ma w garści gołą dziesiątkę...

A podczas gdy my gramy i gramy, zaś mój syn stale zapędza się w licytacji, na dole w parku „Augustinum” moje prawnuki śmigają na swoich skejtach, że strach. Wszędzie mają jednak zabezpieczającą wyściółkę. Na kolanach, łokciach, a także na dłoniach, noszą nawet prawdziwe hełmy, żeby nic się nie stało. Same drogie rzeczy! Kiedy sobie pomyślę o moich braciach, co już w pierwszej wojnie polegli na froncie albo zmarli w inny sposób, to oni, jak byli mali – jeszcze za czasów cesarza – postarali się we wrzeszczańskim Browarze Akcyjnym o wysłużoną beczkę po piwie, rozebrali ją na pojedyncze klepki, natarli deski szarym mydłem, potem przywiązali je do sznurowanych butów i jak prawdziwi narciarze poparadowali do Jaśkowego Lasu, gdzie bez ustanku to wdrapywali się na Kopę Grochową, to z niej zjeżdżali. Nic nie

kosztowało, a mimo to się jeździło...

Bo kiedy sobie pomyślę, czym dla mnie jako drobnej sklepikarki było kupno prawdziwych łyżew, takich z kluczem do przykręcania, i to dla dwójki dzieci... Bo w latach trzydziestych sklep szedł bardzo średnio... Za dużo klienteli biorącej na kredyt i konkurencja... A potem przyszła jeszcze dewaluacja guldena... Co prawda ludzie nucili: „Maj przyszedł i wszystko odmienia, dwa czyni z jednego guldena...”, ale jednak zrobiło się krucho. Mieliśmy w Gdańsku guldenową walutę, bo byliśmy Wolnym Miastem, aż potem, jak wybuchła następna wojna, führer ze swoim gauleiterem, nazywał się Forster, włączył nas „z powrotem do Rzeszy”. Od tego momentu co się pojawiło na sklepowej ladzie, to tylko za reichsmarki. Ale pojawiało się coraz mniej. Po zamknięciu sklepu musiałam sortować kupony z kartek żywnościowych i naklejać na stare gazety. Czasem chłopak pomagał, aż i jego ubrali w mundur. I dopiero po tym, jak zwalili się na nas Ruscy, potem ostatnie resztki zabrali Polacy, my zostaliśmy się za wypędzonych i dalej była bieda z nędzą, odzyskałam go całego i zdrowego. Miał już tymczasem dziewiętnaście lat i wydawał się sobie dorosły. Potem przeżyłam jeszcze reformę walutową. Czterdzieści marek dostał każdy z nowych pieniędzy. To był trudny początek dla nas, uciekinierów ze Wschodu... Nie mieliśmy przecież nic poza tym... Album z fotografiami... I jeszcze udało mi się uratować jego album znaczków pocztowych... A jak potem umarłam...

Ale teraz, bo mój syn tego chce, mam jeszcze przeżyć euro, jak będą go wypłacać. Tylko że przedtem chce koniecznie wyprawić moje urodziny, dokładnie sto trzecie. No, niech tam sobie wyprawia. Nicpoń przekroczył tymczasem siedemdziesiątkę i dawno zdobył sobie imię. Nie może jednak zaprzestać opowiadania historyjek. Niektóre nawet mi się podobają. Z innych bez wahania powykreślałabym pewne miejsca. Ale święta rodzinne, takie prawdziwe, z awanturą i godzeniem się, zawsze lubiłam, bo kiedy my, Kaszubi, świętowaliśmy, to był przy tym płacz i śmiech. Moja córka, która też dobiega już siedemdziesiątki, nie chciała z początku świętować z nami, bo pomysł brata, żeby mnie ożywić na użytek swoich historyjek, uważa za makabryczny. – Daj spokój, Daduniu – powiedziałam jej – bo w przeciwnym razie strzeli mu do głowy jeszcze coś gorszego. – On już taki jest. Wymyśla sobie najbardziej niemożliwe rzeczy. Zawsze musi przesadzić. Nie chce się wierzyć, kiedy się to czyta...

No i moja córka jednak przyjedzie w końcu lutego. A ja cieszę się już za wszystkie prawniki, jak będą wtedy znów pędzić w dole po parku na swoich skejtach, a ja popatrzę sobie z balkonu. I cieszę się też na rok 2000. Zobaczymy, co przyniesie... Żeby tylko wojna znowu nie... Najpierw tam na południu, a potem wszędzie...

Spis rzeczy

1900 *Ja, wymieniany na mnie*

1901 *Kto szuka, ten znajdzie*

1902 *To było w Lubece małe wydarzenie*

1903 *W Zielone Świątki tuz po wpół do piątej*

1904 *U nas w Herne*

1905 *Iuz mój ojciec*

1906 *Nazywajcie mnie kapitanem Synuszem*

1907 *Pod koniec listopada spaliła się*

1908 *W naszej rodzime taki jest zwyczaj*

1909 *Ponieważ drogę do szpitala Urbana*

1910 *To ja teraz powiem*

1911 *Mój Drogi Eulenburgu*

1912 *Aczkolwiek na chleb zarabiałem*

1913 *Czyżbym to ja zbudował*

1914 *W połowie lat sześćdziesiątych*

1915 *Nasze następne spotkanie*

1916 *Po dłuższym spacerze bulwarem*

1917 *Zaraz po śniadaniu*

1918 *Po krótkim wypadzie na zakupy*

1919 *Przecie to kombinatorzy*

1920 *Za pomyślność, moi panowie*

1921 *Drogi Peter Panter*

1922 *Co jeszcze chcecie ode mnie*

1923 *Dzisiaj to banknoty*

1924 *Ustalono Kolumbową datę*

1925 *Niektórzy widzieli we mnie*

1926 *Kreskowane spisy to moja robota*

1927 *Spodziewając się mnie*

1928 *Możesz pan spokojnie*

1929 *I ni stąd, ni zowąd*

1930 *W pobliżu Savignyplatz*

1931 *Hasło brzmiało*

1932 *Coś musiało się stać*

1933 *Wiadomość o nominacji zaskoczyła nas*

1934 *Między nami mówiąc*

1935 *Przez moja korporację, „Teutomę”*

1936 *Takich, co podsycają nadzieję*

1937 *Nasze zabawy na szkolnym podwórzu*

1938 *Kłopoty z naszym nauczycielem historii*

1939 *Trzy dni na wyspie*

1940 *Na Sylcie mało co widziałem*

1941 *Przez lata działalności*

1942 *Nazajutrz przed południem*

1943 *Aczkolwiek nasz gospodarz trzymał się*

1944 *Kiedyś musiało dojść do skandalu*

1945 *Według słów naszego gospodarza*

1946 Ceglane paprochy

1947 Owej niebywalej zimy

1948 Właściwie oboje z żoną

1949 I wyobraź sobie, Mój Drogi

1952 Kiedy goście nas pytają

1953 Deszcz ustał

1954 Co prawda nie byłem na meczu

1955 Już w zeszłym roku stanął

1956 W marcu owego żałobnie posępnego roku

1957 Drogi Przyjacielu

1958 Jedno jest pewne

1959 Jak kiedyś w styczniowo zimnym Berlinie

1960 Jaki to żal

1961 Mimo że dzisiaj to już mało kogo wzrusza

1962 Jak dzisiaj papież

1963 Marzenie do zamieszkania

1964 Faktycznie, z tymi wszystkimi okropnościami

1965 Ze wzrokiem wlepionym w lusterko

1966 Bycie albo bytowanie

1967 Aczkolwiek moje przeciągające się środowe seminarium

1968 Seminarium zdawało się uspokojone

1969 To musiały być naprawdę odjazdowe czasy

1970 Moja gazeta nigdy tego ode mnie nie weźmie

- 1971 *Doprawdy, powieść można by o niej napisać***
- 1972 *Ja jestem teraz nim***
- 1973 *Iaki tam zbawienny szok***
- 1974 *Jak to jest***
- 1975 *Rok taki jak inne***
- 1976 *Sądziliśmy, że bez względu na to***
- 1977 *To miało następstwa***
- 1978 *Na pewno, proszę księdza***
- 1979 *Przestań wreszcie z tym wypytywaniem***
- 1980 *Z Bonn to przecież tylko dwa kroki***
- 1981 *Możesz mi wierzyć***
- 1982 *Abstrahując od nieporozumień***
- 1983 *Taki to nigdy więcej nam się nie trafi***
- 1984 *Wiem, wiem***
- 1985 *Moje Drogie Dziecko***
- 1986 *My, mieszkańcy Górnego Palatynatu***
- 1987 *Co mieliśmy do roboty w Kalkucie***
- 1988 *...ale przedtem, w roku poprzedzającym upadek muru***
- 1989 *Kiedy wracając z Berlina***
- 1990 *Spotkaliśmy się w Lipsku***
- 1991 *Zabitych się nie widzi***
- 1992 *Trochę zdziwiony***
- 1993 *Będąc szeregowym policjantem***

1994 *Mówią, że jestem twarda jak gład*

1995 ... *i oto drodzy słuchacze i słuchaczki*

1996 *Właściwie profesor Vonderbrugge*

1997 *Wielce Szanowny Panie*

1998 *Zagłosowaliśmy korespondencyjnie*

1999 *Zmusić to nicpoń mnie nie zmuszał*

Na koniec wieku Günter Grass obdarza czytelników setką opowieści *Mojego stulecia*, po jednej na każdy kolejny rok – od 1900 do 1999. W książce występuje kilkudziesięciu narratorów – świadków epoki. O niezwykłych i powszednich sprawach swego życia i swego czasu mówią coraz to inni ludzie – obojga płci, różnego wieku, wykształcenia i zawodu, odmiennych zapatrywań. Mówią ofiary i oprawcy. Coraz to inni Niemcy opowiadają o wydarzeniach politycznych, artystycznych, naukowych, obyczajowych i sportowych – ważnych i dramatycznych, czasami pogodnych, częściej przerażających, z których wyłania się obraz mijającego stulecia. Obok bezimiennych uczestników dwudziestowiecznych dziejów zabierają głos postacie zapisane w historii, jak cesarz Wilhelm II, pisarze a także autor *Blaszanego bębenka*. Kalejdoskop ludzkich losów układa się w *Moim stuleciu* w złożony wizerunek targanej sprzecznościami niemieckiej zbiorowości

Poza Polską książka ukazuje się jednocześnie w czternastu krajach: Anglii, Bułgarii, Czechach, Danii, Finlandii, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Płd. Korei, Litwie, Norwegii, Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Włoszech. Przygotowywane są edycje w Brazylii, Chinach, Indiach, Islandii, Izraelu, Japonii, Portugalii, Rosji, Rumunii, Węgrzech.

W serii dzieł wybranych Guntera Grassa oficyna POLNORD – Wydawnictwo OSKAR opublikowała następujące utwory *Listopad* (1994), *Blaszany bębenek* (1994), *Turbot* (1995), *Kot i* (1996), *Miejscowe znieczulenie* (1997), *Psie lata* (1998).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-14

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/